

# PRZEGLĄD POLITYCZNY

W numerze m.in.:

- Marcin KRÓL – O tradycji chrześcijańskiej w polskiej myśli politycznej
  - Grupa Publicystów Politycznych
  - Sylwetka Friedricha A. von HAYEKA
  - Historia gdańskiego ruchu samorządowego
  - Rozmowa George URBANA z Aleksandrem ZINOWIEWEM
  - Mikołaj BIERDIAJEW – Myśli o Rosji
  - Wywiad z Agnieszką HOLLAND
- oraz: Józefa HENNELOWA, Kazimierz DZIEWANOWSKI, Andrzej DRAWICZ

WYDAWNICTWO LITERY 1985

5

SPIS TRESCI

<i>Marcin Król</i>	
O tradycji chrześcijańskiej w polskiej myśli politycznej.....	3
<i>Redakcja</i>	
Grupa Publicystów Politycznych - paradoksy ewolucjonizmu...	10
<i>K. N. W.</i>	
Ujednolicenie: zagrożenia i szanse.....	13
<i>M. K.</i>	
Nowa racjonalność.....	16
<i>P. H.</i>	
Przełamać blokadę.....	19
<i>D. K.</i>	
Opozycja jako "sumienie państwowe".....	21
<i>M. J.</i>	
Kultura uspołeczniona.....	24
<i>J. M.</i>	
Pluralizm?.....	27
SYLWETKI	
<i>Jędrzej Branecki</i>	
Hayek - dogmatyk wolnego społeczeństwa.....	31
<i>Jerzy Strzelecki</i>	
Wizja Fryderyka von Hayeka.....	56
<i>Friedrich A. von Hayek</i>	
O wykorzystywaniu wiedzy w społeczeństwie.....	58
Konkurencja jako procedura odkrywania.....	67
Wolność ekonomiczna i rząd reprezentatywny.....	74
Socjalistyczne korzenie nazizmu.....	82
<i>Janusz Lewandowski, Jan Ssomburg</i>	
Historia gdańskiego ruchu samorządowego.....	88
<i>Rozmowa George Urbana z Aleksandrem Zinowiewem</i>	
Portret dysydenta sowieckiego.....	105
<i>Mikołaj Bierdiajew</i>	
Myśli o Rosji.....	142
<i>Witold Chramiec</i>	
Szalenstwo i metoda.....	148
<i>Z Agnieszką Holland rozmawia Henryk Dobosz</i>	
Chciałabym zrzucić te suknie Kassandry.....	154

Kazimierz Działanowski	
Uwagi o myśleniu ofensywnym.....	165
Hans Schmidt	
List z za Odry.....	167
Andrzej Drawicz	
Dusze okaleczone.....	170
Józefa Hennelowa	
Rola.....	174

Numer zamknięto w marcu 1985 r.

**Marcin Król**

## Tradycje chrześcijańskie polskiej myśli politycznej

Istnieje dość rozpowszechnione przekonanie, że polska myśl i postawy polityczne mają silne zaplecze chrześcijańskie. Bardzo często gdy czytamy w obecnej prasie - nie tylko podziemnej, również oficjalnej niekonięcznie nawet katolickiej - programy polityczne, to w pierwszych ich zdaniach autorzy piszą: naszym zapleczem jest katolicka nauka społeczna, podstawy naszego myślenia politycznego odnoszą się do chrześcijańskich wartości społecznych, do chrześcijańskich wartości moralnych. Jest to tak często powtarzane, że stało się właściwie dla większości Polaków, interesujących się dzisiaj myśleniem politycznym, rzeczą jakby oczywistą. Chciałbym się zastanowić nad tym, jak dalece jest to rzecz oczywista, jak dalece prawdziwe jest mówienie o chrześcijańskiej tradycji polskiej myśli politycznej, a ponadto - w jakim sensie warto mówić o chrześcijańskiej tradycji myśli politycznej.

Istnieje oczywiście taki sens najogólniejszy, w którym sprawa jest prosta - mianowicie taki, że cała kultura europejska ma chrześcijańską genezę. Ale ponieważ w tym sensie wszystko jest chrześcijańskie, stąd chrześcijańskie tradycje polskiej myśli politycznej niewiele w nim znaczą.

Aby się tym tradycjom chrześcijańskim dokładniej przyjrzeć, dokonamy najpierw pobieżnego przeglądu głównych kierunków politycznych i głównych nurtów ideowych w polskiej myśli politycznej oraz ich stosunku do chrześcijaństwa. Będzie to analiza bardzo pobieżna i prowadzona tylko z tego jednego punktu widzenia.

Najbardziej związany z myślą chrześcijańską był w polskiej myśli politycznej konserwatyzm. Myśl konserwatywna świadomie i stanowczo powoływała się na swoje chrześcijańskie zaplecze, a w niektórych, tzw. ultramontańskich wersjach po prostu ortodoksyjnie realizowała nakazy Watykanu. W innych wersjach nieco odbiegała od bieżącej ortodoksji katolickiej; jednak tak czy owak myśl konserwatywna swoje zaplecze chrześcijańskie traktowała z całą powagą. Niewątpliwie myślenie polityczne konserwatystów było chrześcijańskie nie tylko w sensie ogólnym, lecz także w tym, że odrzucałi oni pewne przeświadczenia tylko dlatego, że ich zdaniem nie godziły się z nauczaniem Kościoła. Warto tu przede wszystkim wspomnieć o trzech rzeczach. Po pierwsze o poglądzie na naturę ludzką - otóż konserwatyści byli przekonani, że natura ludzka jest ułomna, że człowiek może nad nią pracować, może się doskonalić, ale doskonałym nie będzie. Po drugie w związku z tym istniał w myśleniu konserwatywnym element zasadniczego, historiozoficznego pesymizmu, który bardzo zbliżał go do pesymizmu Kościoła, do pesymizmu myśli

*Odczyt na ten temat wygłoszony został przez Marcina Króla w październiku 1984 r. we Wrocławiu podczas Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej. Tekst przesłany publikowany jest nieautoryzowany. Publikujemy go bez wiedzy i zgody Autora.*

chrześcijańskiej. Pesymizm ten oznaczał tyle: na ziemi nie zbuduje się Królestwa Bożego, w doczesnym życiu nie powstanie społeczeństwo ani państwo idealne. I wreszcie po trzecie - konserwatyści uważali, że zio istnieje realnie, nie jest pó prostu brakiem dobra, jak często to głoszone w innych poglądach politycznych; że - innymi słowy - diabeł istnieje i trzeba z nim walczyć. Wszystkie te trzy elementy myśli konserwatywnej były identyczne z podstawami myślenia chrześcijańskiego. Ale też, z drugiej strony, konserwatyści są dla nas najmniej ciekawi, ponieważ tradycja ta właściwie zaginęła już w okresie międzywojennym, a co miałaby dzisiaj znaczyć trudno sobie wyobrazić. Do tego zresztą jeszcze pod koniec wróce.

Następnym ważnym w polskiej myśli politycznej był kierunek narodowo-demokratyczny, tzw. endecja. Otóż wbrew temu jak wyglądała sytuacja polityczna w II Rzeczypospolitej, wbrew temu, że większość a w każdym razie znaczna część polskiej hierarchii kościelnej była silnie związana politycznie z endecją, oraz wbrew temu, że endecja deklarowała wtedy poparcie dla Kościoła i uważała się za propagatorkę idei chrześcijańskich - początki i główny okres rozwoju myśli narodowo-demokratycznej były nie tylko odległe od chrześcijaństwa, ale i z chrześcijaństwem sprzeczne. Początki myśli Dmowskiego i Balickiego to przecież tzw. darwinizm społeczny, czyli przekonanie, że w życiu społecznym istnieje walka wszystkich ze wszystkimi i jednostki silniejsze pokonują w tej walce słabsze. Trudno o poglądy dalsze od chrześcijańskich. Sławna koncepcja etyki egoizmu narodowego Zygmunta Balickiego jest także koncepcją całkowicie anty-universalistyczną, czyli antychrześcijańską. Endecja występowała przeciwko chrześcijaństwu zdecydowanie, ponieważ uważała, że to ono jest winne sjałoboci, miękkości i humanitaryzmowi polskiej myśli politycznej. Endecja - nie wdaje się tutaj w oceny - uważała, że polska myśl polityczna powinna być męska, bardziej zdobywcza, bardziej agresywna. Te właśnie endeckie poglądy były od myśli chrześcijańskiej bardzo odległe. Potem, zwłaszcza w okresie II Rzeczypospolitej, nastąpiło - jak mówili - zbliżenie. Naturalnie ta sprawa jest ciągle jeszcze przed historyków rozważana i dyskutowana; w każdym razie w moim przekonaniu zbliżenie to miało przede wszystkim znaczenie bardziej taktyczne niż merytoryczny charakter. Jak wiemy dzisiaj, sam Dmowski i inni przywódcy endecji byli pod koniec życia ludźmi religijnymi, ale ich osobista religijność nie miała specjalnego związku z poglądami ideologicznymi i jak sądzę, myśli endecji nigdy nie była myślą głęboko chrześcijańską. Zarówno ksenofobia jak szowinizm i antyuniversalizm były cechami z chrześcijaństwem - tak jak je sobie dzisiaj wyobrażamy - w każdym przypadku zasadniczo sprzecznymi.

Następny kierunek to myśl socjalistyczna. Musimy tu od razu odróżnić dwa nurty. Pierwszy to socjalizm materialistyczno-marxistowski potem przejmujący nazwę komunizmu, który jak dzisiaj świetnie to widzimy, jest chrześcijaństwu ze swej natury wrogi.

Drugim był nurt socjalizmu romantyczno-chrześcijańskiego - w Polsce szczególnie silnie rozwinięty w XIX wieku - który z chrześcijaństwem miał bardzo wiele ze wspólnego, lecz sprawa tych związków jest dość zawiła. Bo mimo że struktura myśli socjalistyczno-chrześcijańskiej była zasadniczo religijna, to z nauczaniem Kościoła myśl ta miała niewiele wspólnego. Dlaczego? Ponieważ, przeciwnie niż konserwatyści, chrześcijańscy socjaliści uważali, że natura ludzka podlega doskonałeni, że rozmaite obciążenia, ograniczenia, braki wolności uniemożliwiają człowiekowi osiągnięcie doskonałości, lecz jeśli te ograniczenia znieść to doskonałość osiągnie i co więcej, zrealizuje Królestwo Boże na ziemi. Wyrażali to w bardzo rozmaitych formach i postaciach, ale to był zasadniczy pogąd: możemy na ziemi zbudować idealne społeczeństwo. Chrystus zstąpi z powrotem na ziemię, jak w niektórych poglądach milenarystycznych i mesjanistycznych, czy też objawi się za pośrednictwem jakiegoś proroka - tych było wielu - i doprowadzi do zbudowania społeczeństwa idealnego, w którym ludzie będą wzajemnie do siebie żyłli miłość, wszystkie wartości będą realizowane i nie będzie konfliktów społecznych. Ten typ socjalizmu był w oczywisty sposób z nauczaniem Kościoła sprzeczny. I chociaż właśnie struktura tej myśli była religijna, to z chrześcijańskiego, z katolickiego punktu widzenia, jej religijne zaplecze było co najmniej wątpliwe.

Następny istotny kierunek, który właściwie charakteru myśli politycznej w



losalna. Jeśli dzisiaj przypatrzeć się chadeckim poglądom we Włoszech, a zwłaszcza w Niemczech Zachodnich, to w programach tych elementów chrześcijański odgrywa znikomą rolę, co najwyżej ornamentu. W gruncie rzeczy są to partie liberalno-konserwatywne, a nazwa "chrześcijańskiej demokracji" wynika jedynie z tradycji i niczego więcej. Chadecja jest więc - jak sądzę - o tyle mało dla nas interesująca, że jej historyczna funkcja została wyczerpana i nie wydaje się, by w tej wersji miała ona wyczerpieć.

Z tego przeglądu wynika, że poza chadecją i konserwatyżmem, który jak uważam, też w wersji historycznej uległ wyczerpaniu, pozostałe kierunki polskiej myśli politycznej /narodowa demokracja, socjalizm i różne wersje poglądów liberalnych/ miały bardzo mało wspólnego z tradycją chrześcijańską. Można to stwierdzić również przypominając sobie, na zasadzie anegdotalnej, wielkie postacie polskiego życia politycznego okresu międzywojennego. Otóż jak się okazuje, zarówno Piłsudski jak i wielu jego przyjaciele z grona piłsudczyków, jak i Dmowski i wielu endeków, również socjaliści, którzy odeszli z obozu Piłsudskiego - wszyscy ci ludzie byli z Kościołem w co najmniej zawiłych stosunkach. Pomijając jednak te osobiste problemy, po bliższym przyjrzeniu się widzimy, że owo zaplecze chrześcijańskie polskiej myśli politycznej, ta tradycja, wbrew rozpowszechnionemu pogładowi, jest niesłychanie słaba.

A jednak mówi się bardzo często o tym chrześcijańskim właśnie zapleczu polskiej myśli politycznej, o tej chrześcijańskiej tradycji, a skoro tak się mówi, to coś się ma na myśli. Myślę, że chodzi tutaj o kilka wyobrażeń, czy też kilka przyjętych w życiu politycznym w Polsce sposobów myślenia, które jak się wydaje, obowiązują od co najmniej 150 lat. Spróbujmy teraz te wyobrażenia przedstawić.

Pierwsze z nich, bardzo w historii polskiej myśli politycznej, a zwłaszcza w jej odległym społecznym zapleczu istotne, to przeświadczenie o tym, że tylko przy pomocy realizowania wartości pozytywnych, bycia moralnymi, możemy dokonać zmian w naszej sytuacji politycznej. To, że cnotliwym należy się nagroda, że należy się ona cierpiącym, jest przekonaniem niesłychanie w Polsce rozpowszechnionym i jak wiadomo istniało ono już w okresie powstań XIX wieku / zaraz po Powstaniu Listopadowym mamy tego bardzo wyraźne dowody / i w jakimś sensie istnieje do dzisiaj. Tym, którzy niesłusznie cierpieli, należy się nagroda. Jak wiadomo jest to całkowicie sprzeczne z myśleniem katolickim. Według niego za cierpienie nie należy się nagroda; cierpienie jest dopustem, losem człowieka, a po drugie jeżeli cierpienie powoduje zasługę, a zasługa łaskę, to w każdym razie ta łaska nie musi być zrealizowana za życia ziemskiego. Przekonanie, że jeszcze za życia doczesnego zostanie ona zrealizowana jest całkowitą herezją, występującą tylko wyjątkowo w skrajnie protestanckich kościołach. Pełnego związku między zasługą, cierpieniem i łaską nie było także u Lutra. Jednakże to przekonanie jest bardzo rozpowszechnione i uważa się powszechnie, że ma ono jakieś chrześcijańskie zaplecze.

Drugim ważnym, pokrewnym poprzedniemu, jest przekonanie, że polityka i stosunki międzynarodowe powinny ulec umoralnieniu, czyli inaczej mówiąc, że rozbiory, potem Powstania, rok 39, 17 września i wejście Rosjan-bolszewików, potem Katyń i los Polski w latach 1944-45 - to wszystko, poza różnymi innymi, ma także aspekt grzechu w stosunku do moralności międzynarodowej ze strony państw zachodnich. Otóż nie poddając w wątpliwość idei umoralnienia stosunków międzynarodowych i gdyby to oczywiście było możliwe, byłoby to bardzo słuszne. Jednak z punktu widzenia moralności jednostki, czy też moralności chrześcijańskiej, stosunki międzynarodowe i polityka są niemoralne i to co najmniej od dwóch tysięcy lat. Więc domaganie się umoralnienia polityki, domaganie się tego na bieżąco, jest w istotny sposób sprzeczne z faktami, z rzeczywistością. Warto zresztą zwrócić uwagę na konsekwencje. Co to znaczy umoralnić politykę międzynarodową? Co znaczy domagać się tego? A domagali się tego polscy przedstawiciele przez cały wiek XIX i domagają się przecież do dzisiaj, co często przy różnych okazjach widzimy. Ważny jest przykład lat 1944-45. Mamy często uzasadnione pretensje do aliantów zachod-

nich, że nas zostawili, porzucili. Mówi się, że było grzechem z ich strony niedotrzymanie zobowiązań, pozostawienie Polski tak, że stała się członkiem bloku państw socjalistycznych. Na czym polega nasza pretensja? Można się nawet zgodzić, że pretensja ta jest uzasadniona, że Polska, która była jednym z aliantów, została pominięta, że nie zostały w decyzjach Jałty i potem Poczdamu uwzględnione polskie interesy. Ale przecież gdyby od aliantów żądać postępowania zgodnego z moralnością międzynarodową, dotrzymania słowa, to w gruncie rzeczy żądałoby się od nich doprowadzenia do sytuacji, która groziłaby wybuchem trzeciej wojny światowej. I byli w Polsce tacy ludzie, którzy uważali, że alianty powinni do tego zmierzać. Ale na to można znowu spojrzeć z moralnego punktu widzenia i zastanowić się co było lepsze: czy ratowanie niepodległości Polski, czy doprowadzenie do wybuchu trzeciej wojny światowej. Oczywiście nie wiem i nie umiem dać odpowiedzi na to pytanie. Ale wskazuję na to żeby pokazać, że sama idea stosowania moralności w polityce międzynarodowej po prostu niczego nie rozwiązuje i to nie tylko dlatego, że polityka jest zimna i cyniczna, ale również dlatego, że polityka z zasady opiera się na konfliktach interesów, gdzie czysto moralne rozstrzygnięcia nie są stosowalne.

Trzecim, bardzo wyraźnym w zapleczu polskiej myśli politycznej, jest przekonanie, że dobro samo zwycięża. To przekonanie wiąże się z następnym, mianowicie mesjanizmem, do którego zaraz wrócę. Przekonanie to wyrażało się w szczególności w poglądach socjalistów romantycznych. Jeden z nich, Ludwik Królikowski, z upodobaniem powtarzał myśl, że Polacy zwyciężą i uzyskają niepodległość pod warunkiem, iż będą się o nią bili bez broni, bez pieniędzy i bez myśli - *bez spekulacji* - jak to mówił Królikowski. Bez spekulacji - to znaczy z czystym sercem nie zakłóconym myśleniem, które jak wiadomo powoduje zamieszanie. Ten pogląd był niesłychanie upowszechniony i wszystkim jest zapewne znany wiersz Wincentego Pola *Sygnal*, którego fragment przytoczę:

*Nie ma Orła bez Fogoni,  
Poszli nasi w bój bez broni.  
Hejże ha, hej ha, hej ha:  
Matko Polsko bądź  
Jesus, Mario bądź!*

Otóż w wierszu tym jest sławne *poszli nasi w bój bez broni* i w dodatku jeszcze wezwanie dość wątpliwe *Jesus, Mario bądź!* Jest to bardzo klasyczne dla myślenia polskiego, że bez broni, niewinnie, czysto można coś wywojować, że właśnie inaczej się nie da. Naturalnie kryje się za tym to, że po prostu tej broni nie było - wtedy idealizowało się to, co było.

Ale jest także pewne podstawowe złudzenie, że czyste serce w jakimś sensie zwycięża. To złudzenie prowadzi nas do czwartego przekonania, do czwartej idei tkwiącej w zapleczu polskiej myśli politycznej - mianowicie do mesjanizmu. Idea mesjanizmu - znów upraszczając - można powiedzieć istniała w co najmniej dwóch wersjach. Jedną bym nazwał mesjanizmem aktywistycznym, drugą - pasywistycznym.

Mesjanizm aktywistyczny zaprezentowali właściwie wszyscy wielcy polscy romantycy, a przede wszystkim Krasieński i Mickiewicz. U Słowackiego mamy do czynienia nie z mesjanizmem, ale z czymś pokrewnym, z genetyjskością. Jest to pokrewne, ale nie ma tu idei osobowego Mesjasza. U Krasieńskiego, który był może najbardziej wyrafinowanym mesjanistą, idea ta nie jest, jak to się upowszechniło dzisiaj w publicystyce uważać, jakimś nonsensem. Przeciwnie - sądzę, że jest to idea bardzo racjonalnie zbudowana. Nie oznacza ona wiary, że Prorok-Mesjasz wróci, przyjdzie z powrotem i nas wyratuje, doprowadzi do niepodległości. Jest idea nie zasługi w wyniku cierpienia, lecz zasługi w wyniku pracy. Krasieński wielokrotnie powtarza to, że możemy odzyskać Polskę niepodległą, ale pod dwoma warunkami: po pierwsze - pracy duchowej, która zmienia rzeczywistość, po drugie - dobrej woli. Tak jak w sławnym piątym *Psalmie*. Zaniedbanie pracy duchowej - *osiedło*, zalenienie ducha - jak o tym mówi Słowacki w *Genet's Ducha* - uniemożliwiają odzyskanie niepodległości. Zauważmy, że to nie są warunki polityczne odzyskania niepodle-



głości; to jakgdyby warunki tego, iżby uzyskanie niepodległości miało sens. I dla Krasińskiego, i dla Mickiewicza, i dla Słowackiego, podobnie też dla Norwida, niepodległość przecież nie była - o czym się dzisiaj mało pamięta - wartością samoistną, była ona potrzebna po to, żeby człowiek i żeby ludzie mogli realizować swoje potrzeby duchowe. Wobec tego sprawa niepodległości przedstawiała się dla nich odwrotnie aniżeli dzisiaj potocznie się sądzi. Nie "najpierw niepodległość"; warunkiem sensowności walki o niepodległość jest praca duchowa. W przeciwnym razie walka o niepodległość nie będzie niczem służyła, będzie walką o niepodległość ludzi zniewolonych. Tylko ludzie wolni duchowo mogą odzyskać niepodległość.

Tak rozumiana przez Krasińskiego idea mesjanizmu, nie jest wcale nonsensowną. Istniał natomiast drugi wątek mesjanizmu. Ten wątek spopularyzowany i zbanalizowany przez publicystykę, był krytykowany całkiem słusznie. Tu myśl mesjanistyczna głosiła to, co później Brzozowski nazwał *synekurą mesjanistyczną*, czyli: cierpią, a skoro cierpiemy to Mesjasz nas wynagrodzi. Nie pracą ale samym cierpieniem doprowadzimy do zwycięstwa. Mesjanizm w tej wersji zwalniał z myślenia, zwalniał z pracy duchowej, bo właściwie żadnej pracy duchowej nie trzeba było wykonywać - sama sytuacja Polski powodowała, że musi ją spotkać nagroda. Ten typ mesjanizmu występujący w wielu rozmaitych wersjach u takich ówczesnych myślicieli jak Ludwik Królikowski, liczni socjaliści krajowi i emigracyjni z Gromad Ludu Polskiego, jak Piotr Ściegien-ny, był w gruncie rzeczy mesjanistycznym pasywiżmem, był, jak to świeżnie określił Brzozowski, swoistą *mesjanistyczną synekurą*. I ten właśnie rodzaj mesjanizmu, bardzo silnie moim zdaniem, ujawnił się znowu w okresie drugiej wojny światowej, a zwłaszcza w okresie powojennym. Znowu Polacy cierpieli i znowu pojawiło się przekonanie, że to cierpienie jest samoistną pracą dla niepodległości.

Podsumowując to wszystko, co dotychczas napisałem, można powiedzieć, że nie bardzo jest sens mówić o chrześcijańskiej tradycji w polskiej myśli politycznej ponieważ, jak widzieliśmy, główne jej kierunki do dziś w jakimś sensie żywe, albo wręcz walczyły z ideałami chrześcijańskimi, albo były od nich bardzo odległe. Nie bardzo też możemy mówić o tym, aby z myśli chrześcijańskiej, z nauki społecznej Kościoła, czy z myśli katolickiej wynikała jakakolwiek jednoznaczna postawa polityczna. Kościół nigdy niczego takiego nie mówił; wręcz przeciwnie - zwracał uwagę, że właśnie żadna jedyna droga polityczna z jego myśli nie wynika.

Jeżeli chcemy z sensem mówić o chrześcijańskim zapleczu myślenia politycznego, to powinniśmy mówić moim zdaniem o filozoficznym jej zapleczu. Myśl polityczna - co czasem umyka naszej uwadze - samą w sobie jest w zasadzie refleksją nad technikami życia publicznego, nad sposobami osiągnięcia celów, nad metodami i ewentualnymi konfliktami między tymi metodami. Natomiast myśl polityczna nie formułuje celów i nie określa wartości ostatecznych. To zadanie przysługuje filozofii. I bez decyzji filozoficznych sama myśl polityczna często staje się bezradna. Tylko na terenie filozofii można dokonać wyboru wartości. Istnieją wyraźne tego przykłady z okresu "Solidarności". W jej programach czy też tezach do nich zwracało uwagę wymienianie jednym z nich takich ideałów czy też wartości jak: wolność, równość, demokracja, socjalizm, chrześcijaństwo. Otóż wolność z równością, demokracja z socjalizmem, także w jakimś sensie demokracja z chrześcijaństwem, są jak wiadomo konfliktowe. Decyzje o tym, które z tych wartości są ważniejsze, które się wybiera, mogą zapaść tylko na poziomie filozoficznym, nie zaś na poziomie samego myślenia politycznego. Takie wartości jak wolność czy równość są celami, a nie sposobami. Widzieliśmy w okresie "Solidarności", że dążenia do wyrównania płac i jednocześnie do samodzielności przedsiębiorstw, od których zyskowności miałyby być uzależnione płace - są to dążenia sprzeczne. Tego rodzaju sprzeczności w życiu społecznym nie mogą być rozwiązane przez samą myśl polityczną, ponieważ są to sprzeczności zasadnicze, żadne techniki polityczne ich nie rozwiążą. Rozwiązane mogą one być tylko w ramach filozoficznego zaplecza przez sformułowanie priorytetów, choć to i tak wszystkich konfliktów nie likwiduje.

Jest również bardzo istotna druga strona tego zagadnienia. Wymienianie

jednym tchem takich wartości wiąże się z czymś, co także współcześnie w Polsce przypisuje się niewłaściwie zapleczu chrześcijańskiemu. Można to określić terminem, którego raczej niechętnie używa się dzisiaj w kontekście negatywnym - terminem solidaryzmu. Właśnie w okresie "Solidarności" na skutek niezgodnienia ewentualnych hierarchii wartości powstało coś, co możemy nazwać w zakresie myśli społecznej solidaryzmem. Jest to przekonanie, że należy przyjąć każdy front i że w gruncie rzeczy nie ma istotnych sprzeczności. Tymaczyło się to naturalnie programami walki i tym, że istniała potrzeba jednolitego frontu w stosunku do przeciwnika. Ale to wewnętrzne przekonanie było bardzo niebezpieczne, ponieważ jak wiadomo, właśnie konflikt jest siłą napędową demokracji, ma on charakter pozytywny a nie negatywny.

Jest więc z zapleczem polskiej myśli politycznej inaczej niż się powszechnie sądzi. Warto wobec tego dzisiaj myśleć o tym, jaka jest możliwa pomoc dla myśli politycznej ze strony filozofii chrześcijańskiej. Otóż jak myślę, ta pomoc może dotyczyć właśnie hierarchii wartości, a przede wszystkim kilku problemów bardzo istotnych. Czy jest możliwe życie sensowne bez niepodległości? Jest to problem zasadniczy, który podaję jako przykład. Życie sensowne istnieje dla chrześcijanina możliwe zawsze, ale nie o nim będą się wypowiać. Chodzi mi o życie społeczne, publiczne. Jak się wydaje, właśnie filozofia chrześcijańska w wersji, o której wspominałem na przykładzie Krasieńskiego i Słowackiego /z propozycją pracy duchowej jako warunku sensownego dążenia do odzyskania niepodległości/, ma tutaj wiele do powiedzenia.

Drugim tego rodzaju problemem istnienie bądź nieistnienie konfliktów i rozumienia konfliktowości życia społecznego. W moim przekonaniu myśl chrześcijańska, nie mająca właśnie solidarystycznego charakteru, pokazuje, że istnienie sprzeczności na poziomie interesów nie jest niebezpieczne z punktu widzenia miłości bliźniego, bo miłość bliźniego dotyczy innego poziomu; nie jest to żaden fałszywy rozumiany sentymentalizm czy też unikanie sprzeczności, lecz jest to dostrzeganie w drugim człowieku człowieka równego mi samemu, a nie próba likwidowania wszelkich napięć.

I wreszcie jako trzeci przykład można podać myśl chrześcijańską w takich wersjach jaką mieliśmy okazję poznać w okresie drugiej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski - myśl z natury swojej mesjanistyczna w samej warstwie religijnej. Ale jest to nie tylko wymiar religijny mesjanizmu, jest to właśnie ów jego wymiar duchowy. Mówienie w Polsce o zwycięstwie, co było przecież głównym tematem wystąpienia papieża w naszym kraju, może mieć olbrzymie znaczenie. Z tym, że nie jest konieczne to zwycięstwo, które chce się odnieść w przewidywanej przyszłości, w ciągu najbliższych lat, zwycięstwo o charakterze czysto politycznym, ale jest to zwycięstwo, które jest rzeczywistością ważniejszą i które nadaje sens życiu zarówno jednostek jak i całych społeczności, to zwycięstwo, które zostanie zaprzepaszczone jeśli nie będzie się pracowało właśnie w duchu wskazań papieża, w duchu wskazań chrześcijańskich.

I analiza historii polskiej myśli politycznej z tego punktu widzenia pokazuje, że jej porażki, częstsze przecież niż zwycięstwa, były właśnie powodowane lekceważeniem pracy duchowej na rzecz bieżącej walki politycznej. Takie lekceważenie jest możliwe i rozumiałe we współczesnych społeczeństwach demokratycznych i często tam występuje, ale tam myślenie polityczne służy tylko organizowaniu życia, nie zaś zmienianiu świata. U nas musi ono rozpoczynać się nie od formułowania doraźnych programów, a od stworzenia filozoficznego zaplecza, od stworzenia jasnej, wyraźnej hierarchii wartości. Oczywiście taka hierarchia nie musi być chrześcijańska. Są inne systemy filozoficzne i inne jej źródła, ale jeżeli chcemy i mówimy o tym, że polska myśl polityczna ma chrześcijańskie zaplecze, to jeśli by miała ona je mieć naprawdę, a nie tylko deklaratywnie, jak sądzę miała dotychczas, musiałoby to być oparte na filozoficznym przemyśleniu problemów życia społecznego i dopiero potem wyciągnięciu z tego przemyślenia programowych wniosków dla bieżącego myślenia politycznego.

# Grupa Publicystów Politycznych - paradoksy ewolucjonizmu

Poniżej prezentujemy sześć artykułów autorskich Grupy Publicystów Politycznych, której trzy wystąpienia publikowaliśmy w 4 numerze "Przeglądu Politycznego". Całość stanowi znaczącą propozycję nie tyle programu, co nowego stylu myślenia politycznego. Recepta tych tekstów nie jest łatwa. Dopiero odniesienie koncepcji w nich zawartych do polskich tradycji ideowych, a także do współczesnych nam wydarzeń i idei pozwoli lepiej je zrozumieć i dostrzec ich specyfikę.

Sposób myślenia autorów lokuje ich niewątpliwie w kręgu tradycji konserwatywnej filozofii politycznej. Konserwatywnej, lecz nie zachowawczej. Współczesna, aktualna postać zyskały w nim takie, typowe dla konserwatystów, wątki, jak: preferowanie ewolucyjnych metod działania, odrzucenie idei rewolucji, niechęć do radykalizmu i gwałtownych metod działania, stawianie na kompromis, ugodę partnerską, zdrowy rozsądek, postrzeganie aktywności i praw obywatelskich w kontekście odpowiedzialności obywatelskiej. Znow aktualny stał się według uczestników GPP wymóg patrzenia na rzeczywistość w kategoriach politycznych, w kategoriach państwa, a nie ideologicznego interesu grup i stronnictw. Jest to również - zgodnie z konserwatywną tradycją - koncepcja w szerokim tego słowa znaczeniu elitarna. Jej autorzy przedkładają działania legalne nad konspiracyjne, a rozwój świadomości państwowo-obywatelskiej nad kontestację.

Tak, jak XIX-wieczny konserwatyzm polski miał charakter wtórny, był reakcją na nowe idee i sytuacje powstałe w XVIII i XIX stuleciu, również "nowa racjonalność" GPP jest w jakiejś mierze reakcją na porażkę "Solidarności" i jej alternatywa programowa. Siła faktu stanowi więc pierwszą integralną propozycję opozycyjną wychodzącą poza ramy idei samoorganizacji społecznej.

Istnieje dość powszechne przeświadczenie, iż obecnie niezależna myśl polityczna nie potrafi, w przeciwieństwie do okresu sprzed grudnia 81, zaproponować skutecznych politycznie koncepcji działania. Nie wydaje się jednak, żeby przyczyną owego rozczarowania była niewydolność intelektualna czy organizacyjna środowiska opozycyjnych. Spowodowane jest ono raczej zmianą sytuacji politycznej (nowa formuła sprawowania rządów, polegająca na wprowadzeniu siły jako zasadniczego elementu relacji władza - społeczeństwo) przy utrzymaniu zagrożenia zewnętrznego. Ponadto powszechna świadomość negatywnych doświadczeń okresu "Solidarności" i stanu wojennego determinuje oceny i wybory społeczeństwa i władzy.

Dlatego też analiza doświadczeń ostatnich lat jest bardzo pomocna w próbach określenia obecnej sytuacji i poszukiwaniach dróg jej przekształcenia. Niezależny ruch społeczny, w tym i "Solidarność", przyjęła taką koncepcję, takie metody i taktykę, które miały pozwolić uniknąć rozwiązań siłowych. Zamierzał on stopniowo, metodami pokojowymi, zdemokratyzować system. Jego elity miały pełną świadomość sprzeczności pomiędzy celami i wartościami własnymi, a władzy, wobec czego nie mogły mieć skłódzić co do jej dobrej woli i oczekiwać jej akceptacji. Faktem jest, że z czasem zaczęły lekceważyć niebezpieczeństwo zdławienia niezależnych ruchów społecznych przy pomocy sił wewnętrznych, niemniej przez dłuższy okres czasu społeczeństwo potrafiło wywierać skuteczną presję na władzę. W końcu okazało się to jednak niemożliwe.

Jażowy, gdyż prawdopodobnie nierozstrzygalny, byłby w tej chwili spór, czy tak się stać musiało. O niczym nie możemy powiedzieć, że coś musi lub musiało się stać; przyjęcie fatalistycznej optyki było zabójcze dla myślenia i działania politycznego. Metodymi politycznymi byłoby znalezienie odpowiedzi na pytanie, dlaczego doszło do rozwiązania siłowego. Przed sierpniem 80, a także później, w niezależnej myśli politycznej dominowało przekonanie, iż w warunkach systemu totalitarnego jej adresatem powinno być społeczeństwo, a nie władza, a podjętym dokonującym zmian powinny być niezależne, stojące poza systemem, inicjatywy społeczne. Sielące zadania były wyznaczane na miarę posiadanych możliwości, a instrumenty zgodna z konkretnymi zadaniami. Samorganizacja społeczeństwa stanowiła narzędzie cel, środek i metoda. Droga presji społecznej zamierzano wymusić zgodę władz na powstanie niezależnych instytucji społecznych, na demokratyzację systemu.

Sierpień 80 wyraźnie pokazał, iż społeczna nośność i skuteczność polityczna koncepcji samorganizacji, tzw. "nowego ewolucjonizmu" (A. Michnik), przesłała wszelkie oczekiwania jej twórców. Pokazał jednak równocześnie, że przemiany tego typu dokonują się nie w sposób ewolucyjny - jak zakładano - lecz szokowy, rewolucyjny. Nastąpiła bowiem jakodolowa zmiana układu społecznego. Przeciwnością dwóch logik, dwóch zasad, totalitarnej i demokratycznej, warunkowała taki właśnie sposób przemian. Analogicznie, niemożliwe było stopniowe, pragmatyczne przygotowanie się niezależnych państwowych struktur politycznych do nowego układu sił społecznych. Prawdopodobnie mogło ono również dokonać się tylko w sposób podziwowy, przyjmując w niej jako totalitarną demokratyczną zasadę organizacji.

Obawa przed interwencją wewnętrzną w przypadku rewolucyjnych zmian politycznych skłoniła przywódców ruchu do poszukiwania dróg zmian stopniowych, pośrednich, do wyboru koncepcji samorganizującej się rewolucji. W praktyce okazała się ona jednak nie do zrealizowania. Nastąpił polityczny pat, dyktant niedokonanej rewolucji. Rewolucyjny ruch społeczny nie uniczylił starych struktur politycznych, jedynie sprecjalizował ich funkcjonowanie. S jednej strony następowała dalsza radykalizacja ruchu wywołana niemożliwością znalezienia rozwiązań kompromisowych, a także jego wewnętrzna dynamika, a z drugiej integracja aparatu sędziwowanego bronił swych pozycji ze wszelką ceną. Szanse znalezienia rozwiązań pokojowych stawiały się coraz mniej prawdopodobne.

Idea samorganizacji, paradoksalnie, pobudziła powstanie m.in. dlatego, że okazała się politycznie niesamowicie skuteczna i dynamiczna. Była koncepcją rewolucyjną, bezpośrednią reakcją i konsekwentnym zaprzeczeniem systemu totalitarnego, była środkiem realizacji celów ostatecznych (niepodległości i demokracji), jak i celem samym w sobie. Poprzez samorganizację społeczeństwo stawiało się faktycznie demokratyczne i niepodległe, miało samo decydować o swych dalszych celach.

W wyniku wprowadzenia stanu wojennego powstała w Polsce nowa sytuacja polityczna. Wymaga ona nowych odpowiedzi, nowych propozycji ze strony niezależnej myśli politycznej. Taka właśnie próba oceny sytuacji i wynikających z niej wyborów zawierała teksty Grupy Publicystów Politycznych. Stwierdzają oni mianowicie, że wobec wyoszerzenia się poszyfowanych, ofensywnych treści "starej" racjonalności nie ma innej racjonalnej politycznej postawy, niżelli poszukiwanie formuł dla świadomego kompromisu zawieszanego nigdy

r. przedstawiającymi różnicowane interesy opozycyjnymi grupami społecznymi, a czynnikami rządzącym, który ma szukać realne interesy (...) Nowa racjonalność, nowe umotycznienie udziału w życiu publicznym opiera się na przekonaniu, że państwo jest nasza i że interes tego państwa jest nadrzędny w stosunku do wszystkich ich społecznych interesów z czynnikami rządzącym... (Nowa racjonalność, M. K.). Autorzy, określeni jako "nowi realści" ("Krytyka", nr 18) wyjdzie z obecnej sytuacji spierają w rozwiązaniach politycznych, a politykę rozumieją jako sztukę czynienia tego, co możliwe. Działania zmierzające bezpośrednio do osiągnięcia demokracji i niepodległości państwa obecnie; ze względu na istniejące ograniczenia, są nieralne. Ponadto stwierdzają, że nie jest możliwa jakakolwiek zmiana naprawę którejkolwiek ze sfer życia narodowego przeciw, lub mimo, istniejącej władzy, poza państwem. Wszelkie politycznie skuteczne działania mogą dokonywać się tylko poprzez istniejące państwo, wspólnie. Ze względu "zapaść cywilizacyjną" kraju powinny obejmować one w pierwszej kolejności naprawę gospodarki, prawa i administracji. Zmiany miałyby zmierzać do przekształcenia państwa totalitarnego w autorytarne. Powstałoby ono nadal niedemokratyczne i represyjne, ale znacznie sprawniejsze w wypełnianiu swych zadań i funkcji gospodarczych i administracyjnych oraz bardziej praworządne. Gospodarka, administracja, prawo wyjęte spod ideologicznej i politycznej kontroli czynnika rządzącego mogłyby stanowić "sferę zgody" w tym sensie, że służyłyby realizacji interesu ogólnospołecznego określonego przez GPP jako "minimum interesu państwowego", nie stanowiąc wyłącznie instrumentu realizacji interesów aparatu władzy.

Wzette praktycznej realizacji swych projektów GPP pozostawia otwarta.

Oficjalna ideologia od dawna nie pełni już roli opinio- i świadomościowo-wotwórczej. Kacja jej trwania jest potrzeba bankcjonowania istniejących struktur i interesów politycznych. Jest ona na stałe w nie wpisana. Niemniej pewne doświadczenia historyczne (prywatne rolnictwo, niezależny Kościół, niezależne związki zawodowe) pokazały, że zdarzają się w panującym systemie odstępstwa ideologiczne. Wszystkie one jednak zaistniały na skutek społecznej presji na władzę, zostały wymuszone. Prakcja masowego ruchu społecznego, wpływ opinii publicznej i sytuacji gospodarczej mogą w spityjających okolicznościach wymusić na władzy zgodę na proponowane zmiany. Istnieją jednak dwa niebezpieczeństwa. Jeżeli proponowane zmiany będą zbyt ograniczone, zbyt ostrożne z jakichkolwiek względów, to wówczas ich praktyczne efekty gospodarcze, polityczne i psychologiczne będą minimalizowane, a tym samym ich atrakcyjność społeczna i żołne mobilizowanie nacisku bębardzo mała. Równocześnie idea reform i interesu państwowego łatwo może stać się przedmiotem manipulacji propagandowej, zostać politycznie zdyskontowana przez obrońców starego porządku. Z drugiej strony; jeżeli reformy będą zakrojone na szeroką skalę, mogą - poprzez istnienie pozytywnego sprzężenia pomiędzy głębokością przemian a siłą społecznego ich poparcia - uruchomić, podobnie jak to miało miejsce po Sierżniu 80, rewolucyjny proces rewindykowania przez społeczeństwo instytucji państwa. Oznaczałoby to przekroczenie przyjętych ograniczeń i groźbę rozwiązania siłowego.

Opisany dylemat jest charakterystyczny dla każdej niezależnej wyśli politycznej, pragnącej w obecnych polskich warunkach podejmować skuteczne działania polityczne. Jest to dylemat słabszego, lecz nie rezygnującego z walki. Jest on od wieków wpisany w polski los, stał też towarzyszy nam stale świadomość, że nie mamy łatwych wyborów. Musimy mimo to jakieś wybory podejmować, niezależnie od ich słabości i zagrożeń z nimi związanych. Lepsze to, niż całkowity optymizm lub spokój wynikający z bierności.

Dopiero praktyka polityczna może pokazać na ile nadzieję GPP na wytyczony rewolucyjnej drogi (różnej ścieżki) unikającej zarówno kapitulację ideową, jak i wspanu rewolucyjny, są realne.

Redakcja

# Ujednoczenie: zagrożenia i szanse

Opisanie znaczenia "Solidarności" dla obecnej i przyszłej sytuacji Polaków wymagałoby gigantycznej pracy, która zapewne przed jej ukończeniem uległaby przedawnieniu, jako że przyszłość współkształtowana przez "Solidarność" nie będzie kasza długo na siebie czekać. Spróbujmy zatem jedynie wyrobić rozstrzygającą dla życia Polaków tendencję, którą "Solidarność" wykorzystywała, wzmocniła, przekształciła. Tendencją tę chciałbym określić jako proces zmierzający do ujednoczenia społeczeństwa polskiego.

Proces ten wywodzi się z doświadczeń całej historii narodowej. Jednak szczególnie znaczenie ma tu okres od ataku Niemiec na Polskę 1 września 1939 do 13 grudnia 1981, a właściwie do chwili obecnej. Zaczynamy tu - z konieczności - nader pobieżnie - główne etapy tego okresu.

Agresja niemiecka i - po 17 dniach - agresja radziecka na Polskę rozpoczęły etap ujednoczenia przez eksterminację: od zabijania Polaków na polu walki, przez mordowanie jeńców, do zagłady w obozach koncentracyjnych. Przygotowało to grunt do ujednoczenia powstałego w 1944 roku Polski Ludowej. Żydów wysiedlowali hitlerowcy, a nieliczni pozostali przeważnie wymigrowali; Ukraińców i Białorusinów, i Litwinów wtłoczono do ZSRR razem z terenami polskimi, które mniejszości te zamieszkiwały. Pozostałych, jak np. Łemkowie, rozproszono po kraju, Niemców przesiedlono za nową granicę na Odrze i Nysie. Jednocześnie wywieziono i częściowo wyniszczono elity polskie z terenów okupowanych przez ZSRR między wrześniem 1939 a czerwcem 1941. Poważną stratę stanowiły też patriotyczne elity, które przedostały się do Europy Zachodniej i tam pozostały, nielicznie tylko powracając po zakończonej wojnie.

Stalinizm kontynuował biologiczne wyniszczanie resztek elit patriotycznych. Wymuszonemu egalitaryzmowi sprzyjało przesiedlanie ludności, masowe migracje wewnętrzne i ruch "szansu społecznego" ze wsi do miasta. Ważnym, bo pojawiającym się po raz pierwszy objawem ujednoczenia społeczeństwa był upadek woli oporu, powszechna rezygnacja i oportunistyka. Upaństwowienie i centralizacja przemysłu, handlu, transportu, a w krótkie po prostu wszystkie, włącznie z najbardziej niewinnymi stowarzyszeniami społecznymi, stworzyło przesłanki dla upaństwowienia samych obywateli, którzy stali się własnością państwa. Ujednoczenie przybrało postać zglizchszaltowania społeczeństwa przez poddanie go terrorowi "zsostraszającej się walki klas".

Tak oto władza zaprzęgała naród do socjalistycznego kierunku, w którym przez lata walił sam siebie. Gdy zdawało się, że wszystko zostało przemielone na proch - nadarzył czas zwrotu. Okazało się, że ujednoczenie nie jest wcale narzędziem zwietyzacji społeczeństwa polskiego. Przeciwnie. Powszechna atomizacja stała się warunkiem powszechnej solidarności, powszechna demoralizacja

cja - warunkiem powszechnego idealizmu. Sierpień 1980 rozpoczął okres, w którym jednolitość stała się cnotą etyczną. "Solidarność" dokonała przewrótco- wania tendencji, którą przed Sierpniem postrzegano negatywnie. Jej nowa, po- rzytawna funkcja wypływa z wypełnienia treścią narodową reżimowej uniformiza- cji i tym samym zwrócenia jej przeciw reżimowi i jego działalności osłabiają- cej państwo, rujnującej kraj i wyniszczającej naród. Wałęsa nazwał to wytwor- zenie się "bardzo szerokiego wspólnego mianownika". Przed rokiem 1939 pod- dzieliły i konflikty wewnątrzspołeczne były w Polsce bardzo liczne i silne. Dzisiaj, gdy całe społeczeństwo pozbawione zostało praw obywatelskich i pra- wa do inicjatywy ekonomicznej, "wspólny mianownik" obejmując większość in- teresów jednostki, ukształtował, a wobec bezprzykładnego kryzysu nawet wymusił wewnątrzspołeczną solidarność. Ponieważ kryzys gospodarczy został łatwo zrozumiany jako krach systemu również w jego politycznym, społecznym, kultu- rowym i moralnym wymiarze, to wewnątrzspołeczna solidarność musiała przybrać postać ruchu na rzecz ratowania narodu, kraju i państwa. Rychło okazało się że nie może to być wyłącznie rewindykacyjny bunt przeciw władzy, że należy pod presją czasu podjąć starania o zasadniczą reformę Polski, które władza dla własnego dobra, winna wspierać.

13 grudnia 1981 roku władza władza odrzuciła współpracę ze społeczeństwem. Podjęła za to niezdarne i ordynarne próby zantagonizowania różnych środowisk, warstw i klas. Nie przyniosły one niczego, prócz potwierdzenia tej prawdy, zgodnie z którą jedność jest już nie tylko patriotycznym obowiązkiem, ale po prostu prawem życia narodu polskiego, sposobem manifestacji jego woli ży- cia i metodą ratunku przed narodową klęską. Próby eliminacji, a w szczegól- ności wymuszenia emigracji najbardziej bezkompromisowych działaczy i twór- ców są wyrazem wciąż tej samej i wciąż bezwzględnej nadziei władzy na trwałe okaleczenie narodu, na ucięcie głowy tendencji wolnościowej. Taktyka ta oka- zuje się bezskuteczność w obliczu sytuacji, w której dzięki konsolidacji, spo- łeczestwo uzyskało zdolność wytwarzania wciąż nowych elit i zdolność natych- miastowego zastępowania jednostek pełniących w określonych sytuacjach ważne funkcje polityczne. Widać tu istotny sens znanego powiedzenia Przewodniczą- cego Związku: "Každy z was jest Wałęsa".

Trzeba też wspomnieć o ujednolicającym efekcie, jaki przynosi oddziały- wanie niezależnej kultury narodowej, która skoncentrowała się na uzasadnie- niu i apologetyce jedności, a w istocie jedności, jako alicie i omedze in- teresu narodowego. Programowa nieelitarność w połączeniu ze skupieniem się na przeszłości oraz podporządkowaniem się i służeniem solidarnościowej op- cji politycznej daje tej kulturze szczególną społeczną mocność. Ujednolice- nie w sferze świadomości i emocji jest jej jedynym celem.

Dzięki swej ujednolicającej funkcji "Solidarność" dopełniła /zupełnie swo- istego, bo osiągniętego bez pomocy lub nawet w opozycji do państwa/ dzieła wytwarzania się nowoczesnego narodu polskiego, jako w swej istocie narodu berklasowego, a więc takiego, którego wszyscy członkowie są na równi pod- miotami politycznymi - obywatelami. Całkowite ujednolicenie społeczeństwa daje więc w efekcie jego całkowite upolitycznienie. Dopiero tak upolitycz- nione społeczeństwo staje się zdolne do spontanicznego /nieorganizowanego przez wyspecjalizowane, elitarne struktury/ podjęcia hasła buntu, tego has- śła, które już w XIX wieku stanowiło projekcję wymarzonej jedności polskiej: "Hej, kto Polak na bagnety!". Tak oto naród polski uzyskał największe w his- torii napięcie mocy - z takim narodem /jak mówi Wałęsa/ wygralibyśmy każde z poprzednich powstań narodowych. Ale temu napięciu odpowiada największe w dotychczasowej historii skrupowanie, największy przymus geopolityki, najwię- ksze napięcie mocy przeciwstawnej i zniszczałającej. Sytuacja polska jest więc skrajnie ryzykowna. Stanowiąca nerw życia polskiego tendencja do buntu napo- tyka na martwą sytuację geopolityczną. I w tych zapasach życia ze śmier- cią życie nie może ani zwyciężyć, ani zrezygnować.

Zarówno wolę zmiany, jak i sytuację geopolityczną, która tę zmianę wyklu- cza - należy dziś traktować równie poważnie. Dlatego na razie niemożliwy jest żaden program, który by ich sprzeczność skutecznie i trwale rozwiązał. Nie- możliwy jest ani program "wybicia się na niepodległość", ani rezygnacja z niej. Możliwa jest tylko analiza zagrożeń, jakie niesie sytuacja. Tylko jas- na świadomość tych zagrożeń umożliwi codzienną pracę nad uchronieniem, utrzy- maniem i uprawą życia polskiego.

Bezpośrednie podstawowe zagrożenie bierze się oczywiście z możliwości ujawnienia się niekontrolowanej tendencji do podjęcia walki. Wobec powszechnego ujednoliconego upolitycznienia nie ma problemu z uzgodnieniem przeciwnika. Nie ma potrzeby i możliwości dyskusji na ten temat, ponieważ nie ma żadnych wątpliwości. Otwarta pozostaje natomiast kwestia okoliczności, w których od obecnego biernego oporu należy przejść do rewindykacyjnej aktywności. W obrębie tych okoliczności da się wyróżnić trzy zasadnicze składowe: wezwanie autorytetu patriotycznego, prowokację /która może być skutkiem wyczekiwania na nią/ oraz okazję zewnętrzną. Tym niemniej w sytuacji politycznego zawężenia społecznego pola widzenia, w sytuacji skupienia się na oczekiwaniu upragnionego "długiego skoku" - nieuchronne jest zniekształcenie perspektywy. I tak zewnętrzna /t.j. "geopolityczna"/ okazja do podjęcia walki o niepodległość może w tej perspektywie zostać wyolbrzymiona niepomiarnie do jej rzeczywistej wagi. Analogicznie hasło do buntu dać może czynnik przypadkowy, nieautorytatywny, czy wręcz w swym radykalizmie nieodpowiedzialny. Niekontrolowana tendencja do buntu powoduje bowiem zesłanie się prerogatyw przywódczych w stronę mało płodnego politycznego ekstremizmu. /Warto tu przypomnieć proces prowadzący do podjęcia decyzji o Powstaniu Warszawskim, kiedy to reprezentacja polityczna straciła kompetencje przywódcze na rzecz kierownictwa militarnego, a w nim szerzej myślicy sztabowcy - na rzecz oficerów - idealistów walki./

Poważniejsze wydają się jednak zagrożenia ogólniejszej natury, wynikające z gwałtownej społeczeństwa alienacji. Świadomość społeczna politycznie zawężona łatwo staje się bowiem świadomością wyalienowaną. To znaczy: miast być organem życia /rozpoznawania rzeczywistości/ żyjącego w oporze społeczeństwa, każe mu żywić się samą wolą oporu i zapomnieć o jego podstawowych funkcjach żywotnych. Miara postępowania takiej alienacji jest rozpowszechnianie się zasady "Im gorzej, tym lepiej".

Trzeba bowiem pamiętać, że ujednolicenie Polaków wspiera się również na negatywnych cechach osobistych i zbiorowych. Ich lista jest długa i ponura. Pojmamy tu tylko dla przykładu: alkoholizm i złodziejstwo, upadek etyki pracy i ogólny upadek moralności. Te negatywne cechy są do pewnego momentu ostrzeżeniem przed biernością i ostrogą do działania, ale ich dalszy rozwój może nas doprowadzić do sytuacji, w której będziemy mogli już tylko bezradnie wzdychać do niegdyśiejszej jednolitości, jednolitości pozytywnej, której sławę i chwałę stanowi wciąż "Solidarność". Sowietyzacja może nas zaszkodzić na pięć minut przed upragnionym zwycięstwem i odsunąć je na zawsze.

Tak więc ujednolicenie i upolitycznienie społeczeństwa polskiego może doprowadzić poprzez radykalne odcięcie tego społeczeństwa od zamykającej się w swym reakcjonizmie władzy do niebezpieczeństwa uznania przez obie strony zasady "Im gorzej, tym lepiej" za własną, to jest, za najskuteczniejszy dla własnych interesów sposób reagowania na rzeczywistość.

Oczywiście - przy zaniknięciu właściwego dla normalnego państwa systemu wielopiętrowych powiązań interesów - płaszczyzna niekonfliktowych relacji między władzą a społeczeństwem ulega znacznemu ograniczeniu. Tym niemniej płaszczyzna taka istnieje. Nazwalimy ją płaszczyzną minimum /warto tu pamiętać, że płaszczyzną taką zawsze wskazywał Kościół/. Wyznacza ją niewątpliwie sfera szeroko pojętej biologii narodu. Na poziomie tej sfery konflikt z władzą nie ma sensu. Nie leży więc - dla przykładu - w niczym interesie i dla nikogo nie jest "lepiej", żeby postępowała degradacja środowiska naturalnego, żeby związała się alkoholizm w hotelach robotniczych, czy też śmiertelność dzieci w polskich szpitalach. Istnieje sfera, w której obie strony konfliktu dostrzegają możliwość zysku i dlatego da się osiągnąć porozumienie co do tego, że zaniedbanie tej sfery nie przynosi zysku nikomu. Tak na przykład każde nowo rodzące się dziecko jest przez obie strony postrzegane jako szansa na wzmocnienie własnej siły. Rzecz można: podczas gdy społeczeństwo pragnie z młodego Polaka uczynić aktywistę "Solidarności", to władza usiłuje przysposobić go jako zomowca do swej własnej obrony. Dostrzegając więc istotny i nieusuwalny mechanizm konfliktu, trzeba zarazem zmusić się do wysiłku uznania sfer niekonfliktowych, poszerzenia ich i wykorzystania, a także ustalenia granicy, poza którą rozpoczyna się front odmowy. Ten ostatni nie może być celem samym w sobie i pretekstem dla kultuwowania formuły "Im gorzej, tym lepiej".



Postulowana tu postawa nie prowadzi wcale do osłabienia siły społeczeństwa uzyskanej dzięki ujednoczeniu, ani do pacyfikacji ruchu na rzecz narodowego i społecznego wyzwolenia. Postawa ta poddaje jedynie ten ruch wymogom twardego realizmu. Jeśli bowiem chcemy zachować zdolność do świadomego, kontrolowanego i odpowiedzialnego prowadzenia walki o społeczne i narodowe prawa, to opierać się musimy na tym, co nazwać można kondycją narodową, której utrzymanie wymaga codziennej aktywności podstawowej.

Dlatego walka, o której mówię, pozostaje wciąż walką pokojową. Doświadczenie najnowszej historii narodu wskazuje, że największe jej osłabienie stanowi powszechny consensus co do pokojowych metod walki. Dzięki jego wytworzeniu osiągnęliśmy zwycięstwo sierpniowe, a po 13 grudnia potrafiłszy nie ulec, zminimalizować koszt zmiany taktyki przez władzę, wyłączyć część jej agresywności i ograniczyć jej zdolność do zastosowania metod siłowych. Możliwa dzięki głębokiemu ujednoczeniu powszechna solidarność w zastosowaniu pokojowych metod walki, daje nam również na przyszłość gwarancję minimalizacji społecznych i indywidualnych kosztów będących skutkiem konieczności trwania w konflikcie.

W czasie Zjazdu "Solidarności" Lech Wałęsa wypowiedział sławne zdanie - program zwycięstwa: "Solidarność nie da się podzielić ani zniszczyć". Zdanie to stanowi wciąż samookreślenie całego ruchu. To, że nie damy się podzielić gwarantuje nam tendencja, którą nazwać można ujednoczeniem narodu polskiego. O to, żeby nie dać się zniszczyć, musimy zadbać przez pracę około płaszczyzny minimum.

K. M. W.

## Nowa racjonalność

Nowa racjonalność to nowa ocena sytuacji politycznej polski i - wobec tego - nowa sytuacja wyboru, w jakiej znajduje się dzisiaj jednostka interesująca się życiem publicznym i zamierzająca brać w nim udział. Zdławienie ruchu "Solidarności" i konsekwencje jego przegranej spowodowały zarówno ujawnienie nowych elementów polskiej sytuacji, jak i wydobycie czynników już dawno obecnych, ale nie w pełni widocznych lub nie w pełni uwzględnianych.

Można powiedzieć, że zakończył się okres powojenny. "Powojenny jest określeniem ważnym, ponieważ odwołuje się ono do sytuacji wyboru istniejących w okresie wojny, a zwłaszcza w jej ostatnich dwu latach 1944-1945. Co rozumieć należy przez zakończenie okresu powojennego?

Nierozumne są obecnie powojenne spekulacje polityczne oparte na tym, że Polska należała do obozu aliantów, w którego skład wchodził ZSRR, ale także Stany Zjednoczone i inne państwa zachodnie. Teza ta dzisiaj nie ma żadnego politycznego znaczenia, a liczenie na jakiegokolwiek zobowiązania ciążące z tego tytułu na państwach zachodnich jest całkowitą naiwnością.

Pozbawione uzasadnienia politycznego są również nadzieje na to, że gospodarcze, ideowe lub moralne przewagi państw zachodnich doprowadzą do systemowych zmian w obozie socjalistycznym. Przewagi te mogą mieć wpływ na ograniczoną skalę, ale teorie konwergencji, infiltracji itp. żadnych istotnych politycznych skutków nie będą miały.

Nierozumne wreszcie jest uważanie czynnika rządzącego w Polsce za element obcy. Bez względu na to jak doszło do przejęcia władzy w Polsce, po czter-

dziesięciu latach sprawowania, siły jej nie tylko okrzepły, ale jej faktyczna obecność na wszystkich poziomach, we wszystkich grupach i warstwach społecznych sprawia, że jest to władza faktycznie stanowiąca o losach polskiego państwa. Czterdzieści lat żadną miarą nie może być uważane za okres przejściowy.

Z powyższego wynika, że postawy jednostek świadomie lub odruchowo odwołujących się do tych błędnych lub już dzisiaj nieaktualnych stwierdzeń, są postawami anachronicznymi. Należy jednak sądzić, że takie anachroniczne poglądy stanowią często szkielet wielu obecnie wciąż istniejących postaw ludzkich. W latach 1944-1945 ujawniły się trzy zasadnicze postawy jednostek angażujących się na różne sposoby w życie publiczne.

Postawa zdecydowanego antykomunizmu: to postawa jest zniewolone /okupowane/, ta władza nie jest nasza. Konflikt między demokracją a totalitaryzmem - konflikt na skalę światową, jest nieunikniony, a wobec tego naszym zadaniem jest walczyć bądź czołnym czołkiem.

Postawa przeciwna: mamy mimo wszystko polskie państwo. W powojennym składzie sił jest to maksimum tego, co możliwe, należy więc zdecydowanie stać po stronie czynnika rządzącego, bez względu na to czy się jest, czy nie jest komunistą. Każde inne zachowanie grozi tylko zmniejszeniem tej suwerenności, jaką posiadamy w wyniku Jałty i Poczdamu.

Postawa - jak można sądzić - najczęstsza, chociaż politycznie najmniej wyraźna: jest jak jest, ale w systemie politycznym istnieje wiele niesprawności. Należy go poprawić, czy to od wewnątrz, przez zmiany ideologii i wywieranie wpływu na demokratyzację partii, czy to od zewnątrz przez presję w imieniu dobra państwa wywieraną przez grupy katolickie, intelektualne itp. Ten system można w rezultacie presji poprawić, a presja może mieć charakter słowny, natomiast rewolucyjna presja może grozić utratą swobód uzyskiwanych w politycznych kuluarach. Próby tych drobnych korektur podejmowano bez politycznego kompromisu i politycznych gwarancji.

Fakt, że wszystkie te trzy postawy /i rozmaite ich warianty/ uważa za anachroniczne, nie znaczy, że nie było w żadnej z nich elementów słusznego lub ważnych. Antykomunizm nie może być dzisiaj uważany za wystarczającą reakcję polityczną, ale dla niekomunistów istnieje problem sporu ideowego i moralnego. Wiara i przeświadczenia "rewolucjonistów" i "neopopulistów" nie były w swoim czasie bezzasadne - "stara" racjonalność odegrała swoją ważną rolę. Przede wszystkim była to funkcja obronna w odniesieniu do tożsamości narodowej, a ponadto pobudzenia społecznej aktywności, co okazało się tak istotne w roku 1980. Po okresie "Solidarności" i po okresie stanu wojennego widać, w moim przekonaniu, wyraźne wyczerpanie tych postępowych czy ofensywnych treści "starej" racjonalności. Pozostała bowiem zasadniczo odwieczna sytuacja polityczna. Wiadomo już, że ani prasa masowego ruchu społecznego, ani ugodowa gra prowadzona wewnątrz obywateli nie doprowadzą do pożądanego zmian. Wiadomo też, że czynnik rządzący jest silny mimo braku sześciopoparcia społecznego i że może sprawnie skutecznie władzę /czy raczej utrzymywać się przy niej/ mimo braku tego poparcia. Wprowadzając znaczenie należy powiedzieć, że opozycyjne wystąpienie poważnej części /być może większości/ społeczeństwa, nie znajduje w obecnej sytuacji żadnego racjonalnego przedłożenia politycznego. Kto uważa, że zasadnicze elementy obecnego układu geopolitycznego są względnie trwałe, ten musi się bronić takiej politycznej wykładni nastawienia społecznego posiadającego niepokoić. Bo z samego faktu współistnienia i współdziałania fizycznego na tej samej ziemi wynika nieuchronnie konieczność kompromisu: Kompromis ten będzie powstał przypadkowo, "miękką", tak jak życie będzie do tego muszało, ale mimo zdaniem powinen to jednak być kompromis "twardy", świadomy. Nowa racjonalność wyraża się w poszukiwaniu formuł dla takiego świadomego kompromisu zawierającego między reprezentującymi różnicowane interesy opozycyjnymi grupami społecznymi, a czynnikami rządzącymi, który na swoje realne interesy. Wszystkie strony muszą jednak podporządkować się nacelnym interesom państwa. Należy więc mówić o kompromisie między "państwową" opozycją, a "państwową" władzą. Poza dobrać wolę i rozumienie interesu państwa przez czynnik rządzący - na co wpływu nie mamy - niezbędne jest jasne i bezpośrednio polityczne sformułowanie

nowych reguł kompromisu. Bowiem cały zespół postaw, od quasi wallenrodycznych po idealistyczno-moralistyczne nie ma już sensu ściśle politycznego. O innych możliwych i nawet pozytywnych skutkach tych postaw tu nie mówimy.

Natychmiast pojawia się pytanie: czy taki kompromis "twardy" i poważny, to znaczy poważnie przekraczający podział na władzę i społeczeństwo, kompromis z odwołujący się do płaszczyzny minimum interesu państwowego, jest w ogóle możliwy? Odpowiedź brzmi: nie wiadomo. Innej jednak racjonalnej politycznej postawy nie ma. Istnieją ponadto racje, dla których wydaje się on real-

Zauważyć można po pierwsze osłabienie przymusu ideologicznego wewnątrz aparatu władzy, jak i od zewnątrz. Zasadniczy spór o pewne rzeczy jest już dzisiaj nonsensowny /państwowa własność wielkiego przemysłu z jednej, prywatna własność w rolnictwie z drugiej strony, coraz powszechniejsze przekonanie o tym, że gospodarka musi się opierać na zysku i rynku/. A równocześnie, po czterdziestu latach walki o dusze Polaków, te dusze są przede wszystkim polskie i to sprawia, że polskość, interes państwa polskiego, stanowi rację, która jest do przyjęcia dla wszystkich.

Po drugie okres "Solidarności" i jej zdławienie, ła olbrzymiej większości Polaków, przekreśliły nadzieję na to, że rewolta doprowadzi w sposób celowy o pożądanym zmian. Jakież formy strajków czy buntów będą się na pewno zdarzały, ale mogą one stanowić tylko tło dla zmian stopniowo, racjonalnie i w ramach formuły "twardego" kompromisu przygotowywanych. Innymi słowy: Polacy, którzy mają temperament polityczny, znaleźli się w sytuacji, w której nie mogą żywić już dawnych, początkowo racjonalnych, później złudnych nadziei. Pozbycie się złudzeń doprowadziło wprawdzie do obecnego kryzysu psycho-społecznego, ale daje ono szansę na wypracowanie nowej racjonalności.

Nowa racjonalność, nowe umotywowanie udziału w życiu publicznym, opiera się na przekonaniu, że to państwo jest nasze i że interes tego państwa jest nadrzędny w stosunku do interesów wszystkich sił społecznych, łącznie z czynnikiem rządzącym. Kto nie podziela takiego przeświadczenia, ten oczywiście nie zgodzi się z przedstawioną koncepcją. Przeświadczenie to jednak ulega zasadniczemu wzmocnieniu wobec kryzysu cywilizacyjnego, w jakim znajduje się nasz kraj.

Nowa racjonalność wynika z sytuacji wyboru określonej przez warunki zewnętrzne i wewnętrzne, nasze możliwości oraz stan świadomości społeczno-narodowej. Dopóki nie możemy - a tak jest dzisiaj - zmienić warunków zewnętrznych i wewnętrznych, możemy przygotować się do zmiany formułując zasady "twardego" kompromisu i w ten sposób, za pośrednictwem środków opiniotwórczych wpływać na stan świadomości społecznej.

Nowa racjonalność - to uznanie, że nasze wybory mają sens tylko wobec problematyki związanej z interesem naszego państwa. że wszystko czego da się dokonać, można zrobić tylko w strukturach tego państwa; że jednocześnie istnieje wielka ilość ludzi, którzy są gotowi przyjąć zasadę "twardego" kompromisu, jeżeli będzie to naprawdę w interesie państwa. Nowa racjonalność to kierunek na podjęcie przez rozliczne siły społeczne odpowiedzialności za państwo, wbrew mimo czy, w miarę możliwości, przy istnieniu dobrej woli z tamtej strony. Wbrew można prowadzić tylko działalność programową i spekulacje na poziomie myśli politycznej; mimo można uczestniczyć w rozmaitych, na dużą skalę zakrojonych projektach społecznych - wspólnie - na zasadzie "twardego", politycznie gwarantowanego kompromisu - można doprowadzić do zmian bardzo istotnych.

Nowa racjonalność to nie front odmowy, to nie historyczoficzny antykomunizm, to nie sentymentalno-wspominkowy patriotyzm, to nie moralistyczne rozliczenia z przeszłości i teraźniejszość, to nie rachuby na wielki wstrząs - to wzięcie odpowiedzialności za interes państwa, narażenie w takiej formie, w jakiej jest to możliwe. Nowa racjonalność polega więc na tym, że do czynników rządzących odnosi się poprzez interes państwa. że jest to podstawowe kryterium oceny jego postępowania i oceny ewentualnej z nim współpracy, porozumienia, ugody zawieranej przez poszczególne jednostki i grupy społeczne.

# Przełamać blokadę

Co należy zrobić, aby nie doszło do rozproszenia nagromadzonego w ostatnich latach potencjału społecznego? W jaki sposób powinien on być efektywnie wykorzystywany? I wreszcie, czy odpowiedź na pytanie o polityczną strategię jest możliwa wobec tylu niewiadomych z jednej strony, zaś poważnego dystansu między aspiracjami a możliwościami ich realizacji - z drugiej?

Wielkie wydarzenia społeczne, którym towarzyszy szczególnie napięcie emocji i nadziei, odciskają się w społecznej świadomości również w postaci schematów politycznego myślenia. Dzieje się tak zwłaszcza wtedy, kiedy poprzedzał je długotrwały okres marazmu i politycznego bezwładu. Schematy te, które mogą coraz bardziej rozmiąć się z rzeczywistością, będą sprzyjały kształtowaniu postaw, jakie mimo spektakularnej dynamiki i fundamentalistycznej jednorodności, staną się formą bezkonceptyjnego trwania na pozycjach coraz bardziej zredukowanych przez działanie siły, która przy wszystkich błędach i absurdach ma polityczną inicjatywę, to znaczy czynnika rządzącego.

Nie jest łatwe uchwycenie momentu, w którym określony system politycznych odruchów przestaje służyć konstruktywnemu, skutecznemu działaniu. Jeżeli się tego momentu nie uchwyci na czas, powstaje niebezpieczeństwo obracania się w sferze apriorycznych sądów i formuł, zastępujących rzetelną analizę zmieniającej się przecież materii życia społeczno-politycznego - formuł zmieniających stan faktycznej inercji politycznej. Jest to szczególnie ważne dziś, kiedy układ sił politycznych jest inny niż przed sierpniem 1980, a także inny niż w czasie posierpniowych 16-tu miesięcy.

Po sierpniu gładzszaltowane przez wiele lat społeczeństwo polskie, na zamianie się systemu politycznego i gospodarki, zareagowało w sposób hegemoniczny. Ta zastanawiająca jednolitość jest niewątpliwie wielkim i ważnym doświadczeniem. Jest także dorobkiem. Należy jednak pamiętać, że wspólny protest i wspólne nadzieje, wspólna sytuacja /jej wymiar zaskoczył przecież wszystkich/ przestoniły pluralizm postaw politycznych, który mógł się zresztą zacząć na dobre kształtować dopiero na skutek sytuacji posierpniowej. Wielka i prawie niekontrolowana siła polityczna, jaką w tamtym czasie stała się "Solidarność", została ujęta w strukturę typu sztabowo-frontowego, co było zrozumiałe, a może nawet konieczne ze względu na doświadczenia wszystkich poprzednich wstrząsów, ale jednocześnie współokreślało to logikę wydarzeń.

Niezależnie od tego, jakie motywy złożyły się na protest sierpniowy - a były one zapewne różnorodne - w sumie spowodowały one ogromne przyspieszenie dojrzewania świadomości narodowej i obywatelskiej. Efekty tego mają charakter trwały między innymi dlatego, iż w związku z kryzysem ideologicznym realnego socjalizmu, trudno sobie wyobrazić działania skutecznie redukujące społeczną świadomość do stanu poprzedniego. Jednakże nie można zapominać o tym, że w przypadku długotrwałego braku konstruktywnych strategii politycznych może ona podlegać wpływowi zmęczenia i zniechęcenia z jednej strony, zaś irracjonalizacji - z drugiej.

Ciągle jeszcze - z dość oczywistych względów - uwikłani jesteśmy w działania i myślenie, które mają przede wszystkim charakter reakcji, są więc politycznie defensywne. Taki stan nie może i nie powinien trwać długo. Różnorodność grup społeczne nie mogą, poza momentami szczególnego napięcia i szczególnego poruszenia, szamotać się między reakcjami doraźnymi i nieczytelnymi z punktu

widzenia długofalowej perspektywy. Podczas zaborów, wobec braku własnego państwa, sytuacja była znacznie bardziej klarowna, a i tak ludzie musieli żyć i pracować "normalnie". Dziś, gdy istnieje państwo polskie, ten życiowy imperatyw "normalności", sprzężony z dojrzałością społecznych i obywatelskich aspiracji, musi uwzględniać właśnie fakt istnienia państwa.

Wyłaje się, że koncepcje, które nie przyjmują faktu istnienia państwa - bądź to państwo biorą w nawias - prędzej czy później narażone są na polityczną jałowość i przegraną. To prawda, że rewindykacje społeczne dokonywały się w opozycji do wielu działań państwa głęboko zakorzenionych w jego wadliwej strukturze. Ale jednocześnie dokonywały się w ramach tego państwa i byłoby intelektualnym oraz politycznym błędem twierdzenie, że to państwo nie pełniło obiektywnie funkcji ochronnej w stosunku do narodotwórczego procesu. I spełnia ją nadal - z całą swoją anachronicznością.

Teza powyższa pociąga za sobą poważne konsekwencje, przede wszystkim jeśli chodzi o stosunek do państwa. W jej świetle chodziłoby nie o odrzucenie państwa i zastąpienie go innym /powstaje pytanie - jakim, w ramach istniejących realiów geopolitycznych/, lecz o jego rewindykację i przekształcenie. Czy jest to możliwe? W tym miejscu należałoby zastanowić się, czy i na ile w ciągu całego czterdziestolecia, a zwłaszcza ostatnich czterech lat, następowaty zmiany w sposobie politycznego funkcjonowania i legitymizacji państwa.

Błędem byłoby niedostrzeżenie bardzo poważnych zmian w tym zakresie. Idzie zwłaszcza o to, że w wyniku powstania "Solidarności", ale również ogłoszenia stanu wojennego, przekreślony został system legitymizacji oparty o działania partii i, służebny interesom aparatu, system uzasadnień ideologicznych. Wydaje się, że niezależnie od deklarowanych ideologicznych intencji jest to przesunięcie trwałe. Mamy wobec tego do czynienia z sytuacją niecodzienną. Państwo będące trwałym faktem na mapie świata /czego również w żadnej mierze nie należy lekceważyć/ zostało pozbawione mechanizmów pośredniczących. Mechanizmy pośredniczące, jakie istniały w Polsce lat 50tych, 60tych i 70tych, "nie były oczywiście mechanizmami o charakterze demokratycznym. W lepszych okresach umożliwiły jednak działanie dla dobra ogółu; umożliwiały choćby ułożoną transmisję informacji między różnymi grupami społecznymi a czynnikiem rządzącym.

Obecnie brak takich mechanizmów jest dobrze widoczny także w świadomości społecznej. Ludzie dystansują się od bieżącej działalności państwa, ale nie są też skłonni do frontalnej z nim konfrontacji. Jak długo może trwać stan, w którym władza nie może odoobywatelić społeczeństwa a społeczeństwo uobywatelić państwa? Jak długo i z jakimi skutkami? Potrzeby polityczne będą torowały sobie drogę niezależnie od resentymentów obu stron.

Nie jest, w moim przekonaniu, do utrzymania na dłuższą metę /i już dziś zresztą pęką/ układ dwubiegunowy. Przede wszystkim dlatego, że odnosząc się do nowej sytuacji świadomość społeczna będzie poszukiwała konstruktywnych i jednocześnie niezależnych sposobów wpływu na rzeczywistość polityczną. A to - przy założeniu trwałości państwa - zakłada kontakt z tym państwem legitymizujący je na nową, choć na pewno niewystarczająco szerokiej, z punktu widzenia rozbudzonych cztery lata temu nadziei, płaszczyźnie. Jestem przekonany, że muszą powstać polityczne formuły udziału w życiu państwa, chroniących jednocześnie niezależność podmiotów podejmujących taką próbę. Potencjał społeczno-obywatelski jest na to wystarczająco duży. Wymaga to jednak odwagi i przełamania błędnego koła uwikłań psychologicznych i prestiżowych.

Na tym tle powstaje po pierwsze pytanie: jakie są rzeczywiste społeczne oczekiwania i jak będzie przebiegać ich ewolucja; po drugie: czy warstwa rządząca jest zdolna do takiej redefinicji swoich interesów, by nauczyć się koegzystować z krymś, co można nazwać opozycją stojącą na gruncie interesu państwowego; po trzecie: czy układ międzynarodowy może stwarzać wystarczające po temu możliwości?

Spoleczeństwo polskie jest nieufne i oczekujące. Nie zrezygnuje i nie może zrezygnować z osiągniętego poczucia podmiotowości, ale jednocześnie daje się zauważyć głód koncepcji konstruktywnych i niechęć do poczynania o posmaku radykalnym. Stwierdzenie dojrzałości społeczeństwa zakłada postępującą nieuchronnie pluralizację polityczną w poszukiwaniu dróg do realizacji tej dojrzałości w praktyce. W dłuższym okresie dotyczy to również samego czynnika rządzącego, który przez kryzys metod i struktur rządzenia oraz osłabienie czynnika ideologiczno-integrującego, będzie również podlegał procesom różnicującym.

Byłoby jednak naiwnością mniemać, że czynnik rządzący, w istniejącej sytuacji politycznej, bez presji umożliwi wyłanianie się autentycznych partnerów. Jest rzeczą charakterystyczną, że w opiniach wielu ludzi, składających realistycznie myślących i poważnie zatroskanych istniejącym patem, pojawia się swaista sprzeczność: z jednej strony oczywista i zrozumiała nieufność i odrzucenie fasadowych form narzucanych przez czynnik rządzący, z drugiej, uzależnienie od jego poczynań sensowności wszystkich pozytywnych inicjatyw politycznych. Czynnik rządzący zaś nie podejmuje dialogu między innymi dlatego, iż przypuszcza, że polityczne usankcjonowanie któregoś z potencjalnych partnerów oznaczać może groźbę odtworzenia układu sprzed 13 grudnia. Mamy więc do czynienia z obustronną blokadą, trudną do przełamania i będącą jednym z podstawowych elementów utrudniających wyjście z sytuacji narodowego zagrożenia. Nie pojawiły się jak dotąd wystarczająco nośne i społecznie wiarygodne koncepcje polityczne, nakierowane na suwerenne współdziałanie w imię interesu państwa, ze wszystkimi, którzy uznanie interesu państwa deklarują - a więc ewentualnie i z czynnikiem rządzącym.

Nie można mówić o podmiotowej strategii społecznej uznającej interes państwa jako nadrzędny, bez uwzględnienia sytuacji międzynarodowej. Jest to ważne również dlatego, że sprawą niecierpiącą zwłoki jest przeciwdziałanie międzynarodowej instrumentalizacji problemu polskiego. Społeczeństwo ma po raz pierwszy w takiej skali możliwość wpływu na sposób traktowania przez wielkich tego świata sprawy polskiej.

Trudno przewidywać rozwój sytuacji międzynarodowej i jego konsekwencje dla Polski. Można jednak z dużą dozą prawdopodobieństwa przyjąć, że prędzej czy później dojdzie /być może przy pewnej zmianie proporcji sił/ do międzynarodowego odprężenia. Polska istnieje i w dającym się przewidzieć czasie będzie istniała w obszarze strategicznych interesów ZSRR - w centrum Układu Warszawskiego. Nie oznacza to jednak, że w ramach względnie stabilnego układu sił w świecie nie mamy potencjalnie swobody manewru.

Przeświadczenie o tragiczności społeczeństwa polskiego, zgoda na tezę, że jest to społeczeństwo szamoczące się między martwością sytuacji geopolitycznej a dojmującą potrzebą zmiany, że jest to społeczeństwo "zdradzone przez historię", skazuje w gruncie rzeczy na bezradne oczekiwanie. To zaś oznacza, że będziemy nieuchronnie przez rozwój sytuacji zaskakiwani. To co się dzieje aktualnie z problemem niemieckim jest tego dobitnym przykładem, ale stanowi jednocześnie zaprzeczenie tezy o martwość sytuacji geopolitycznej. Nowa sytuacja może zadziać na naszą korzyść bądź niekorzyść. Przesądzi o tym wartość partnera dla Rosji.

Ze wszystkich tych względów musimy zabiegać o stworzenie mechanizmów pośredniczących, ale nie między - jak to się nieufnie mówi - "społeczeństwem" i "władzą", lecz między interesami różnych grup społecznych /w tym czynnika rządzącego a interesem polskiego państwa. Musimy przełamać blokadę.

P. H.

## Opozycja jako „sumienie państwowe”

W okresie postalinowskim dostrzec można w historii PRL cztery strategie polityczne, które za cel stawiały sobie istotne zmiany porządku politycznego

w naszym kraju. Sukcesy a częściej porażki każdej z nich przypadały w różnych okresach - ich istnienie było jednak ciągią manifestacją politycznej opozycji w Polsce Ludowej. Rzadko kiedy te opozycyjne strategie uzyskiwały wyraźną artykulację w konkretnych programach politycznych. Jednak mimo braku otwartych deklaracji można zauważyć ich obecność w działalności różnych osób i grup w różnych momentach naszej najnowszej historii.

Pierwsza z tych strategii oparta była na założeniu, że możliwe są w Polsce demokratyczne przemiany poprzez wewnętrzną reformę samej elity władzy. Jej zwolennicy przyjmowali z dobrą wolą, czy też z konieczności, całe ideologiczne zaplecze istniejącego systemu politycznego, bowiem jego przyjęcie uważali za warunek - konieczny, ale i wystarczający - włączenia się do systemu i oddziaływanie nań. Okazało się jednak, i to wielokrotnie, że jest to siła niewystarczająca, że system polityczny jest niezwykle bezwładny, że zmiany na szczyście hierarchii politycznej nie muszą prowadzić do zmian w całym aparacie władzy, nie mówiąc już o demokratycznych zmianach w państwie, i jeśli nawet do nich doprowadzi, to i tak decydującą rolę odgrywa czynnik geopolityczny. Okazało się także, że argumenty ideologiczne, niezbyt w gruncie rzeczy popularne w społeczeństwie, w rękach zwolenników tej strategii byłyby ich słabością - te same argumenty w rękach władzy państwowej były polityczną siłą. Ta strategia przegrywała w Polsce zawsze w taki sam sposób i z tych samych powodów już kilkakrotnie.

Drugiej towarzyszyło przekonanie, że można abstrahować od ideologicznego szafazu istniejącej w Polsce władzy i za jej przyzwoleniem - godząc się na pewne kompromisy polityczne - budować oddolnie we wszystkich dziedzinach życia /także politycznego/ porządek inny, niż ten, który proponowali komuniści - a jeżeli by się to nie udało, to przynajmniej stawiać opór narzucanym zmianom i ocalać to, co da się ocalić. Zwolennikom tej strategii tylko to ostatnie udawało się czasami realizować. Okazało się bowiem, że przyzwolenie ma zakres bardzo ograniczony, a z pewnością nie obejmuje spraw strictly politycznych, że jego granice są całkowicie uzależnione od zmieniających się decyzji czynnika rządzącego, że ideologia jest silnie związana z istniejącym systemem politycznym i w związku z tym cena koniecznych kompromisów jest zbyt wysoka, że wreszcie żmudne wysiłki oddolnej pracy w dowolnej dziedzinie życia społecznego mogą w każdej chwili zostać zdmuchnięte jednym bezsensownym pociągnięciem władz administracyjnych. Strategia ta z góry więc była skazana na przegraną w swym programie "pozytywnym", choć okazała się niezwykle silna i skuteczna w defensywie. Jej podstawowy błąd to opisanie swych zamierzeń na przyzwoleniu czynnika rządzącego, które likwidowało a priori możliwość ofensywności i skazywało na bardzo niebezpieczny typ "wchłaniającego uzależnienia". Bowiem każdy z kompromisów politycznych uwikłany był w ideologiczno-ideowe ustępstwa, a to stanowiło ciągią groźbę zatracenia własnej tożsamości politycznej i w konsekwencji "wchłonięcia" przez istniejący system, co często miało miejsce.

Trzecia strategia polegała na całkowitym braku akceptacji istniejącej rzeczywistości politycznej i deklarowała walkę o odzyskanie suwerenności Polaków w sferze duchowej i ich prawo do niepodległej polityki i państwowości. Zakładała ona istnienie narodowej przestrzeni duchowej wzmocniającej tkankę osobistego suwerenności i atomizowanego społeczeństwa, która jest sferą chronioną i czystą; jest formą, w której polityka i państwo mogą zostać orestaurowane; a na dziś jest znakomitą odtrutką na komunistyczne jady. Celem tej strategii miała być pełna niepodległość państwa polskiego, w którym mogłyby się realizować suwerenność społeczeństwa-narodu. Nie precyzowano wszakże, w jaki sposób owa niepodległość miałaby zostać osiągnięta. Trudno mówić o sukcesach i porażkach tej strategii, bowiem nie są one jednoznaczne. Z jednej strony odwoływanie się do więzi narodowej trafiało łatwo do wyobraźni Polaków i zyskiwało duży rezonans, z drugiej owa więź, która miała stać się zasadą życia społecznego i twierdziła broniącą przed infiltracją komunizmu, dawała się formułować jedynie w sposób opisowy, wieloznaczny, nieprecyzyjny, często odwołujący się do symboliki, rytuałów, narodowych emocji. To i kolei łatwo prowadziło do utrwalenia w myśleniu politycznym anachronicznego, bogoojczyźnianego stereotypu, skąd tylko krok do ksenofobii i szowinizmu, a także, specyficznego umoralnienia polityki przez jej podporządkowanie idei narodowej. Trudno także mówić o sukcesach tej strategii z punktu widzenia jej celu głównego, jakim była niepodległość, tak jak w ogóle trudno jest mówić o czymś, co jeszcze nie

zostało zrealizowane. Jedno wszakże jest pewne: maksymalizm niepodległościowo paraliżował jakąkolwiek myśl o działaniu innym niż protest i sprzeciw w bliższej, dającej się przewidzieć perspektywie politycznej, bowiem absolutyzując zło, które niosła rzeczywistość Polski Ludowej, spychał całe pozytywne myślenie i działania polityczne do bliżej nieokreślonej przyszłości.

Czwarta strategia także odrzucała akceptację istniejącego systemu politycznego. Zakładała wypieranie wpływów państwa komunistycznego z różnych dziedzin życia społecznego drogą oddolnego samoorganizowania się społeczeństwa. Rozłożone na lata, stopniowe tworzenie nowych struktur samorządowych miało oswajać czynnik rządzący z konsekwencjami ich istnienia, a w rezultacie oddolnie, pokojowo, sukcesywnie przeobrażać system polityczny. Ta strategia, jak wiemy, była niesłychanie skuteczna i dlatego tak dotkliwie odebrano jej porażkę. Zmiany wywołane jej stosowaniem okazały się za szybkie, a siła pokojowo samorganizującego się społeczeństwa zbyt słaba w bezpośredniej konfrontacji z siłą wspieranego przez swych sojuszników państwa.

Każda z tych strategii opierała się na pewnej racjonalności, pewnych politycznych nadziejach, oczekiwaniach, na pewnej politycznej wyobraźni charakterystycznych dla swojego czasu. Doświadczenia porażek uczyły i stwarzały punkt wyjścia dla nowych racji, oczekiwań, pomysłów. Dzisiaj możemy powiedzieć, że okres powojenny, którego dziedzictwem są także owe strategie, należy uznać za skończony. Szesnastomiesięczna rewolucji "Solidarności" zmieniła w sposób istotny sytuację w naszym kraju, a zatem strategia opozycyjna musi także ulec istotnym zmianom.

Dwa są istotne elementy dzisiejszej sytuacji porewolucyjnej, które decydują o nowej jakości tej sytuacji: po pierwsze pewne odejście od ideologii marksistowskiej jako oficjalnej ideologii czynnika rządzącego i wyraźna dominacja ideologii państwowej, i po drugie istnienie politycznych sił różnych niezależnych środowisk mających swe oparcie w opozycyjnie nastawionym społeczeństwie.

Wydaje się, że te dwa czynniki powinny stać się punktem wyjścia do nowej strategii opozycyjnej w dzisiejszej Polsce, strategii polegającej na przejściu od odpowiedzialności za los państwa. Przedtem jednak kilka ustaleń co do spraw podstawowych.

Po pierwsze więc należy zgodzić się z faktem, że w realnej perspektywie politycznej ani sytuacja geopolityczna ani charakter władzy w Polsce nie ulegnie istotnym zmianom /jeśli tak się stanie to niniejsze rozważania będą po prostu nieaktualne/. Po drugie, trzeba założyć, że niepodległość i suwerenność nie są pojęciami absolutnymi /słowem, że możemy mieć do czynienia z różnymi stopniami ograniczenia niepodległości państwowej i suwerenności społecznej/; oraz że pojęcia te są rozłączne, tzn. że ograniczeniu niepodległości spowodowanemu względami natury geopolitycznej nie muszą /choć oczywiście mogą/ towarzyszyć ograniczenia suwerenności społecznej. Po trzecie, trzeba przyjąć do wiadomości fakt, że skuteczne działania opozycyjne mogą mieć wyłącznie charakter pokojowy, a jedyną siłą opozycji jest w istniejących warunkach siła presji różnych grup, środowisk etc. I po czwarte, trzeba zgodzić się z tezą, że interes państwowy nie jest tożsamy z interesem warstwy rządzącej.

Przyjęcie tych założeń pozwala na serio myśleć o strategii otwarcie politycznej i państwowej. Przemawia za nią co najmniej kilka merytorycznych argumentów.

Sprawa zasadnicza to tragiczna sytuacja Polski, o której pisaliśmy w naszych "Wystąpieniach". Tu nie chodzi tylko o kryzys ekonomiczny, o fatalną sytuację międzynarodową, w jakiej się znajdujemy, czy o wewnętrzne skłócenie - tu chodzi o anachroniczność świata, w którym żyjemy, anachroniczność struktur państwowych metod zarządzania, ale także anachroniczność tendencji rewindykacyjnych, wręcz anachroniczność wyobraźni cywilizacyjnej, które nie tylko spychają nas na peryferie polityczne i cywilizacyjne już nie Europy, ale świata, ale przede wszystkim paraliżują jakąkolwiek możliwość reform.

Ponadto należy podkreślić, że bez względu na rodzaj intencji, deklaracje czynnika rządzącego mają wyraźny charakter propaństwowy i zdecydowanie górują nad opoją ideologiczną. Tu może zatem istnieć przynajmniej deklarowana płaszczyzna wspólnych interesów. Tu znajdować się może punkt wyjścia dla konstruktywnej wymiany zdań i poglądów.

Jak by to było możliwe?

Trzeba podjąć pewien trud intelektualny i dokonać rzetelnej analizy stanu państwa. Takiego, jakie jest w tej chwili. W każdej z jego podstawowych dzie-



dzin. Należy dokonać analizy stanu gospodarki, prawodawstwa, oświaty, kultury etc. Ale analizy z punktu widzenia interesów państwa, a nie z punktu widzenia bliżej nieokreślonego "interesu społecznego" czy moralnych ocen działalności władzy. Interes państwowy winien być nadrzędnym kryterium ocen faktów, działań i wywoływanych przez nie skutków. Na podstawie tych analiz i kierując się jedynie kryterium nowoczesnej państwowości należy formułować i przedstawiać różne możliwości rozwiązań, stwarzając tym samym intelektualną i wspartą konkretnymi argumentami konkurencję dla propozycji, bądź też braku propozycji, czynnika rządzącego. Ale to nie wszystko. Mając takie analizy i propozycje, mając także konstruktywne argumenty należy wszelkimi dostępnymi sposobami, wypracowanymi w trakcie wieloletniej praktyki opozycyjnej, wywierać zdecydowaną presję na czynnik rządzący, aby te propozycje były realizowane.

Opozycja winna więc stworzyć sumienie państwowe. I jeśli nawet nie miałyby wpływu na decyzje w poszczególnych sprawach dotyczących rozwoju kraju, to przedstawiałyby ciągle konstruktywną, choć opozycyjną, propozycję, dzięki czemu stwarzałyby szansę na dialog pośredni. Dialog, podczas którego nie trzeba by było ścisnąć sobie nawzajem rąk i siadać do wspólnego stołu, gdzie leżałyby już Traktat Wielkiego Pojednania Politycznego - bo dzisiaj jest to niemożliwe. Ów dialog mógłby się toczyć bez przerwy i na wielu płaszczyznach, ale - podkreślić to należy wyraźnie - byłby to polityczny dialog między czynnikiem rządzącym a opozycją, który różniłby się nie z jednostronnego przyzwolenia, ale pod obustronnym przymusem. Z jednej strony czynnik rządzący byłby zmuszony do optymalizacji własnych pomysłów i działań przez konstruktywną argumentację propaństwową wspartą różnego rodzaju naciskami poszczególnych grup społecznych. Z drugiej strony modelowałoby to także stronę opozycyjną, bowiem kryterium państwowości jako główny problem sensowności działań politycznych i administracyjnych zmuszałoby czasami do - niezależnej co prawda - ale akceptacji niektórych działań czynnika rządzącego. I w tym właśnie zawierałaby się istota dialogu pośredniego.

Poza korzyściami dla państwa, które mogłyby płynąć z takiego dialogu, można też mówić o rysujących się korzyściach dla każdej z uczestniczących w nim stron. Oto z jednej strony można by było tworzyć niezależne środowiska ludzi myślących w kategoriach nowoczesnego państwa i społeczeństwa, stwarzać forum dla krystalizacji poglądów przeciwstawiających się anachronizmowi świata, w którym przyszło nam żyć, organizować ów "parlament nowoczesności", o którym pisaliśmy w jednym z naszych "Wystąpień". Z drugiej natomiast strony podjęcie tego dialogu mogłoby stanowić gwarancję procesu "upodmiotowienia" czynnika rządzącego, pewną formę jego społecznej legitymizacji.

D. K.

## Kultura uspołeczniona

Tekst niniejszy stanowi próbę rozważań o programie minimum w kulturze, programie możliwym w obecnej sytuacji oraz zgodnym z podstawowymi założeniami Grupy Publicystów Politycznych, z którą autor czuje się związany w zakresie politycznego myślenia. Jest to wypowiedź w pełni autorska. Zachowuję sobie prawo do osobistego spojrzenia na poruszane zagadnienia, a w szczególności do

wyciągania własnych wniosków szczegółowych z ustaleń podstawowych dla całej grupy.

Skrótowość wypowiedzi zmusza do zasygnalizowania tylko problemu, a jest to tym bardziej niekorzystne, że chcę mówić o materii tak wieloznacznej i zarazem tak delikatnej jak kultura. Trzeba więc odróżnić pojęcia, którymi będę się posługiwał, a mianowicie: kultura w szerokim rozumieniu tego słowa, kultura symboliczna /czy artystyczna/, proces kulturowy, wreszcie polityka kulturalna. Uwagi moje dotyczą co prawda tylko głównej roli, jaką pełnią elity opinotwórcze /artyści i naukowcy/ w wypracowaniu płaszczyznymimum. Stale jednak należy pamiętać o szerokim rozumieniu kultury narodowej jako naszego sposobu bycia. Jeśli zgodzimy się, że kultura narodowa jest przechowywaniem swiostego, polskiego kanonu wypracowanego w ciągu całych dziejów oraz wzbogaconego w zgodzie z uznana w Polsce hierarchią wartości, to opowiemy się za potrzebą istnienia mechanizmów regulacyjnych zwanych polityką kulturalną. Należy jednak odróżnić politykę kulturalną od procesu kulturowego - zjawiska żywiołowego, w minimalnym tylko stopniu planowanego i kontrolowanego, rządzącego się prawami czytelnymi dopiero po długim okresie czasu. Polityka kulturalna to tylko stosunkowo niewielki fragment procesu kulturowego. Rola środowisk opinotwórczych polega na refleksji nad współżyciem tego co planowe, z tym co żywiołowe. Żadawiona niechęć tych środowisk do polityki kulturalnej czynnika rządzącego utrudnia realistyczne widzenie tego problemu. Zrozumiały opór przeciwko partyjno-rządowej tendencji do ideologizacji i polityzacji kultury przybiera czasem formy skrajne, negujące sensowność istnienia polityki kulturalnej w ogóle - traktowana jest ona bowiem jako zamach na swobody twórcze.

Pierwszym więc zadaniem elit jest zgoda na ogólniejszy zarys ideowy programu uspołecznienia kultury, który byłby realizowany przez wiele ośrodków formułujących własne "polityki" kulturalne. W ramach jednej i niepodzielnej kultury narodowej jest miejsce na wielość nurtów. To właśnie kultura, w której istnieje większa niż w innych dziedzinach życia swoboda manewru, może być terenem zetknięcia się interesów jednostkowych z grupowymi, grupowych ze społecznym, społecznego czyli ogólnonarodowego z państwowym. Można więc zmierzać do polityki kulturalnej, która pamiętając o tradycji, ale i o realiach, podejmowałaby takie na przykład problemy: wolność żywiołowa - planowanie, decentralizacja - centralizacja, społeczeństwo - państwo, swoboda artysty i intelektualisty - społeczne powinności literatury, sztuki i nauki. Chodzi bowiem nie o likwidację napięć w życiu kulturalnym narodu, lecz o ich nazwanie, umiejscowienie, a dzięki temu pobudzenie indywidualnej, grupowej i środowiskowej twórczości zapobiegającej powstawaniu polaryzacji nieuchronnie powodującej zanik demokratycznego i personalistycznego myślenia politycznego.

Program takiej polityki kulturalnej to przede wszystkim postulat uspołecznienia. Natomiast uspołecznienie to moim zdaniem realny wpływ obywateli na jakość i barwy kultury narodowej. Tak pojęte uspołecznienie różni się zasadniczo od kultury "upaństwowionej" /z wszelkimi jej odmianami: kultura "partyjna", "dworską", "paternalistyczną" itd./ i od modelu skrajnie liberalistycznego, rządzącego się tylko prawami rynku. Uspołecznienie ponadto to nie dyktatura elit ze środowisk twórczych, ale naturalny efekt nieustannego pozytywnego napięcia między odbiorcą, twórcą i czynnikiem rządzącym.

Należy więc dążyć do tworzenia silnych intelektualnie ośrodków o różnorodnym zabarwieniu ideowym. Nie ma bowiem uspołecznienia bez pluralizmu. Występować powinno następujące sprzężenie zwrotne: dynamika kultury tworzonej "od dołu" wywiera wpływ na czynnik rządzący, który opracowując rządową politykę kulturalną, opiera się na wyartykułowanych potrzebach obywateli oraz poszerza je o względy natury państwowej - a następnie poddaje ów skorygowany program pod ocenę i akceptację społeczną. Tylko przy takim trybie polityka kulturalna nie będzie indoktrynacją, lecz jednym z elementów współkształtujących kulturę narodową. Przy tej okazji powinno dojść do spotkania wszystkich istniejących obecnie czynników kształtujących życie polityczne: struktur podziemnych, ugrupowań opozycyjnych pozostających na pograniczu między legalnością a podziemiem, lojalistów przebywających w obrębie szeroko rozumianej władzy, ale sympatyzujących z opozycją, a nawet podziemiem i w końcu ludzi będących wyraźnie w orbicie władzy. Konieczne jest włączenie do tego ewolucyjnego programu Polaków na obczyźnie, objęcie solidarną wspólnotą również Polonii i Emigracji. Nie

należy z góry wyłączać tych wszystkich, pozostają w orbicie władzy. Jestem przekonany, że jest wśród nich wielu, którzy gotowi są przystać do wewnętrznej i cichej akceptacji narodowy program długofalowej pracy na rzecz upośledzenia kultury. Program "pozytywnego minimum" w kulturze to dla ludzi z kręgu władzy uznanie, że interes narodowy jest nieporównanie ważniejszy od ich interesu klasowego.

Zasadnicze znaczenie ma i będzie miała kulturotwórcza rola Kościoła i opozycji. Mia wolno jednak lekceważyć jednostek czy grup "rządowych" związków zawodowych, stowarzyszeń twórczych podporządkowanych władzy i różnych gremiów usytuowanych przy licznych agendach administracji państwowej. Pojawiająca się sytuacja wymaga nie tyle podejrzliwego pytania: "Skąd przychodzisz?" - co raczej pełnego dobrej woli zainteresowania: "Co robisz dla kultury narodowej?"

Mówiąc o powadze sytuacji mam na myśli kulturę w szerokim sensie tego słowa. Dramat narodowy polega na tym, że powiększa się odległość między twórcą a odbiorcą, co może doprowadzić do naderwania ciągłości kultury. Z punktu widzenia interesu narodowego równie ważne są swobody twórcze elit, jak możliwości zaspokajania elementarnych potrzeb kulturalnych milionów mieszkańców wsi, miasteczek i osiedli. Brak na tym poziomie jakichkolwiek perspektyw już nie współtworzenia kultury narodowej, lecz nawet sensownego uczestniczenia w jej konsumpcji.

Wobec groźby kulturowej degradacji całego narodu - należy podjąć próbę ratowania się. Znany dokładnie nasze miejsce w systemie "realnego socjalizmu" i nie mamy powodu zacierać istniejących podziałów politycznych, ale mimo to musimy się odważyć na wspólne myślenie o narodowej kulturze. Zginiemy bowiem bez względu na światopogląd i postawę polityczną.

Dochodzimy teraz do pytania najtrudniejszego: czy partia komunistyczna czy PZPR, może zaakceptować ogólnonarodowe tendencje do upośledzenia kultury. Jeśli upośledzenie potraktujemy jako proces rozłożony na dziesiątki lat - to pytanie powyżej traci wiele ze swej ostrości. W PZPR od samego początku jej istnienia są dwie tendencje wyraźnie widoczne w zarządzaniu kulturą: "dogmatyczna" i "oportunistyczna". Pierwsza przejawia się w dążeniu do całkowitego podporządkowania kultury partii, nawet za cenę zubożenia kultury przez jej skrajną ideologizację. Druga stara się "liberalizować" wprowadzając model "dworski" lub "paternalistyczny". Jeśli "dogmatycy" żądają od twórcy jednoznacznej deklaracji ideologicznej i politycznej, to "liberałowie" starają się unikać sytuacji, w których trzeba będzie zapytać twórcę o jego stosunek do "realnego socjalizmu". W dążeniach "liberalnych" partia decyduje się na danie ścisłe odmierzonej autonomii i związków twórczym i zdarza się, że owe gry między władzą a intelektualistami i twórcami przybierają postać swobodnego pluralizmu elit. Zdarza się też, ów "pluralizm elit" zastępuje do pewnego stopnia demokratyczne zasady funkcjonowania polityki kulturalnej, staje się wąsko grupowym mechanizmem nacisku na sfery rządzące. Ze ceną nieuczestniczenia w oprecji partia daje czasem elitom możliwość względnie swobodnego tworzenia nieobojętnych dla narodowego interesu wartości kulturalnych. Pod wieloma względami tendencje "liberalne" są dla kultury korzystne. Byłyby jednak naiwnością polityczną i ślepotą moralną nie dostrzegać licznych ujemnych stron tego modelu. Jedyną drogą do przyjęcia jest świadome i konsekwentne poszerzenie zakresu wolności pochodzącej nie z kryzysu władzy, nie z jej "ojcowskiego" nadania jako premii za posłuszeństwo, ale wolności, jaką dać może tylko pluralizm.

Sierpień 1980 z jednej strony, zaś wprowadzenie stanu wojennego z drugiej strony są dla wielu ludzi kultury granicami, poza którymi niemożliwe są już złudzenia, że można tworzyć kulturę bez odważnego zapytania siebie: jakim wartościom się służy? Jest to niewątpliwie zysk społeczny. Umysłowość sobie, ił raczej cząstkowe //występujące przeciw// w kulturze "dworskiej" i "paternalistycznej" /nie mogą zastąpić racji całościowych. Na tym polega proces "wyzwalania polskiej kultury z niedojrzałości, która przejawiała się przede wszystkim w zgodzie na uczestniczenie /na różnych poziomach/ w systemie opiekuńczo-represyjnym. Z niedojrzałości ambiwalencji nie wolno jednak popaść w nie-dojrzałość niedwuznacznej polaryzacji. Życia kulturalnego nie da się całkowicie rozpiłować. Może więc warto wznieść się ponad swój czas, tak nieskory do tolerancji i do rzeczywistego pluralizmu i uznać, że system partyjno-rządowy też może, choć w ograniczonym zakresie, służyć dziełu upośledzenia.

Wprost mówiąc: taka postawa opozycyjna nie wyklucza możliwości rozmowy z tymi spośród intelektualistów włączonych w system władzy, którzy - mimo wszystko - na swój sposób pracują dla przyszłości. Jest to zresztą problem znacznie szerszy: doświadczenia czterdziestoletniego już wspólnego egzystowania partii i społeczeństwa upoważniają do sformułowania tezy o możliwości zmian w PZPR. Noga to być tylko zmiany wymuszone, ale jednak możliwe. Po każdym polskim wstrząsie pozostają jakieś wartości, z których istnieniem partia musi się zgodzić. Jest faktem bezspornym, że nigdy /nawet w latach 1947-1953/ partia nie była jedynym i naprawdę monopolistycznym kierownikiem polityki kulturalnej. Zawsze istniał Kościół. Zawsze istniał kontakt z kulturą polską na obczyźnie. Zawsze istniała rodzina jako przekaznik tradycyjnych jakże cennych wartości. Być może realny jest więc taki model polityki kulturalnej, który w znacznym stopniu satysfakcjonowałby społeczeństwo i był jednocześnie możliwy do zaakceptowania dla zmieniającej się partii. Nadrzędny interes narodowy wymaga, by partia ewoluowała od utopijnej "upartyjnionej" polityki kulturalnej w stronę poszanowania realiów czyli pełnego uznania istnienia wielu podmiotów polityki kulturalnej. W praktyce musiałoby dojść do wyraźnej zmiany: od dzisiejszego wspierania przez partię i państwo treści zbliżonych z doraźnymi potrzebami "realnego socjalizmu" - do przyjęcia tezy o uspołecznieniu kultury. Ale nadrzędny interes narodowy wymaga także - tym razem od społeczeństwa - realistycznego liczenia się z PZPR jako partią rządzącą.

Zbliżenie się do uspołecznienia drogą ewolucyjną to trudne lawirowanie między nastrojami ogółu a koniecznościami wypływającymi z geopolityki, między mechanizmami rynkowymi a wychowawczą i mądrze opiekuńczą rolą państwa, między tym co spontaniczne a tym co zaprogramowane, między konieczną decentralizacją a koniecznością ograniczonej centralizacji, w końcu - między komunizmem a ustrojem odpowiednim dla Polski. Nie jest wykluczone, że droga ewolucyjna jest naszą jedyną szansą.

M. J.

## Pluralizm?

Czy w Polsce o formie ustrojowej, z jaką mamy do czynienia obecnie, możliwy jest częściowy pluralizm polityczny? To znaczy czy możliwe jest współistnienie - na płaszczyźnie działalności legalnej - czynnika rządzącego, dysponującego monopolem władzy i niezależnych instytucji i organizacji społecznych i politycznych?

Odpowiedź, oparta na doświadczeniach całego okresu powojennego - poczynając od Stronnictwa Pracy i Polskiego Stronnictwa Ludowego, a na ruchu "Solidarności" kończąc - brzmić musi zdecydowanie negatywnie. Czynniki rządzący zawsze konsekwentnie dążyły do podporządkowania sobie wszystkich zorganizowanych form życia społecznego lub też, w przypadku niemożności objęcia ich polityczną kontrolą - do całkowitego ich wyeliminowania. Upoważniałoby to do stwierdzenia, że warunkiem istnienia rzeczywistego pluralizmu w kraju jest radykalna zmiana systemu politycznego.

Rozważania na temat choćby częściowego pluralizmu, w systemie takim, jak obecny lub podobnym do niego, są zatem konstruowaniem pewnej utopii politycznej. Co nie oznacza, że są całkowicie pozbawione sensu z praktycznego punktu widze-

nia. Ewolucja sytuacji wewnętrznej i międzynarodowej może tu otworzyć nowe perspektywy, a doświadczenia innych krajów wskazują, że możliwe jest - nawet w długich okresach czasu - stworzenie i zachowanie enklaw rzeczywistego pluralizmu politycznego w systemach autorytarnych.

Nie wystarczy zatem powiedzieć, że określony układ stosunków politycznych uważamy za pożądany, czy nawet realny, trzeba wskazać te elementy rozwoju sytuacji, które sprzyjać mogą jego zaistnieniu.

W latach 1980-81 uległ załamaniu model organizacji politycznej państwa oparty na fikcji ideologicznej, którą streszczało najlepiej hasło "jedności moralno-politycznej narodu". Formuła ta miała wyrażać myśl, że jakkolwiek społeczeństwo jest zróżnicowane pod wieloma względami, to jednak w podstawowych kwestiach ideologicznych panuje jedność poglądów. Schematowi temu odpowiadała organizacja życia społecznego oparta - z grubsza rzecz biorąc - na zasadach korporacyjnych. Na płaszczyźnie zawodowej zatrudnieni mieli skupiać się w związkach branżowych lub w stowarzyszeniach naukowych i twórczych o pozycji monopolistycznej, zaś na płaszczyźnie politycznej pełnię władzy miała sprawować PZPR.

Powstanie "Solidarności" naruszyło ten układ po raz pierwszy od czasu likwidacji PSL. Zasadnicze kontrowersje z okresu Umów Sierpniowych i rejestracji związku dotyczyły - jak wiadomo - kierowniczej roli partii. W efekcie "Solidarność" ukształtowała się jako organizacja w pełni niezależna od PZPR. Jej istnienie i wpływy społeczne umożliwiły jednocześnie emancypację innych organizacji i stowarzyszeń społecznych spod politycznego kierownictwa PZPR.

"Solidarność" ujawniła głębokie różnicowanie społeczeństwa polskiego, przede wszystkim pod względem politycznym. Związek ten nie był w stanie zająć pozycji monopolistycznej mimo wykazywania pewnych tendencji w tym kierunku. Powstały inne syndykaty - w tym branżowe - związane politycznie i ideologicznie z PZPR. Pluralistyczny był wreszcie charakter samej "Solidarności". W jej łonie współistniały różne orientacje ideowe i polityczne.

W latach 1980-1981 procesy politycznej polaryzacji przebiegały we wszystkich organizacjach, nie wyłączając PZPR. Szerokie kręgi społeczeństwa uznały za możliwe, celowe a nawet konieczne działanie poza ramami organizacji kontrolowanych przez czynnik rządzący.

Po 13 grudnia 1981 podjęto próbę przywrócenia dawnego modelu. Spotkała się ona jednak z wyraźnym, chociaż prawie wyłącznie biernym oporem zainteresowanych środowisk. Nowe związki zawodowe skupiają zdecydowaną mniejszość zatrudnionych. Podobna sytuacja istnieje w środowiskach naukowych i twórczych. Wystarczy przytoczyć to przykład dziennikarzy. Mimo, że środowisko to jest silnie związane z władzą, SD PRL nie skupia nawet połowy członków dawnego SDP. Również powstały w miejsce PZM nowy twór - PRON - pozostaje dalece nierепresentatywny, co przyczyną jest nawet oficjalna propaganda. Wydaje się, że osiągnięty został pewien etap rozwoju organizacji podporządkowanych władzy.

Czynnik rządzący stoi zatem wobec perspektywy rozrośnięcia stanu istniejącego - w oczekiwaniu na powolny wzrost konformizmu w różnych środowiskach - bądź też ustalenia pewnych koncepcji na rzecz niezależnych organizacji społecznych.

Jakie motywy i mechanizmy mogą sprzyjać drugiemu rozwiązaniu? Walecy pluralizmu społecznego - wyłącznie z kontrolną i regulacyjną funkcją, jaką w demokratycznych systemach politycznych spełnia opozycja - wydają się być oczywiste. Nonsensem byłoby jednak zakładać, że czynnik rządzący pod wpływem perswazji zmieni swój, ukształtowany w ciągu dziesięcioleci, sposób sprawowania władzy.

Przy założeniu, że w najbliższej perspektywie mało prawdopodobny jest gwałtowny i masowy wybuch niezadowolenia społecznego czy też odkrycie nowych, skutecznych form nacisku, jedynym motywem koncesji czynnika rządzącego na rzecz rzeczywistego pluralizmu może być dążenie do ponownej - wewnętrznej i międzynarodowej - legitymizacji systemu, a na dalszym planie - rozszerzenie społecznej bazy rządzenia. Obecnie motyw ten nie pełni w podczynaniach czynnika rządzącego roli pierwszoplanowej. Pewne ograniczenia zakresu represji politycznych wobec opozycji i środowisk niezależnych - z amnestią włącznie - wskazują jednak, że nie jest całkowicie pozbawiony znaczenia.

Kwestia pluralizmu organizacji społecznych może być rozpatrywana na trzech coraz mniej płaszczyznach:

- pluralizm związków zawodowych;
- pluralizm stowarzyszeń twórczych i naukowych;
- pluralizm ośrodków i organizacji o charakterze ściśle politycznym.

Zagadnienie formuły ruchu związkowego uznać należy za kluczowe dla całości życia politycznego w Polsce. W istotny sposób rzutuje ono również na stosunki z czołowymi państwami Zachodu. Nie wzbijając się tu ani w historię NSZZ "Solidarność", ani w prawne aspekty zagadnienia, wypada scharakteryzować stan aktualny. Formalne rozwiązanie "Solidarności" nie zlikwidowało wszystkich struktur tego związku zawodowego. Mimo represji przetrwały one - jak można sądzić przede wszystkim w dużych zakładach pracy - przez okres trzech lat, prowadząc mniej lub bardziej ograniczoną działalność. Są one - przynajmniej w sposób formalny - podporządkowane autorytetowi Lecha Wałęsy i podziemnej Tymczasowej Komisji Porozumiewawczej. Obok tych struktur istnieje niewątpliwie znaczna liczba ludzi, których zakwalifikować można jako zwolenników "Solidarności". Nie prowadząc żadnej konkretnej działalności związkowej, uznają oni historyczną ciągłość rozwiązanej organizacji. Bojkotują nowe związki, by w sprzyjających okolicznościach znów stać się członkami "Solidarności".

Oficjalne stanowisko w kwestii reaktywowania "Solidarności" podlegało ewolucji. W chwili obecnej nietrudno dojść do wniosku, że władze - nawet piącąc bardzo wysoką cenę polityczną - będą starały się wykluczyć pluralizm związkowy. Decydującą rolę odgrywa tu obawa przed przywróceniem sytuacji, gdy wielomilionowy ruch społeczny kwestionował monopol władzy PZPR. W najbliższej perspektywie trudno dostrzec czynnik, który mógłby wpłynąć na zmianę stanowiska. Skazane na niepowodzenie wydają się jednak próby wykorzenia solidarnościowych, czy też post-solidarnościowych struktur.

Działaczom zepchniętym do podziemia ogniw związkowych pozostaje konsekwencja w kontynuowaniu działalności. Opcją niosącą najwięcej szans na przyszłość wydaje się oddolna aktywność ograniczona do profilu czysto związkowego. Wymowa faktów skłonić może władze do milczącej akceptacji istniejącego stanu rzeczy i otworzyć drogę do jego legalizacji. Należy przypomnieć, że w ten właśnie sposób instytucjonalizował się ruch związkowy w wielu krajach świata. Także i obecnie w Polsce znane są przykłady swoistej quasi-legalności nieoficjalnych związków zawodowych w dużych fabrykach, gdzie ich rola jest brana pod uwagę przez dyrekcję.

Pluralizm ruchu związkowego nie byłby zatem wynikiem nowej "umowy społecznej" w stylu Porozumienia Sierpniowych, ale faktem dokonany stawiającym władze wobec perspektywy uznania go, lub beznadziejnego rozkręcania spirali represji. Tego rodzaju ewolucyjne i naturalne rozwiązanie kwestii pluralizmu związkowego przesuwaloby zarazem działalność stricte polityczną w dziedzinę innych niezależnych środowisk. Również w dziedzinie kultury sytuacja wymaga rozwiązań pluralistycznych. Polaryzacja postaw politycznych środowisk twórczych i naukowych postępuje od połowy lat sześćdziesiątych. W okresie po roku 1980 podziały te zostały spotęgowane przez przeciwstawne wybory moralne i animozje osobiste. Jakkolwiek w niektórych środowiskach udało się zachować jedność organizacyjną, to w stosunku do innych mało realne są nadzieje /obojętne, z jakich pozycji formułowane/ na powołanie związków o charakterze profesjonalnych korporacji, skupiających twórców niezależnie od opcji politycznych.

Osiągnięcie zadowalającego stanu współistnienia wśród sprzeczności wymaga nowej świadomości zarówno czynnika rządzącego jak i środowisk twórczo-intelektualnych. Należy wykluczyć próby zastąpienia "niepokornych" elit nowymi - w pełni dyspozycyjnymi wobec władzy. Usiłowania takie podejmowano w przeszłości i zakończyły się one niepowodzeniem. Wydaje się jednak, że niezbędne są zorganizowane formy kontaktu środowisk twórczo-intelektualnych z władzą. Mogą nimi być nowe związki twórcze i naukowe, lub reaktywowane organizacje dawniej istniejące. Wowa sytuacja przesuwają jednak akcent z organizacyjnych form służących zabezpieczeniu wspólnych interesów zawodowych w stronę ośrodków kulturotwórczych, formowanych na zasadach ideowych przy respektowaniu zasad pluralizmu.

W istniejącym stanie nastrojów społecznych pluralizm w jakiegokolwiek dziedzinie życia społecznego oznaczać musi jej nieuchronne upolitycznienie. Tylko stworzenie spójnie politycznej płaszczyzny pozwolić może na ukierunkowanie dążeń do zmian. Jej uzyskanie wydaje się trudne bez radykalnych przeobrażeń ustrojowych. Zakładając stabilność sytuacji w dłuższym okresie czasu, należy rozważyć, jakie procesy mogą przybliżyć osiągnięcia - w ramach legalnych - ograniczonego pluralizmu ośrodków politycznych.

Polityczne dojrzewanie opozycji przebiega w warunkach konfrontacji z realiami sytuacji wewnętrznej i międzynarodowej, które umacniają przekonanie o nie-

możności obalenia systemu siłą lub dokonania w perspektywie najbliższych lat jego zasadniczych przeobrażeń, co wpływać może na przyjęcie bardziej realistycznych i umiarkowanych metod działania.

Z drugiej strony, jak to wskazuje praktyka ostatnich lat, władze - nie wyrzekając się represyjnych metod zwalczania przeciwników politycznych - przyjmują taktykę ograniczonego ich stosowania.

Cele czynnika rządzącego i opozycji pozostają sprzeczne. Wspomniawszy wyżej podwójne samoograniczenie opozycji może jednak przesłonięcia tego konfliktu i płaszczyzny, na której aparat represyjny ściera się z konspiracją, są płaszczyzną polityczną. Wynaga to legalizacji niektórych poważniejszych form niezależnej działalności politycznej. Jeśli taki przesłaniany jest z obojętnym ryzykiem.

Z perspektywy władz oznacza istoty wyżej w systemie państwa "realnego socjalizmu". Pod jakim warunkami mogłyby zostać uznany za korzystny? Opozycja nie stanowi zjawiska jednorodnego ani pod względem ideowym, ani pod względem czysto politycznym. Składa się na nią cała gama postaw i poglądów od sprzeciwu wobec metod rządzenia czy konkretnych posunięć władzy po fundamentalna nieświadomość niechęci do systemu w aspektach wewnętrznych i międzynarodowych. Stosując taktykę selektywnej legalizacji, czy nawet instytucjonalizacji opozycji, władze mogą liczyć na dalsze zróżnicowanie. Stawiając traktowanie całej opozycji jako zjawiska nielegalnego jednostki ją na pozycjach fundamentalistycznych.

Uważa obserwacja życia politycznego wskazać do wniosku, że władze mogą - mniej lub bardziej wyraźnie - sforsować propozycje stworzenia legalnych form działalności opozycyjnej w sposób nie wywołujący się dążeń do przywrócenia pluralizmu związków społecznych. Stawiając takie nie bierze jednak pod uwagę oddolnego charakteru struktur związkowych, spontaniczności ich funkcjonowania i determinacji działań.

Po stronie niezależnych środowisk politycznych ryzyko wynikające z podjęcia dialogu prowadzącego do współpracy z władzami jest ogromne. Doświadczenia podobnych prób podejmowanych w Polsce Ludowej uczy, że uzyskiwane korzyści byłyby nikłe, a straty, najczęściej moralne, znaczne. Iżakże jednak w takich warunkach znajdują się grupy skłonne do podjęcia ryzyka. Trzeba więc podjąć się o stworzenie warunków akcji zapowiadającej zachowanie autonomii ideowej i politycznej. Niezależne środowiska polityczne powinny wykluczyć udział w układzie władz oparty o zasady konspiatory i dyspozycyjności, a więc wpływ czynnika rządzącego na ich wewnętrzne rozstrzygnięcia personalne, biologiczne działania polityczne oraz opcje ideowe.

Niezbędne jest także uznanie ich swobody organizacyjnej i wydawniczo-propagandowej na warunkach przyrostu swobód, zabezpieczonych odpowiednią prawem o stowarzyszeniach i ustawa o cenzurze. Tylko tak powściągnięty pluralizm polityczny będzie obustronnie sensowny, służąc wypracowaniu postulowanej "płaszczyzny minimum" interesu państwowego.

Rozważania powyższe prowokują pytanie o rolę Kościoła katolickiego. Sam fakt jego siły i niezależności sprawia, że jest on czynnikiem poszerzającym pluralizm społeczeństwa polskiego. Stawia on opór wobec nacisku, a często i organizacyjne, dla wielu form niezależnej działalności. Widać sobie wyobrazić w Polsce doby drześniejszej naprawdą niezależną działalność publiczną, która byłaby podporządkowana bez moralnej łączności z najwyższymi władzami państwa, bez oparcia o chrześcijańską hierarchię wartości. Należy jednak wyraźnie przestrzec przed narzucającą się pokusą tworzenia w ścisłym związku z Kościołem struktur alternatywnych wobec tych, które podporządkowane są władzy.

Jędrzej Branecki

## Hayek - dogmatyk wolnego społeczeństwa

Myślenie i dzieło Hayeka układa się w nieczęsto spotykany w XX wieku system, komponowany w toku długiego życia z różnorodnych elementów. System ten ma strukturę wielopiętrową - wzniesiony na fundamencie solidnej, nagrodzonej Noblem ekonomii, przechodzi w kontrowersyjną doktrynę społeczno-polityczną i znacznie mniej oryginalną refleksję filozoficzno-metodologiczną. Tym środkowym fragmentem swego dzieła Hayek wkroczył z rozmachem na teren współczesnej walki o "rząd dusz", stając się już czterdzieści lat temu przywódcą duchowym liberalnego neokonserwatyizmu i zarazem negatywnym bohaterem intelektualnej lewicy. W Polsce jest on postacią prawie nieznaną. Stanu takiego nie zmieniły: urywek dzieła Hayeka przytoczony w antologii Barbary i Marka Sobolewskich (nakład 2500 egz.) /1/, krytyczne studium Wojciecha Sadowskiego (nakład 1320 egz.) /2/ oraz nieliczne i na ogół mało rzetelne wzmianki zawarte w innych opracowaniach. Bierzymy to pod uwagę, przystępując do rekonstrukcji poglądów tego głośnego na Zachodzie myśliciela, który urodził się i dojrzał w Austrii, ale ponad trzydzieści najbardziej twórczych lat swego życia spędził w świecie anglojęzycznym.

### ZYCIE I DZIEŁO

Friedrich August von Hayek urodził się 8 maja 1899 roku w Wiedniu, w rodzinie o wielopokoleniowych tradycjach naukowych /3/. Jego ojciec był botanikiem, bracia zajmowali się anatomią i chemią. Na tle tej rodzinnej preferencji do nauk ścisłych wybór Hayeka - ekonomia - był odstępstwem, skorygowanym zresztą w następnym pokoleniu, jako że córka Hayeka zajęła się biologią, zaś syn bakteriologią. Po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Wiedeńskim Hayek uzyskał dwa doktoraty: z prawa (1921) i nauk politycznych (1923). Jego późniejszy protektor i przyjaciel Ludwig von Mises zwerbował go do pracy w Austriackim Instytucie Badań Ekonomicznych, wyrastającym wtedy na liczący się ośrodek studiów nad cyklami koniunkturalnymi i polityką ekonomiczną. Pozostającą w tym kręgu tematycznym, wydana w roku 1929 praca *Gold und Konjunkturtheorie* była podstawą habilitacji Hayeka.

Nastąpił teraz w jego życiu okres podróży i nawiązywania kontaktów. Poznał między innymi w roku 1925 Keynesa, z którym przez dwadzieścia następnych lat toczył publiczną i prywatną debatę nad kwestiami pieniężnymi. Intelektualnie Hayek przechodził ewolucje, polegającą na stopniowym oczyszczaniu je-



go sposobu myślenia z elementów fabiańskich - w młodości był zwolennikiem teorii Lagodnej, brytyjskiej wersji socjalizmu, co odrzucało go na przykład na wykładach Misesa. Właśnie jednak wpływ Misesa - sławnego z wytoczonych w roku 1922 argumentów o niemożliwości racjonalnego gospodarowania w socjalizmie - wyklarował liberalna orientacja Hayeka. W roku 1931 Hayek otrzymał dzięki pośrednictwu Lionela Robbinsa, możliwość wykładania w London School of Economics, później profesurę w Uniwersytecie Londyńskim - rozpoczął się okres angielski w jego życiu. Od tej pory pisze i wydaje swe prace w języku angielskim, potem dopiero przygotowywane są ich edycje niemieckojęzyczne. Wyrazem identyfikacji Hayeka z angielskimi normami tytuła było przyjęcie przez niego w roku 1938, tuż przed zagarnięciem Austrii przez Hitlera, obywatelstwa brytyjskiego.

Wybuch II wojny światowej, zwłaszcza zaś rozpoczęcie bitwy o Anglię, wywarło u Hayeka pasję polityczną i pragnienie obrony - choćby piórem - zagrożonej cywilizacji. Wraz z opublikowaniem w roku 1944 *Drogi do niewoli* (*The Road to Serfdom*) respektowany ekonomista objawił swe drugie oblicze, jako oryginalny, piszący "pod prąd" myśliciel społeczny. Odtąd Hayek, zarówno powodzeniem książki, uczestniczył nieustrudzenie w sporach ideologicznych, kontynuując zarazem specjalistyczne badania ekonomiczne. W roku 1950 różnorakie motywy skłoniły Hayeka do zmiany miejsca pobytu. Wybór padł na Chicago, miejsce sukcesu wydawniczego *Drogi do niewoli* i siedziby szkoły "chicagońskiej" - grupy ekonomistów o pokrewnej orientacji ideowej (Frank Knight, Milton Friedman, Henry Simons, Georg Stigler). Okres amerykański trwał do roku 1962. Hayek pełnił obowiązki profesora nauk społecznych i moralnych, a jego reputację ugruntowały cotygodniowe seminaria dyskusyjne, ściągające tamtejsze znakomitości naukowe. Tematyka spotkań odzwierciedlała rozszerzającą się gamę zainteresowań ich organizatora, co owocowało w kolejnej znaczącej książce *The Constitution of Liberty* z roku 1960. W dwa lata później Hayek powrócił do Europy, obejmując katedrę ekonomii we Fryburgu (RFN). Pozwonia było to miejsce znaczone tradycją liberalną - tu właśnie nauczał Walter Eucken, organizator niemieckiej grupy "Ordo". Kryzys zdrowotny przesilił Hayeka w roku 1967 do wycofania się z aktywnej działalności akademickiej. Niecałkowicie jednak - osiedlony w Salzburgu wykładał ekonomię i teorię prawa jako profesor emerytowany tamtejszego uniwersytetu. Napięcia z całego świata dowody rosnącej popularności odnowiły zapas energii uczynnego, który w połowie lat siedemdziesiątych zwątpił już, czy zdoła wykonać zaliczoną trylogię pt. *Law, Legislation, Liberty*. Zrealizował nie tylko ten zamysł, podjął prace nad kolejną książką, ponadto opublikował na początku lat osiemdziesiątych nowe artykuły i eseje. *Kilka lat temu wypróbowano starość, ale odkryłem, że jej nie lubię* - komentuje dzisiaj Hayek przez ciężony kryzys.

Dorobek Hayeka jest - co zrozumiałe - ogromny i różnorodny. Składa się nań około 30 napisanych lub redagowanych książek oraz blisko 150 esejów i artykułów. Można go pogrupować w cztery działy tematyczne /4/. Pierwszy działy to czysta teoria ekonomiczna, reprezentowana przez wczesne prace, stawiająca Hayeka w rzędzie twórczych kontynuatorów "szkoły austriackiej". Wypracowana przez tę szkołę teoria monetarna została przez Hayeka wykorzystana jako narzędzie analizy cen, produkcji i wahań koniunkturalnych w pracach *Gold and Konjunkturtheorie* (1929, wyd. angielskie 1933), *Prices and Production* (1931), *Profits, Interest and Investment* (1939) oraz *The Pure Theory of Capital* (1941). Niemal równoległy nurt stanowiły prace z dziedziny polityki ekonomicznej, w których autor rezygnuje z rygoru naukowego na rzecz ważniejszej formuły eseju. Zaliczamy tu: *Collectivist Economic Planning* (1935), *Monetary Nationalism and International Stability* (1937), *Individualism and Economic Order* (1948) oraz znacznie późniejsze opracowanie 1960. *Unemployment and the Unions* (1980). Trzecia grupa to dzieła adresowane do szerokiego kręgu czytelników, zwłaszcza zaś do ludzi trudniących się rzemiosłem politycznym. Hayek zawarł w nich swą filozofię polityczną oraz teorię państwa i prawa. Są to: *Droga do niewoli* (1944), *The Constitution of Liberty* (1960), trylogia o zbiorczym tytule *Law, Legislation and Liberty*

(*Rules and Order*, 1973, *The Mirage of Social Justice*, 1976, *The Political Order of a Free People*, 1979) i ostatnia przygotowana praca *The Fatal Con-  
cept*. Dwie pierwsze pozycje, wielokrotnie wznawiane i tłumaczone na szereg  
języków, wywarły ogromny wpływ na styl myślenia politycznego w USA i Euro-  
pie Zachodniej. Ostatnia grupa obejmuje dokonania Hayeka w dziedzinach u-  
bocznych w stosunku do głównego nurtu jego zainteresowań. Filozofia społecz-  
na i polityczna zostaje uzupełniona o argumenty z zakresu metodologii  
 nauk i psychologii (w młodości psychologia konkurowała z ekonomią jako przed-  
miot zainteresowań Hayeka). Zaliczamy do tej grupy przede wszystkim dwie pra-  
ce opublikowane w roku 1952: *The Counter - Revolution of Science* i *The Sen-  
sary Order*.

Twórczość Hayeka charakteryzuje otwarte wyznanie założeń aksjologicznych  
jego doktryny, pryncypialność i konsekwencja - stawia sprawy w kategoriach  
"albo - albo", nie uchyla się od formułowania "twardych" politycznie zaleceń.  
Jego książki układają się w trwający bez mała pół wieku dialog z odmiennymi,  
z reguły popularniejszymi opcjami światopoglądowymi i politycznymi. Szuka  
ciągle nowych argumentów i aktualizuje swój słownik polityczny, świadom że  
... *jeśli stare prawdy mają znajdować oddźwięk w umysłach ludzkich, muszą  
być wyrażane na nowo w języku i poprzez pojęcia nowych pokoleń*. Hayek stro-  
nił od bezpośrednich zaangażowań politycznych, które zapewniły rozgłos nie-  
którym jego adwersarzom (Galbraith, Myrdal) i stronnikom (Friedman). Chętnie  
natomiast spżytkowuje do dziś swój temperament polemiczny w dyskusjach pu-  
blicznych - nie przeszkadza mu w tym ani podeszły wiek, ani defekt słuchu  
(lewe ucho!).

#### IDENTYFIKACJA LIBERALNYCH KORZENI

Wszelkie próby zaszeregowania Hayeka do tej czy innej "szkoły" są siłą  
rzeczy nietrafne. Kontynuował wprawdzie "szkołę austriacką", ale tylko w je-  
dnym, czysto ekonomicznym nurcie swej twórczości. Przebywał dwanaście lat  
w centrum "szkoły chicagowskiej", ale nie został jej wyznawcą, co podkreś-  
lił przez wybór katedry nauk społecznych i moralnych, a nie ekonomicznych. Hayek  
nie założył też własnej "szkoły", chociaż jego prace inspirowały wiele  
przedsięwzięć intelektualnych i praktycznych. Jedna tylko etykieta jest  
trafna i została dobrowolnie potwierdzona przez samego Hayeka - zalicza się  
on do dwudziestowiecznych odnowicieli liberalizmu, jest zatem neoliberalem.  
Neoliberalizm nie jest orientacją wyznawaną masowo, nie stanowi też zaple-  
cza doktrynalnego rządzących partii politycznych. Jest raczej wyznawany  
przez elitarny klub myślicieli sytuujących się świadomie ponad programami  
partyjnymi. Skupia wybitne indywidualności i wpływowe pióra, połączone mi-  
sją rozwiązywania problemów współczesnego społeczeństwa w duchu wolności.  
Pragnienie odbudowy liberalnego systemu wartości skłania ich do wspólnych  
przedsięwzięć, takich jak kolokwium Waltera Lippmana zwołane w Paryżu w  
sierpniu 1938 roku. Hayek, który uczestniczył w spotkaniu paryskim, rzucił  
już w roku 1944 ideę ponownego zespolenia wysiłków na rzecz odbudowy inte-  
lektualnych fundamentów wolnego społeczeństwa. Dzięki przede wszystkim je-  
go osobistemu zaangażowaniu 39 akademików z dziewięciu krajów (m.in. Raymond  
Aron, Louis Baudin, Walter Eucken, Milton Friedman, Bertrand de Jouvenal,  
Frank K. Knight, Fritz Machlup, Ludwig von Mises, Karl Popper, Lionel Robbin,  
Georg Stigler, Wilhelm Roepke, Walter Lippman) zjechało w kwietniu 1947 roku  
do szwajcarskiej miejscowości Mont Pelerin. Hayek zaproponował tematy kon-  
ferencji i określił jej cele: ... *sarówno oczyszczenie tradycyjnej teorii  
liberalnej z pewnych przypadkowych naleciałości, które z biegiem czasu stę-  
czyły się z nią, jak i rozpatrzenie pewnych racjonalistycznych problemów, które  
uproszczony liberalizm pomijał lub które stały się widoczne dopiero od mo-  
menta, gdy przekształcił się on w jakiegoś stekielne i sztywne czoło /5/*.  
Uczestnicy konferencji postanowili spotykać się corocznie, organizując się  
w formie "Towarzystwa Mont Pelerin". Hayek, obrany przewodniczącym Towarzy-  
stwa, pełnił tę funkcję do roku 1960, po czym zachował tytuł honorowego

przewodniczącego - odzwierciedla to jego autorytet i pierwszoplanowa rola w cementowaniu neoliberalnego kręgu ideowego. Członkowie "Towarzystwa Mont Pelerin" czują się spadkobiercami klasycznego liberalizmu, ale tylko w sensie jego propozycji aksjologicznej, eksponującej wolność jednostki jako wartość najwyższą. Dzieli ich natomiast stosunek do doktryny i kwestii praktycznych dnia dzisiejszego. Punkt widzenia Hayeka i jego miejsce w omawianym kręgu ujawnia się w sposobie przewartościowania tradycji liberalnej - miażdżąc w jego intencjach nurtu do kródeł.

Iz takie czyste źródło idei liberalnej uważa Hayek XVII-wieczny epizod walki parlamentu angielskiego z samowolą królewską. Opozycja parlamentarna, odwołująca się początkowo do praw tradycyjnych, została z czasem wsparta o uzasadnienie teoretyczne - ideę "rządów prawa" (*rule of law*), czy też nadrzędności prawa wobec władzy (*law above king*).

Stworzony na tej zasadzie program polityczny angielskiego stronnictwa Wigów, usystematyzowany przez Johna Locke'a w *Drugim traktacie o rządzie* (1689), zawiera według Hayeka źródłowe prawdy liberalizmu. Rewolucja Amerykańska uzupełniła je w sto lat później o idee konstytucyjnej - kodyfikacji i spisania na papierze owych wyższych praw, jakie powinny obowiązywać każdej formie władzy. Intelektualny fundament liberalnego indywidualizmu dała w XVIII wieku szkocka filozofia moralna, której zawdzięczamy przezwyższenie nawiązanego "konstruktywizmu" w ujmowaniu zjawisk społecznych. Odkrycie, iż nie wszystkie formy życia zbiorowego wynikłe z interakcji ludzkich są rezultatem działań celowych i świadomego planu, uważa Hayek za moment narodzin nauk społecznych. Działanie tego prawa *nieszamerszonych rezultatów* zademonstrował w imponujący sposób Adam Smith na przykładzie mechanizmu rynkowego. Autorytet klasycznej ekonomii angielskiej, odkrywanej jako naukowy dowód dobroczynnych skutków ekonomicznej wolności, zwielokrotnił nośność ideologiczną liberalizmu. Nastąpiła faza stopniowej realizacji ideału przyjętego przez opinię publiczną. Równoległe ideał ten doczekał się nowego ujęcia w pracach Bume'a, Blackstone'a, Burke'a i Paley'a (druga połowa XVIII wieku).

Hayek czuje się spadkobiercą tej angielskiej, czyli "prawdziwej" tradycji liberalnej, którą przeciwstawia racjonalistycznej i etatystycznej tradycji francuskiej. Linie angielską ceni sobie za jej ewolucyjny i empiryczny charakter. Opiera się ona na interpretacji norm i instytucji, których trwałość traktuje się jako dowód ich społecznej funkcjonalności, ukrytej w nich mądrości. Na gruncie francuskim idee importowane z Anglii zostały przefiltrowane przez racjonalistyczny klimat tamtejszego Oświecenia. W rezultacie intelektualny dogmatyzm doprowadził ideologów Rewolucji Francuskiej do programu, który przekroczył ostrożne zalecenia Wigów. Błąd "konstruktywizmu" został podtrzymany - dąsano się budowy społeczeństwa od podstaw, poprzez wcielenie w życie koncepcji totalnej i wyrozumowanej. Krwawy przebieg Rewolucji Francuskiej wzbudził namiętne spory i trzeźwe refleksje takich myślicieli jak Burke - dostrzeżono i doceniono specyficzne cechy angielskiej drogi kompromisów i stopniowych przemian. Anglicy pojęli szybko, że nie wystarczy zabezpieczyć się przed samowolą monarchy - każda władza nieograniczona, nawet najbardziej oświecona i zrodzona z dobrych intencji zagraża wolności jednostki. Tymczasem myśl francuska (z wyjątkiem oczywiście Monteskiusza) upowszechniła niebezpieczne złudzenie, iż władzę wystarczy demokratyzować, by przestała być zagrożeniem a stała się instrumentem wolności. W sumie był to styl myślenia, który - zdaniem Hayeka - poprzez swoje doktrynerstwo i przywiązanie do celów zbiorowych, stanowił załączek ideologii totalitarnych. Hayek usuwa z grona swych poprzedników ideowych niektórych myślicieli angielskich zarażonych tym stylem myślenia, przede wszystkim Benthama i obu Millów. Czystą linię angielską kontynuowali w XIX wieku niektórzy następcy Smitha w ekonomii (MacCulloch, Nassau Senior), historyk Macaulay i wigowska inteligencja skupiona wokół *Edinburgh Review*. W sumie jednak postęp w tym zakresie był niewielki, co zawążyło na stopniowej utracie wpływu przez zwyciężki dotąd liberalizm. Tylko Lord Acton i Alexis de Tocqueville - postacie szczególnie honorowane przez Hayeka - potrafili roz-

winać doktrynę twórczo /6/.

Podsumowując: Hayek uważa siebie za kontynuatora oryginalnej doktryny Wigów, wolnej od zniekształceń spowodowanych przez ideowy spadek Rewolucji Francuskiej. Widzi też oczywiście lukę w klasycznym programie liberalnym, który zastygł przed stu laty w obronie zdobytych pozycji. Aby ten program ożywić i wprowadzić do politycznego obiegu współczesności, trzeba było zerwać z dogmatem *laissez-faire* i dokonać innych korekt, do których wrócimy, przedstawiając pozytywny program Hayeka.

## NEOLIBERALNA DIAGNOZA I OSTRZEŻENIA

Neoliberalizm, widać to na przykładzie Hayeka, rodził się jako reakcja na te zjawiska lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku, które zdawały się podmywać fundamenty demokracji zachodnich. Był więc od początku nurtem krytycznym wobec rzeczywistości i przeciwnym w stosunku do popularnych opinii i nastrojów. Z jednej strony, łatwe zwycięstwo faszyzmu we Włoszech i Niemczech ukazało kruchociść systemu parlamentarnego i możliwości powrocenia mas przeciwko demokracji, z drugiej zaś komunistyczny reżim w Rosji epatował rzekomymi (długie nie zweryfikowanymi) sukcesami "pięciolatek" i mirażem "nowego społeczeństwa". Pośrodku trwał szok Wielkiego Kryzysu (1929 - 1933) rodząc wątpliwość w gospodarke rynkową i powodując erozję liberalnego systemu wartości. Wraz z uruchomieniem przez Roosevelta programu "nowego ładu" w USA (1932), nastąpiła epoka sukcesów praktycznych keynesizmu, który dawał atrakcyjną politycznie obietnicę uporządkowania gospodarki kapitalistycznej bez naruszania jej rynkowych podstaw i osłabienia demokracji parlamentarnej. Ekipy rządów nawracały się na keynesizm, podczas gdy rozległe obszary świadomości masowej pustoszył mit socjalistyczny - obietnica rozumnej i sprawiedliwej kontroli społecznych i ekonomicznych losów jednostki w miejsce "anarchii" rynku i "marnotrawstwa" konkurencji. Nośne stała planowania, uspołecznienia środków produkcji i egalitaryzmu przygotowały opinię publiczną na dalej idące reformy kapitalizmu, aniżeli było to w zamiarze Keynesa.

Wszystkie wymienione zjawiska, tendencje i zspowiedzi legły w podstawie neoliberalnej kontrofensywy. Jej prototypem był artykuł Ludwiga von Misesa z roku 1920, spopularyzowany w angielskim przekładzie w roku 1935. Mises przy puścił frontalny atak na założenia ekonomiczne socjalizmu, negując możliwość racjonalnego funkcjonowania gospodarki planowej. Teza Misesa, iż rachunek ekonomiczny jest nie do pomysłienia bez rynkowej gospodarki towarowo-pieniężnej, wywołała debatę publiczną (z udziałem m.in. Oskara Lange'a), do której z czasem włączył się Hayek. Przede wszystkim, to znaczy przed rokiem 1935 Hayek prowadził polemikę z subtelniejszą formą regulacji gospodarczej - keynesizmem. Był to fachowy i wyrafinowany, wyzbyty z sądów wartościujących spór dwóch szkół ekonomicznych. Nadchodziły jednak czasy, które nie sprzyjały debatom naukowym. Szybka militarystyczna gospodarka europejskich i ich zmiana w wieloletnią gospodarkę wojenną po roku 1939, zaktualizowała i wzmocniła zagrożenia, które śledzili neoliberalowie. Sprawność administracji wojennej, widoczna zwłaszcza w USA i Wielkiej Brytanii różniła masowe przeświadczenie, że centralny zarząd gospodarczy może być efektywny również w normalnych, pokojowych warunkach. Zdawało się, że skuteczny interwencjonizm zorientowany na cele militarne, będzie można zastąpić przez państwową organizację życia zbiorowego, zorientowaną na cele socjalne. Hayek tak opisał ten stan świadomości:

... Musimy powrócić na chwilę do sytuacji, która poprzedza odwołanie się do instytucji demokratycznych i stworzenie totalitarnego reżimu. W tej formie dominującym elementem sytuacji jest powołanie pragnienia szybkich i zdecydowanych działań rządu oraz zwiększenie do poważnej i nieporównanej procedury demokratycznej (...). Kiedy właśnie jednostka lub partia, która płucze się odpowiedzialnością i determinowaną "codzień" sprawą, staje się i przeważa... [7]

Diagnoza tej sytuacji pchnęła całą generację neoliberalistów do wstąpienia w szranki walki ideologicznej. Efektem były alarmistyczne traktaty Euckena, Robbinsa, Roepke'go i najgłośniejszy - Hayeka. Nieprzypadkowo zareagowali w pierwszym rzędzie ekonomiści - nowoczesne zagrożenia wolności powstawały w gospodarce. W odpowiedzi na nie Hayek sformułował swoje pierwsze ostrzeżenie: PLANOWANIE JEST TO DROGA DO PODDAŃSTWA.

Jego interwencyjny traktat z roku 1944 - *Droga do niewoli*, analizujący historyczny przypadek wyrodzenia się narodowego socjalizmu w Niemczech w totalitarną dyktaturę, pomyślany był jako prognoza ostrzegawcza dla wszystkich społeczeństw demokratycznych. Państwowa regulacja życia gospodarczego nasilona w czasie wojny zaszczerpiła tym społeczeństwom, zdaniem Hayeka, pierwiastek "kolektywizmu", spychając je na tytułową drogę ku niewoli. Planowanie jest to nowy sztandar, pod którym zrzeszyli się starzy wrogowie wolności. Ci zaś, którzy pragnęliby przez planowanie osiągnąć szlachetne cele nie wiedzą, że otwierają "puszkę Pandory" - wyzwalają łańcuch następstw, które dadzą efekt zgoła odmienny od oczekiwanego. Bowiąm planowanie, pisze Hayek, stwarza sytuację, w której musimy regulować więcej zjawisk, niż początkowo mieliśmy zamiar.

Warto pamiętać, że krytyka Hayeka zwraca się nie przeciw planowaniu jako takiemu, lecz przeciw scentralizowanemu dyrygowaniu działalnością gospodarczą ze strony państwa. Brak tego centralnego zarządu nie oznacza, iż gospodarka jest "nieplanowa". Plany robi każda jednostka produkcyjna. Gospodarka rynkowa jest więc planowana policentrycznie, a nie monocentrycznie, robiąc przez to lepszy użytek z dostępnej lokalnie wiedzy. Nie stajemy przed wyborem typu "planować - nie planować". Pytamy o to, czy lepiej będzie wtedy, gdy podmiot władzy represyjnej ograniczał się będzie do stwarzania warunków, w których wiedza i inicjatywa jednostek znajdzie najlepsze pole do działania, tak by mogły one planować z największym powodzeniem, czy też racjonalne wykorzystanie naszych zasobów rzeczywiście wymaga kierowania z centralnego ośrodka i włożenia całej naszej aktywności gospodarczej w zaprojektowane odgórnie tryby. Socjaliści wszystkich partii rezerwują termin "planowanie" dla tej drugiej sytuacji i w tym sensie jest on używany w książce Hayeka.

Przystępując do rozprawy z socjalistyczną koncepcją planowania, autor *Drogi do niewoli* kwestionuje szeroko rozpowszechnione twierdzenie, iż poddanie życia gospodarczego planowej regulacji jest obiektywną koniecznością naszych czasów. Nieuchronna, uwarunkowana technologicznie koncentracja produkcji i kapitału sprawia ma rzekomo, iż jedyną alternatywą wobec państwowej kontroli nad gospodarką byłby dyktat prywatnych monopolii. Hayek obala po kolei poszczególne ogniwa tego łańcucha dowodowego. Nie ma nic takiego w naturze postępu technicznego, co generowałoby automatycznie wzrost skali przedsiębiorstw i ich skłonność do monopolu. Postęp techniczny jako taki jest wobec tych zjawisk neutralny. Natomiast sprzyjało im dotychczasowe ustawodawstwo państwa, szczególnie zaś protekcjonizm gospodarczy. Świadczy o tym wysoki stopień zmopolizowania gospodarek takich krajów jak USA, Niemcy, Japonia i Włochy, które - nadrabiając historyczne spóźnienia w zakresie industrializacji - praktykowały intensywną ochronę "młodego przemysłu" przed konkurencją zagraniczną. *Tendencja do tworzenia monopolii i do planowania* - pisze Hayek - nie jest skutkiem żadnych faktów obiektywnych będących poza naszą kontrolą, lecz jest produktem opinii popieranych i propagowanych od pół wieku. Traktat Hayeka z roku 1944 miał właśnie zadać kłam tym opiniom i przyczynić się do odwrócenia niekorzystnego trendu.

Hayek odrzuca planowanie z wielu względów. Sprzeciwia się zastępowaniu mechanizmu konkurencji rynkowej przez te, gorzej jego zdaniem, metodę koordynacji ludzkich działań gospodarczych. Uzasadnienie wyższości systemu konkurencji nad systemem planowania w kategoriach prakseologicznych przytoczymy dalej. Nie mniej ważne są uzasadnienia etyczne i polityczne, na których skupia się uwaga autora *Drogi do niewoli*. Planowanie to wybór hierarchii celów oraz koncentracja sił i środków na tych wybranych celach - kosztem innych, uważanych za mniej ważne. Zatem planując zakłada się mil-

czaco, że istnieje kompletny i powszechnie przyjęty kodeks etyczny, w którym wszystkie wartości ludzkie zajmują określone miejsce. Tylko wtedy planista - wybierając i hierarchizując cele - może zrealizować rzeczywiste preferencje społeczne. Ponieważ jednak żadna taka "powszechnie akceptowana hierarchia wartości" nie istnieje i nie może istnieć, planiści zdani są na własną ocenę tego, czym jest "dobro publiczne". Ich kryteria są zawsze uznaniowe, a decyzje arbitralne, co równa się groźbie autokracji. W ten sposób państwa regulacja życia gospodarczego łamie - zrazu niepostrzeżenie, potem już otwarcie - zasadę rządów prawa.

Wszystkie argumenty Hayeka zmierzają ku zasadniczej konkluzji: istnienie nieusuwalna sprzeczność między planowaniem a demokratyczną procedurą decyzyjną i układem instytucjonalnym stojącym na straży wolności obywatelskich. Demokratyczny rząd funkcjonuje dobrze tak długo, jak długo jego zadania są ograniczone i koncentrują się w tych dziedzinach, w których osiągalny jest - w drodze swobodnej dyskusji i mediacji - konsensus społecznej większości. Rynek zapewnia realizację różnorodnych celów jednostkowych w sposób rutynowy; większość systemu konkurencji polega więc na tym, że redukuje on liczbę celów, które muszą być interpersonalnie uzgodnione, aby społeczeństwo mogło funkcjonować i rozwijać się. Natomiast upowszechnienie poglądu o niezbędności planowania i wzrost oczekiwań społecznych wobec państwa zmienia się szybko w gośnowość uwolnienia się od "balastu demokracji". Wtedy system parlamentarny ewoluuje ku formie określonej przez Hayeka mianem *plebiscytorian dictatorship*, jako że przez odwołanie się do poparcia "dołów" (w formie referendum czy plebiscytu) próbuje usankcjonować kumulację władzy przez popularnego przywódcę - oczywiście do czasu, gdy stopień koncentracji władzy dyktatorskiej nie wyeliminuje potrzeby takich potwierżeń.

Przebieg społecznej przyrody z planowaniem, polegającej na tym, iż ludzie zgadzają się na ideę centralnego planu bez uzgodnienia jego treści, porównuje Hayek do wspólnej wycieczki podjętej przez grono osób, które nie uzgodniły najpierw celu i kierunku - skutkiem może być wtedy zabranie tych osób w podróz, jakiej żadna z nich sobie nie życzy.

Sukces czytelnicy *Drogi do niszczy*, zwłaszcza w USA, przerósł oczekiwania autora. Książka wstrząsnęła opinią publiczną, utrudniając dalsze podboje mitu socjalistycznego. Pokazując nieprzewidywane, ale nieuchronne skutki planowej regulacji życia gospodarczego, Hayek uświadomił wielu wpływowym osobistościom konsekwencje idealistycznych programów politycznych. Nawet Keynes solidaryzował się otwarcie z tezami książki /8/. Rozprawa Hayeka i równoległe ostrzeżenie Robbinsa nie mogły powstrzymać zwycięstwa wyborczego angielskiej Partii Pracy w roku 1945, ale dodały niewatpliwie rozmachu nurtom konserwatywnym po obu stronach Atlantyku.

Po II wojnie światowej uwaga krytyczna Hayeka skupiła się na innych formach ingerencji gospodarczej państwa, ale watek planowania nie zanikał. O ile jednak omówiony wyżej interwencyjny traktat z roku 1944 zwracał się przeciw socjalistycznej koncepcji "planowania zamiast konkurencji", to powojenna polemika dotyczy łagodniejszych wersji "gospodarki kierowanej" - planowania indykatorynego, które nie substytuuje, lecz uzupełnia mechanizm rynku. Trómac wykłade związane z tym zagrożenie Hayek pokazał, w jaki sposób planowanie rodzi technokrację, zmusza do delegowania szeregu uprawnień na ręce ekspertów i agencji rządowych, wywołujących się kontroli demokratycznej.

Będzie tylko niewielkie przesłanie, że największe niebezpieczeństwo zagrożenia dzisiaj polityki ze strony lewej, bierze się z najbardziej niebezpiecznej i wpływowej w nowoczesnej administracji, sfery publicznej klasy specjalistów oddanych realizacji tego, co uważają za dobro publiczne.

W latach 70-tych Hayek jeszcze raz powołał swe ostrzeżenia, wnosząc głos do amerykańskiej debaty o planowaniu, wywołanej m.in. tezami Gal-

braitha i Leontieffa oraz wniesieniem do Kongresu projektu ustawy o planowaniu (tzw. *The Balanced Growth and Economic Planning*) /9/. Wzmocnił front przeciwników tego planowania o skromniejszych ambicjach, reklamowanego jako technika stabilizacji wzrostu gospodarczego. Odrzuca kategorycznie wszelkie wyjścia pośrednie i modele mieszane, pozostając przy wyjściowej tezie z roku 1944.

*Jakkolwiek konkurencja jest zdolna znieść pewien dodatek regulacji, nie może być jednak połączona z planowaniem w takiej, jakiej chcemy mieć, nie przestając zarazem działać jako efektywny sposób produkcji...*

Konkurencja rynkowa i planowanie są dla Hayeka alternatywne i rozłączne jako sposoby rozwiązywania tego samego problemu ekonomicznego. Uzasadniał na wiele sposobów, iż skromna tylko domieszka regulacji naruszającej rynkowe wyznaczniki "równania ekonomicznego" (ceny i ilości produkowanych dóbr) prowadzi pośrednio i stopniowo do erozji instytucji, postaw i wartości moralnych będących spoiwem wolnego społeczeństwa.

Polemika z łagodniejszymi wersjami planowania odgrywała jednak uboczną rolę w powojennej twórczości Hayeka. Temat zdegradował się sam wobec powszechnego kryzysu wiary w nacionalizację środków produkcji i planowanie centralne jako sposoby rozwiązywania problemów nowoczesnego społeczeństwa. Wynikło to częściowo z lepszego rozpoznania rzeczywistego stanu gospodarek bloku komunistycznego, częściowo zaś z niezbyt zachęcających eksperymentów w łonie Zachodu - mamy tu na myśli głównie nieefektywność sektora publicznego i niekorzystne doświadczenia świata pracy w stosunkach z państwowym pracodawcą.

Wobec jawnej kompromitacji upaństwowienia środków produkcji i centralnego planowania, myśl neoliberalna zwróciła się ku nowym, aktualniejszym zagrożeniom wolności. Zmienił się bowiem nie tylko typ ingerencji państwa, ale i towarzyszący jej pretekst. Zwiększenie efektywności gospodarowania nie mogło być już dłużej tym pretekstem. Nastąpił rozrost funkcji opiekuńczych państwa pod hasłem walki o sprawiedliwość społeczną. Stosownie do tego Hayek formułuje ostrzeżenie drugie: PAŃSTWO OPIEKUNCZE TO STOPNIOWA TOTALITARYZACJA SPOŁECZEŃSTWA. "Kolektywizm" - pokonany na obszarze reform politycznej i gospodarczej - penetrować ma wódcześnie obszar dystrybucji. Tu właśnie, w programach "państwa dobrobytu" (*welfare state*) Hayek lokalizuje aktualne niebezpieczeństwo naruszenia równowagi między jednostką a społeczeństwem, obywatelem a państwem. Zajmuje się tym problemem w całym cyklu prac, ale główna rozprawa stanowi wydana w roku 1960 *The Constitution of Liberty* /10/. Krytyka interwencji państwa, dokonywanej w imię sprawiedliwości społecznej, podobnie jak krytyka planowania, wyrastają ze wspólnego pnia filozofii społecznej Hayeka. Jak zobaczymy dalej, na gruncie tej koncepcji pojęcie "sprawiedliwości społecznej" (*social justice*) pozbawione jest sensownej treści. Hayek jest konsekwentny: z przyjętej przez siebie przesłanki, iż nie sposób odkryć w społeczeństwie uzgodnionych kryteriów rozdziału dóbr materialnych i uznając, że przyjęcie jakichkolwiek kryteriów jako "lepsze" czy "sprawiedliwsze" byłoby arbitralne, wyciąga wniosek, iż należy w ogóle odrzucić dążenie do sprawiedliwości w dystrybucji. Skoro zatem model dystrybucji nie jest uprawomocniony bezspornym autorytetem społecznym, odrzućmy lepiej utopijną myśl o świadomym modelowaniu podziału dochodu narodowego. Inaczej mówiąc, Hayek odrzuca wszelkie programy sprawiedliwości dystrybucyjnej (*distributive justice*), zatrzymując się, jak wielu neoliberalów, na postulacie sprawiedliwości komutatywnej (*commutative justice*), realizowanej mechanicznie przez rynek i wykluczającej wszelką kontrolę typu politycznego (por. dalej). Cel tzw. ekonomiki dobrobytu - pisze Hayek - obarczony jest zasadniczym błędem nie tylko dlatego, że zadowolenie różnych ludzi nie składa się na żadną sensowną sumę, lecz dlatego, że koncepcja maksymalnego zaspokojenia potrzeb ma zastosowanie tylko w takiej gospodarce, która służy pojedynczej hierarchii celów.

Sprawiedliwość dystrybucyjna, równoznaczna z narzuceniem społeczeństwu

arbitralnej skali potrzeb i wartości, jest formułą kolektywistyczna, wprowadzająca do życia społecznego nieuzasadniony i rozrastający się element przymusu. Jej koszt moralny to stopniowy odpiływ etosu obywatelskiego. Obywatel staje się jakby klientem instytucji decyzyjnej, która stwarzając system zabezpieczeń socjalnych, dokłada wszelkich starań, by uwolnić jednostkę od odpowiedzialności za własne decyzje i błędy. Ta właśnie postawa, a nie sama idea opieki społecznej, czyni z "państwa dobrobytu" zagrożenie totalitarne.

Atrakcyjność hasel egalitarnych i programów *welfare* łączą Hayek z rosnącą obcością reguł gry rynkowej dla społeczeństwa, które w związku z tym coraz niechętniej poddaje się wyrokom rynku. Coraz trudniej o zrozumienie, że wyroki te potwierdzają użyteczność danej produkcji albo też pokazują, że nie jest ona dla nikogo potrzebna. Pośnie natomiast liczebność pracowników sektora publicznego, przywykłych traktować jako rzecz normalną specjalne przywileje tej grupy zatrudnionych, tj. stałość pracy, automatyczny awans związany z wysługą lat itp.

Propagatorzy państwa opiekuńczego podtrzymują złudzenie, że chodzi jedynie o korektę podziału, bez naruszenia efektywnych mechanizmów wytwórczych. W rzeczywistości jednak globalny produkt do podziału istnieje tylko dlatego w danej wysokości, że wypłaty za różne rodzaje pracy określa rynek, który nie uwzględnia zasług ani wysiłków, kieruje za to - poprzez premie pieniężne - kapitał i pracę w te dziedziny wytwórczości, gdzie mogą one w danym momencie najbardziej zwiększyć produkt społeczny. Koszt ekonomiczny "państwa dobrobytu" kryje się więc w zniekształceniu sygnałów cenowych rynku, zniekształceniu nieoddającym od celowej dystrybucji dochodów. Jeśli nagrody pieniężne zaczynają się odchyłać od rynkowych, gospodarka gubi swego automatycznego pilota i zmniejsza się produkt do podziału, będący dynamicznym efektem gry rynkowej.

Co więcej, przyjęcie przez państwo odpowiedzialności za dystrybucję urechamia przetrząsanie różnych grup społeczeństwa o uprzywilejowanie. Aktywizują się grupy nacisku (*lobbies*), interwencyjny tryb działania administracji gospodarczej staje się regułą, spirala błędnej alokacji zasobów nakreśla się już sama. Hayek przypomina - zauważają to nawet propagatorzy *welfare* - że z tej gry o przywilej wypadają cudzoziemcy. Chyba tylko w utopiach postulaty sprawiedliwości społecznej rozciągano na zagranicę. Międzynarodowy standard sprawiedliwej dystrybucji jest zresztą jeszcze trudniejszy do pomyslenia, niż kryteria wewnętrzne. Państwo opiekuńcze opiera się na podwójnym systemie moralności: głosząc egalitaryzm do wewnątrz, wzmacnia równocześnie nacjonalizm na zewnątrz - konkluduje Hayek.

Jeśli spojrzeć przez pryzmat ksiątek Hayeka - WIDMO KOLEKTYWIZMU krąży wciąż nad Światem Zachodnim. Nie chodzi przy tym o interwencje zewnętrzne, będącą złym snem mieszkańców Europy Zachodniej, lecz o wymykające się spod kontroli reformy wewnętrzne. Bogata twórczość Hayeka dokumentuje, jak widzieliśmy, wszystkie fazy neoliberalnej krucjaty przeciw socjalizmowi. Zacznął w czasie, gdy programy socjalistyczne przeformułowano już z hasła rewolucyjnego przewrotu na hasła pokojowej reformy społeczno-gospodarczej, łączącej socjalistyczne metody osiągania "sprawiedliwości społecznej" (planowanie, uspołecznienie) z poszanowaniem reguł politycznych demokracji parlamentarnej. Później Hayek polemiczował z coraz łagodniejszymi wersjami mitu socjalistycznego, które pozwalały wiarogodnie w odbiorze masowym ować obietnice zachowania demokracji i wolności obywatelskich. Autor *The Constitution of Liberty* jest jednak w swych ocenach bezkompromisowy. Różnice między umiarkowaną wersją planowania i redystrybucji a otwartą kolektywizacją przestrzeni ekonomiczno-społecznej mają dlań charakter wyłącznie ilościowy, przejście jednego w drugie ową za kwestie czasu. Drogi pośredniej nie ma.

HAYEK jest więc zarazem krytykiem politycznego pragmatyzmu. Świadomie wystawia się na zarzut niepraktycznego doktrynerstwa wiedząc, że w epoce "końca ideologii" jego przywiązanie do zasad jest niemodne, a pragmatyzm uważany jest za zaletę i polityczny ideał. *Droga do niewoli* pokazała, że



pragmatyczne rozstrzygnięcia składają się w istocie na ruch w określonym kierunku. Nie jest to bynajmniej ruch wstępujący cywilizacji zachodniej, która otwiera przed sobą nowe możliwości, potwierdzając zarazem swoje pryncypia. Odwrotnie, demokracja zachodnia dryfuje w kierunku kolektywizmu. Pragmatyzm zwycięża zasadę rządów prawa - eliminuje z potocznej świadomości i słownika politycznego wartości ograniczeń władzy. Uznanie w praktyce, że władza kształtująca stosunki społeczne w imię sprawiedliwości nie jest niczym związaną i wszystko co ustanowi ma charakter legalny, prowadzi do sytuacji, w której nie ma już wolnych obywateli, a pozostaje jedynie wolne państwo. Choć w końcu - jak pisze Hayek w *The Constitution of Liberty* - socjalizm został odrzucony jako świadomie wdrażany projekt, realizuje się on samoczynnie w toku wyzbytej z zasad (krytycyzmu) gry politycznej.

Współczesny liberalizm, w reprezentacyjnym wydaniu Hayeka, wskazuje zatem te zagrożenia wolności, które wkraczają niejako "kuchennymi drzwiami" - nie przez zmiany polityczne i radykalne reformy społeczno-gospodarcze, lecz przez stopniowe upolitycznianie życia gospodarczego i zniszczenie jego autonomii. Tematem kampanii neoliberalnej, w jej aspekcie krytycznym, jest groźba totalitaryzmu realizująca się przez wzrastającą kontrolę ekonomiczną. Hayek należy do zwolenników poglądu, że demokracja polityczna nie może przetrwać bez wolnego rynku - rynek i prywatna własność uważane są za kamień węgielny wolnego społeczeństwa. Mottem jednego z rozdziałów *Drogi do niewoli* jest cytat z pism Trockiego:

... w kraju, w którym jedynym pracodawcą jest państwo, opozycja oznacza śmierć z głodu. Stara prawda: "Kto nie pracuje, ten nie je" zostaje zastąpiona przez nową: "Kto nie jest pożyteczny, ten nie je".

Jest rzeczą zrozumiałą, że analiza mechanizmu totalitaryzacji systemu demokratycznego przeważa w pismach neoliberalistów nad wizerunkami pełnego systemu totalitarnego, nazywanego przez Hayeka kolektywizmem. Niemieńskie uchwycenie i wytkumaczenie zostały - stosunkowo wcześniej - generalne rysy tego systemu, w tragiczny sposób potwierdzone na oczach kilku pokoleń Polaków; fikcja swobód obywatelskich,ubożenie społeczeństwa przez zniszczenie rynkowych podstaw racjonalnego gospodarowania, militaryzacja życia, nacjonalizm i podsyćcane ksenofobie. Znajdujemy też u neoliberalistów szereg wnikliwych i niekiedy pionierskich analiz cząstkowych. Obfituje w nie szczególnie *Droga do niewoli* Hayeka. W rozdziale 10-tym pokazano tam mechanizmy negatywnej selekcji kadr oraz uniformizacji i konformizacji postaw. Pokrewne orwellowskiej wizji totalitarnej "korupcji prawdy", zarysowana jest w rozdziale 11-tym, przy czym szczególnie trafna wydaje się przepowiednia kompletnego przekłamania języka, zmiany znaczenia słów, przy pomocy których wyrażana jest ideologia reżimu.

Najczęściej ofiarą nadużyć pada słowo "wolność", w imię zasady "im więcej wolności, tym więcej mowy o wolności". Hayek należy do pionierów ujmowania całego tego aparatu kłamstwa i "perwersji języka" nie jako produktu ubożego, lecz jako cechy konstytuującej systemy totalitarne i przesadzającej o ich trwałości.

#### POGLĄDY HAYEKA NA POWSTAWANIE I EWOLUCJĘ FORM SPOŁECZNYCH

"Kolektywizm" ma swoje źródło intelektualne. Jest nim koncepcja człowieka świadomie budującego swą cywilizację, koncepcja, z której wynika "konstruktywizm", czyli przekonanie o możliwości i celowości zmiany istniejącego stanu rzeczy stosownie do obranego z góry planu. Dla Hayeka jest to brzemienne w skutkach błąd, któremu przeciwstawia własne rozumienie "zjawisk społecznych. Teoria społeczna Hayeka, wraz z jego teorią wiedzy i poglądem na naturę ludzka, służy zarazem jako naukowa podbudowa polemiki ideologicznej (opisanej wyżej) i jako punkt wyjścia dla budowy programu pozytywnego (por. dalej).

Hayek sięga głęboko wstecz historii i operuje bogatym materiałem dowodowym, by wykazać bezpodstawność mniemania, że wszystkie pożyteczne instytucje społeczne zawdzięczamy celowym działaniom grup ludzkich czy jednostek i tylko świadomy projekt uczynił je (lub może uczynić) przydatnymi dla naszych celów. Konstruktivismowi przeciwstawia swój ewolucjonizm - pogląd, że cały szereg trwałych i funkcjonalnych struktur społecznych powstał na żywiołowej drodze prób i błędów, społecznej improwizacji i selekcji. Wstępując w ślady szkockiej szkoły filozofii moralnej z XVIII wieku Hayek poleca naszej uwadze te formy społeczne, których nie sposób opisać w kategoriach "naturalnie-sztuczne", "żywiłowe - świadome" - takie, które powstały w wyniku działań ludzkich, ale nie są wytworem ludzkiego planu (*The Results of Human Action but not of Human Design* - tytuł jednego z esejów w zbiorze *Studies in Philosophy, Politics and Economics*). Normy moralne i zwyczaje, angielski system konstytucyjny, instytucje rynku towarowo-pieniężnego, ludzki język - oto przykłady form społecznych, które okazały się funkcjonalne dla pokojowego współżycia ludu, choć nikt ich w tym celu nie stwarzał, jako świadomego produktu.

Nie jest żadnym nadużyciem mówienie o swoistej, ukrytej mądrości tego, co istnieje. Dziedziczone przez nas instytucje, przekazane nam genetycznie lub kulturowo reguły behawioralne są produktem historycznej selekcji, kodażu doświadczenia naszych przodków - wiążą nas z przeszłością, ale są zarazem niezbędne dla społecznego istnienia i współżycia. Życie społeczne byłoby niewyobrażalne, gdyby każdy ruch jednostki - jak w grze w szachy - poprzedzał namysł: kalkulacja jego następstw i ocena reakcji innych ludzi. Omawiane formy regularnego zachowania umożliwiają wykonywanie niezliczonych, codziennych czynności rutynowo, bez namysłu nad każdym krokiem. Ten wyznakany i skomplikowany system reguł, będących syntetycznym nośnikiem wiedzy o pożądanym sposobach, zachowania się i oczekiwanych reakcji innych, rozwinął się na zasadzie swobodnego, twórczego eksperymentu, w toku którego życie zbiorowe ewoluowało od form plemiennych ku Wielkiemu Społeczeństwu, społeczeństwu opartemu właśnie na bezosobowych regułach (*rule-guided society*). Kluczową rolę w tej transformacji odegrały zasady sprawiedliwości, życia rodzinnego i własności prywatnej.

Ten skok cywilizacyjny przemawia, zdaniem Hayeka, za wyższością reguł systemów spontanicznych (*rule-guided society*) nad regułami systemów zorganizowanych. Konstruktivistyczny zamysł zastąpienia istniejących norm i instytucji przez nowy, zaprojektowany system niesie ze sobą ryzyko zniszczenia i spłytnienia, a nie uszlachetnienia subtelnej tkanki społecznej.

*Zanim uszczęmy w sposób inteligentny przebudować społeczeństwo, musimy zrozumieć jak ono funkcjonuje, musimy też założyć ryzyko błędów nawet wtedy, gdy wydaje nam się, że już wszystko zrozumieliśmy. Musimy dojrzeć do uznania tej prawdy, że cywilizacja ludzka żyje własnym życiem i że wszelkie nasze wysiłki reformatorskie dokonywane są wewnątrz funkcjonalnej całości, której nie jesteśmy w stanie w pełni kontrolować. /11/*

W zupełnym przeciwieństwie do tych, co ze skomplikowanej natury nowoczesnego społeczeństwa czynią argument na rzecz planowania, Hayek utrzymuje, że sprawy nasze już za daleko, by dalszy rozwój wspomagać świadomym planem. Nowoczesne społeczeństwo opiera się w swym funkcjonowaniu na bezosobowej regulacji zachowań jednostkowych, przy czym ten system nakazów kulturowych i reguł jest częściowo tylko wyartykułowany lub spisany. Obrona *rule-guided society* jest zarazem obroną jego kreatywności. Ostatnia praca Hayeka *The Fatal Conceit (Patalna próżność)* poświęcona jest w dużej mierze wykazaniu, że wchodzenie form życia zbiorowego na coraz wyższe stadia uczyniło program socjalistyczny przestarzałym i nieskutecznym. Jeśli pozwolimy - ostrzega Hayek - aby ludzki intelekt miał swobodę w narzucaniu społeczeństwu własnych schematów i rościł sobie wyłączność w dziedzinie

twórczych pomysłów, to nie powinno nas zaskoczyć, iż społeczeństwo, jako takie, straci moc twórczą.

Koronnym u Hayeka przykładem skomplikowanego mechanizmu społecznego, operującego swe funkcjonowanie na bezosobowych, nieprojektowanych regułach gry jest oczywiście RYNEK. Normy dotyczące umów i własności, w dużej mierze niesformalizowane, porządkują zachowanie uczestników gry rynkowej, pomimo iż niewątpliwie nie łączą ich wspólna skala wartości, ani też uzgodnione cele. W przeciwnej Hayekowi tradycji myślowej rynek utożsamiany jest ze społeczną dżunglą, terenem obowiązywania prawa silniejszego, gdzie sumaryczny efekt niekoordynowanych, egoistycznych działań jednostkowych różni się z optimum społecznym i kryteriami sprawiedliwości. Na tym tle planowanie byłoby szansą racjonalnej organizacji ludzkiej pracy dla wspólnego dobra. Przepisywalimy wcześniej, przewidziane przez Hayeka, polityczne i etyczne konsekwencje poddania się takiemu złudzeniu. W świetle filozofii społecznej Hayeka wykłania się argument prakseologiczny - przewaga rynku, jak i innych "systemów reguł spontanicznych", zasada się na większym zakresie spożytkowanej informacji. Wiedza - pisze Hayek - istnieje wyłącznie jako wiedza jednostek. Mówienie o wiedzy społeczeństwa jako całości jest co najwyżej metaforą. Suma wiedzy wszystkich jednostek nie istnieje nigdzie jako zintegrowana całość. Wiedza jest rozproszona, subiektywna, jednostkowa, nieorganizowana i lokalna - zatem tylko jednostki, swobodnie poruszające się w ramach uzgadnianych reguł, mogą zrobić z większości wiedzy użytek. Dopiero udział w grze rynkowej uruchamia proces zdobywania informacji przez producentów i nabywców (*Competition as a Discovery Procedure* - tytuł jednego z esejów w zbiorze *New Studies in Philosophy, Politics, Economics and the History of Ideas*). Bez praktycznego testu rynku nie ujawnia się rzeczywiste preferencje konsumpcyjne i nie sposób potwierdzić optymalnej kompozycji nakładów, potrzebnych do zaspokojenia popytu danej cenie. Gdy decyduje o tym co robić (nie tylko w gospodarce) należy do milionów indywidualów, a nie do planistycznego centrum, wtedy po prostu więcej informacji ulega przerobieniu i wykorzystaniu. Centralny plan to zbiorowe oddanie się tylko jednemu "zamawianiu" przyszłości. Ryzyko błędu i rozmiary straty są tym mniejsze, im bardziej owe przewidywania i idące jego śladem wybory są zdecentralizowane i tym samym urozmaicone.

Precyzyjnym nośnikiem informacji jest przede wszystkim system cen rynkowych. Jest to system czułych wskaźników, rejestrujących zmiany i oferujących oszczędna, liczbową informację tym, których ona interesuje. Tak jak śledzenie niektórych wskaźników tablicy rozdzielczej - według porównania użytego przez Hayeka - zapewni kontrolę nad pracą maszynowni i ewentualna korektę błędów, tak samo śledzenie wybranych cen i kursów giełdowych, bez potrzeby wejścia w skomplikowany mechanizm gospodarczy, wyposaża uczestników gry rynkowej w wiedzę potrzebną do skutecznego podejmowania decyzji. Ten informacyjny system rynku jest daleko bardziej subtelny i rozwinięty, niż baza informacyjna gospodarki scentralizowanej. Z tego względu planowanie może być skuteczne jedynie jako technika organizowania jednowymiarowych przedsięwzięć - Hayek podaje spektakularne przykłady niemieckiego systemu autostrad, amerykańskiego programu NASA i radzieckich programów militarnych. Nic jednak nie zastąpi rynku, jeśli chodzi o efektywną realizację różnych celów poszczególnych ludzi. Pokazując wyższość gospodarki rynkowej nad planowaną w kategoriach informatycznych Hayek idzie śladem Misesa i powiela zasadniczy argument neoliberalny. Neoliberalowie, począwszy od lat dwudziestych, przypominają, że problem alokacyjny w nowoczesnej gospodarce, to przede wszystkim problem zgromadzenia i przetworzenia odpowiedniej ilości informacji, a nie łatwiejszy i bardziej techniczny problem optymalnego wyboru sytuacji, gdy wystarczająca baza informacyjna została już zapewniona.

Analiza rynku jako mechanizmu sterowanego przez bezosobowe reguły zwyczajowe i prawne, służy także Hayekowi do rozprawy z hasłem "sprawiedliwości społecznej". Cecha sprawiedliwości może być sensownie przypisywana jedynie czynom ludzkim. Jeśli odnosimy to pojęcie do jakiegoś stanu rzeczy, ma to

sens tylko w tej mierze, w jakiej uznajemy, iż ktoś jest sprawcą tego stanu lub do niego dopuścił. Wynik gry rynkowej nie ma takich sstrybutów, należy bowiem od sprawności, posiadanej wiedzy, żutu szczęścia, nieprzewidywalnych do końca reakcji konkurentów i konsumentów, ogólnej koniunktury itp. czynników, nad którymi nikt nie może zapanować. Działanie rynku opiera się na przestrzeganiu przez strony pewnych reguł - niesprawiedliwością byłoby złamanie którejs z tych pisanych lub niepisanych reguł. Jeśli jednak nikt ich nie złamał, to nikt nie postępował niesprawiedliwie. Nie do pomyślenia jest taki system reguł, który jednocześnie zapewniłby sprawne funkcjonowanie gospodarki rynkowej i wyeliminował rozczarowanie jednostkowe. Każdy wydumany system, który to obiecuje, jest groźną w skutkach utopią.

Koncepcja Hayeka wyklucza więc sensowność stosowania ocen etycznych do modelu dystrybucji rynkowej. W świetle tej koncepcji staje się rzeczą zrozumiałą, że wypłaty rynkowe nie są związane z tzw. zasługami (*merits*) czy potrzebami (*needs*) jednostek. Zasługi lub potrzeby są to natomiast podstawowe kryteria determinujące porządkany rozdział dóbr w rozmaitych modelach "sprawiedliwości dystrybucyjnej". Hayek dowodzi - jest to jeszcze jeden aspekt ujmowania społeczeństwa w kategoriach indywidualistycznych, jako zbioru autonomicznych jednostek - że niemożliwe jest ustalenie obiektywnej skali zasług lub wyważenie bezspornej skali potrzeb - oceny w obu wypadkach będą zawsze subiektywne. Usługi wartościowane przez pewne osoby wysoko, mogą nie mieć znaczenia dla innej grupy osób (Hayek operuje przykładami piłkarza i skrzypka). Świadomość braku wspólnej skali ocen prowadzi do odrzucenia możliwości oceniania zasług jednostki przez zbiorowość i manifestowania tej oceny w drodze rozdziału społecznych kar i nagród /12/. Możemy poznać jedynie, dzięki obiektywizacji dokonanej przez rynek, społeczną wartość rezultatów (*outputs*) i to powinno nas satysfakcjonować. Wypłaty rynkowe nie są ani sprawiedliwe ani niesprawiedliwe, ani złe ani dobre - są faktem. Mogą nie odpowiadać subiektywnym wyobrażeniom o zapłacie godziwej czy zapłacie stosownej do potrzeb, ale odzwierciedlają bez wątpienia użyteczność usług dla ich odbiorców. Jest to maksimum osiągalne w warunkach wolnego społeczeństwa - pogodzenie się z tym jest testem na to, czy pozostajemy w chęć liberalnej mądrości, czy też przekraczamy granice idealizmu politycznego.

Filozofia społeczna Hayeka stanowi, jak widzimy, bazę wyjściową do ataków na celowe kształtowanie stosunków społecznych, czy to w formie planowania, czy też w formie różnych modeli "sprawiedliwości dystrybucyjnej". Warto podkreślić jeszcze raz wagę, jaką ma w tym systemie myślowym argument ograniczonej wiedzy. Ograniczenie to dotyczy nie tylko faktów (np. znajomość preferencji konsumpcyjnych, technik produkcji itp.), dotyczy tym bardziej zależności przyczynowo-skutkowych, będących przedmiotem nauk społecznych. Pesymizm Hayeka w ocenie możliwości poznania praw dynamiki i statyki społecznej oraz przewidywania na tej bazie przyszłości, wyposaża jego krytykę "konstruktywizmu" i "inżynierii społecznej" w dodatkowe argumenty. "Konstruktywizm" idzie najczęściej w parze z racjonalistycznym przesądem w ocenie intelektualnych możliwości człowieka. "Kolektywizm ideologiczny" ma najczęściej wśród składników "kolektywizm metodologiczny", czyli skłonność do opierania w nauce takimi całościami, jak np. społeczeństwo, ekonomia, kapitalizm. Upraszcza to przedmiot obserwacji, ułatwia nadanie mu jednego wymiaru, absolutyzowanie jednego aspektu ("istoty") czy pojedynczej zależności przyczynowej. Inną formą nadużyć, typową dla nauk społecznych, jest scientyzm, czyli imitacja metodologii nauk ścisłych, dająca w efekcie mechanistyczny opis zachowań i interakcji ludzkich, złudzenie przewidywalności itp. Hayek demaskuje kolektywistyczne i scientystyczne nadużycia nauk społecznych, ale nie jest to w jego twórczości wątek oryginalny czy głęboki - najpierw kontynuuje metodologię "szkoły austriackiej", potem ulega wpływom Karla Poppera /11/. Poprzedzamy zatem na stwierdzeniu, że - stojąc na gruncie osobliwości nauk społecznych Hayek zwalcza fałszywe ambicje nauki w sferze polityki i pokazuje, w jaki sposób na glebie naukowego prometeizmu wyrasta skłonność do totalitarnej manipulacji społeczeństwem.

Autor *Drogi do niewoli* staje się jednak niezwykle kompetentny, gdy ilustruje swoje tezy metodologiczne przykładami z dziedziny ekonomii. Postąpił tak na przykład 11 grudnia 1974 roku, odbierając w Sztokholmie Nagrodę Nobla, kiedy mówił w wykładzie okolicznościowym o *pretensjach nauki* /14/. Nigdy nie cenił sobie teorii konkurencji doskonałej i modeli równowagi ekonomicznej z racji przyjętych tam założeń, iż wszyscy uczestnicy gry rynkowej posiadają pełną znajomość rynku, preferencji konsumpcyjnych, technik produkcji i zasobów czynników produkcji. Problem optymalnej alokacji zasobów zmienia się na gruncie takich założeń w logiczno-matematyczny zestaw równań. Perspektywa jego rozwiązania pociągała zawsze i inspirowała entuzjastów "naukowego" kierowania czy "sterowania" systemami ekonomicznymi. Daremność wysiłków zamknięcia procesów ekonomicznych w użytkowe formuły matematyczne staje się oczywista dopiero wtedy, gdy uświadomimy sobie prawdę o "społecznej dystrybucji wiedzy". We wspomnianym wykładzie sztokholmskim Hayek skoryzystał jeszcze raz z publicznej okazji, by - na przykładzie keynesizmu - napiętnować "arogancję" nauk ekonomicznych, prowadzącą do szkodliwych założeń praktycznych. Keynesizm powielił błąd scjentyzmu - wzorem nauk ścisłych skupia uwagę na tym, co mierzalne, konkludując agregatami i ignorując pozostałe zjawiska i zależności. Absolutyzowanie pozytywnej korelacji między zatrudnieniem i globalnym popytem - zależności, która może być liczbowo wyrażona i statystycznie zweryfikowana - prowadziło do założeń inflacyjnej polityki gospodarczej /15/. Inflację zaś uważa Hayek za największą chorobę ekonomiczną naszych czasów. Pieniądz wprowadzony na rynek nie jest bowiem neutralny, inflacja powoduje ekonomiczną dyslokację, która pogłębia się szybko w miarę dalszego dawkania keynesizmu. W ten sposób gospodarka zachodnia wpędzona została w pułapkę stagflacji.

Wszystkie rejestrowane przez nas w tym ustępie wątki myślowe Hayeka i teoria rozwoju społecznego, teoria wiedzy, teoria ekonomii, a także nie prezentowany i trudny do zrekonstruowania pogład na naturę ludzka, zbiegają się harmonijnie w podstawowej tezie polemicznej: na gruncie logicznym i przez wzgląd na totalitarne implikacje należy odrzucić złudzenie, iż człowiek powinien tworzyć taką cywilizację i taki porządek społeczny, jakie jego proces rozumowania pozwala mu obmyślić.

### KONSTITUCJA WOLNOŚCI

Bogaty materiał dowodowy, prowadzący do krytyki tendencji kolektywistycznych, uzasadnia program pozytywny Hayeka - imponująca konstrukcja myślowa, obejmująca rozwinięty system aksjologii politycznej, wyprowadzone z niego ogólne zasady konstytuujące wolne społeczeństwo oraz zgodne z tymi zasadami propozycje konkretnych rozwiązań praktycznych. Tak więc ograniczona zdolność człowieka do uzyskania wiedzy o faktach i mechanizmach nie wyklucza u Hayeka możliwości racjonalnego uzasadnienia czy krytykowania wyborów ze świata wartości politycznych.

Refleksja Hayeka nad znaczeniem i stosunkiem wzajemnym takich wartości jak wolność, równość sprawiedliwość, praworządność jest bez wątpienia najpełniejsza weraja neoliberalnej aksjologii i prowadzi do najbardziej spójnej wśród neoliberalów wizji polityczno-społeczno-gospodarczej.

Wolność zajmuje naczelną miejsce w liberalnej i neoliberalnej hierarchii wartości. Cały pozytywny wysiłek neoliberalów, cała ich filozofia polityczna, jest poszukiwaniem sposobów zorganizowania i obrony wolności jednostki w warunkach nowoczesnego społeczeństwa. Hayek zrobił więcej niż inni (z wyjątkiem może Isiaha Berlina), by wyartykułować liberalne pojęcie wolności - oczyścić je z historycznie narosłych zniekształceń. Jako naczelną wartość *wolność ... musi być zaakceptowana jako wartość sama w sobie, jako zasada, która powinna być respektowana bez rozstraszania, czy konsekwencje w każdym wypadku będą Hobbozyczne.*

W gruncie rzeczy jednak liberalny imperatyw wolności oparty jest na empirycznie weryfikowalnym przekonaniu, że saldo pozytywnych i negatywnych

następstw wolności będzie zawsze dodatnie. Wolność ceniona jest jako niezbywalny składnik ludzkiej godności i jako warunek kreatywności społeczeństwa. Uzasadnienie mieliśmy wcześniej. Nie mogąc zaplanować postępu, możemy stworzyć warunki, w których będzie on bardziej prawdopodobny - dając mianowicie ludzi swobodę eksperymentu i jak najpełniejszego wykorzystania ich wiedzy w konkretnych okolicznościach czasu i miejsca. Wolność zatem tożsama jest z bogactwem możliwości rozwojowych, jest otwarciem się na przyszłość.

Wolność, o której pisze Hayek, nie jest równoznaczna ani z wolnością polityczną (uczestnictwem w wyborze i kontroli władzy), ani z wolnością wewnętrzną (zakresem, w jakim osoba kieruje się w działaniu własną świadomą wolą), ani też z faktycznymi możliwościami urzeczywistnienia przez kogoś swojej woli. Hayek zajmuje się wolnością osobistą (*individual freedom, personal liberty*).

Definicja wolności jest u Hayeka następująca: wolność jest stanem braku przymusu - istnieje wtedy, gdy człowiek nie jest narażony na przymus wynikający z arbitralnej woli innych ludzi (*the state in which a man is not subject to coercion by the arbitrary will of another or others...*)/16/. Ideał neoliberalistów definiowany jest więc w sposób negatywny, jako "wolność od"; wolność negatywna - wolność postępowania w granicach przysługującej każdej jednostce, nienaruszalnej sfery prywatności. Przymus to taka kontrola otoczenia lub sytuacji danej osoby, dokonywana przez kogoś innego, że w celu uniknięcia większego zła, osoba ta zmuszona jest działać nie wedle własnego, spójnego planu, lecz posłuszyć całemu kogos innego. Hayek - pozostając wiary swemu sposobowi myślenia, ale narażając się na liczne zarzuty - wyłącza z pojęcia przymusu stany nie będące efektem działania konkretnych jednostek, lecz będące cechami systemu społeczno-ekonomicznego, nawet jeśli te ostatnie ograniczają zakres swobody wyboru jednostek i stawiają je w sytuacji "przymusowej". Hayek uważa powyższe determinanty za rzecz naturalną, natomiast przymus personalny jest złem, którego rozmiar należy redukować. Wolne społeczeństwo radzą sobie z tym problemem przez przerzucenie monopolu przymusu na państwo, podporządkowanie jego stosowania zasadzie rządów prawa i ograniczenie do przypadków, w których akcja państwa jest konieczna, by ochronić obywateli przed przymusem ze strony osób prywatnych. Kryje się w tym przesvědzenie, że oparcie przymusu na ogólnych, abstrakcyjnych, znanych powszechnie regułach stanowi mniejsze zagrożenie dla wolności osobistej, niż decyzje *ad personam*; że w dodatku zakazy są mniej opresyjne niż nakazy, jako że postawiają człowiekowi całą gamę możliwości (poza jednym, zakazanym wariantem postępowania).

Hayek wracał kilkakrotnie do definicji przymusu, uściślając ją pod wpływem krytyki; zdawał sobie też sprawę z trudności, na jakie narażone są próby wytyczenia granic chronionej sfery jednostki, próby podejmowane przez liberałów od czasu Johna Stuarta Milla. Skrócił ten wątek stwierdzając, że potrzeba zapewnienia sfery prywatności jednostek, chronionej od wszelkiej ingerencji, jest podstawowym dogmatem liberalizmu. Myśl liberalna wybiera otwarcie "negatywny" aspekt wolności - niezależność, szeroko rozumiane swobody osobiste, wolność słowa, dźwięku, stowarzyszeń itp. Pozytywny aspekt wolności - możliwość (w sensie warunków społeczno-ekonomicznych) wszechstronnego rozwoju osobowości - obdarzany jest przez neoliberalistów nieufnością, ze względu na częste nadużycie tego ideału. Nadużycia te zanalizował w sposób klasyczny I. Berlin, zaś Hayek opisuje je w pierwszym rozdziale *The Constitution of Liberty*. Droga ku wolnościom pozytywnym, czy ideałom samorealizacji wiedzy na ogół przez urzeczywistnienie "sprawiedliwości społecznej", wymaga interwencji państwa, która narusza często swobody osobiste pod pretekstem realizacji stanu określonego mianem "prawdziwej wolności". W ten sposób hasło wolności pozytywnej stało się narzędziem despotyzmu, uszczęśliwiania ludzi na siłę, dyktatury w imię "wyższych celów". Dlatego liberałowie zatrzymują swe ambicje polityczne na poziomie ograniczonego, negatywnego aspektu wolności - interesują ich formacje prawne i materialne gwarancje swobody, a nie sposób, w jaki jednostka zapełnia otrzymane wolne

pole. Wolność liberalna - pisze Hayek - nie zapewnia nam żadnych szczególnych możliwości, lecz pozostawia nam decyzję o tym, jaki użytek zrobić z okoliczności, w których się znajdujemy.

Konstytutywną cechą wolności jest odpowiedzialność moralna i materialna; konieczność ponoszenia konsekwencji dokonanych wyborów. Komplementarność wolności i odpowiedzialności oznacza, według Hayeka, że postulat wolności może dotyczyć tylko tych, którzy są uważani za odpowiedzialnych. Liberalizm rozdził się w XVIII wieku jako program uwolnienia jednostki od zbytecznych już więzów społecznych i ten indywidualistyczny postulat podtrzymywany jest u Hayeka; domaga się on poszanowania autonomii jednostki, jako podmiotu uprawnionego w granicach prawa do realizowania własnych celów i wartości.

Hayek uchyla się od precyzyjnego wytyczenia granic niezbędnej sfery niezależności jednostki, ale podaje bez wahania warunek wyjściowy jej istnienia - zachowanie własności prywatnej. Istnienie rynku opartego na własności prywatnej środków produkcji jest najlepszym sposobem pomniejszania zakresu przymusu w społeczeństwie - nie jesteśmy bynajmniej poddani arbitralnej woli sprzedawców, usług i towarów, jako że wybieramy spośród wielu z nich, a oni, zaspokajając nasze potrzeby, realizują własne cele i nie są zwykle zainteresowani użytkowaniem, jaki robimy z nabytych dóbr i usług. Rozgałęziony system praw stojących na straży umów i własności - pisze Hayek - czyni obcą własność użyteczną dla naszych celów i pełni zasadniczą rolę w tworzeniu materialnych gwarancji naszej niezależności. W społeczeństwie jest tym więcej wolności, im większy jest w nim procent niezależnych przedsiębiorców. Pracownicy najemni uważają za niepotrzebne liczne aspekty wolności, które są niezbędne osobom czerpiącym środki do życia z własnego interesu (*men of independent means*). Gospodarzenie "na swoim" narzuca bowiem określony ethos, obcy urzędnikom i pracownikom najemnym, przejawiający się w większej inicjatywie, skłonności do ryzyka i eksperymencie, odpowiedzialności za własne decyzje, ogólnie zaś w mniejszym zapotrzebowaniu na funkcje opiekuńcze państwa. Oczywiście ethos ten towarzyszy indywidualnym formom własności prywatnej, a zaczyna być gubiony w miarę przechodzenia ku złożonym formom współwłasności - trudniej byłoby przypisać wymienione cechy np. akcjonariuszom dużej korporacji. Stąd też, kojarząc sprawę wolności z obrotową własnością prywatną, Hayek podsuwa zarazem wizję gospodarki zdecentralizowanej, opartej na licznych, niezależnych przedsiębiorstwach. Rozrost ciał korporacyjnych uważa za tendencję niepożądaną, polecając ten problem uwadze polityków (o czym dalej).

Hasło równości mieści się w zbiorze wartości politycznych Hayeka, ale otrzymuje w nim miejsce zdegradowane i treść stosowną do kontekstu gospodarki rynkowej. Hayek ogranicza się do postulatu równości formalnej - równości w obliczu prawa. Istotą żądań równości wobec prawa jest to, że ludzie powinni być traktowani na równi, pomimo, że w rzeczywistości są bardzo różni. Nie da się tej zasady pogodzić z progresywnym opodatkowaniem i wszelkimi poczynaniami redystrybucyjnymi państwa - są one dla skrajnego skrzydła neoliberalistów formą przywileju i przymusu. Oferta Hayeka to mniej nawet aniżeli równość szans (*equality of opportunity*), gdyż w warunkach wolnego społeczeństwa ideał równości szans nie jest w pełni osiągalny. Można się do niego co najwyżej przybliżyć, np. utrzymując powszechne nauczanie i wolny dostęp do wszystkich rynków.

Równość wobec norm prawnych i nieprawnych jest jedynym rodzajem równości, jaki prowadzi do wolności i jedynym rodzajem równości, jaki możemy zabezpieczyć nie niszcząc wolności.

Musimy przyjąć, iż logika wolności prowadzi do materialnej nierówności - wszak niektóre z dostępnych powszechnie sposobów życia i zarobkowania muszą być skuteczniejsze od innych. Materialna nierówność nie jest zresztą takim złem, które usprawiedliwiłoby stosowanie przemocy, mającej na celu odebranie jednym i oprzywileżowanie drugim. Ze zwykłą sobie ostrością i odwagą głoszenia poglądów niepopularnych, Hayek dowodzi tezy funkcjonalności różnic majątkowych dla postępu. Powołuje się w tym celu, szczególnie w

rozdziale III i VIII *The Constitution of Liberty* na świadectwo historii i argumenty analityczne. Chodzi między innymi o styl życia bogatych (*ethos of the wealthy*), który jest swoistym testowaniem przyszłych masowych preferencji konsumpcyjnych i norm obyczajowych - bogaci ulepszą wiedzę o tym, jakie opcje konsumpcyjne powinny stać się udziałem powszechnym, jakie dobra powinny trafić do powszechnego obiegu. Szermując takimi, jatrzącymi zapewne zmysł egalitarny, argumentami, Hayek sytuuje się w rzędzie obrońców praw dziedziczenia i tolerancji dla klasy "próchniaczej" (*idle rich*). Uleganie presji egalitarnej prowadzi, zdaniem Hayeka, w dłuższym horyzoncie czasowym, do zahamowania postępu, obracając się w ostatecznym rachunku przeciw konsumentowi masowemu.

Priorytet wolności w stosunku do równości określa też miejsce i treść sprawiedliwości w systemie aksjologii politycznej Hayeka. Kontekst gospodarki rynkowej daje się pogodzić jedynie, jak wyjaśnialiśmy, z ideałem sprawiedliwości kommutatywnej. Przypomnijmy, że ... *sprawiedliwość kommutatywna nie bierze pod uwagę okoliczności osobistych ani subiektywnych, potrzeb ani dobrych chęci, lecz wytyczając to, jak rezultaty działań jakiejś osoby oceniane są przez tych, którzy czynią z nich użytek.*

Hierarchia wartości politycznych Hayeka znalazła odzworowanie w podanych przezeń zasadach rządzących wolne społeczeństwo.

Naczelna zasada rządów prawa (*rule of law*) wciela w życie i gwarantuje nadrzędną wartość - wolność osobista jednostki. Koncepcja *rule of law* jest kłamrą spinającą wyśnienie polityczne Hayeka - ku niej biegną uzasadnienia i argumenty, z niej są wyprowadzane pozostałe reguły organizacji wolnego społeczeństwa. Będąc najwyższą zasadą i kryterium wartościowania form politycznych, koncepcja *rule of law* jest zarazem doktryną meteprawną - pozwala wyróżnić w całej "produkcji" normatywnej współczesnego państwa zbiór norm zastępujących na miano "prawdziwego prawa". Dokonując takiego rozróżnienia, Hayek popada w zamierzony, będący u neoliberalów regułą, konflikt z pozytywizmem prawniczym. "Prawdziwe prawo" (*law*) odróżnia się od zwykłych "nakazów" (*commands*) tym, że tłumaczy na język norm pozytywnych zasady sprawiedliwości, będące spoiwem liberalnego społeczeństwa. Zadaniem ciała ustawodawczego i sądownictwa jest właśnie odkrywanie i artykułowanie tych ewolucyjnie ukształtowanych zasad - w taki sposób, by tworzyły koherentny zbiór przepisów. Normy prawne o takim rodowodzie spełniają na ogół formalne wymogi, jakie stawia Hayek "prawdziwemu prawu":

- muszą być ogólne i abstrakcyjne (*general and abstract*), tj. odnosić się do jeszcze nieznanego przypadków i nie zawierać żadnych odniesień do konkretnych osób, miejsc lub przedmiotów;
- muszą być znane i pewne (*known and certain*), co sprawia, że decyzje sądowe można przewidzieć;
- muszą się stosować na równi do wszystkich (*apply equally to everybody*).

Podane cechy są zbliżone z wymogami, jakie stawiał Hayek niezbędnym aktom przymusu. W obu wypadkach chodzi o to, by państwo nie mogło za pomocą regulacji prawnych polepszać lub pogarszać sytuacji konkretnych grup lub jednostek.

Uszczegółowienie tych meteprawnych wytycznych, dokonane przez Hayeka w X i XIV rozdziale *The Constitution of Liberty*, następuje szereg wątpliwości; przedstawił je między innymi W. Sadurski /17/. Z kolei wytrwały krytyk Hayeka Ronald Hamowy zwraca uwagę na sprzeczność między koncepcją "prawa tworzonego przez sędziów" (*Judge made law*) i wytyczną minimalizacji władzy uznaniowej; sprzeczność, której nie usuwa milczące założenie Hayeka iż sędziowie mogą być biernymi przekazywaczami ogólnych reguł sprawiedliwości, stosując je bezstronnie do konkretnych przypadków. Pamiętając o tym i innych głosach krytycznych, odbieramy jednak zamysł Hayeka jako czytelną zasadą rządów prawa ma być anteteza władzy uznaniowej i nieograniczonej. Koncepcja wolności pod rządami prawa (*freedom under the law*) - pisze Hamowy - opiera się na przekonaniu, iż wtedy, gdy podporządkowujemy się prawom rozumianym jako ogólne, abstrakcyjne reguły, ustanowione bez intencji stosowania ich do nas, nie jesteśmy podporządkowani woli innego człowieka,



a zatem jesteśmy wolni.

W świetle tej koncepcji żaden rodzaj wolności nie może być nieograniczony - zarówno czyjaś wolność słowa, jak i na przykład wolność praktyk religijnych musi mieć limit w przysługującej nam i wytyczonej przez reguły ogólne strefie prywatności, chronionej przed obcą ingerencją.

Najważniejsze, najbardziej brzemienne ograniczenie ze strony zasady rządów prawa dotyczy wolności politycznej. Pojawia się tu problem stosunku wzajemnego liberalizmu i demokracji. Zasada "rządów państwa" interpretowana jako postulat udziału wszystkich obywateli w kształtowaniu prawa i decyzji politycznych, stanowi punkt stykowy idei liberalnej i idei demokratycznej. Logika liberalizmu wiezie więc ku demokracji - w epoce kształtowania się systemów parlamentarnych (pierwsza połowa XIX wieku) obie idee były praktycznie nierozłączne. Demokratyczny sposób rządzenia, który nie jest tożsamy z wolnością, okazał się w toku weryfikacji historycznej najbardziej zgodny z potrzebami wolnego społeczeństwa. Hayek wymienia następujące pozytywne pływające z demokratycznej formuły rządów: jest to metoda pokojowego rozwiązywania konfliktów, ponadto będąc nade wszystko procesem formowania opinii, przyczyniła się do szerszego i lepszego zrozumienia spraw publicznych przez społeczeństwo. Obie zasady przejawiają się nie tylko w skali globalnej - już w *Droga do wolności* Hayek podkreślił korzyści "małej demokracji":

*Nigdzie i nigdy demokracja nie funkcjonuje dobrze bez dużej dawki lokalnego samorządu, będącego szkołą politycznego treningu całego narodu i jego pryncypalnych przywódców (...). Tylko wówczas, gdy odpowiedzialności można się nauczyć i ją dalej ćwiczyć w sprawach, które są ludzkiem bliskie, w których motywem i wyznacznikiem działania jest świadomość potrzeb sąsiada, a nie teoretyczna wiedza o potrzebach innych ludzi, wtedy tylko zwykły człowiek może mieć realny udział w życiu publicznym ....* /18/

Zatem Hayek dochodzi do demokracji poprzez pływające z niej korzyści (w zakresie edukacji politycznej i możliwości pokojowej zmiany). Według określenia R. Arona - Hayek, tak jak wcześniej Tocqueville, jest demokracją pojęciem jest liberalizm, a nie odwrotnie. Liberalizm i demokracja zmierzają zgodnie do tego, by tam, gdzie potrzebne jest działanie zbiorowe i akcja rządu, głos należał do większości. Ale stosunek wzajemny demokracji i liberalizmu jest stosunkiem metody i celu - demokracja jest sposobem osiągnięcia wyższych celów filozofii wolności. Hayek dowodzi, że demokratyczne narzędzie sprawdza się i jest użyteczne tylko w ramach zasady rządów prawa. Liberalne ograniczenia uszlachetniają demokrację; bez nich demokracja korpuluje się i kompromituje swe założenia ideowe.

Liberalny priorytet wolności jednostki wytycza granice woli większości, będącej żywiołem demokracji. Demokracja zna tylko jedno ograniczenie: aktualny stan opinii publicznej. Liberalizm domaga się, by władza większości była ograniczona przez długotrwałe zasady, które nie mogą być zmieniane ani naruszane przez aktualną większość. Możemy mieć albo wolny parlament, albo wolny naród - pisze Hayek. W innym miejscu dodaje:

*Grupa ludzi zaszywaną staje się społeczeństwem nie przez ustanowienie dla siebie praw, lecz przez respektowanie tych samych reguł postępowania. Oznacza to, że władza większości ograniczona jest przez te reguły, które wyznaczają zasady i że poza nimi nie istnieje prawowita władza (...). Gdy natomiast usza się, że prawem jest wszystko to, co zostało ustanowione przez większość, demokracja degeneruje się w demagogię, a następnie w tyranie.*

Omyślanie instytucjonalnych ograniczeń władzy, w tym władzy demokratycznej większości, należy do obowiązków stanowiącego się liberała. Pomysł - od czasów Locke'a, Monteskiusza i Ojców Konstytucji Amerykańskiej - idą w trzech kierunkach: realnego podziału władzy, ograniczenia pola polityki w ogóle, oraz "uszlachetnienia" systemu przedstawicielskiego. Wszystkie trzy

kierunki obecne są w programie Hayeka, który do długiej listy liberalnych pomysłów dopisuje właśnie: idee dwóch zgromadzeń przedstawicielskich - ciała kompletowanych w odmienny sposób, działających bezkolizyjnie, mających do czynienia z rozłącznymi problemami /19/. Wspomniane wcześniej rozróżnienie dwóch rodzajów aktów legislacyjnych prowadzi do rozróżnienia dwóch dziedzin współczesnego parlamentaryzmu:

- prawodawstwo w ścisłym znaczeniu, czyli ustalanie stałych, ogólnych zasad, które rządzić mają działalnością społeczeństwa; byłaby to funkcja zgromadzenia prawodawczego (*the law making assembly*);
- bieżące kierowanie aparatem rządowym i środkami, które są w jego dyspozycji; byłaby to funkcja zgromadzenia zarządzającego (*the governmental assembly*).

O ile drugie zgromadzenie nie odbiegałoby w swych funkcjach od współczesnego parlamentu zachodniego (w systemie parlamentarno-gabinetowym), to nadanie pierwszej izbie parlamentu charakteru czysto prawodawczego miałooby ożywić martwą dotąd, zdaniem Hayeka, zasadę podziału władzy. Praktycznie od momentu narodzin parlamentaryzmu prawodawstwo miesza się z kontrolą aparatu administracyjnego, przez co ... *reszty świata władze rządu w takimże są współczesnych krajów nie była pod prawem, jako że znajdowała się w postaci ciała, które zawsze mogło stanowić takie prawa, jakie były użyteczne dla konkretnych celów aparatu rządowego*. Oryginalna, rozstrawiana przez krytyków koncepcja Hayeka ma to naprawić - jego zgromadzenie ma uzyskać maksymalną niezależność; stając się podmiotem *rule of law* a nie instytucją promującą takie czy inne programy polityczne. Członkowie tego zgromadzenia nie powinni być zależni od poszczególnych grup interesu ani związani dyscypliną partyjną; powinni reprezentować przeważające w społeczeństwie opinie (*prevailing opinions*) o tym, jaki rodzaj postępowania jest właściwy, i jaki nie. Sposób widzi Hayek w procedurze wyborczej i długiej, jednorazowej kadencji, tak kresząc swój projekt:

*Każde pokolenie wybiera raz w życiu, powiedzmy w wieku lat czterdziestu, przedstawicieli, których kadencja trwa piętnaście lat, mających zapewniona potem prace w charakterze sędziów. Zgromadzenie prawodawcze składałoby się więc z mężczyzn i kobiet w wieku od czterdziestu do pięćdziesięciu lat (...) wybranych przez swoich rówieśników (...). Wyobraź sobie, że taki wybór przez rówieśników, którzy są najlepszymi sędziami zdolności osłowiek, mający charakter nagrody przyznanej dla "najbardziej udanych członków klasy", zbliżyłoby się bardziej do ideału teoretyków polityki - senatu mądrych - niż jakikolwiek system dotychczas realizowany. I pewnością umożliwiłoby to po raz pierwszy reszty świata rozdzielić władzę, rząd podopieczności prawa i służebność rządu prawa.*

W koncepcji Hayeka pobrzmiewa nuta właściwego liberałom sceptycyzmu w ocenie "zdolności politycznej" mas i ich instynktu wolnościowego. Większość nie musi mieć racji - decyzje większości są na ogół gorsze aniżeli decyzje podejmowane przez naturalną elitę po wysłuchaniu wszystkich opinii. Ożywa u Hayeka stary pomysł merytokracji, jeszcze raz przedłożono projekt rozwiązania parlamentarnego (domagał się go w XX wieku też Walter Lippman), które zapewniłoby coś więcej aniżeli zwykłe decyzje większościowe, pozwoliłoby artykułować waższą, ponadindywidualną mądrość.

Prawa nadane przez ów senat mądrych wytyczałyby ramy swobody drugiego zgromadzenia. Sposób funkcjonowania swego modelu konstytucyjnego ilustruje Hayek na przykładzie ustawodawstwa polskiego. Opodatkowanie, jako czynność zawierająca element przymusu, powinno być prowadzone w ramach zasad określonych przez ciało wyższe. Ewentualne spory kompetencyjne między zgromadzeniami miałyby rozstrzygać trzeci element modelowego zestawu - sąd konstytucyjny (*constitutional court*).

Demokracja powinna być zdolna do zapewnienia sobie usług najlepszych, ale też nie może pozwolić im wyznać się spod kontroli ogółu - tak straszyć można istotę projektu Hayeka.

Pisząc konstytucję wolnego społeczeństwa Hayek uwzględnił jeszcze jeden element, istotny, choć zapoznany i słabo rowinieży w książkach adresowanych do szerokiej publiczności: wirje LIBERALNEGO PORZĄDKU MIĘDZYNARODOWEGO. Zauważyliśmy wcześniej, że z tej dziedziny pochodzi jeden z poważniejszych argumentów przeciw "kolektywizmowi". Kontrola państwa nad gospodarką i planowanie łączy się z protekcyjnizmem, skłonnością do autarkii, militaryzacji życia ekonomicznego i nacjonalizmem - sprząją konfliktem międzynarodowym, zamieniając zwykłe stosunki handlowe w pole napięć politycznych. To, że rząd reprezentacyjny i wolny handel łączy się z duchem pokoju w stosunkach międzynarodowych, a rząd autorytarny i protekcyjnizm z duchem wojny, zauważyli już klasycy liberalizmu. Ufali więc, że otwierająca się w połowie XIX wieku epoka parlamentaryzmu i wolnego handlu wiązała się z kresem konfliktu. Ale wkrótce europejski system wolnego handlu zatamiał się w ogniu nowych wojen, wypuklając lukę klasycznego programu liberalnego - jego głosiciele nie zdawali sobie w dostatecznym stopniu sprawy z tego, że osiągnięcie harmonii interesów między obywatelami różnych państw jest możliwe jedynie w ramach systemu bezpieczeństwa międzynarodowego. Korygując tę słabość Hayek - a także Rzepke, Eucken i Robbins, wszyscy piszący w przededniu lub w trakcie II wojny światowej - postulował stworzenie ram polityczno-prawnych warunkujących odbudowę i funkcjonowanie wolnego handlu. Odpowiednio do stopnia zaangażowania międzynarodowego podziału pracy, rama te musiałyby być ponadpaństwowe - rozwiązaniem może być tylko federacja państw. Jej projekt rozważył Hayek w artykule *The Economic Condition of Interstate Federation* z roku 1939 i ponowił w piętnastym rozdziale *Drugi do nieuoli* z roku 1944. Chodziłoby o skupienie na szczeblu federacji:

*...takiego minimum władzy, bez którego nie sposób jest zachować pokojowe stosunki, czyli sprawniejsze ultra liberalnego państwa laissez-faire /.../. Liberalny reżim ekonomiczny jest koniecznym warunkiem powodzenia jakiejś kolekcji federacji państw i vice versa: ograniczenie narodowej suwerenności i stworzenie efektywnego, międzynarodowego ładu prawnego jest koniecznym uzupełnieniem i logiczną konsekwencją liberalnego programu gospodarczego.*

W powojennej twórczości Hayeka temat "międzynarodowy" nie został rozwinięty, warto wszelako podkreślić jedno: neoliberalny program w tej dziedzinie nie ma jest propozycja bezczynności.

#### NEOLIBERALNY IDEAL POLITYKI. FUNKCJE RZĄDU

Neoliberalna sztuka rządzenia jest przede wszystkim sztuka wstrzemięliwości, w czym pomagają politykom sugerowane przez Hayeka zabezpieczenia instytucjonalne. Na ogół neoliberalizm, który niemiernie rzadko po II wojnie światowej stawał się programem partii rządzącej, Rostarcza w tej dziedzinie pełnej orientacji, czy metody, a nie kodeksu. Wyjątek stanowią ekonomiści z grupy "Ordo" i "szkoły chicagowskiej", uczestniczący w rozwiązywaniu problemów praktycznych oraz Hayek, który wprawdzie stronił od takich zaangażowań, ale poświęcił kwestiom polityki sporo uwagi w swym wszechogarniającym systemie.

Polityka, tak jak prawodawstwo, ma w tym systemie pole ograniczone. Zakres interwencji państwa powinien być limitowany przez możliwość uzyskania społecznego konsensu co do reguł tej interwencji:

*Ładne działanie kolektywne ograniczone jest do przypadków, gdy poprzednie wydatki już doprowadziły do wspólnego poglądu, gdy ustalone zostały opinie o tym, co jest pożądanym i gdy w grę wchodzi problem wyboru między możliwościami już powszechnie uznanymi....*

Na szczytach tej zasady stoją modelowe ograniczenia konstytucyjne, eliminujące możliwość regulowania w drodze kolektywnych decyzji politycznych tego,

co nie może być demokratycznie kontrolowane lub narusza sferę prywatności obywateli. Przekonany o wyższości spontanicznego porządku społecznego nad świadomym planem, Hayek zaleca rządzącym optykę "negocjatora", a nie "inżyniera planisty". Polityki przyjmując postawę "inżyniera-planisty" ulega wszystkim złudzeniom, o jakich pisał Hayek w swej teorii funkcjonowania systemów społecznych i teorii wiedzy, wyznaje też na ogół zasadę "cel uświęca środki". Postawa "negocjatora" - przywiązującego wagę do ucyfrowanych środków, świadomego ograniczoności swej wiedzy i wierzącego w dobroczynne skutki wolności - nie jest jednak tożsama, jak pisaliśmy, z pragmatyzmem. Liberalna sztuka rządzenia nie polega na kompromisach, co najlepiej ilustrują rozważania Hayeka roli państwa w gospodarce - powinno ono być arbitrem na rynku, zdolnym odprzeć nacisk zrzeszonych interesów i realizować linię ponadpartijną.

Jakie funkcje społeczno-gospodarcze państwa mieszczą się, według Hayeka, w liberalnym planie? Liberalowie od czasów Smitha przypisują państwu elementarną funkcję "stróża nocnego" - odpowiedzialnego za zorganizowanie i egzekwowanie ram prawnych (*the legal framework*). Efektywne ramy wolnego gospodarowania obejmują też świadczenie przez państwo usług, które - według określenia Hayeka - ułatwiają zdobycie wiarygodnej wiedzy o faktach mających znaczenie ogólne. Hayek ma na myśli ujednolicony system norm, miar i wag, informację statystyczną, normy bezpieczeństwa, pracy i ochrony środowiska, oraz certyfikację i licencjonowanie dóbr i usług w celu ułatwienia zwykłemu konsumentowi racjonalnego wyboru rynkowego. Zakres tej porządkującej funkcji państwa uległ od czasów Smitha poważnemu rozszerzeniu. Państwo ma tworzyć ramy monetarne gospodarki - neoliberalowie rządzący polityki stabilizującej siłę nabywczej pieniądza, kanonem ich polityki gospodarczej jest niedopuszczenie do inflacji. Polityka monetarna i kredytowa powinna też być głównym narzędziem regulacji wahań koniunkturalnych.

Główna poprawka w stosunku do klasyków bierze się ze zrozumienia, że żywiłowy rynek, sam z siebie, nie gwarantuje efektywnego systemu konkurencji. XIX wieczni liberalowie popełnili błąd, wyobrażając sobie gospodarkę jako obszar "próżni prawnej":

*Zalować należy, choć nie trudno to zrozumieć, że w przeszłości zaradano znaczną większą wagę na punkty negatywne niż na pozytywne sądzania, aby system konkurencyjny działał sprawnie. Funkcjonowanie konkurencji wymaga nie tylko adekwatnej organizacji takich instytucji jak: pieniądza, rynek, kanały przepływu informacji (a inicjatywa prywatna w żadnym stopniu nie jest w stanie zapewnić niektórych spośród nich), lecz także wszystkie należyło od istnienia właściwego systemu prawnego...*

Neoliberalowie wiedzą już, że utrzymanie wolnego rynku i swobody konkurencji wymaga świadomej akcji państwa:

*Przedo: wszystkim jest konieczne, aby strony na rynku miały wolność sprzedawać i kupować do dowolnej ceny, przy której mogą znaleźć partnera do transakcji (...). Istotne jest ponadto, aby wejście na rynek było otwarte jednako dla wszystkich i aby prawo nie tolerowało żadnych prób - indywidualnych czy grupowych - zmniejszenia tego wejścia przy pomocy jawnej czy ukrytej siły.*

Ideal *laissez-faire* został więc odrzucony. Inaczej niż klasycy, operujący się wszelkiej interwencji, neoliberalowie wybierają między złą i dobrą interwencją. Dążąc do wyeliminowania ze stosunków rynkowych elementu przymusu czynią na ogół głównym hasłem politykę antymonopolistyczną. Natomiast zdaniem Hayeka problem monopolizacji... nie ma tej wagi, jaka czasami się mu przypisuje. Przede wszystkim, co zauważyliśmy wcześniej, Hayek nie chce łączyć zjawiska monopolu z żywiołem rynku, obwiniając raczej niedoskonałości systemu prawnego, szczególnie z zakresu prawa korporacyjnego.

i patentowego. Po drugie, nie jest powodem do alarmu sytuacja, gdy jakaś firma osiąga quasi-monopolistyczną pozycję na rynku, przewyższając konkurentów jakością lub taniocścią usług i gdy rynek ten pozostaje dostępny dla wszystkich. Szkodliwy pierwiastek pojawia się dopiero wówczas, gdy monopol zdolny jest bronić swej pozycji pomimo utraty przewagi nad konkurentami. Zdolność taka charakteryzuje na ogół monopole państwowe, na których straż stoi aparat administracyjny mogący łatwo przekraczać swoje uprawnienia. Trzecią przyczyną wstrząśniętliwości Hayeka w kwestii polityki antymonopolistycznej jest jego notoryczna nieufność wobec związanej z tym regulacji administracyjnej w gospodarce, która nieuchronnie rodzi biurokrację, gdy jest oparta na kryteriach sformalizowanych lub korupcji, gdy polega na władzy uznaniowej.

W sumie monopole produkcyjne zaprzatają mniej uwagi Hayeka niż monopole pracownicze, czyli związki zawodowe. Funkcjonowanie zachodnich związków zawodowych uważa on za przykład nadużycia jednej z wolności - mianowicie swobody stowarzyszeń. Korzystając z tej swobody w sposób niezgodny z zasadami rządów prawa, przywódcy związkowi czynią z nich narzędzie przymusu w stosunku do pracodawców i samych pracowników (zrzeszonych i nierzeszonych). Polityzacja ruchu związkowego i możliwość wywierania przez przymus wyników, zdaniem Hayeka, z wadliwego ustawodawstwa, takiego jak brytyjski *Trade Disputes Act* z roku 1906. W osiemnastym rozdziale *The Constitution of Liberty* i napisanej później pracy 1960's *Unemployment and the Unions* Hayek wytacza inne jeszcze oskarżenia. Żłudzeniem jest mianowicie zdolność związków do podnoszenia, w długim horyzoncie czasowym, płac realnych. Przetarg w tym zakresie i odejście od rynkowych wyznaczników poziomu płac prowadzi do zakłócenia mechanizmu rynkowego, inflacji i zachamowania wzrostu gospodarczego. Jak z tego wynika, Hayek gotów jest zaakceptować związki zawodowe pod warunkiem ich ograniczenia do działalności typu samopomocy pracowniczej i poprawy warunków pracy oraz udziału w negocjacjach płacowych dotyczących proporcji podziału między płace indywidualne a konsumpcję zbiorową i relacji płac na różnych stanowiskach.

Jeszcze jeden typ monopolu, przyjęty za oczywisty, budzi zastrzeżenia Hayeka - państwowy monopol emisji pieniądza. W pracy *Denationalisation of Money* z 1976 roku łączy on sprawę wielkiej inflacji lat siedemdziesiątych z przywilejem wyłącznej kreacji pieniądza przez państwo, które nie potrafi się oprzeć pokusie polityki inflacyjnej dla ożywienia popytu czy relatywnego zmniejszenia swych długów. Zezwolenie na prywatną emisję pieniądza przez niektóre przedsiębiorstwa i banki uruchomiłoby konkurencję i poszukiwanie najbardziej stabilnej, godnej zaufania waluty, pozbawiając zarazem rząd ... jednego z głównych środków szkodzenia gospodarce i ograniczania wolności jednostek oraz jednej z naczelnych przesłanek ciągłej ekspansji administracji.

Hayek godzi się natomiast z nieuchronnym udziałem państwa w zapewnianiu dóbr i usług, których nie jest w stanie zapewnić system konkurencji rynkowej - tzw. *non-market services*. System rynkowy funkcjonuje tam, gdzie producent jest w stanie obciążyć efektywnie wszystkich konkretnych nabywców danego dobra. Jest to niemożliwe wtedy, gdy nie sposób jest zapewnić jakiegos dobro jednej osobie, nie zapewniając go zarazem wszystkim. Ani stawianie znaków drogowych, ani budowa samych dróg nie może być opłacana przez każdego. Dotyczy to - oprócz infrastruktury transportowej - także usług sanitarnych, zdrowotnych, komunalnych, zapobiegania klęskom naturalnym itp. Ale Hayek przeciwny jest monopolowi państwa w tych dziedzinach. Uważa wręcz że lepszym sposobem rozwiązania problemu usług nierentowych jest oparte na pewnych regułach subsydiowanie przedsiębiorstw prywatnych, niż tworzenie firm publicznych.

Pryncypialna krytyka współczesnych programów państwa opiekuńczego nie oznacza, że Hayek odrzuca każdy rodzaj akcji socjalnej państwa. Niemniej zalicza się on, nawet w kręgu neoliberalnym, do zwolenników sprowadzenia "systemu opiekuńczego wolnego społeczeństwa" (*welfare system of a free society*) do minimum. W zakresie ubezpieczeń społecznych wypowiada się prze-

ciw monopolowi organizacji państwowej, która pośredniczy w niepożądanym (z liberalnego punktu widzenia) redystrybucji dochodów. Rezultatem jest sytuacja, w której ... nie większość dających (głównie) określa, ile należy do poszkodowanej (unfortunate) jednostki, ale większość biorących. (to-ker) decyduje, ile chce zabawić bogatszą jednostkę. Powinny więc kokurować różne systemy ubezpieczeń, ale sama składka ubezpieczeniowa (za wypadek niezdolności do pracy, utraty tytyciała rodziny, potrzeb starości) musi być obligatoryjna, ponieważ przy ubezpieczeniach dobrowolnych niektórzy beneficjenci pomocy staliby się ciężarem dla społeczeństwa. Podobnie rzecz się ma z opieką zdrowotną. Jeśli natomiast chodzi o dotknięcie złego losu w postaci bezrobocia, Hayek sugeruje prawdziwy system ubezpieczeń, uzależniający wysokość stawki ubezpieczeniowej od faktycznego ryzyka utraty pracy w danej branży. W ten sposób podupadające gałęzie przemysłu, w których takie ryzyko rośnie, zniechęcałyby poszukujących zatrudnienia wyższymi kosztami ubezpieczeń. W rygorystycznym planie Hayeka jest miejsce na obowiązkowe nauczanie do pewnego poziomu, który wyrównuje szanse startu życiowego i sprzyja kulturze politycznej. Udział finansów publicznych w szkolnictwie nie powinien jednak łączyć się z upaństwowieniem szkół. Hayek podpisuje się pod zgłoszonym przez M. Friedmana pomysłem "talonów edukacyjnych" (educational vouchers) - przysługujących rodzicom i dających swobodę wyboru szkoły o średnim standardzie; decyzja wyboru bardziej renomowanej szkoły wiązałaby się z koniecznością dopłaty z własnych środków. Ostatnią ważną sferą działalności współczesnego "państwa dobrobytu", zanalizowaną krytycznie przez Hayeka, jest gospodarka mieszkaniowa. Podaje on przykład takiej regulacji administracyjnej (vide poziom rent), która bezpośrednio działa na niekorzyść uboższych grup społecznych, uruchamiając dalszą spiralę roszczeń pod adresem państwa.

Jak widzimy, alternatywa Hayeka w stosunku do współczesnych programów zabezpieczeń społecznych idzie w kierunku ich denacjonalizacji i ekonomizacji, i nade wszystko redukcji - tak, aby przestał to być pretekst dla paternalizmu państwa, ubezpieczającego niespostrzeżenie obywateli.

#### HAYEK I PRZYPIŁY KONSERWATYZMU

Nazywając Hayeka konsekwentnie liberałem unikaliśmy równie często używanego w odniesieniu do tej postaci terminu "konserwatysta". Nazwisko Hayeka znajduje się we wszystkich antologiach współczesnego konserwatyzmu (neokonserwatyzmu), zalicza się on do liderów tej nieostro zakreślonej orientacji i patronuje nawet niektórym jej odłamom. Jest tak szczególnie na gruncie amerykańskim, gdzie odmiennie niż w Europie funkcjonowanie terminów "liberalizm" i "konserwatyzm" walnie przyczyniło się do pogłębienia zamętu pojęciowego. Na przykład w wydanej w 1984 roku w Polsce książce W. Osiatyńskiego *Współczesny konserwatyzm i liberalizm amerykański* Hayek figuruje jako autor głównego ideologicznego ataku na założenia amerykańskiego liberalizmu /20/. Paradoxs ten wynika stąd, iż liberałom przywykło się tam nazywać zwolennika reform, programów społecznych i związanej z tym interwencji państwa (liberałem w tym znaczeniu jest J.K. Galbraight), co rzeczwiście ustawiła Hayeka w obozie przeciwnym, czyli konserwatywnym. On sam wyjaśnia nieścisłość takiego zaprzeregowania w eseju *Dlaczego nie jestem konserwatystą* (przytoczonym w antologii Sobolewskich):

Konserwatyzm ... z natury rzeczy nie potrafi zaproponować alternatywy wobec kierunku, w którym zdążamy (...) z tego powodu niezmienne udziałem konserwatyzmu staje się podążanie ubraw woli człowieka nie swojego wyboru. Przekraczanie linii pomiędzy konserwatystami a postępowcami może tylko oddziaływać na tempo, nie zaś na kierunek współczesnego rozwoju wydarzeń.

Liberał natomiast pyta: nie jak szybko, lecz dokąd powinniśmy podążać, choć gdzieś podążać, a nie stać nieruchomo. Oprócz tej podstawowej różnicy

orientacja Hayeka ma w wielu punktach odmienne zabarwienie niż główne nurty neokonserwatywnego - wolna jest od elementów paternalizmu, nacjonalizmu, nostalgii za małą wspólnotą, akcentowania roli religii. Obie orientacje zespala się natomiast w opozycji wobec dominującego kierunku społecznego "postępu":

*W czasach gdy większość ruchów uważanych za postępowe zaleca dalsze okrojenie wolności jednostek (...), ci którzy chcą chronić wolność kupują swoją energię w opozycji. Pod tym względem znajdują się oni na przeciwległej po tej samej stronie co ci, którzy z zasady sprzeciwiają się zmianie. Dzisiaj w sprawach bieżącej polityki mają oni zwykle nieważki - wybór poza popieraniem partii konserwatywnych.*

Liberalizm Hayeka ma więc konserwatywny charakter w kontekście współczesnych trendów polityczno-społecznych - jako styl myślenia będący próbą obrony i rehabilitacji wartości etycznych i kulturowych liberalnej demokracji. Bywały w XX wieku okresy, gdy wydawało się, że jest to obrona straconych porządków - przejmującym tego świadectwem są dzieła Ortega i Gasseta i innych proroków schyłku liberalnej cywilizacji zachodniej. Skandalem intelektualnym epoki nazywa Irving Howe cicha zмова lewicy i prawicy w podkopywaniu społecznych i moralnych podstaw liberalnego porządku, co wywołilo w końcu siły, o jakich się nie śniło krytykom tradycyjnego społeczeństwa. Wiele już napisano (począwszy od Georgesa Sorala) na temat mitycznych właściwości socjalizmu, który zdominował scenę wierzeń masowych. Szczególnym podmiotem tego zagadnienia są liczne analizy lewicowości intelektualistów, rozliczanych ostro za tworzenie "mody unysłowej" czy "klimatu opinii" uatwiającego pochod ideologii totalitarnych. Pisali na ten temat Joseph Schumpeter i Vilfredo Pareto, później Irving Kristol, Raymond Aron, Daniel Bell i Ludwig von Mises. Hayek idzie tą samą drogą twierdząc w artykule *Intelektualizm i socjalizm* z roku 1949, iż socjalizm przyciąga elitę nie tylko bogactwem obietnic, lecz także prostotą i porządkiem swoich teoretycznych konstrukcji. Po drugiej wojnie światowej mit socjalistyczny traci stopniowo swój pierwotny rozmach, aż przyszyły lata osiemdziesiąte, kiedy jasne stało się odwrócenie dotychczasowego trendu: następuje ponowna integracja społeczeństwa wokół tradycyjnych wartości, odnowienie autorytetu instytucji demokracji parlamentarnej i zwiększenie stabilności systemu. Zapracowały na to między innymi książki Hayeka - już *Droga do ziewoń* przygotowała grunt dla prowadzonej na szeroka skalę w powojennej Ameryce akcji "odrodzenia rynkowego" (*the market revival*). Żywa ostatnio cyrkulacja ksiątek Hayeka odzwierciedla rosnące wpływy liberalnego konserwatywnego, co z kolei odbija się na losach osobistych sędziwego już uczonego - przestał być outsiderem, a w latach 70-tych otrzymał liczne dowody uznania: po doktoracie honoris causa w Tokio (1964), przyszły honorowe tytuły uniwersytetów w Wiedniu (1971), Salzburgu (1974), honorowe członkostwo London School of Economics (1972) i Austriackiej Akademii Umiejętności (1975); uświetnieniem była niewątpliwie Nagroda Nobla (1974), którą Hayek otrzymał za prace z dziedziny teorii pieniądza i fluktuacji gospodarczych. Niektóre odmiany myśli współczesnej uznają Hayeka za swego patrona. Jest uważany za ojca duchowego libertarianizmu - radykalnej odmiany politycznego liberalizmu, propagowanej w środowisku wydawanego w Los Angeles miesięcznika *Reason*: myśli Hayeka o zerwanek niepotrzebnych wierów społecznych krepujących swobodę jednostki i o ograniczeniu roli państwa zostały tu doprowadzone do idealistycznej, aczkolwiek znajdującej zwolenników, skrajności. Posnace wpływy Hayeka nie ominięły naszego kraju - świadczy o tym popyt na komentarze i skrawki jego dzieł tłumaczone na język polski. Nie zmieniło to oczywiście oficjalnej etykiety; Hayek pozostał uosobieniem "ciemnych sił reakcji". *Poglądy Hayeka nie zasługują nawet na oburzenie u ludzi światłych* - pisze jeden z naszych krytyków/21/ Jesteśmy oczywiście innego zdania, udostępniając ten zakazany owoc polskiemu czytelnikowi - warto, by trafił do szerszego obiegu myślowego, jako najważniejszy, choć przy tym skrajny głos liberalny doby "państwa dobrobytu".

## PRZYPISY

- /1/ B. Sobolewska, M. Sobolewski: "Myśl polityczna XIX i XX wieku. Liberalizm". Warszawa 1978, ss. 572-585. Zamieszczony fragment /pt. "Dlaczego nie jestem konserwatystą"/ pochodzi z "The Constitution of Liberty".
- /2/ W. Sadurski: "Neoliberalny system wartości politycznych". Warszawa 1980.
- /3/ Szczegóły biograficzne zaczerpnięto m.in. z: E. Butler: "Hayek. His Contribution to the Political and Economic Thought of our Time". London 1983.
- /4/ Podobnie systematyzuje twórczość Hayeka W. Sadurski, s.13.
- /5/ Wypowiedź Hayeka na sesji inauguracyjnej w Mont Pelerin, przytoczona w zbiorze "Studies in Philosophy, Politics and Economics". London 1967, ss. 135-159.
- /6/ Hayek zaproponował, by założoną w 1947 w Mont Pelerin organizację nazwać "Towarzystwo im. Actona i Tocqueville'a" - nie uzyskał jednak akceptacji ze strony innych uczestników tej konferencji.
- /7/ "The Road to Serfdom". University of Chicago Press. 1944, s. 136. Następne cytaty pochodzą w większości z tej samej pracy.
- /8/ Słowa Keynesa przytoczono na okładce wydania amerykańskiego "The Road to Serfdom" z roku 1976.
- /9/ Zob. artykuł "The New Confusion about Planning" w zbiorze "New Studies in Philosophy, Politics, Economics and the History of Ideas". London 1971, ss. 232-248. Zob. też A. Łukasiewicz: "Amerykańska debata o planowaniu /1974-1976/", "Ekonomista" nr 4/1977, s. 879.
- /10/ Inne prace Hayeka na temat sprawiedliwości społecznej: "The Atavism of Social Justice" /1976, w zbiorze "New Studies...", "the Mirage of Social Justice" /1976/.
- /11/ "The Constitution of Liberty" The University of Chicago Press, Chicago 1960, s. 69/70.
- /12/ Krytyczną ocenę tego poglądu Hayeka daje Sadurski op. cit., ss. 199-202 i 210-221.
- /13/ Pierwsze reakcje Hayeka to esej "Scientism and the Study of Society", który ukazał się w periodyku "Economics" w roku 1941 i wydana w tym samym roku praca "The Counter - Revolution of Science".
- /14/ Treść wykładu przytoczona jest w "New Studies...", ss. 23-24.
- /15/ Hayek zajmuje się tym problemem w pracach: "Prices and Production", "Monetary Theory and the Trade Cycle", "The Campaign against Keynesian Inflation" /"New Studies...", ss. 191-231/, "1980's Unemployment and the Unions".
- /16/ "The Constitution of Liberty", s. 11.
- /17/ Ibidem, ss. 275-287.
- /18/ "The Road to Serfdom", s. 235.
- /19/ Projekt dwóch ciał przedstawicieli zarysowany jest w "The Constitution of a Liberal State" /zbiór "New Studies...", ss. 98-104/ oraz w "The Political Order of a Free People" /rozdział 17/, "Economic Freedom and Representative Governments" /"New studies...", ss. 105-117/.
- /20/ W. Osiatyński; op. cit. ss. 39-63. Koncepcje Hayeka są omówione ze zwykłą dla tego autora powierzchownością.
- /21/ A. Łukasiewicz op. cit. s. 879.



**Jerzy Strzelecki**

## Wizja Fryderyka von Hayeka

Henri Lepage, jeden z czołowych ekonomistów francuskich młodego pokolenia w wydanej w 1980 roku książce "Demain le libéralisme" tak napisał o dziele ekonomicznym Hayeka, a w szczególności o dwóch prezentowanych poniżej tekstach: *„Dwa teksty zapomniane przez uniwersytecką ekonomię, ignorowane przez francuskich tłumaczy i wydawców, stanowią one jedną z najważniejszych pozycji w historii zachodniej myśli ekonomicznej”* /1/

Pytanie, jakie nasuwa się nieuchronnie po przeczytaniu tego rodzaju laurki to pytanie o to, jakim cudem dwa krótkie, nie przekraczające łącznie 40-stu stron maszynopisu, teksty uchodzą one za pomnik niemal w tej dziedzinie nauki społecznych, która uważana jest powszechnie za stosunkowo najbardziej rozwiniętą i w której dzieł określanych mianem wielkich - by wspomnieć choćby prace Smitha, Ricardo, Walrasa, Schumpetera czy Keynesa - raczej nie brakuje. Pytanie to szczególnie natarczywie stawiać mogą ci, którym teoria ekonomiczna nie jest zupełnie obca. Ci więc, którzy widząc tytuł "Konkurancja jako procedura odkrywania" czy też czytając, iż proces gospodarowania odbywa się w warunkach niepełnej wiedzy aktorów ekonomicznych, zauważają natychmiast, że teza o eksperymentalnej naturze konkurencji /vide np. Pareto/ jak i analiza problematyki niepewności /vide np. praca F.Knighta "Risk, uncertainty and profit."/ nie są bynajmniej nieznanymi "przed-hayekowskiej" ekonomii.

To prawda, że podstawowe kategorie i wiele poszczególnych tez tych tekstów da się odnaleźć, to tu, to tam, w pismach wielu z piszących przed Hayekiem ekonomistów, szczególnie, obok wymienionych, w pracach tych, z których szkoły się wyszedł, a więc Carla Mengera, Bohm-Bawerka, Wiesera i Ludwiga von Misesa, 19-tych derów szkoły austriackiej. Nie znaczy to jednak, by teksty te były wobec kogośkolwiek wtórne. Wręcz przeciwnie. To, co stanowi o ich sile i intelektualnej wadze, to fakt, że zawarta jest w nich pierwsza w historii myśli ekonomicznej koherentna wizja procesu gospodarczego, w której miejsce centralne zajmuje kategoria niepewności, niepełnej wiedzy czy też immanentnego ograniczenia poznawczego gospodarujących aktorów. Mówiąc inaczej, zaśluga tych esejów jest to, że precyzują one, rozwijają i ujmują w jedną spójną teorię te tezy, twierdzenia czy uwagi, które, choć występowały często i występują u innych ekonomistów, to występują jednak implicite jedynie, na marginesie czy też w formie mało rozwiniętej, sąsiadując jednocześnie z wieloma sprzecznymi wobec nich tezami wywodzonymi się najczęściej z tradycyjnej analizy równowagi ogólnej.

Historycznie rzecz biorąc, genyzy tych dwóch tekstów, a szerzej, i całej hayekowskiej wyprawy intelektualnej w dziedzinie filozofii ekonomii i analizy ukrytych założeń wielu z ekonomicznych twierdzeń, należałoby, jak sądzę, dopatrywać się w dwóch porażkach, jakie w latach trzydziestych ponieśli w wielkich sporach teoretycznych dwaj przedstawiciele szkoły austriackiej. Porażka pierwsza to porażka Ludwiga von Misesa, nauczyciela von Hayeka, w sporze o możliwość centralnego planowania i racjonalność gospodarki socjalistycznej. Na

mienić tu można że argumentów, które zdecydowały o odrzuceniu tezy von Misesa przez przeważającą część opinii ekonomicznej, dostarczyła między innymi praca Oskara Lange "O ekonomicznej teorii socjalizmu". Porażka druga to porażka samego Hayeka w sporze z Keynesem dotyczącym przyczyn i natury Wielkiego Kryzysu lat trzydziestych. Widziane w innym nieco wymiarze, obie te porażki to przegrane ekonomistów liberalnych ze zwolennikami różnego rodzaju ingerencji państwa w sferę gospodarki. I jednocześnie, by nawiązać do tego, co powiedziałem już o naturze hayekowskiej wizji, porażka tych, dla których aktorzy ekonomiczni posiadają niepełną wiedzę, a rynek stanowi procedurę eksperymentalną, z tymi, którzy - za ortodoksyjną teorią ekonomiczną - przyjmują, że koasumenci i producenci posiadają *a priori* pełną wiedzę o preferencjach i zasobach.

Szczególnie pouczająca jest w tym kontekście porażka von Misesa. Spośród wielu argumentów, jakie wysuwa on bowiem w swej podstawowej pracy krytycznej o gospodarce socjalistycznej zatytułowanej "Socjalizm"/2/, teza fundamentalna brzmiała, że w gospodarce socjalistycznej, ze względu na brak rynku kapitałowego nie będzie się dokonywała "selekcja najlepszych prognozów". A więc tych, którzy w warunkach niepewności - dokonywać będą najtrafniejszych przewidywań przyszłości. Teraz tę jeden krok zaledwie dzieli od podstawowej tezy Hayeka dotyczącej natury rynku i konkurencji; krok ten, to precyzyjne sformułowanie tej tezy i uczynienie z niej centralnego punktu argumentacji. Fakt, że ten argument von Misesa jest praktycznie zupełnie pomijany przez jego polemistów - np. Oskara Langego oraz to, że mimo jego sformułowania, poniósł on w dyskusji o gospodarce socjalistycznej porażkę, wydaje się w znacznej mierze wynikać z faktu, że von Mises kroku tego nie uczynił.

Tak tekst "O wykorzystaniu wiedzy w społeczeństwie" jak i esej "Konkurencja jako procedura odkrywania" odczytywać najlepiej jako kontynuację obu tych przegranych przez "Austriaków" dyskusji. Jako próbę klarownego sformułowania takich podstaw analizy ekonomicznej, które w pełni odzłoniłyby fałszywość tezy przyjmowanych przez Langego czy Keynesa. Esey pierwszy traktowany być może jako bezpośrednia polemika z pracą Langego "O ekonomicznej teorii socjalizmu". W esej drugimi wiele w argumentów części IV to polemika z keynesizmem.

Znając zasoby i preferencje, powiada w swej pracy Lange, a także mając daną technologię, możemy bez trudu dokonać racjonalnej alokacji zasobów. To teza fałszywa, nie mamy danej hierarchii preferencji, jest ona znana tylko w "ekonomii", nie w "katalaksji", nie znamy zasobów i technologii, wiedza o nich jest wiedza rozproszona między jednostki, konkurencja dopiero ją odkrywa, odpowiada Hayek. Koszty uzyskania tej wiedzy przez centralnego planistę są kolosalne, a część tej wiedzy, którą odkrywa konkurencja, w ogóle nie będzie on w stanie zdobyć. Utopia centralnego planowania w zupełności pomija kwestię wiedzy specyficznych okoliczności miejsca i czasu. Aktorzy ekonomiczni posiadają w rzeczywistości ograniczoną wiedzę o faktach. Centralne planowanie to mrzonka a którejś podstaw leży teza o możliwości doskonałego przewidywania przyszłości. Nie znamy jednak przyszłości, a jeśli tak, to jedyną metodą dostosowywania się do niej jest procedura konkurencji, nieodłącznie związana z nieskrępowanym mechanizmem cenowym.

Polityka gospodarcza wynikająca z teorii keynesowskiej również nie dostrzega kwestii niepewności. Kryzys gospodarki kapitalistycznej są w wizji Hayeka nie wynikiem braku efektywnego popytu lecz rezultatem zachodzenia zmian i nieprzewidywalności przyszłych zdarzeń. Przekonanie, że uniknąć można zmian dostosowawczych, niosących z sobą przesunięcia w pozycji materialnej pewnych grup, zamykanie fabryk i bezrobocie sektoralne, jest przekonaniem również nie dostrzegającym faktu, iż przyszłość jest nieznamą, a rynek dokonywać musi selekcji prognozów. Uniknięcie tych bolesnych adaptacji byłoby możliwe jedynie wtedy, gdyby przyszłość była w pełni doskonale znana - bądź wiedzy, gdyby wybrał się gospodarkę całkowitej stagnacji.

Ważnym czynnikiem odrębnym oczywiście w tych tekstach Hayeka wiele innych interesujących go wątków, jak choćby ten poświęcony związkowi między konkurencją a metodą naukową, czy też ten, który dotyczy związków między mechanizmem cenowym a stopniem zaangażowania społecznego podmiotu pracy oraz wolności jednostki. Zauważmy także, że teksty te nieco marginalnie traktują problematykę własności, szczególnie go, być może, interesująca.

To, co warto na koniec podkreślić, to fakt, że zasadnicze z dokonań, jakie mają dziś miejsce w myśli ekonomicznej - by wspomnieć tu choćby ekonomiczną analizę informacji rozwijaną między innymi przez Georga Stiglera, analizy procesu uczenia się aktorów ekonomicznych, teorie przedsiębiorstwa zajmujące się relacją między kosztami rynkowego i hierarchicznego zdobywania informacji, czy też analizy państwowej regulacji gospodarki - nawiązują, w mniej lub bardziej otwarty sposób, do zawartych w poniższych tekstach centralnych tez Hayeka. Pokrywają, by użyć sformułowania z "Konkurencji jako procedury odkrywania", na gi szkielet jego abstrakcyjnych twierdzeń ciałem konkretnym, materia szczegółu. To, co odbywa się dziś w ekonomii - w każdym razie na Zachodzie - to proces odradzania się w ekonomi nurtu liberalnego. W procesie tego odradzania - po przegranej lat trzydziestych - dorobek Hayeka, w tym szczególnie poniższe teksty, odegrały zasadniczą rolę.

#### Przypisy.

1. Henri Lepage, "Dernain le liberalisme", Collection Pluriel, Librairie Generale Francaise, 1980, str. 214.
2. Ludwig von Mises, "Socialism. An economic and sociological analysis", Liberty Classics, Indianapolis, 1981; wydanie 1 po niemiecku w 1922 roku.

## Friedrich A. von Hayek

# O wykorzystywaniu wiedzy w społeczeństwie

### I

Jaki problem pragniemy rozwiązać, gdy usiłujemy skonstruować racjonalny ład ekonomiczny?

Przy przyjęciu pewnych dobrze znanych założeń odpowiedź jest prosta. Jeżeli posiadamy wszelkie niezbędne informacje, jeżeli dany jest nam system preferencji i jeżeli mamy pełną wiedzę o dostępnych środkach, problem, jaki staje przed nami, jest problemem czysto logicznym. Mówiąc inaczej, odpowiedź na pytanie o to, jaki jest najlepszy sposób wykorzystania środków, którymi dysponujemy, zawarta jest implicite w naszych założeniach. Warunki, jakie spełnić musi rozwiązanie tego problemu optymalizacji, zostały szczegółowo określone. Najlepiej można je wyrazić w formie matematycznej. Mówiąc najkrócej, warunki te są spełnione, gdy krańcowe stopy substytucji między dwoma dowolnymi dobrami czy też czynnikami są identyczne we wszystkich rodzajach zastosowań tych dóbr.

Z całą pewnością stwierdzić jednak można, iż nie taka jest postać problemu ekonomicznego stojącego przed społeczeństwem; rachunek ekonomiczny, który rozwinięliśmy dla rozwiązania sformułowanego powyżej problemu logicz-

<sup>1</sup>"The American Economic Review", vol. XXV, September 1945, nr 4, ss. 519-530.

nego, nie stanowi rozwiązania ekonomicznego problemu, a jedynie ważny krok ku temu rozwiązaniu. Dzieje się tak dlatego, że "dane", od których wychodzi i na których opiera się rachunek ekonomiczny, nie są nigdy "dane" w odniesieniu do całego społeczeństwa jakimiś pojedynczemu jednostki, który mógłby z nich wyprowadzić odpowiednie implikacje, i nigdy "dane" tak być nie mogą.

Szczególny charakter problemu racjonalnego ładu ekonomicznego wyznaczony jest właśnie przez fakt, iż wiedza o rozmaitych obliczeniach, z której musimy korzystać, nigdy nie istnieje w postaci skoncentrowanej i zintegrowanej, lecz jedynie jako rozproszone strzępy niepełnej i często sprzecznej informacji, posiadane przez wszystkie niezależne od siebie jednostki. Ekonomiczny problem społeczeństwa nie polega więc na tym, w jaki sposób alokować "dane" zasoby - jeśli pojęcie "dane" rozumiem jako "dane pojedynczemu jednostce", który, w oparciu o te dane, rozstrzyga następnie ów problem. Polega raczej na tym, jak zapewnić najlepsze wykorzystanie zasobów, znanych najrozszerzszym członkom społeczeństwa, dla realizacji celów, których względna ważność znana jest jedynie tym właśnie jednostkom. Albo też, ujmując rzecz na krócej, jest to problem wykorzystania wiedzy nie danej nikomu w całości.

Ta charakterystyczna cecha problemu, który tu analizujemy, została nieestetycznie raczej zaciemniona niż rozjaśniona wieloma z dokonanych ostatnio udogodnień teorii ekonomicznej, szczególnie zaś wiedzą z zakresowej matematyki. Choć zasadniczą kwestią, którą pragnę się zająć w tym tekście, jest problem racjonalnego ładu ekonomicznego, wielokrotnie zniekształcony będąc podkreślać ściśle związki tej problematyki z pewnymi uogólnieniami metodologicznymi. Wiele z teorii, które postawiła, to w istocie konkluzje, ku którym - często nieoczekiwanie - doprowadziły różne drogi rozumowania. Sposobem, w jaki widzę dziś ten problem, spróbuję ja sądzić, że nie jest to przykład bynajmniej niemożliwy, że wiele z aktualnych sporów, dotyczących tak teorii ekonomicznej jak i polityki gospodarczej, za wspólną źródło w nierozumieniu natury stojącego przed społeczeństwem problemu ekonomicznego. Skrócenie to ma z kolei swe źródła w błędnej przenoszeniu w sferę zjawisk społecznych zwyczajów myślenia źródłowych z dziedzinie analizy zjawisk przyrodniczych.

W języku potocznym słowo "planowanie" opisuje zespół wzajemnie powiązanych decyzji dotyczących alokacji dostępnych nam zasobów. Wszelka działalność gospodarcza jest w tym sensie planowaniem i w każdym społeczeństwie, w którym istnieje miejsce kooperacji wielu jednostek, planowanie to, bez względu na to kto go dokonuje, musi choć po części oparte być na wiedzy, która - co trzeba tu podkreślić - nie znajduje się w dyspozycji planisty lecz kogoś innego i która zatem w jakis sposób musi być planistom owemu przekazana. Rozmaite sposoby, w jakie wiedza na której polegała swa plany jest im komunikowana, stanowią centralne zagadnienie każdej teorii procesów gospodarki. Pytanie o to, jaki jest najlepszy sposób wykorzystania wiedzy pierwotnie rozproszonej pomiędzy współzależnych ludzi jest - jeśli nie głębsze - to co najmniej jednym z kluczowych problemów polityki gospodarczej bądź też projektowania idealnego systemu ekonomicznego.

Odpowiedzi na to pytanie wiążą się ściśle z drugą kwestią, jakie się tu pojawia, pytam o to, kto ma planować. Każdy spor dotyczący "planowania gospodarczego" obraca się dookoła tej właśnie kwestii. Nie jest to bynajmniej spór o to czy planowanie ma być planowaniem centralnym, dokonany przez jedną ośrodek władzy dla całej gospodarki, czy też ma być czynnością podzieloną między wiele jednostek. "Planowanie" w tym specyficznym sensie, w jakim pytam jest ta kategoria we współczesnym sporze, oznacza planowanie centralne - kierowane całym systemem ekonomicznym według jednego planu. Konkurencja oznacza z kolei planowanie zdecentralizowane, dokonywane przez wiele niezależnych jednostek. Droga trzecia łączy między dwoma wyidealizowanymi, o której wielu mówi lecz którą nikt nie chciałby ją widzieć, to powierzenie planowania kierownictwem całego, czyli kierując wspólnie monopolom.

Który z tych systemów będzie bardziej efektywny, jest przede wszystkim pochodną tego, w którym z nich istnieje jego wiedza wykorzystywana będzie w sposób pełniejszy. To z kolei zależy od tego czy wiedza jest szansa.

iz uda nam się oddać do dyspozycji pojedynczego ośrodka całą niezbędną mu wiedzę, która pierwotnie jednak jest rozproszona pomiędzy wiele jednostek, czy też szansa dostarczenia jednostkom takiej dodatkowej wiedzy, która jest im niezbędna by móc dostosować swe plany do planów innych.

### III

Zauważyć można natychmiast, że szanse te będą różne dla różnych rodzajów wiedzy. Odpowiedź na nasze pytanie będzie zatem w znacznym stopniu zależna od relatywnego znaczenia odmiennych typów wiedzy - tego który znajdować się raczej będzie w dyspozycji poszczególnych jednostek i tego, o którym z dużą dozą pewności stwierdzić możemy, iż znajdować się będzie w posiadaniu władzy utworzonej z odpowiednio dobranych ekspertów. Jeśli przyjmuje się dziś niemal powszechnie, że tego rodzaju władza centralna będzie pod tym względem w sytuacji korzystniejszej, to dzieje się tak dlatego, że w społecznej wyobraźni miejsce najbardziej ekspanowane zajmuje wiedza naukowa. Mamy więc skłonność do zapomnienia, że nie jest to jedyny ważny rodzaj wiedzy. Co do wiedzy naukowej można by ewentualnie przyjąć, że zespół odpowiednio dobranych ekspertów posiada największe szanse dysponowania wszelkimi najlepszymi informacjami - choć należy zauważyć, że przekształca to jedynie nasze trudności w problem selekcji ekspertów. To co pragnę tu zaznaczyć to fakt, że nawet jeśli uznamy tę kwestię selekcji za nienasycającą kłopotów, stanowi to rozwiązanie jedynie cząstki o wiele szerszego problemu.

Stwierdzenie, że wiedza naukowa nie obejmuje bynajmniej całości wiedzy jest dziś niemal heretyczną. Odrobina refleksji ukazuje jednak wyraźnie, że istnieje również niezmiernie istotny, choć nieusystematyzowany rodzaj wiedzy, którego nie można nazwać naukowym w sensie zbioru praw ogólnych; wiedza ta to wiedza o szczególnych okolicznościach czasu i miejsca. W odniesieniu do niej każda praktycznie jednostka znajduje się w sytuacji korzystniejszej od innych pod tym względem, iż posiada unikalną informację, która może być użyta w korzystny sposób, lecz która jednocześnie może być użyta jedynie wtedy, gdy decyzyja o jej wykorzystaniu jest bądź pozostawiona tej jednostce, bądź też gdy aktywnie kooperuje ona w jej podjęciu. Świadmy jak wiele musimy uczyć się w każdym zawodzie już po zakończeniu przygotowania teoretycznego, jak znaczną część naszego zawodowego życia pochłania nam uczenie się poszczególnych czynności, jak istotnym atutem we wszelkich sferach życia jest znajomość ludzi, lokalnych warunków i szczególnych okoliczności. Wiedzieć o częściowo jedynie wykorzystanej maszynie i wykorzystać ją później, uczynić to samo z umiejętnością jakiejś osoby, czy też być świadomym istnienia dodatkowych zapasów, z których można czerpać w chwili, gdy nastąpiła przerwa w dostawach to wiedza równie społecznie użyteczna co wiedza o lepszych rozwiązaniach technicznych. Spedytor zarabiający na życie znajomością niepełnych lub pustych kursów frachtowców, pośrednik w handlu nieruchomościami, którego wiedza jest niemal wyłącznie wiedzą przemijających okazyj, czy też arbitrageur zarabiający na lokalnych różnicach cen towarów - wszyscy oni spełniają niezmiernie istotne funkcje społeczne oparte na specyficznej wiedzy o znikających w mgnieniu oka zjawiskach nie znanych nikomu innemu.

Żadziwiająco, lecz ten rodzaj wiedzy traktowany jest dziś powszechnie w sposób pogardliwy, a każdy kto w oparciu o jej posiadanie lokuje się w sytuacji korzystniejszej od kogoś dysponującego lepszą wiedzą teoretyczną lub techniczną, uważany jest za postępującego niemal w sposób haniebny. Odnoszenie korzyści z lepszej wiedzy o środkach komunikacji lub transportu jest często postrzegane jako rzecz nieuczciwa, choć najlepsze wykorzystanie tego rodzaju informacji jest społecznie również istotne, co wykorzystanie najnowszych odkryć nauki. Jeśli stosunek do handlu w porównaniu do produkcji jest obecnie tak niechętny, stanowi to właśnie efekt tego przesądu. Nawet ekonomiści, którzy we własnym mniemaniu wyzwolili się z rażących materialistycznych błędów przeszłości, analizując sziałania

nastawione na zdobywanie tego rodzaju praktycznej wiedzy, stale popadają w te same błędy - najprawdopodobniej dlatego, że w ich schematach świata wiedza ta traktowana jest jako "dana". Wydaje się dziś dominować pogląd, że wiedza tego typu powinna znajdować się w dyspozycji każdego, a fakt iż tak nie jest stanowi często podstawę zarzutu o nieracjonalności wysuwanego w stosunku do istniejącego ładu ekonomicznego. Pogląd ten nie dosttrzeza, iż właśnie kwestia metody uczyńnienia tej wiedzy maksymalnie szeroko dostępną jest problemem, na który znaleźć mamy odpowiedź.

## IV

Jeśli minimalizowanie znaczenia wiedzy o szczególnych okolicznościach czasu i miejsca jest dziś tak modne, to wynika to z faktu, iż nie przywiązuje się obecnie takiej wagi do zjawiska zmiany. Pośród założeń przyjmowanych przez "planistów" - zazwyczaj jedynie w sposób ukryty - niewiele jest takich, które bardziej różniłyby się od założeń ich oponentów, niż te, które dotyczą znaczenia i częstotliwości zachodzących zmian, które czyniłyby koniecznymi zasadnicze korekty planów produkcji. Jeśli szczególnie długookresowe plany gospodarcze mogłyby być ustalane raz na zawsze, a następnie jedynie ściśle wykonywane, bez konieczności podejmowania w trakcie ich realizacji dalszych istotnych decyzji ekonomicznych, zadanie sporządzenia całościowego planu determinującego całokształt działań gospodarczych jawiłoby się jako o wiele prostsze.

Warto jednak podkreślić, że problemy ekonomiczne pojawiają się zawsze jedynie jako konsekwencja zmiany. Dopóki sprawy toczą się utartym trybem, a w każdym razie dopóki toczą się tak jak tego oczekiwaliśmy, nie pojawia się żaden nowy problem wymagający podjęcia decyzji, nie ma potrzeby konstruowania nowego planu. Wiara, że zmiany, a w każdym razie codzienne drobne adaptacje, stały się w świecie współczesnym mniej istotne, implikuje przekonanie, iż również problemy ekonomiczne straciły na wadze. Ten pogląd o spadku znaczenia zmiany jest więc dziś wyznawany zazwyczaj przez tych samych ludzi, którzy głoszą, iż kwestie ekonomiczne usunięte zostały na drugi plan, a plan pierwszy wysunęła się zaś wiedza technologiczna.

Czy jest jednak prawda, że rozwój złożonego aparatu współczesnej produkcji sprawił, iż decyzje ekonomiczne nie muszą być podejmowane stałe, lecz jedynie w znaczących odstępach czasu, tylko wtedy gdy trzeba np. wybudować nową fabrykę lub wprowadzić nowy proces wytwarzania? Czy jest prawdą, że w chwili gdy fabryka została już zbudowana, cała reszta jest procesem niemal całkowicie mechanicznym, zdeterminowanym charakterem owej fabryki i nie wymagającym żadnych zmian dostosowawczych do wciąż zmieniających się okoliczności?

Odpowiedź twierdząca, jakiej udziela się dość powszechnie na to pytanie nie znajduje potwierdzenia w praktycznym doświadczeniu biznesmena. W przemyśle o strukturze konkurencyjnej - a tylko taki służyć może jako pole sprawdzania twierdzeń - zadanie niedopuszczenia do wzrostu kosztów wymaga ciągłej walki, pochłania lwią część energii menadżera. Fakt że nieudolny menadżer niezmiernie łatwo roztrwonić może marżę, na których opiera się zysk, czy też że przy tym samym wyposażeniu technicznym koszty produkcji wcale nie muszą być jednakowe, to w codziennym doświadczeniu przedsiębiorcy fakty oczywiste, które jednak ekonomistom nie wydają się być równie znajome. Sama moc stała wyraźnego przez producentów i inżynierów pragnienia, by można było wytwarzać bez skrepowania kwestią kosztów pieniężnych, jest wymownym świadectwem znaczenia, jakie kwestia ta posiada w ich codziennej pracy.

Jednym z powodów dla jakich ekonomiści wykazują coraz większą skłonność do pomijania ciągłych zmian składających się na proces gospodarowania, jest prawdopodobnie ich rosnące zaabsorbowanie agregatami statystycznymi, które odznaczają się znacznie większą stabilnością niż tworzące je dane szczegółowe. Relatywna stabilność agregatów nie może być jednak tłumaczona - jak wydają się to czasem czynić statystycy - "prawem wielkich liczb"

czy też kompensowaniem się zmian czysto losowych. Ilość elementów z jakimi mamy do czynienia jest zbyt mała, by stabilność tą można było uznać za owoc działania sił przypadkowych. Ciągłość przepływu strumienia dóbr i usług jest efektem stałych rozmyślnych działań dostosowawczych, nowych decyzji podejmowanych każdego dnia w świetle wiedzy o okolicznościach w-czora; jeszcze nie znanych, efektem tego, że B wkracza natychmiast tam gdzie A zawiódk. Nawet duża i wysoce zmechanizowana fabryka zdolna jest funkcjonować nieprzerwanie w znacznym stopniu dlatego, że wszelkie swe nieprzewidziane potrzeby zaspokoić może korzystając z usług otoczenia; dachówki dla załatania dziury w dachu, papier na formularze i tysiące innych rodzajów wyposażenia jakiego sama nie jest w stanie wytwarzać, lecz których wymaga jej funkcjonowanie, muszą być łatwo dostępne na rynku.

Powinienem jak sądzę, podkreślić w tym miejscu fakt, że natura tego rodzaju wiedzy, którym się tu zajmuję, czyni niemożliwym ujęcie jej w statystykach i że tym samym nie może być ona przekazana jakiegokolwiek władzy centralnej w postaci danych statystycznych. Dane statystyczne, w oparciu o które tego rodzaju władza centralna podejmować będzie musiała swe działania, będą właśnie efektem abstrahowania od pomniejszych różnic między rzeczami, efektem potraktowania jako zasobu jednorodnego pozycji, które różnią się od siebie pod względem lokalizacji, jakości i innych detali - i to różnią się w sposób, który może być niezmiernie istotny dla konkretnej, pojedynczej decyzji. Wynika z tego, że planowanie centralne oparte na informacjach statystycznych, z samej swej natury nie będzie mogło uwzględnić tych szczególnych okoliczności czasu i miejsca i że centralny planista będzie musiał znaleźć jakiś sposób, by zależne od tych okoliczności decyzje mogły być pozostawione "człowiekowi na właściwym miejscu".

## V

Jeśli zgodzimy się z tezą, że ekonomiczny problem społeczeństwa jest przede wszystkim problemem szybkiej adaptacji do zmian poszczególnych okoliczności czasu i miejsca, przyjąć również musimy, iż ostateczne decyzje pozostawione być muszą osobom, którym okoliczności te są dobrze znane, które więc znają tak owe zmiany jak i zasoby umożliwiające przystosowanie się do nich. Nie możemy zatem oczekiwać, że problem ten rozwiązany zostanie w ten sposób, iż wiedza ta w pierw przekazana będzie centralnemu planiście, który po uzyskaniu całej niezbędnej wiedzy wyda odpowiednie polecenia. Możemy go rozwiązać jedynie poprzez jakąś postać decentralizacji. Decentralizacja stanowi jednak rozwiązanie tylko części naszego problemu. Potrzebna jest nam dlatego, że tylko w jej ramach wiedza szczególnych okoliczności czasu i miejsca może być natychmiast wykorzystana. Lecz nasz "człowiek na właściwym miejscu" nie może podejmować decyzji jedynie w oparciu o swą gruntowną, lecz ograniczoną wiedzę o bezpośrednio otaczających go zjawiskach. Pozostaje wciąż problem przekazania mu takiej dodatkowej informacji, której potrzebuje by móc dostosować swe decyzje do zmian mających miejsce w szerszym systemie gospodarczym.

Jak wiele wiedzy potrzebuje by zrobić to z powodzeniem? Które ze zjawisk zachodzących poza horyzontem jego bezpośredniej wiedzy mają znaczenie dla jego decyzji i jak wiele musi o nich wiedzieć?

Trudno jest wskazać na jakieś wydarzenie mające miejsce w dowolnym punkcie świata, które mogłoby nie mieć wpływu na decyzję, jaką powinien podjąć. Nie musi on jednak nic wiedzieć o tych wydarzeniach jako takich, ani też o wszystkich ich efektach. Nie jest dla niego ważne dla czego w jakimś momencie śruby jednego wymiaru pożądane są bardziej niż śruby innego wymiaru, dla czego torby papierowe są łatwiej dostępne niż torby płócienne, czy też dla czego wykwalifikowana siła robocza bądź jakiś rodzaj obrabiarki stały się trudniejsze do zdobycia. Jedyną informacją jaka jest dla niego istotna jest informacja o tym o ile mniej lub bardziej trudne stał się one do zdobycia w porównaniu z innymi rzeczami, lub inaczej, o ile wzrosło lub zmalało natężenie zapotrzebowania na alternatywne, produkowane lub użytkowane przez niego dobra. Tym co dla niego ważne, jest zawsze kwestia relatywnego znaczenia poszczególnych dóbr. Przyczyny zmian tego ich relatywnego znaczenia są dla niego nieistotne.

W tym właśnie miejscu to, co narzwał rachunkiem ekonomicznym w ścisłym tego słowa znaczeniu, pozwala nam dostrzec, przynajmniej na zasadzie analogii, w jaki sposób problem ten może być - i jest - rozwiązywany przez system cen. Nawet pojedynczy umysł, posiadający wszelkie dane dotyczące jakiegos niewielkiego izolowanego systemu gospodarczego nie byłby w stanie - za każdym razem, gdy należałoby dokonać niewielkich przesunięć w alokacji zasobów - dokonać analizy wszelkich relacji między celami a środkami, które mogłyby ulec zmianie. Największe osiągnięcie czystej teorii wyboru polega właśnie na udowodnieniu, że nawet tak wyposażony umysł mógłby rozwiązać tego rodzaju problem wyłącznie poprzez skonstruowanie i stałe używanie stóp równoważności /inaczej "wartości" lub "marginalnych relacji substytucji"/. A więc poprzez przypisanie każdemu z rodzajów rzadkich zasobów znaku liczbowego, który może być wywiedziony z żadnej wewnętrznej własności tego dobra, lecz który oddaje, czy też w którym kondensuje się znaczenie tego dobra w kontekście całej struktury środków i celów. W wypadku każdej zmiany jedyną rzeczą, na którą decydujący będzie musiał zwrócić uwagę, to te właśnie wskaźniki ilościowe /lub "wartości"/. Zawierają one całą niezbędną mu informację. Dostosowując do siebie po kolei te wskaźniki można dokonać odpowiedniej zmiany decyzji nie będąc zmuszonym do rozwiązywania całej łamigłówki ab initio; inaczej - nie potrzebując w żadnym momencie obserwować wszystkich jej elementów.

Zasadniczo rzecz biorąc, w systemie, w którym wiedza o ważnych zjawiskach rozproszona jest pomiędzy wielu ludzi, ceny koordynować mogą oddzielnie działania rozmaitych jednostek w ten sam sposób, w jaki wartości subiektywne pomagają jednostce koordynować części jej własnego planu. By zobaczyć czego dokonuje system cen, warto przyjrzeć się bliżej bardzo prostemu i banalnemu przykładowi jego działania. Załóżmy że w jakimś miejscu świata powstała nowa możliwość wykorzystania jakiegoś surowca, na przykład cyny lub też, że jedno ze źródeł zaopatrzenia w cynę przestało istnieć. Nie jest dla nas ważne - i ta "nieważność" jest dla nas bardzo ważna - która z tych przyczyn uczyniła cynę dobrem rzadszym. Wszystko co użytkownicy cyny muszą wiedzieć, sprowadza się do tego, że pewna jej ilość, która dotychczas wykorzystywali, przynosi obecnie większe zyski w innym rodzaju zastosowania i że tym samym muszą cyną gospodarować oszczędniej. Przeważająca większość tych użytkowników nie musi nawet wiedzieć, gdzie powstała owa pilniejsza potrzeba, ani też tego na rzecz jakich potrzeb ograniczyli winni popyt. Nawet jeśli tylko niektórzy z nich znają charakter nowego popytu i przesuną ku niemu swe zasoby, a ludzie świadomi istnienia stworzonej w ten sposób luki zspełnią ją z innych jeszcze źródeł, efekt błyskawicznie rozprzestrzeni się po całym systemie gospodarczym i wpłynie nie tylko na wszelkie zastosowania cyny, lecz również na zastosowania jej substytutów i substytutów tych substytutów, na podaż wszelkich dóbr wytwarzanych z cyny i z jej substytutów - itd., itd.. Większość tych, którzy działaniami swymi przyczynili się do zaistnienia tych zmian, nie będzie przy tym niczego wiedziała o ich pierwotnej przyczynie. Całość zachowuje się jak jeden rynek - nie dlatego bynajmniej, iż wchodzące w jej skład jednostki bezpośrednio obserwują wszystkie jej aspekty, lecz dlatego, że ich ograniczone jednostkowe pola widzenia przecinają się w sposób wystarczający, by - przez wielu pośredników - znacząca informacja została wszystkim przekazana. Zwyczajny fakt istnienia jednej ceny każdego towaru - lub raczej fakt powiązania cen lokalnych w sposób wyznaczony kosztami transportu etc. - wystarcza, by znaleźć rozwiązanie, które /jest to możliwe jedynie teoretycznie/ mogłoby zostać znalezione przez jeden umysł, gdyby posiadał on całą niezbędną informację, która w rzeczywistości rozproszona jest pomiędzy wszystkich ludzi uczestniczących w tym procesie.

## VI

Jeśli zrozumieć chcemy rzeczywistą funkcję systemu cen, postrzegać go musimy właśnie jako tego rodzaju mechanizm przekazywania informacji; funkcję tę w sytuacji wzrostu sztywności cen spełnia on oczywiście znacznie



gorzej nawet wtedy jednak, gdy ceny staną się zupełnie sztywne, siły działające dotąd poprzez zmiany cen nadal działać będą poprzez zmiany innych warunków umowy/. Najważniejszą cechą tego systemu jest to, że niezmiernie ekonomicznie wykorzystuje on wiedzę, lub inaczej to, jak niewiele poszczególnej jego uczestnicy muszą wiedzieć, by móc podjąć trafne działania. Przekazuje on - w skróconej formie, w postaci swego rodzaju symboli - tylko najistotniejszą informację i to przekazuje ją wyjątkowo tym, których ona dotyczy. Określenie systemu cen jako swobodnego mechanizmu rejestracji zmian jest czymś więcej niż metaforą. Stanowi on jakby rodzaj systemu łączności umożliwiającego poszczególnym producentom, podobnie do inżyniera śledzącego kilka wskaźników tarcz swych instrumentów, na ograniczenie się do obserwacji kilku jedynie wskaźników. Wystarczy to w zupełności, by mogli oni dostosować się do zmian; nie muszą o nich wiedzieć niczego więcej, niż mówią im ruchy cen.

Dostosowanie to, rzecz jasna, nie jest najprawdopodobniej nigdy "doskonałe" w tym sensie, w jakim pojęcie to stosowane jest przez ekonomistę w jego modelu równowagi ogólnej. Obawiam się jednak, że nasze teoretyczne przyzwyczajenie prowadzenia analizy przy założeniu mniej lub bardziej doskonałej wiedzy uczestników procesu ekonomicznego nie pozwoliło nam dostrzec prawdziwej funkcji systemu cen i doprowadziło do oceniania jego sprawności przy pomocy mylących standardów. Czyż nie jest cudem gdy w sytuacji wzrostu rzadkości jednego z surowców, bez jakiegokolwiek rozkazu, bez wiedzy o przyczynach tego zdarzenia, ograniczonej do niewielkiej ilości osób, dziesiątki tysięcy ludzi, których tożsamości nie zdołaliby ustalić nawet miesiące śledztwa, skłonionych zostaje do właściwego działania, a więc do oszczędniejszego używania tak owego surowca jak i otrzymanych z niego produktów? Nawet jeśli nie wszyscy zdołają dostosować się tak doskonale, by ich stopy zysku pozostały na tym samym stałym bądź "normalnym" poziomie, nadal będzie to cudem.

Słowem "cud" posłużyłem się tu umyślnie, by wytrącić czytelnika z błędnego samozadowolenia, w którym tak często uważamy działanie tego mechanizmu za oczywiste, za banalne. Jestem przekonany, że gdyby stanowił on rezultat rozmyślnego ludzkiego projektu i gdyby ludzie kierujący się zmianami cen zrozumieli, że ich decyzje posiadają znaczenie daleko wykraczające poza ich bezpośrednie cele, mechanizm ten byłby okrzyknięty jednym z największych triumfów ludzkiego umysłu. Jego podwójne nieszczęście polega na tym, iż po pierwsze, nie stanowi owocu ludzkiego projektu, po drugie zaś na tym, że powodowani nim ludzie zazwyczaj nie wiedzą dlaczego robić mają to, co robią pod jego wpływem. Ci jednak, którzy gromko domagają się "świądomego kierowania" - i którzy nie mogą uwierzyć, by cokolwiek co pojawiło się bez planu /a nawet bez naszego zrozumienia/ rozwiązywać mogło problemy, których w sposób świadomy nie jesteśmy w stanie rozwiązać - niech pamiętają: problem polega właśnie na tym, jak rozszerzyć zakres użytkowania zasobów ponad zakres możliwy do opanowania przez jakikolwiek pojedynczy umysł. Inaczej, w jaki sposób obyć się bez świadomego kierowania i jak stworzyć bodźce skłaniające jednostkę do czynienia rzeczy pożądaných tak, by nikt nie musiał wydawać im poleceń.

Kwestia z którą się tu stykamy nie jest bynajmniej specyficzna dla ekonomii, lecz dotyczy wszelkich prawdziwie społecznych fenomenów, jak na przykład języka i przeważającej części naszego dziedzictwa kulturowego. Stanowi ona w rzeczywistości centralne zagadnienie teoretyczne wszystkich nauk społecznych. Jak stwierdził Alfred Whitehead "Wszystkie książki i przemówienia większości znanych ludzi powiadają nam, że kulturywać winniśmy zwyczaj myślenia o tym, co robimy. Jest to maksyma głęboko fałszywa. Rzecz ma się dokładnie odwrotnie. Postęp cywilizacji polega na rozszerzeniu liczby ważnych działań, które możemy wykonywać nie myśląc o nich." Ma to kolosalne znaczenie społeczne. Bez przerwy posługujemy się formułami, symbolami i regułami, których znaczenia nie pojmujemy i poprzez użytkowanie których korzystamy z wiedzy jakiejś jako jednostki nie posiadamy. Instytucje te i praktyki wnieśliśmy na fundamenta obyczajów i rozwiązań, które sprawdziły się we właściwych im sferach i stały się podstawą zbudowanej przez nas cywilizacji.

System cen jest właśnie jedną z tych budowli, którą człowiek nauczył się posługiwać -/choć nadal daleki jest od nauczania się najlepszego sposobu jej wykorzystania/ natknąwszy się na nią przypadkiem i nie rozumiejąc jej. Uczyniła ona możliwym nie tylko podział pracy, ale i skoordynowane użytkowanie zasobów w sytuacji rozproszenia wiedzy. Ludzie którzy tezę tę wymieniają, zazwyczaj przekraczają ją twierdząc, iż głosi ona, że jakiś cud sprawił, iż rozwinął się ten właśnie system, który najlepiej dostosowany był do współczesnej cywilizacji. Rzecz na się jednak odwrotnie: podział pracy stanowiący podstawę naszej cywilizacji rozwinął się tylko dlatego, że całowekowi udało się przypadkiem natknąć na instytucję, która uczyniła go możliwym. Gdyby tak się nie stało, najprawdopodobniej również stworzyłby jakąś cywilizację, zupełnie jednak odmienną, coś na kształt "państwa" termitów, bądź inny jeszcze, trudny do wyobrażenia jej rodzaj. Jedynie co możemy powiedzieć to to, że nikomu jeszcze nie udało się zaprojektować alternatywnego systemu, który zachowałby pewne cechy systemu istniejącego, drogie nawet tym, którzy najgwałtowniej go napadają - jak choćby zakres danej jednostce swobody wyboru zajęcia, a w efekcie zakres swobodnego wykorzystania przez nią jej wiedzy i umiejętności.

## VII

Tak się szczęśliwie składa, że spór o niezbędność systemu cen dla dokonywania racjonalnego rachunku ekonomicznego w złożonym społeczeństwie nie toczy się już obecnie wyłącznie między obozami wyznającymi odmiennie poglądy polityczne. Gdy przed dwudziestu pięciu laty von Mises wysunął po raz pierwszy tezę, że bez systemu cen niemożliwe jest trwanie społeczeństwa opartego na podziale pracy posuniętym tak daleko, jak to się dzieje w naszym obecnym społeczeństwie, powitana została ona drwinami. Dziś trudności jakie ma wstąpić w zaakceptowaniu tej tezy nie są już przede wszystkim natury politycznej, co czyni atmosferę zniesienie bardziej sprzyjającą rzeczowej dyskusji. Gdy czytamy zdanie Trockiego, że "rachunek ekonomiczny jest nie do pomyślenia bez istnienia stosunków rynkowych", gdy profesor Oskar Lange obiecuje profesorowi von Misesowi marmurowe popiersie w salach przysłego Centralnego Urzędu Planowania, gdy profesor Abba P. Lerner "odkrywa" Adama Smith'a i podkreśla, że główną zaletą systemu cen jest skłanianie jednostki, by realizując własne interesy czyniła to, co leży w interesie ogólnym - różnice poglądów nie mogą być już dłużej przypisywane różnicom politycznym. Niezgoda która pozostaje, wydaje się być owocem różnic czysto intelektualnych, a ściślej metodologicznych.

Jedno ze stwierdzeń profesora Joseph'a Schumpetera z jego książki "Capitalism, socialism and democracy" stanowi doskonałą ilustrację jednej z różnic metodologicznych, o które mi chodzi. Autor ten należy do najwybitniejszych spośród tych ekonomistów, którzy do zjawisk ekonomicznych podchodzą w duchu jednej z odmian pozytywizmu. Zjawiska gospodarcze postrzega on jako obiektywne dane ilości towarów wpływające bezpośrednio i dane na drugie, można by nieomal rzec, iż bez jakiegokolwiek ludzkiej interwencji. Tylko w ten sposób wyjaśnić sobie mogą /zdumiewające mnie/ następujące jego stwierdzenie. Profesor Schumpeter konstatuje mianowicie, że możliwość racjonalnego rachunku ekonomicznego w sytuacji braku rynków na czynniki produkcji wynika dla teoretyka "z elementarnej tezy, iż konsumenci, dokonując wartościowania /"zgłaszając popyt"/ dóbr konsumpcyjnych, ipso facto dokonują także wartościowania środków produkcji zastosowanych w procesie wytwarzania dóbr konsumpcyjnych" /1/.

W swym dosłownym znaczeniu twierdzenie to jest po prostu fałszywe. Konsumenci niczego takiego nie robią. "Ipso facto" profesora Schumpetera ma najprawdopodobniej oznaczać, że wartościowanie czynników produkcji implikowane jest przez ocenę dóbr konsumpcyjnych czy też w sposób konieczny z niej wynika. I ta teza nie jest jednak prawdziwa. Implikacja jest relacją logiczną, którą w sposób sensowny odnosić można jedynie do tez danych jednocześnie temu samemu umysłowi. Jest jednak rzeczą oczywistą, że wartości czynników produkcji nie zależą jedynie od ocen dóbr konsumpcyjnych, lecz również od warunków podaży najrozmaitszych z tych czynników. Jedynie umysł

znający wszystkie te fakty mogłyby udzielić odpowiedzi, którą one implikują. Cały problem powstaje jednak właśnie dlatego, że fakty te nigdy nie są dane pojedynczemu umysłowi, a w konsekwencji dlatego, że rozwiązanie tego problemu wymaga wykorzystania wiedzy rozproszonej między wielu ludzi.

Ukazanie że wszystkie te fakty, gdyby znane były pojedynczemu umysłowi /tak jak zakładamy, że znane są ekonomistom/, jednoznacznie wyznaczały rozwiązanie nie stanowi więc rozwiązania problemu. To co musimy pokazać, to sposób produkowania tego rozwiązania w procesie interakcji wielu ludzi posiadających jedynie częściową wiedzę. Założyć że cała wiedza dana jest jednemu umysłowi w ten sam sposób w jaki zakładamy, że jest ona dana nam jako ekonomistom, to założyć że nie istnieje cały problem i nie dostrzegać tego wszystkiego, co w świecie rzeczywistym ważne i znaczące.

Fakt że ekonomista tej klasy co profesor Schumpeter mógł wpaść w pułapkę zastawioną na nieświadomych przez dwuznaczność pojęcia "dane", nie może być wyjaśniona w kategoriach zwykłego błędu. Sugeruje on raczej jakąś zasadniczą wadę podejścia nie dostrzegającego zarzyczać tego, co zasadnicze w zjawiskach, z którymi mamy do czynienia; tego mianowicie, że wiedza ludzka jest zawsze w sposób nieunikniony niedoskonała, co czyni niezbędnym proces stałego jej przekazywania i zdobywania. Każde podejście, które - tak jak przeważająca część ekonomii matematycznej z charakterystycznymi dla niej zespółami równań /simultaneous equations/ - zakłada, że ludzka wiedza dokładnie odpowiada faktom danej sytuacji, systematycznie pomija to, co winno być głównym przedmiotem wyjaśnienia. Daleki jestem od twierdzenia, że w naszym systemie analiza równowagi ogólnej nie ma ważnej funkcji do spełnienia. Gdy jednak dochodzi do tego, że skłania ona najwybitniejszych spośród nas do uwierzenia, iż opisywana przez nią sytuacja jest dokładnie taka, z jaką stykamy się w praktyce, oznacza to, że nadstęcił czas byśmy zdali sobie sprawę, że nie opisuje ona wcale procesów społecznych i nie jest niczym więcej jak tylko użytecznym wstępem do właściwej analizy głównego problemu.

tłum. Jerzy Strzelecki

#### Przypisy.

1. Joseph Schumpeter, "Capitalism, socialism and democracy", /New York, Harper, 1942/, str. 175. Profesor Schumpeter jest również, jak sądzę, głównym autorem mitu, że Pareto i Barone "rozwiązali" problem rachunku ekonomicznego w gospodarce socjalistycznej. To czego dokonali oni, wraz z wielu innymi, to jedynie określenie warunków jakie spełnić będzie musiała racjonalna alokacja zasobów w tej gospodarce i podkreślenie, że są to warunki zasadniczo tożsame z warunkami równowagi ogólnej na rynku konkurencyjnym. Jest to coś zupełnie innego niż pokazanie w jaki sposób alokacja zasobów spełniająca te warunki może być dokonana w rzeczywistości. Sam Pareto /od którego Barone wziął niemiło wszystko, co miał do powiedzenia /który jak najszybciej był od twierdzenia, że rozwiązał problem praktyczny, w istocie wyraźnie zaprzecza, by problem ten mógł być rozwiązany bez pomocy rynku. Patrz: "Manuel d'economie pure" /drugie wydanie/, str. 233-234. Odpowiedni fragment w tłumaczeniu angielskim cytuję na początku mojego artykułu "Socialist calculation: the competitive solution", Economics, New Series, vol. VII, n. 0.26, /maj 1940/, str. 125.

Friedrich A. von Hayek

# Konkurencja jako procedura odkrywania

## I.

Trudno jest bronić ekonomistów przed zarzutem, że przez ostatnie pół wieku dyskutowali o konkurencji przyjmując założenia, które - jeśli byłyby spełnione w świecie realnym - uczyniłyby przedmiot ich dyskusji bezużytecznym i niegodnym zainteresowania. Jeśli bowiem ktokolwiek rzeczywiście posiadałby pełną wiedzę o tym, co teoria ekonomiczna nazywa "danymi", konkurencja byłaby istotnie niezmiernie marnotrawną metodą dostosowywania się do tych faktów. Nie można się więc dziwić, że niektórzy ludzie doszli do przekonania, bądź, iż możemy być całkowicie obcy się bez rynku, bądź też, że owoce jego funkcjonowania mogą być traktowane jedynie jako pierwszy krok ku uzyskaniu zbioru dóbr i usług, który następnie może być manipulowany, korygowany i redystrybuowany w dowolny pożądanym przez nas sposób. Inni, którzy są wiarą konkurencji wywiedli wprost ze współczesnych podręczników, wywnioskowali nie bez przyszyby, że konkurencja nie istnieje.

Na tle tych poglądów zbawienne jest pamiętać, iż w zasadzie tam, gdzie posługiwano się konkurencją może być racjonalnie uzasadnione, szczerzenie to opiera się na tym, że nie znamy z góry faktów determinujących działania konkurujących. Tak w wypadku pracy jak i egzaminów, tak w wypadku kontraktów rządowych jak i nagród poetyckich, gdybyśmy byli z góry pewni, kto będzie najlepszy, konkurencja byłaby bezsensowna. Jak wskazuje tytuł tego wykładu, to, co proponuję, to rozpatrywanie konkurencji jako procedury odkrywania takich faktów, które - gdyby konkurencja nie istniała - byłyby nikomu nie znane, bądź, co najmniej, przez nikogo nie wykorzystane/2/.

Na pierwszy rzut oka stwierdzenie to może się wydawać tak oczywiste i niewzrostliwe, że nie zasługuje na uwagę. Z otwartego wzrostliwostwa tego twierdzenia okazują się jednak wynikać pewne, bynajmniej nieoczywiste, twierdzenia. To na przykład, iż konkurencja jest cenna i wartościowa jedynie dlatego i wtedy, gdy jej wyniki są nieprzewidywalne i odmienne od tych, do których ktokolwiek świadomie dążył lub mógł dążyć. Dalej zaś to, że podróż najczęściej korzyśtnych efektów konkurencji znajdują się muszą również takie, jak zawiadzenie bądź udaremnienie pewnych oczekiwań lub zamiarów.

Wynika z tego interesująca konsekwencja metodologiczna tłumacząca wiele z przyczyn, dla jakich mikroekonomiczne podejście do teorii popadło w nieład. Choć podjęcie to wyraża mi się być jedynym słusznym wyjaśnieniem roli konkurencji, nie jest ono dziś rozumiane nawet przez wielu niezłych ekonomistów. Warto więc już na wstępie powiedzieć kilka słów o metodologicznej osobliwości wszelkich teorii konkurencji. Szczególnie dlatego, że osobliwość ta czyta konkluzje tych

Tekst wykładu wygłoszonego (bez części drugiej) na zebraniu Philadelphia Society w Chicago 29 III 1968 roku, a następnie 5 VII 1968 roku /po niemiecku, bez części końcowej/ w Institut für Weltwirtschaft Universität w Kolonii. Wydanie pierwsze w "Kieler Vortrage", N.S. 56 Wofonia 1968; przedruk w F. A. von Hayek "Freiburger Studien", Tybinga 1969. Tłumaczenie niniejsze dokonane zostało na podstawie wersji angielskojęzycznej "Competition as a Discovery Procedure" zamieszczonej w: F. A. von Hayek, "New Studies in Philosophy, Politics, Economics and the History of Ideas", Rortledge and Kegan Paul, London and Henly, 1978, ss. 179-180.

teorii mocno podejrzanymi w oczach wielu, którzy swe decyzje dotyczące tego, co akceptują jako naukę, podejmują w oparciu o zbyt upraszczające kryteria. Koniecznym następstwem przyczyn, dla jakich posługujemy się konkurencją, jest to, że w przypadkach, w których konkurencja jest interesująca, słuszność teorii nigdy nie może być empirycznie zweryfikowana. Możemy ją testować na modelach pojęciowych i najprawdopodobniej w sytuacjach sztucznie stworzonych, wtedy gdy fakty, mające być odkrytymi, są obserwatorowi z góry znane. W takich przypadkach jednak tak konkurencja jak i jej teorie nie mają jednak żadnego znaczenia praktycznego, eksperyment nie będzie więc wcale warty. Jeśli nie znamy faktów które chcemy odkryć za pomocą konkurencji, nie możemy nigdy ocenić jak efektywna była ona w ich odkrywaniu. Możemy więc jedynie nadzieję na stwierdzenie, że społeczeństwa posługujące się konkurencją odniosły więcej sukcesów w osiąganiu swych celów niż te, które tego nie czyniły. Konkluzję tę wydaje się dobitnie potwierdzać cała historia cywilizacji.

Osobliwość konkurencji - która dzieli ona z metodą naukową - polega więc na tym, że jej efektywność nie może być zweryfikowana w sytuacjach, gdy działanie jej jest istotne, lecz objawia się jedynie poprzez fakt przewagi rynku nad wszelkimi innymi rozwiązaniami instytucjonalnymi. Podobnie i wyższość uznanych metod naukowych nie może być nigdy naukowo dowiedziona; jedyny dowód na rzecz tej wyższości stanowi to, że - jak wskazuje powszechne doświadczenia - metody te są lepiej od innych dostosowane do "wytwarzania" dóbr, jakich od nich oczekujemy/3/.

Różnica między konkurencją gospodarczą a owocnymi procedurami naukowymi polega na tym, że ta pierwsza stanowi metodę odkrywania faktów istotnych dla osiągnięcia celów ściśle określonych co do miejsca i czasu, podczas gdy nauka stara się odkryć to, co nazywa się czasem "faktami ogólnymi", a więc regularności zdarzeń. Nauka zajmuje się pojedynczymi, unikalnymi, faktami tylko w tym stopniu, w jakim pomagają one potwierdzić lub odrzucić teorie. W przeciwieństwie do tego, korzyści z faktów, których użyteczność odkrywa konkurencja, są w znacznym stopniu przemijające, przejściowe. Zdystryktować teorię nauki na tej podstawie, że nie prowadzi ona do testowalnych predykcji dotyczących przyszłych odkryć naukowych, jest równie łatwe, co zdystryktować teorię rynku dla tego, że nie jest ona w stanie przeprowadzić poszczególnych efektów działania mechanizmu rynkowego. Tego, co wynika z samej natury rzeczy, teoria konkurencji nie jest w stanie uczynić w żadnej sytuacji, w której posługiwanie się nią ma jakikolwiek sens. Jej zdolność przewidywania jest, jak zobaczymy, ograniczona do "predykcji wzorca", lub, inaczej, abstrakcyjnych cech przyszłego ładu. Nie obejmuje jednak przewidywania poszczególnych faktów/4/.

## II.

Uwolniliśmy się od tak ukochanego przeze mnie tematu, powrócę do głównego wątku tego wykładu. A więc do ukazania, w jaki sposób teoria ekonomiczna - przyjmując założenia traktujące zasoby rzadkich dóbr jako "dane" - wydaje się zamierać sobie drogę do zrozumienia prawdziwego charakteru zjawiska konkurencji. Które dobra są dobrami rzadkimi, które rzeczy są dobrami, jaka jest ich rzadkość czy też wartość - to wszystko właśnie odkrywane jest przez konkurencję. Jedynie prowizoryczne wyniki procesu rynkowego mówią jednostkom, do czego winny dążyć. W społeczeństwie rozwiniętego podziału pracy wykorzystanie rozproszonej wiedzy nie może opierać się na jednostkach posiadających pełną wiedzę o wszelkich sposobach użytkowania dóbrze im znanych przedmiotów z ich bezpośredniego otoczenia. Te ceny kierują ich uwagę ku temu, co warto odkryć na temat rynkowych ofert dotyczących rozmaitych dóbr i usług. Oznacza to, że indywidualna wiedza i zdolności, jakie rynek pozwala nam wykorzystywać, zawsze w jakiś sposób unikalne, nie są wyłącznie, ani nawet głównie, tego rodzaju wiedzą o faktach, którą jednostki mogłyby spiąć i przekazać, gdyby załadane tego od nich jakaś władza. Wiedza, o jakiej mówię, raczej swego rodzaju umiejętnością odkrywania rozmaitych okoliczności, umiejętność, która staje się efektywna jedynie wtedy, gdy osoby ją posiadające informowane są przez rynek jakie rodzaje rzeczy i usług są pożądane i jak intensywne jest to pożądanie/5/.

Musi to wystarczyć jako wskaźnik tego, jaki rodzaj wiedzy mam na myśli, gdy

nazywam konkurencją procedurą odkrywania. By pokryć ten nagi szkielet abstrakcyjnych twierdzeń ciałem konkretnym i ukazać pełnię ich znaczenia, wiele należałoby jeszcze dodać. Zadowolili się muszę krótkim zaznaczeniem absurdalności powszechnego obyczaju rozpoczynania analizy od sytuacji, w której cała wiedza o faktach traktowana jest jako znana. Teoria ekonomiczna ten właśnie stan rzeczy nazywa osobliwie "doskonałą konkurencją". Nietrudno zauważyć, że nie ma w nim miejsca na działanie zwane konkurencją, że zakłada się, iż konkurencja spełniła już swe zadanie.

Przejdę teraz do rozważenia innej kwestii, otoczony większą jeszcze konfuzją. Choć mi mianowicie o kwestie znaczenia tezy, iż rynek w sposób spontaniczny dostosowuje działania do odkrywanych przez siebie faktów - bądź też, mówiąc inaczej, o kwestie celów rynkowego użytkowania tej odkrytej informacji. Istniejące w tej sferze nieporozumienia są w przeważającej mierze wynikiem traktowania ładu rynkowego jako "ekonomii" w ścisłym tego słowa znaczeniu/6/, a w konsekwencji oceniania efektów działania rynku w oparciu o kryteria dostosowane jedynie do oceny tego rodzaju "zorganizowanej" zbiorowości, która realizuje z góry daną hierarchię celów. Żadnej tego rodzaju hierarchii celów nie da się jednak przypisać złożonej strukturze składającej się z tysięcy jednostkowych działań ekonomicznych. Na nasze nieszczęście również tego rodzaju strukturę opisujemy pojęciem "ekonomii", choć stanowi ona coś zasadniczo odmiennego i musi być oceniana za pomocą odrębnych kryteriów. Ekonomia w ścisłym tego słowa znaczeniu, to organizacja bądź instytucja, w ramach której ktoś dokonuje świadomej alokacji zasobów podporządkowanej jednemu tylko porządkowi celów. "Wytwarzany" przez rynek ład spontaniczny jest czymś zupełnie odmiennym i pod względem ważnymi względami nie zachowuje się tak, jak "ekonomia". Zasadniczą różnicą różniących go cech jest to, iż nie gwarantuje on, że te potrzeby, które powszechnie uważane są za ważniejsze zawsze zaspokojane będą przed tymi, które uchodzą za bardziej bliskie. To właśnie cecha ładu spontanicznego stanowi główne źródło ludzkiego wobec niego sprzeciwu. Cały socjalizm nie jest w gruncie rzeczy niczym innym jak żądaniem, by ład rynkowy /lub zastąpił go "katalakcją", jak go nazywam, by uniknąć przesłania z "ekonomią"/7// przekształcony został w "ekonomic" w ścisłym znaczeniu, a więc w ład, gdzie wspólna skala wartości określałaby, które z wielu potrzeb mają być zaspokojone, które zaś pozostać nienaspokojonymi.

Realizacja tego socjalistycznego celu natrafia na dwie zasadnicze przeszkody. Po pierwsze, jak to się dzieje w przypadku każdej świadomie projektowanej instytucji, ład typu "ekonomii" wykorzystuje jedynie wiedzę organizatora. Po drugie, wszyscy członkowie tego ładu muszą kierować się w swych dążeniach jedną hierarchią celów - tą, której służyć ma ów ład. Daje się też odpowiednio, korzyści związane z istnieniem ładu rynkowego czy też "katalakcji". Po pierwsze, wiedza, jaką ład ten wykorzystuje, jest wiedzą wszystkich jej członków. Po drugie, cele, jakim służy, to niezależne cele wszystkich jednostek, w całej ich sprzeczności i różnorodności.

Fakt ten stanowi źródło pewnych trudności intelektualnych niepokojących nie tylko socjalistów, lecz także wszystkich ekonomistów pragnących ocenić dokonania systemu rynkowego. Jeśli bowiem ład rynkowy nie służy określonemu porządkowi celów, a w istocie, tak jak i o innych rodzajach ładu spontanicznego, nie można nawet powiedzieć o nim, by miał jakikolwiek cele, nie można również wyznaczyć wartości jego dokonań jako sumy poszczególnych jego wytworów. Cóż więc oznaczać może nasze stwierdzenie, że ład rynkowy wytwarza jakies maksimum czy optimum?

Choć o spontanicznym ładzie nie mówimy dla realizacji jakiegos pojedynczego zamiaru nie można powiedzieć, że posiada jakiś cel, nie znaczy to jednak, by był on ładem wysocy sprzyjającym osiągnięciu wielu najrozmaitszych celów indywidualnych niezmiernych w całości ani żadnej jednostce ani też też żadnej niewielkiej grupie jednostek. Racjonalne działanie możliwe jest jedynie w ścisłej względnie uporządkowanej. Usiłowanie stworzenia warunków, w których losowo wybrana jednostka ma bardzo wysokie szanse zrealizowania swych celów, nie jest więc bezsensowne - nawet, jeśli nie można przewidzieć, które z celów będą faworyzowane, które odrzucone.

Rezultaty procedury odkrywania są, jak zobaczyliśmy, nieprzewidywalne z samej swej natury. Jedyn, czego możemy oczekiwać po efektywnej procedurze odkrywania, to poprawne szanse niezmiernych ludzi. Jedynym wspólnym celem, do jakiego możemy dążyć wybierając tę technikę organizacji życia społecznego, to pewien ogólny model ładu, który z zastosowania techniki tej wynika, jego najbardziej abstrakcyjne cechy.

### III.

Ład będący wytworem konkurencji jest zarysową określoną przez ekonomistów mianem stanu

równowagi. Określenie to jest raczej niefortunne, gdyż termin "równowaga" zakłada, że wszystkie fakty zostały już odkryte, a w konsekwencji, iż konkurencja przestała istnieć. Preferuję więc posługiwanie się kategorią "ładu", przynajmniej w dyskusji dotyczącej problemów polityki gospodarczej. Pojęcie to ma tę przewagę nad pojęciem "równowagi", iż możemy w sposób sensowny mówić o stopniach przybliżenia się do danego ładu lub też o trwaniu danego ładu w procesie zmian. Podczas gdy stan równowagi ekonomicznej nigdy w rzeczywistości nie istnieje, można z pewną dozą zasadności twierdzić, że pewne gospodarki bliższe są temu rodzajowi ładu, który teoretycznie nasza opinia w postaci typu idealnego.

Podstawową cechą tego ładu jest to, że oczekiwania dotyczące wymiany z innymi członkami społeczeństwa, na których to oczekiwaniach oparte są plany wszystkich podmiotów gospodarczych, mogą być w swej większości spełnione. To wzajemne dopasowanie planów poszczególnych jednostek jest efektem tego, co, od czasu, gdy fizyka również zaczęła zamawiać się spontanicznymi rodzajami ładu czy też "systemami samoorganizującymi się", nazywamy "negatywnym sprzężeniem zwrotnym". Jak to jednak przyznaje jeden z inteligentniejszych biologów w *Drugie przesłanie*, napisane przez Claude Bernard, Clark Mammel, Walter B. Cannon bądź Robert Wiener stworzył "cybernetyczny Adam Smith w odmianie klarowny sposób uwydatnił tego pojęcia w "Bogactwo narodów". "Wprowadzając rynek", precyzyjnie regulująca cenę, to nie innego niż to właśnie idea. Na drugim wykładzie, powtórzony w rzeczywistości Smith, ceny regulowane są negatywnym sprzężeniem zwrotnym. /8/

Jak zobaczymy, to co kluczowe dla zrozumienia funkcjonowania ładu rynkowego to fakt, iż wysoki stopień zgodności oczekiwań wynika z systematycznego niespełniania pewnych innych oczekiwań. Wzajemne dopasowanie planów jednostek nie wyczerpuje jednak dokonania rynku. Gwarantuje on również, że cokolwiek jest produkowane, produkowane jest przez osoby robiące to taniej /a co najmniej równie tanio/ niż ktokolwiek, kto tego nie wytwarza /i nie może zająć się porównawczo tańszą produkcją innego rodzaju/ oraz to, że każdy towar sprzedawany jest po cenie niższej niż ta, po której mógłby go dostarczać ktokolwiek z tych, którzy go nie wytwarzają. Nie oznacza to oczywiście, by - produkując po kosztach znacznie niższych niż koszty "następnego najefektywniejszego wytwórcy" - nie można było uzyskać bardzo wysokich zysków. Oznacza to jednak, że jeśli chodzi o rzeczywiście wytwarzany zbiór towarów, jest on - w granicach znanych nam metod produkcji - maksymalny. Oczywiście, będzie on mniejszy od tego, który moglibyśmy wytworzyć, gdyby cała posiadana przez ludzi wiedza /oraz ta, którą mogą zdobyć/ znajdowała się w dyspozycji jednego ośrodka, który karmiłby nią komputer /nie należy jednak zapominać o kosztach zdobycia takiej wiedzy/. Oceniając jednak dokonania rynku jakby z góry, poprzez porównanie go z idealnym standardem, którego nie potrafimy osiągnąć, nie jesteśmy wobec dokonania tych sprawiedliwi. Jeśli mamy je sądzić, czynić to powinniśmy jakby z dołu, w oparciu o porównanie ich z tym, co dałoby się osiągnąć w drodze posługiwania się innymi dostępnymi metodami - szczególnie zaś porównując je z efektami braku konkurencji, z owym sytuacją, w której wytworzyć i sprzedawać poszczególne dobra mogliby tylko ci, którzy otrzymaliby na to specjalne pozwolenie władzy. Śauważmy, jak trudno jest w systemie konkurencyjnym odkryć sposoby lepszego i tańszego dostarczania konsumentom dóbr, w które są już zaopatrzeni. Tam, gdzie tego rodzaju możliwości pozostają niewykorzystane, okazuje się to zazwyczaj bądź efektem postępowania władzy /włącznie z egzekwowaniem przywilejów patentowych/ bądź też rezultatem prywatnego nadużywania siły, które winno być zakazane przez prawo.

Nie możemy zapominać, że to, co gwarantuje nam rynek, to nie określony zestaw dóbr czy też pewien podział dochodu, lecz jedynie jak największe przybliżenie się do jakiegoś z punktów tej n-wymiarowej powierzchni, która w teorii ekonomicznej przedstawia zbiór wszelkich dających się pomyśleć możliwości wytwarzania proporcjonalnej kombinacji dóbr i usług. Konkretny zestaw dóbr oraz ich podział pomiędzy jednostkami są efektem okoliczności nieprzewidywalnych - i w tym sensie, dziełem przypadku. To tak - rozumiał to już Adam Smith /9/ - jakbyśmy zgodzili się uczestniczyć w grze o wyniku zależnym w równym stopniu od umiejętności co od szczęścia. Ta gra w konkurencję, kosztem pozostawienia udziału każdej z jednostek w znacznej mierze na łasce przypadku, gwarantuje jednak, że realna wartość dowolnego udziału jest tak duża, jak to tylko możliwe. Nie jest to więc, by użyć najnowszego języka, gra o sumie zerowej, lecz taka, której efektem jest wzrost puli przeznaczanej do podziału - przy pozostawieniu udziałów indywidualnych w tej puli w znacznym stopniu w gestii przypadku. Umysł wszechwładzący mógłby wybrać dowolny przypadający mu do gustu punkt na owej powierzchni oraz podzielić produkt w sposób, który uznaliby za słuszny. Jednak jedynym

punkt na tej powierzchni /bądź położonym stosunkowo blisko niej/, jaki potrafimy osiągnąć, to ten, który osiągamy, jeśli jego wyznaczenie pozostawiamy rynkowi. Tzn. "maksimum", do którego w ten sposób dochodzimy, nie może być jednak zdefiniowane jako suma poszczególnych dóbr, lecz jedynie w kategoriach prawdo-podobieństwa otrzymania przez dowolne jednostki jak największego ekwiwalentu za ich udziały - udziały będące, jak już wiemy, po części efektem przypadku. Dlatego właśnie, że owoce jej nie mogą być oceniane w oparciu o jedną skalę wartości, tak niebezpieczne jest ocenianie "katalaksji" tak, jakby była "ekonomia".

## IV.

Opaczne interpretowanie ładu rynkowego jako gospodarki, która winna jest i może zaspokajać najrozmaitsze potrzeby według pewnego porządku priorytetów znajduje swój najpełniejszy wyraz w polityce korekty cen i dochodów prowadzonej w intencji zapewnienia tego, co zwane jest "sprawiedliwością społeczną". Bez względu na sens, jaki przypisywali temu pojęciu filozofowie, w praktyce polityki gospodarczej oznaczało ono niemal zawsze jedno i tylko jedno: ochronę pewnych grup przed utratą absolutnej lub względnej pozycji materialnej, która jakiś czas była ich udziałem. Traktowanie tej zasady jako podstawowej zasady polityki musi jednak prowadzić do zniszczenia samych fundamentów ładu rynkowego. Nie tylko stały wzrost, lecz w pewnych sytuacjach także samo utrzymanie istniejącego poziomu dochodów, zależne są bowiem od adaptacji do nieprzewidywanych zmian. Łączy się to zawsze z redukcją względnego, a czasem nawet absolutnego udziału pewnych grup w dochodzie - mimo, iż grupy te nie są za tę redukcję odpowiedzialne.

Pamiętać trzeba zawsze, że konieczność wszelkich adaptacji gospodarczych wynika z pojawienia się nieprzewidywanych zmian, a jedyną uzasadnioną dla posięgnięcia się mechanizmem cenowym stanowi to, że mówi on ludziom, iż to co robią /lub mogą robić/ stało się - z przyczyn, za jakie osoby te nie są odpowiedzialne - mniej lub bardziej pożądane. Dostosowywanie się całego ładu działań gospodarczych do zmienionych okoliczności opiera się na zmianie wynagrodzenia za poszczególne działania, bez względu na zasługi bądź niedociągnięcia jednostek zmielanymi tymi dotkniętymi.

W kontekście tym używa się często pojęcia "bódcza", często przy tym w mylącym sensie, tak, jakby głównym problemem było skłonienie ludzi do tego, by "dać z siebie wszystko". Zasadniczą wskazówką jakiej dostarczają ceny dotyczy jednak nie tyle kwestii jak robić, lecz co robić. W stale zmieniającym się świecie nawet zwykłe utrzymanie danego poziomu bogactwa wymaga ciągłych zmian kierunków działania niektórych ludzi, co nastąpi wtedy tylko, gdy wynagrodzenie pewnych działań wzrośnie, innych zaś ulegnie zmniejszeniu. W sytuacji, gdy rezultatem tych adaptacji jest jedynie utrzymanie ogólnej wielkości strumienia dochodów, nie istnieje żadna "nadwyżka", której użyć by można dla zrekompensowania strat tych, przeciw którym obrócili się zmiany cen. Tylko w systemach o wysokim tempie wzrostu możemy mieć nadzieję na uniknięcie absolutnego pogorszenia się pozycji pewnych grup.

Ekonomiści współcześni, analizując tę problematykę, wydają się często nie dostrzegać tego, że względna stabilność wielu z tych agregatów, które teoria makroekonomiczna traktuje jako dane, jest owocem zjawisk mikroekonomicznych, których zmiany cen są częścią zasadniczą. Właśnie mechanizmowi rynkowemu zawdzięczamy to, że inna jednostka zastępuje tą, która nie zdołała zaspokoić oczekiwań swych partnerów. Wszystkie globalne kryzysy popytu i podaży, których tak lubiny używać, w rzeczywistości nie są bynajmniej obiektywnie danymi faktami, lecz efektem toczącego się stale procesu konkurencji. Nie możemy się również spodziewać, że informacje statystyczne powiedzą nam, jakie zmiany cen bądź dochodów są niezbędne dla dostosowania się do nadchodzących zmian.

Co wymaga szczególnego podkreślenia, to fakt, że w społeczeństwie demokratycznym wprowadzenie poprzez rozkazy zmian, które nie byłyby postrzegane jako sprawiedliwe i których konieczności nie dałoby się przekonywująco udowodnić byłoby absolutnie niemożliwe. W systemie politycznym tego rodzaju celem świadomej regulacji może być jedynie zagwarantowanie cen uważanych za sprawiedliwe. W praktyce oznacza to zachowanie tradycyjnej struktury cen i dochodów. System



gospodarczy, w którym każdy otrzymuje tyle, na ile zasługuje według oceny innych, byłby systemem wysoce nieefektywnym - zupełnie niezależnie od faktu, iż charakteryzowałby się również niesłychanie wysokim stopniem przymusu. Wszelka "polityka dochodowa" utrudnia raczej niż ułatwia zajęcie tych zmian struktury cen i dochodów, które niezbędne są, by gospodarka dostosowała się do nowych okoliczności.

Paradoksalnie, kraje komunistyczne są dziś prawdopodobnie mniej skrupowane zwracając "sprawiedliwości społecznej" niż kraje "kapitalistyczne". Bardziej też skłonne są obciążać ciężarem rozwoju tych, których pozycje rozwoj ten narusza. W wielu z krajów Zachodu sytuacja wydaje się być pod tym względem wprost bezładniejsza, gdyż ideologia jaka zdominowała ich politykę czyni niemożliwymi te właśnie zmiany, które niezbędne są, by pozycja klasy robotniczej poprawiła się na tyle szybko, by zaowocować śmiercią tej ideologii.

## V.

Jeśli konkurencja jako proces eksploracji, w ramach którego poszukujący stają się odkryć niewykorzystane możliwości, z których w przyszłości skorzystają również inni, jest tak ważna nawet w wysoko rozwiniętych systemach przemysłowych, tym bardziej istotna być musi w społeczeństwach zacofanych. Pierwsze z moich uwag zupełnie świadomie dotyczyły problemów utrzymania efektywnego ładu w warunkach, gdy większość zasobów i technik jest znana, a stałe działania dostosowawcze konieczne są jedynie ze względu na nieuniknione drobne zmiany, po to, by zachować dany poziom dochodów. Nie będę tu rozważał roli, jaką konkurencja odgrywa niewątpliwie w dziedzinie rozwoju technologii. Podkreślić chcę to, o ile większe musi być jej znaczenie w tych krajach, gdzie głównym zadaniem jest odkrycie nieznanych dotąd możliwości społeczeństwa - społeczeństwa, w którym konkurencja nigdy jeszcze nie rozwinęła skrzydeł. Przekonanie, że możemy przewidzieć i kontrolować strukturę społeczną jaką dalszy rozwój technologii wytworzy w krajach wysoko rozwiniętych, w znacznej mierze błędne, może nie być zupełnie absurdalne. Wiara, że z góry określić możemy strukturę społeczną kraju, w którym głównym problemem jest jeszcze wciąż odkrycie, jakie zasoby materialne i ludzkie są w ogóle dostępne, czy też wiara, że w odniesieniu do takiego kraju przewidzieć możemy poszczególne konsekwencje naszych działań, jest jednak całkowitym urojeniem.

Niezależnie od tego, że w krajach tych o tyle więcej jest do odkrycia, istnieje inny jeszcze powód, dla którego jak największa swoboda konkurencji wydaje się być tam ważniejsza, niż w krajach bardziej rozwiniętych. Dzieje się tak dlatego, że wymagane zmiany obyczajów następują wtedy tylko, jeśli ci nieliczni mający ochotę i zdolność do eksperymentowania z nowymi "sposobami", z jednej strony uczynią naśladowanie siebie koniecznym dla większości, z drugiej zaś pokazą tej większości drogę. Jeśli wielu zdoła zmusić tych nielicznych do przetrwania tradycji, proces odkrywania ulegnie zahamowaniu lub zostanie całkowicie wstrzymany. Jedną z głównych przyczyn awersji w stosunku do konkurencji jest oczywiście to, iż nie tylko pokazuje ona, jak można coś zrobić bardziej efektywnie, lecz że przed tymi, których dochody zależą od rynku, stawia również wybór pomiędzy imitowaniem odnoszących sukces a utratą części lub całości dochodów. Konkurencja wytwarza w ten sposób rodzaj bezosobowego przymusu narzucającego wielu jednostkom konieczność takiej zmiany sposobu życia, do jakiej nigdy nie udałoby się doprowadzić przez świadome polecenia czy rozkazy. Planowanie centralne na usługach tzw. "sprawiedliwości społecznej" stanowić może luksus, na jaki kraje bogate mogą sobie pozwolić, nawet przez dłuższy czas, bez wielkiej szkody dla swych dochodów. Z całą pewnością nie jest to jednak metoda której stosowanie przez kraje biedne przyspieszyć może ich dostosowanie się do szybko zmieniających się okoliczności. A od tego właśnie zależy ich rozwój gospodarczy.

Warto to może wspomnieć, że szanse wzrostu są najprawdopodobniej tym większe im większe są w danym kraju niewykorzystane dotąd możliwości. Choć na pierwszy rzut oka może to się wydawać dziwne, wysoka stopa wzrostu jest najczęściej dowodem, że w przeszłości wiele z tych możliwości nie było dostrzeganych. Tak więc wysoka stopa wzrostu świadczy często raczej o ziej polityce przeszłości

niż o dobrej polityce chwili obecnej. Wynikałoby z tego, że nierozsądnie jest oczekiwać w krajach wysoko już rozwiniętych równie wysokich stóp wzrostu tak te, które mogą być okresowo osiągnąć tam, gdzie efektywne wykorzystanie zasobów było uprzednio przez dłuższy czas uniemożliwione prawami i instytucjonalnymi przeszkodami.

Z tego, co widziałem na tym świecie, proporcja osób gotowych wypróbować nowe możliwości, jeśli wydają się one obiecywać im lepsze życie i jeśli nie przeszkadzają im w tym bliźni, jest wszędzie taka sama. Tak często oplakiwany brak ducha przedsiębiorczości w wielu z nowo powstałych państw nie jest bynajmniej niezmienną cechą ich mieszkańców, lecz konsekwencją ograniczeń, jakie na działania jednostek nakładają istniejące obyczaje i instytucje. Dlatego właśnie byłoby dla tych społeczeństw fatalne, gdyby, zamiast aby władza rządu ograniczyła się do ochrony jednostek przed społeczną presją, kierowanie gospodarką oddano jakiegokolwiek "woli zbiorowej". Taką ochronę przedsiębiorczości i prywatnych inicjatyw zapewnia tylko instytucja własności prywatnej i cały zespół liberalnych instytucji prawnych.

tłum. Jerzy Strzelecki

#### Przypisy.

1. Test wykładu wygłoszonego /bez części II/ na zebraniu Philadelphio Society w Chicago 29 marca 1968 roku, a następnie 5 lipca 1968, /po niemiecku: bez części końcowej/ w Institut für Weltwirtschaft Uniwersytetu w Kolonii. Wydanie pierwsze w "Kieler Vortrage", N.S. 56, wolsia 1968, przedruk w F.A. von Hayek, "Freiburger Studien", Tybinga 1969. Tłumaczenie niniejsze dokonane zostało na podstawie wersji angielskiej "Competition as a discovery procedure" zamieszczonej w: F.A. von Hayek, "New studies in philosophy, politics, economics and the history of ideas", Routledge and Kegan Paul, London and Henley, 1978, str. 179-196.
2. Już po napisaniu tego tekstu uwagę moją zwrócił Leopolda von Wiese "Die Konkurrenz, vorwiegend in soziologisch-systematischer Betrachtung" Verhandlungen des 6. Deutschen Soziologentages, 1929, w której na stronie 27, omawia on "eksperymentalną" naturę konkurencji.
3. Patrz interesujące badania późnego Michael'a Polanyi w jego "The Logic of Liberty" London 1951, gdzie ukazane jest, w jaki sposób przeszedł on od badań metody naukowej do analizy konkurencji gospodarczej; patrz także K.R. Popper, "The Logic of Scientific Discovery" London 1959.
4. Na temat natury "predykcji wzorca" patrz mój esej "The theory of complex phenomena" /Teoria zjawisk złożonych/ w: "Studies in philosophy, politics and economics", London and Chicago, 1967.
5. Cf. Samuel Johnson w: J. Boswell, "Life of Samuel Johnson", wydanie E.B. Walford poprawione przez L.F. Powell'a, Oxford 1934, tom II, str. 365, /zapis Johnsona z 18 kwietnia 1775 roku/: "Istnieją dwa rodzaje wiedzy. Sami znamy temat, lub też wiemy, gdzie można znaleźć informację o nim".
6. A więc w sensie związanym z greckim jeszcze znaczeniem tego słowa. /Przyp. tłum./
7. Pełniejsza dyskusja na ten temat zawiera jest w mojej pracy "Law, Legislation, and Liberty" tom II, "The mirage of social justice", London and Chicago, 1976, str. 107-120.
8. G. Hardin, "Nature and man's fate", 1951, Mentor edition, 1964, str. 54.
9. Adam Smith, "The theory of moral sentiments", London 1759, część III, rozdział 3, paragraf przedostatni, oraz część VII, ustęp II, rozdział 9.

Friedrich A. von Hayek

## Wolność ekonomiczna i rząd reprezentywny

/1/ Zarodki destrukcji

Trzydzieści lat temu napisałem książkę /chodzi o wydaną w roku 1944 "Droge do poddaństwa". Przyp. red., która w sposób uważany przez wielu za przesadnie alarmistyczny, opisywała zagrożenia wolności osobistej jednostki, stwarzane przez widoczne wtedy tendencje kolektywistyczne. Cieszy mnie, że te obawy nie zmaterializowały się jak dotąd i nie uważam tego za dowód mojego błędu. Przede wszystkim nie twierdziłem - jak mylnie mnie często rozumiano - że wszelka ingerencja rządu w sprawy ekonomiczne wprowadza nas nieuchronnie na drogę wiodącą do systemu totalitarnego. Próbowałem raczej dowiedzieć tego, co w mowie potocznej wyraża się powiedzeniem: "ten, kto nie koryguje swych zasad, pójdzie do piekła".

Faktyczny powojenny rozwój Wielkiej Brytanii i reszty świata zachodniego nie poszedł w kierunku sugerowanym jako prawdopodobny przez dominujące doktryny kolektywistyczne. W istocie pierwsze 20 lat po wojnie upłynęło pod znakiem silniejszego odrodzenia gospodarki wolnorynkowej, niż mogli się tego spodziewać najbardziej entuzjastyczni jej zwolennicy. Chętnie wprowadzę przypominać zasługi tych, co - jak Harold Wincott, którego pamięci poświęcony jest mój odczyt - przyczynili się do takiego obrotu rzeczy swoimi wysiłkami w sferze intelektualnej, ale, z drugiej strony, nie przeceniam znaczenia debaty intelektualnej dla praktyki. Co najmniej równie ważne były zapewne doświadczenia Niemiec Zachodnich, które polegając na gospodarce rynkowej stały się szybko największą potęgą ekonomiczną w Europie, w pewnej mierze też praktyczne wysiłki na rzecz usunięcia barier w handlu międzynarodowym, takie jak GATT, oraz być może, intencje, jeśli nie praktyka EWG.

Rezultatem była Wielka Prosperity ostatnich 20-25 lat, która, jak obawiam się, wyda się nam w przyszłości takim samym ewenementem, jakim zdaje się nam dzisiaj Wielka Depresja lat 30-tych. Dla mnie przynajmniej jest rzeczą jasną, że jeszcze 6-8 lat temu prosperity brała się z wyzwolenia spontanicznych sił systemu ekonomicznego, a nie z inflacji, jak to miało miejsce w latach późniejszych. Często się o tym zapomina, więc może przypomnę, że w okresie najbardziej spektakularnej pomyślności Republiki Federalnej Niemiec, średnioroczny wzrost cen nie przekroczył 2%, aż do roku 1966.

Wierzę, że nawet ta umiarkowana stopa inflacji nie była niezbędna dla zapewnienia prosperity i że mogliśmy wszyscy mieć dzisiaj lepsze widoki trwałej pomyślności, gdybyśmy zadowolili się tym, co udawało się osiągnąć bez pomocy inflacji i gdybyśmy nie próbowali stymulować tego jeszcze bardziej przy pomocy polityki ekspansji kredytowej. A właśnie tego typu polityka stworzyła sytuację, w której uważa się za rzecz konieczną wprowadzenie kontroli mogącej zniszczyć główny fundament prosperity, a mianowicie funkcjonujący rynek. W rzeczy samej, środki zaradcze, potrzebne podobno by zwalczyć inflację - jak gdyby inflacja była czymś, co nas atakuje, a nie czymś, co sami stwarzamy - grożą zaburzeniem wolnej gospodarki w niedalekiej przyszłości.

Tytuł oryginału: "Economic Freedom and Representative Government". Odczyt wygłoszony dla Royal Society of Arts w Londynie 21 października 1973 roku, zamieszczony w zbiorze "New Studies in Philosophy, Politics, Economics and the History of Ideas".

Znaleźliśmy się w sytuacji paradoksalnej - po okresie, kiedy gospodarka rynkowa okazała się skuteczniejsza niż kiedykolwiek jako dźwignia szybkiego wzrostu standardu życiowego w świecie zachodnim, szanse jej dalszego istnienia muszą wydawać się niewielkie. W gruncie rzeczy nigdy nie byłym takim pesymistą w ocenie możliwości przetrwania funkcjonującej gospodarki rynkowej jak w obecnym momencie - a wiąże się to z możliwością zachowania porządku politycznej wolności. I chociaż zagrożenie wolnych instytucji bierze się dzisiaj z innego źródła, niż te, jakimi zajmowałem się 30 lat temu, jest ono jeszcze bardziej dotkliwie niż wtedy.

To, że systematycznie uprawiana polityka dochodowa oznacza zawieszenie mechanizmu cenowego i zastąpienie rynku niebawem przez gospodarkę centralnie kierowaną, nie ulega dla mnie wątpliwości. Nie mogę tutaj omówić sposobów, dzięki którym moglibyśmy jeszcze uniknąć takiego rozwoju sytuacji, ani też szans, jakie na to wciąż mamy. Jakkolwiek uważam za naczelny dzisiaj obowiązek ekonomisty zwalczać inflację i tłumaczenie dlaczego tłumiona inflacja jest jeszcze gorsza niż otwarta inflacja, ten wykład poświęcam innym zagadnieniom. W moim przekonaniu inflacja przyspieszyła po prostu proces destrukcji gospodarki rynkowej, będący już w toku i wywołany innymi przyczynami, przybliżając znacznie moment, kiedy - widząc ekonomiczne i moralne konsekwencje centralnego kierowania gospodarką - będziemy musieli zastanowić się w jaki sposób można odbudować gospodarkę rynkową, opierając ją na bardziej niezawodnych i trwałych podstawach.

## /2/ Niebezpieczeństwa rządu nieograniczonego

Przez jakiś czas byłem skłonny przypuszczać, że to nie celowe wysiłki różnego rodzaju kolektywistów, podejmowane dla zastąpienia rynku przez planowanie, ani też nie konsekwencje nowej polityki monetarnej, są tym co grozi zniszczeniem gospodarki rynkowej - to instytucje polityczne przeważające w systemach zachodnich nieuchronnie powodują dryfowanie w tym kierunku i można temu zapobiec jedynie przez zmianę tych instytucji. Ponięcznie przyznałem rację Josefowi Schumpeterowi, który 30 lat temu twierdził/1/, że istnieje nieusuwalny konflikt pomiędzy demokracją a kapitalizmem - tylko, że to nie demokracja jako taka, ale szczególna forma demokratycznej organizacji, uważana obecnie za jedyną możliwą, powoduje narastającą kontrolę życia ekonomicznego, nawet jeśli większość społeczeństwa życzy sobie zachowania gospodarki rynkowej.

Przyjęto bowiem za rzecz

Przyjęto bowiem powszechnie za rzecz oczywistą, że w demokracji władza większości musi być nieograniczona i że rząd, mający Nielimitowane kompetencje, zmuszony będzie zapewnić sobie stałe poparcie większości, aby używać swej władzy w interesie poszczególnych grup - takich jak poszczególne branże, czy mieszkańcy określonych regionów. Weźmy przykład wspólnoty w której ogół opowiada się za porządkiem rynkowym i przeciw ingerencji rządowej, ale, jak ma to zwykle miejsce, większość grup chciałaby, żeby uczyniono wyjątek na ich korzyść. W takich warunkach partia polityczna spodziewająca się zdobyć i utrzymać władzę będzie miała niewielki wybór poza kupowaniem sobie poparcia poszczególnych grup interesu. Będzie to robiła nie dlatego, że jest nastawiona pro-interwencjonistycznie, lecz dlatego, że jako partia rządząca nie jest w stanie utrzymać poparcia większości, jeśli nie będzie sobie poszczególnych

kszości, jeśli nie zdoła sobie poszczególnych grup, obiecując im specjalne przywileje. Oznacza to w praktyce, że nawet maż stanu oddany szczerze sprawie ogólnego dobra wszystkich obywateli, będzie znajdował się pod ustawiczną presją ze strony poszczególnych grup interesu i tylko ulegając im zachowa poparcie większości, niezbędne mu po to by realizować cele, które uważa za rzeczywiście ważne.

Źródłem zła jest zatem nieograniczona władza ciała ustawodawczego w nowożytnych demokracjach - władza, której większość parlamentarna musi wciąż używać w sposób, jakiego nie pochwalała na ogół nawet jej członkowie. To, co nazywamy wolą większości, jest po prostu wytworem istniejącego układu

instytucjonalnego, a w szczególności wszechwładzy legislatywy, wciąganej przez mechanikę procesów politycznych w działania obce często jej członkom - po prostu dlatego, że nie istnieje formalne ograniczenie władzy.

Wierzy się powszechnie, że omnipotencja ciała ustawodawczego jest koniecznym atrybutem demokracji, ponieważ wola zgromadzenia przedstawicielskiego mogłaby być ograniczona jedynie przez usytuowanie jakiejś innej władzy ponad nim. Wszczęta pozytywizm prawniczy, najbardziej wpływową teorią we współczesnym prawoznawstwie, przedstawia nieograniczoną suwerenność legislatywy jako logiczną konieczność. Nie jest to jednak w żadnym wypadku pogląd wynawany przez klasyczną teorię rządu reprezentatywnego. John Locke dobitnie wykazał, że w wolnym państwie władza ciała ustawodawczego powinna mieć określone granice, powinna mianowicie sprawadzać się do stanowienia prawa w ścisłym znaczeniu, to znaczy ogólnych zasad sprawiedliwego postępowania, mających jednakowe zastosowanie do wszystkich ludzi. To, że wszelki przymus staje się prawomocny jedynie wówczas, gdy oznacza egzekwowanie tych ogólnych zasad, jest podstawowym kanonem liberalizmu. Dla Locke'a i późniejszych przedstawicieli doktryny Wigów i doktryny podziału władzy nie tyle źródło pochodzenia norm prawnych, ile ich charakter, jako ogólnych i mających powszechnie zastosowanie zasad sprawiedliwości, upoważniał do przymusowego ich stosowania.

Ta stara liberalna idea niezbędnego ograniczenia każdej władzy została w trakcie minionego stulecia stopniowo i niemal niepostrzeżenie zastąpiona przez zupełnie inną, choć pozornie zbliżoną koncepcję, mówiącą, że aprobatą większości jest i powinna być jedynym i wystarczającym ograniczeniem ustawodawstwa.

A oryginalna idea została nie tylko zapomniana, przestała być nawet rozumiana. Śwyciężył pogląd, iż żadne ograniczenie władzy ustawodawczej nie jest potrzebne, odkąd znalazła się ona w rękach większości, jako że aprobatą większości przyjęto uważać za adekwatny test sprawiedliwości. W praktyce natomiast opinia większościowa nie wyrażała na ogół nic więcej, niż wynik przetargu - nie zaś autentyczne porozumienie co do zasad. Nawet rozumienie arbitralności, którą to demokratyczne rządy miały jakoby wyeliminować, zmieniło swój kontekst: jej przeciwieństwem nie była już zgodność z ogólnymi zasadami sprawiedliwości, lecz aprobatą danego zarządzenia przez większość - jak gdyby większość nie mogła traktować mniejszości w sposób arbitralny.

### /3/ Fundamentalna zasada.

Rzadko się dzisiaj rozumie, że ograniczenie stosowania wszelkiego przymusu do przypadków niezbędnych dla zapewnienia poszanowania ogólnych reguł sprawiedliwego postępowania, było fundamentalną ideą klasycznego liberalizmu, lub też, jak mógłby wprost to ująć, było równoznaczne z liberalną definicją wolności. Stało się tak w dużej mierze dlatego, że substancjalne /inaczej "materialne", czyli przeciwstawne czysto formalnemu/ rozumienie prawa, nadające sens takim idealom, jak podział władzy, czy rządy prawa, najczęściej nie było formułowane explicite przez klasyków, lecz przyjmowane jako milcząca założenie. W piśmiennictwie XVII i XVIII wieku jest zaledwie kilka ustępów, w których klasyki explicite definiują, co rozumieją pod pojęciem "prawa". Termin ten nabiera sensu jedynie wtedy, gdy interpretuje się go zawiązująco, wyłącznie dla oznaczenia ogólnych reguł sprawiedliwości, a nie dla każdego przejawu woli ciała przedstawicielskiego.

Jakkolwiek ta stara koncepcja prawa przetrwała w niektórych koncepcjach, nie jest ona z pewnością powszechnie rozumiana, przez co przestała być źródłem efektywnych ograniczeń procesu legislacyjnego. Podczas gdy w ścisłej teoretycznej koncepcji podziału władzy, legislatywa czerpie swój atrybut z faktu, iż jej wyłączną domeną jest stanowienie ogólnych reguł postępowania, obecnie przestały istnieć granice tego, co ciało ustawodawcze może zarządzić i podnieść do rangi "prawa". Gdy kiedyś władza tego ciała była limitowana nie przez jakąś nadrzędną wolę, lecz przez powszechnie przyjęte pryncypia, teraz nie ma ona żadnych ograniczeń. Nie istnieje przez to żaden powód, dla którego koalicja zorganizowanych interesów, na której bazują rządzące większości, nie miałaby dyskryminować jakiejś szerszej nie-lubianej grupy. Różnice w statusie majątkowym, w wykształceniu, tradycji, religii, języku czy różnice rasowe mogą dzisiaj stać się powodem różni-

cowanego traktowania, pod pretekstem sprawiedliwości społecznej albo konieczności wyższego rzędu.. W momencie, kiedy taka dyskryminacja zostaje usankcjonowana, pękają wszelkie gwarancje indywidualnej wolności, przewidziane w tradycji liberalnej. Jeśli przyjmuje się, że wszystko to, co zdecydowała większość jest słuszne i sprawiedliwe, nawet gdy przyjmuje to formę przepisów mierzących w poszczególnych ludzi, a nie reguł ogólnych, byłoby przesadą oczekiwać, że zysał sprawiedliwości okiełznane kaprysy większości: każda grupa łatwo ułotniała to, czego pragnie, z tym co słuszne. Skoro teoretycy demokracji pouczają dłużej niż sto lat, że żądania większości są sprawiedliwe, nie można dziwić się, że większości przestały nawet pytać, czy naprawdę mają rację. Walnie się do tego przyczynił pozytywizm prawniczy, dowodząc, że prawo nie opiera się na sprawiedliwości, ono samo określa co jest sprawiedliwe.

To, że nie udało się nam ograniczyć ustawodawstwa do dziedziny ogólnych zasad, to niestety nie wszystko. Powierzylimy mu ponadto zadania, z których może się wywiązać jedynie wtedy, gdy nie zna żadnych ograniczeń lecz posiada pełną swobodę stosowania przymusu - może dyskryminować jednych, aby zapewnić przywileje innym osobom lub grupom. Ciągłe wymaga się czynienia tego w imię tak zwanej sprawiedliwości społecznej czy dystrybucyjnej, która to koncepcja zajęła miejsce sprawiedliwości odniesionej do działań jednostkowych. Wymaga ona, żeby nie indywiduala lecz "społeczeństwo" było sprawiedliwe w determinowaniu udziału jednostek w produkcji społecznej. A w celu zrealizowania wszelkiej dystrybucji uważanej za sprawiedliwą, niezbędne staje się sterowanie działaniami jednostekowymi przez rząd.

W gruncie rzeczy, w gospodarce rynkowej, gdzie żadna jednostka ani grupa nie decyduje o tym, ile komu przypadnie i gdzie udziały jednostkowe zawsze zależą od wielu okoliczności, których nikt nie jest w stanie przewidzieć, cała koncepcja sprawiedliwości społecznej, czy dystrybucyjnej, jest pusta i traci znaczenie. Nie będzie tam nigdy porozumienia co do tego, co jest sprawiedliwe w powyższym sensie. Nie jestem zresztą pewien, czy koncepcja ta ma sprecyzowane znaczenie nawet w gospodarce centralnie kierowanej... Jestem natomiast przekonany, że nie nie przyczyniło się tak bardzo do zniszczenia formalno-prawnych gwarancji wolności indywidualnej, jak pogoda za miarą sprawiedliwości społecznej. Adekwatne potraktowanie całego zagadnienia wymagałoby drobiazgowej analizy tego ideału... wykład nasz poświęcony jest jednak zasadniczo temu, co trzeba uczynić, jeśli chcemy powstrzymać opisywane tendencje, zaprogramowane w systemie politycznym, spychające nas w kierunku systemu totalitarnego.

Zanim przystąpię do tego głównego tematu, powinienem skorygować popularne nieporozumienie. Podstawowa zasada tradycji liberalnej, mówiąca, że cała przymusowa akcja rządu musi sprowadzać się do egzekwowania ogólnych zasad sprawiedliwości, nie wyklucza udziału rządu w świadczeniu wielu innych usług, z których /z wyjątkiem gromadzenia niezbędnych funduszy/ nie musi on polegać na przymusie. To prawda, że w XIX wieku głęboka i nie całkiem bezasadna nieufność wobec rządu prowadziła część liberałów do postulatu zupełnego ograniczenia rządu. Ale nawet wtedy uznawano za rzecz oczywistą, że niektóre potrzeby zbiorowe może zaspokoić jedynie agencja posiadająca prawo ściągania podatków. Jestem ostatnim, kto by zaprzeczał temu, iż rosnący dobrobyt i rosnąca gęstość zaludnienia powiększa listę potrzeb zbiorowych, które rząd może i powinien obsługiwać. Takie usługi rządowe są w pełni zgodne z zasadami liberalnymi o ile:

- rząd nie zmierza do monopolu, a nowe sposoby świadczenia usług za pośrednictwem rynku /np. w dziedzinie ubezpieczeń/ nie są blokowane,
- środki gromadzone są w drodze opodatkowania partego na ujednoczonych zasadach, nie będącym narzędziem redystrybucji dochodów, - chodzi o zaspokojenie zbiorowych potrzeb wspólnoty jako takiej, a nie potrzeb poszczególnych grup.

Nie każda potrzeba kolektywna zasługuje na zaspokojenie: żądanie drobnych wytwórców obuwia, by chronić ich przed konkurencją ze strony produkcji fabrycznej, jest też potrzebą kolektywną ale w oczywisty sposób nie należy do tych, które powinny być zaspokajane w systemie liberalnym.

XIX-wieczny liberalizm usiłował kontrolować wzrost funkcji usługowych rządu przez oddanie ich w gestię władz lokalnych raczej niż centralnych,

w nadziei, że konkurencja między agendami lokalnymi będzie formą kontroli zakreślenia tych usług. Nie mogą tu rozważyć, na ile zasada ta musiała być porzucona, wspominają ją tylko jako kolejny element tradycji liberalnej, którego zasadność nie jest dziś rozumiana.

Musiałem zatrzymać się przy tych kwestiach, żeby stało się jasne, iż ograniczenia działalności rządowej, którymi zajmę się w dalszym ciągu wykładu, odnoszą się jedynie do władzy stosowania przymusu, nie zaś do niezbędnych usług, jakich oczekują dzisiaj normalnie obywatele od swego rządu.

Spodziewam się, że to, co powiedziano do tej pory, dowodzi, iż zadanie stojące przed nami - jeśli byśmy pragnęli odbudować i zachować wolne społeczeństwo - jest przede wszystkim zadaniem natury intelektualnej: trzeba nie tylko odkryć na nowo koncepcje, któreśmy w większości zagubili i które powinny stać się na nowo powszechnie zrozumiałe, trzeba też znaleźć nowe gwarancje instytucjonalne, mogące zapobiec repetycji procesu stopniowej erozji dotychczasowych zabezpieczeń, jakie miały nadzieję stworzyć liberalny konstytucjonalizm.

#### /4/ Podział władzy

Podział władzy był tym sposobem, z jakim teoretycy liberalnego konstytucjonalizmu łączyli nadzieję zagwarantowania wolności jednostki i zapobieżenia wszelkiej arbitralności. Jeśli by ciało ustawodawcze stanowiło jedynie ogólne normy, mające powszechnie zastosowanie, a władza wykonawcza ograniczyła użycie przymusu tylko do przypadków niezbędnych dla wyegzekwowania tych ogólnych norm, wolność jednostki byłaby rzeczywiście zabezpieczona... Zamiast tego powierzyliśmy jednak parlamentowi władzę nieograniczoną, podlegającą po prostu pod pojęcie "prawa" wszystko to, co parlament proklamuje - legislatywa nie jest obecnie ciałem, które stanowi prawo, to prawo stało się wszystkim tym, co postanawia legislatywa.

Powyższy stan rzeczy wynika z zagubienia oryginalnej idei "prawa" i chęci uczynienia rządów demokratycznymi przez powierzenie ciałom ustawodawczym funkcji kierowania i kontroli aparatu rządowego - co stawia je ustawicznie wobec konieczności zarządzania rozmaitych akcji specjalnych - wydawania nakazów narywanymi obecnie prawami, chociaż ich charakter jest całkowicie odmienny od praw, które miały być domeną legislatywy w świetle koncepcji podziału władzy.

Aczkolwiek zadanie zaprojektowania i zrealizowania nowych instytucji musi wydawać się trudne, prawie beznadziejne, zadanie ożywienia i uczynienia na nowo powszechnie zrozumiałymi zagubionych ideałów, dla których nazwania nie posiadamy nawet niedwuznacznych terminów, jest chyba jeszcze trudniejsze. Jest to zadanie, jakie musiałoby być zrealizowane przywórcze przeciwnych nauk dominującej szkoły we współczesnym prawnictwie. Spróbuję skrótkowo określić najistotniejsze cechy prawa we właściwym, wazkim rozumieniu tego terminu, zanim przejdę do charakterystyki instytucji, które mogłyby sprawić, że stanowienie takich norm **prawnych** byłoby faktycznie oddzielone od rządzenia.

Dogodną metodą jest tu rozpatrzenie szczególnych właściwości, jakie posiada z konieczności "prawo tworzone przez sędziów" /judgmade law/. To nie przypadek, że nasz ideał prawa przetrwał najdłużej w krajach opierających się na prawach rządzących się na prawie zwyczajowym /common law/, a rzadko rozumiały w krajach opierających się wyłącznie na prawie ustawowym /statute law/. Chodzi o prawo składające się zasadniczo z tzw. "lawyer's law" - prawa, które jest stosowane w sądach i obowiązuje na równi agencje rządowe i osoby prywatne. Ponieważ to prawo tworzone przez sędziów wyłącza się z rozstrzygnięć sądowych, ma ono za przedmiot wyłącznie relacje wzajemne działających osób, pozostawiając poza obrębem kontroli działania jednostkowe, które nie wywierają wpływu na innych. Zakreśla w ten sposób chronioną sferę każdej osoby, której naruszenie przez inne osoby jest wzbronione. Celem jest zapobieżenie konfliktom między ludźmi działającymi nie pod wpływem odgórnych nakazów ale stosownie do własnej inicjatywy, realizując własne cele, w oparciu o posiadane przez nie wiedzę.

Reguły prawne muszą więc odnosić się do okoliczności, jakich nikt nie jest w stanie przewidzieć, muszą w założeniu dotyczyć nieznaney liczby przyszłych przypadków. Determinuje to ich "abstrakcyjność" - według powszechnie używanego ale niebytnie trafnego i pomocnego określenia - charakter, co oznacza, że mają one się stosować w analogiczny sposób do wszystkich sytuacji, które wykazują pewne wyróżniki rodzajowe, nie zaś do konkretnych osób, grup, miejsc, czasu, itp. Reguły te nie wyznaczają jednostkom specyficznych zadań czy celów ich działania, są one zasadniczo zakazami, mającymi umożliwić wzajemne dopasowanie różnych planów indywidualnych, tak aby każdy zwiększył szansę osiągnięcia własnych celów. Sprzyjająca temu delimitacja osobistych sfer prywatności oraz norma prawa karnego, stojące na straży "życia, wolności i własności".

Jednostka, która zobowiązana jest przestrzegać tych ogólnych zasad sprawiedliwego postępowania, czyli prawa w wyższym rozumieniu, jest wolna - w tym sensie, iż nie jest formalnie podporządkowana niczym nakazom, że w obrębie znanych sobie ograniczeń może wybierać cele i środki swego działania. Każdy, kto jest wolny w tym sensie, jest zarazem uczestnikiem procesu, którego nikt pojedynczo nie kontroluje i którego wyniki nie są w zasadzie przewidywalne. Wolność i ryzyko są więc nierozłączne. Nie można przy tym określić udziału poszczególnych jednostek w dochodzie narodowym, w sposób sensowny, jako sprawiedliwych lub niesprawiedliwych - zależy one bowiem od tylu niezależnych od nikogo i nikomu nieznanych okoliczności. Musimy poprzestać na tym, by chronić te udziały przed niesprawiedliwym poczynianiami. W wolnym społeczeństwie możemy oczywiście zapewnić minimum poniżej którego nikt nie powinien zejść, poprzez stworzenie, poza rynkiem, systemu ubezpieczeń. Dużo jeszcze można zrobić dla usprawnienia ram funkcjonowania gospodarki rynkowej. Ale nie jesteśmy w stanie w takim systemie dopasować dystrybucji dóbr do określonych standardów sprawiedliwości społecznej czy dystrybucyjnej, a próby idące w tym kierunku prowadzą niechybnie do zniszczenia porządku rynkowego.

Jeśli jednak, dla zabezpieczenia wolności indywidualnej, należy ograniczyć użycie przymusu do egzekwowania ogólnych norm sprawiedliwości, to w jaki sposób uniemożliwić praktykę sankcjonowania przez ciało ustawodawcze przymusu używanego dla zapewnienia szczególnych przywilejów wybranym grupom społecznym - zwłaszcza w przypadku legislatury zorganizowanej na bazie partyjnej, gdzie rządząca większość jest tą większością tylko dlatego, że obiecuje specjalne korzyści niektórym grupom? Przecież w rzeczywistości tak zwane legislatury nigdy nie ograniczały się do stanowienia prawa w wyższym wyznaczone przez mnie sensie, chociaż teorie podziału władzy przyjmowały milcząco, że miało to miejsce. Odkąd zaś zaakceptowano że nie tylko działalność legislacyjną lecz także kierowanie bieżącą działalnością rządu powinno spoczywać w rękach przedstawicieli większości, właśnie kierowanie aparatem rządowym stało się głównym zajęciem ciała ustawodawczego. Miało to za skutek nie tylko kompletne zamazanie różnicy pomiędzy prawem w sensie konkretnych nakazów, lecz także zorganizowanie ciała ustawodawczego nie w sposób najbardziej dogodny dla stanowienia prawa sensu stricto, lecz w sposób potrzebny dla efektywnego rządzenia, to znaczy przede wszystkim w oparciu o system partyjny.

Myślę, że mamy rację domagając się, aby zarówno tradycyjnie rozumiany proces legislacyjny, jak i bieżące rządzenie, dokonywały się w sposób demokratyczny. Ale wydaje mi się fatalnym błędem, być może historycznie nieuniknionym, powierzenie tych dwóch odrębnych funkcji jednemu i temu samemu zgromadzeniu przedstawicielskiemu... Chociaż może to zapewnić akceptację każdej decyzji rządowej ze strony zgromadzenia przedstawicielskiego, nie zabezpiecza to jednak obywateli przed uznaniowym stosowaniem przymusu. Zgromadzenie przedstawicielskie, zorganizowane w sposób potrzebny dla efektywnego rządzenia i nie znajdujące ograniczeń w prawie wyższym, którego nie może zmienić, siłą rzeczy skłonne jest używać swej władzy dla zaspokojenia interesów grupowych.

To nie przypadek, że większość klasyków teorii rządu reprezentatywnego i podziału władzy niechętnie odnosiła się do systemu partyjnego i wierzyła że można uniknąć podziału ciała ustawodawczego według linii partyjnych. Wiązało się to z pojmowaniem legislatury jako podmiotu prawa w wyższym rozumieniu i z przekonaniem, że można znaleźć przeważającą opinię co do



treści reguł sprawiedliwości, opinie niezależną od interesów partykularnych. Nie sposób jednak zaprzeczyć, iż rząd demokratyczny wymaga wsparcia ze strony zorganizowanej grupy, nazywanej partią, zaangażowanej w realizację określonego programu, wymaga też podobnie zorganizowanej opozycji, oferującej program alternatywny.

Oczywistym rozwiązaniem tej trudności wydaje się istnienie dwóch różnych zgromadzeń przedstawicielskich, mających różne zadania - pierwszego będącego prawdziwym ciałem prawodawczym, i drugiego, zajmującego się rządzeniem, czyli wszystkim z wyjątkiem stanowienia prawa w wąższym rozumieniu. Nie by

niu. Nie jest bynajmniej czymś niewyobrażalnym, że taki system mógł rozwinąć się w Wielkiej Brytanii, jeśli by Izba Lordów /jako sąd najwyższy/ uzyskała wyłączne prawo do stanowienia prawa sensu stricto, w czasie gdy Izba Gmin /mająca wyłączność w zakresie ustaw majątkowo-pieniężnych/ uzyskała monopol kontroli nad rządem. Ale taki rozwój sytuacji był oczywiście niemożliwy tak długo, jak długo Izba Lordów reprezentowała pojedynczą klasę, a nie społeczeństwo jako całość.

Głębszy namysł pozwala jednak uświadomić sobie, że same tylko posiadanie dwóch zgromadzeń w miejsce jednego przyniosłoby niewiele korzyści, jeśli byłyby one wyłonione i zorganizowane na tych samych zasadach, mając przez to identyczny skład. Ich funkcjonowanie byłoby uwarunkowane przez analogiczne czynniki, jak te, które rządzą procesem decyzyjnym we współczesnych parlamentach - działając w porozumieniu mogłyby one wspólnie sankcjonować wszelkie poczynania aktualnego rządu. Nawet jeśli założymy, że kompetencje izby prawodawczej /w odróżnieniu od izby zarządzającej/ byłyby ograniczone przez konstytucję do stanowienia praw rozumianych jako ogólne zasady sprawiedliwego postępowania, przy czym ograniczenie to byłoby efektywne dzięki kontroli sprawowanej przez sąd konstytucyjny, to i tak niewiele dałoby się przewidzieć osiągnąć tak długo, jak długo zgromadzenie prawodawcze ulegałoby nadal naciskom ze strony poszczególnych grup interesu, które wiążą ręce rządzącej większości w dzisiejszych parlamentach.

Podczas gdy w przypadku zgromadzeń zarządzających /governmental assemblies/ postulować należy coś w rodzaju istniejących obecnie parlamentów, ukształtowanych raczej w swej strukturze i trybie działania przez potrzeby rządu, a nie prawodawstwa, w przypadku prawdziwego zgromadzenia prawodawczego /legislative assembly/ potrzebne jest coś z gruntu odmiennego. Powinno to być ciało zajmujące się nie partykularnymi interesami poszczególnych grup lecz stałymi, ogólnymi zasadami, porządkującymi funkcjonowanie wspólnoty. Członkowie tego zgromadzenia i jego rezolucje powinny reprezentować przeważającą opinię o tym, jakie postępowanie jest sprawiedliwe a jakie nie. Formułując zasady utrzymujące ważność przez dłuższy okres czasu, zgromadzenie powinno być reprezentatywne, czy też reprodukować coś w rodzaju przekroju poglądów o tym, co złe i dobre. Członkowie nie mogliby być rzecznikami pojedynczej warstwy społecznej. Powinni to być mężczyźni i kobiety cieszące się zaufaniem i respektem z tytułu cech ujawnionych w codziennym życiu i w toku codziennej działalności. Powinni być niezależni od poszczególnych grup elektoratu i ponadto zupełnie uwolnieni od dyscypliny partyjnej, potrzebnej może do scementowania ekip rządowych ale jawnie niepożądanych w instytucji, której zadaniem jest stanowienie reguł ograniczających swobodę rządu.

Zgromadzenie prawodawcze spełniające powyższe warunki można by zrealizować, jeśli, po pierwsze, jego członkowie byłiby wybierani na dłuższy okres czasu, po drugie, nie mogliby kandydować ponownie, po trzecie - aby zapewnić ciągłą odnowę składu, stosownie do stopniowej zmiany opinii wśród wyborców - nie byłiby wszyscy wybierani w tym samym czasie lecz stała część składu ulegałaby corocznej wymianie w miarę wygasania mandatów. Na przykład, gdyby byli wybierani na okres 15 lat, to jedna piętnasta składu ulegałaby wymianie każdego roku. Ponadto wydaje mi się pożądanym, aby w trakcie każdej elekcji wyłoniano reprezentantów spośród jednej tylko grupy wiekowej, tak żeby każdy obywatel mógł głosować tylko raz w życiu, powiedzmy w wieku 45 lat, na kandydata pochodzącego spośród jego rówieśników.

Rezultatem byłoby zgromadzenie złożone z osób w przedziale wieku 45-60 lat /co daje przeciętna nieco poniżej tej, która jest typowa dla współczesnych parlamentów/, mających wcześniej sposobność wykazania swych zalet w życiu codziennym. Byłoby zapewne rzeczą pożądaną wyeliminowanie tych, którzy uczestniczyli już w zgromadzeniu zarządzającym lub innych organizacjach partyjno-politycznych, celowe byłoby też zagwarantowanie osobom wyrotowanym ze zgromadzenia jakiejś godnej, dobrze płatnej i zabezpieczającej na starość pozycji, takiej jak stanowisko sędziego i jemu podobne.

Korzyść z wyboru przez grupy pokoleniowe osób sprawdzonych w życiu codziennym polega na tym, że na ogół rówieśnicy są najlepszymi sędziami charakteru i zdolności danej osoby oraz na tym, że przy stosunkowo niewielkich grupach uczestniczących w każdej elekcji istniałoby większe prawdopodobieństwo osobistej znajomości kandydata i wyboru opierającego się na osobistym uznaniu - zwłaszcza gdyby, co wydaje się możliwe i zasługuje na poparcie, formowały się kluby pokoleniowe, dyskutujące zagadnienia publiczne.

#### /5/ Korzyści z wydzielenia funkcji ustawodawczych

Celem tego wszystkiego byłoby oczywiście stworzenie ciała ustawodawczego, które nie miałooby charakteru służebnego wobec rządu, wydając wszelkie prawa zapotrzebowane przez rząd dla realizacji jego cywilowych celów, lecz byłoby zdolne stanowić prawa będące trwałymi ograniczeniami władzy rządu - ograniczeniami, w ramach których rząd musiałby się poruszać i których nie mógłoby przekroczyć nawet demokratycznie wybrane zgromadzenie zarządzające. Podczas gdy to drugie zgromadzenie dysponowałoby pełną swobodą w organizowaniu aparatu rządowego, określaniu użytku jaki powinien być robiony ze środków znajdujących się w gestii rządu i determinowaniu rodzaju usług, które rząd powinien świadczyć, nie posiadałoby ono żadnych uprawnień władczych w stosunku do pojedynczych obywateli. Jego uprawnienia, wliczając w to ściąganie podatków niezbędnych dla sfinansowania usług rządowych, sprowadzałyby się do egzekwowania zasad sprawiedliwości, ustanowionych przez zgromadzenie prawodawcze. Na okoliczność każdego przekroczenia tych granic przez rząd /lub zgromadzenie zarządzające/ przysługiwałoby jawne odwołanie do sądu konstytucyjnego, który miałby w swej kompetencji sprawy sporne pomiędzy legiślatywą i ciałami rządowymi.

Kolejnym pożądanym efektem opisywanego modelu byłoby zapewnienie legiślatywie dostatecznej ilości czasu dla pełnienia właściwych jej funkcji prawodawczych. Jest to rzecz istotna, dlatego że w obecnych czasach ciała ustawodawcze porostawiają szereg spraw, angażujących ogólne zasady prawa, do uregulowania w formie zarządzeń administracyjnych lub nawet w zupełnej gestii administracji - po prostu dlatego, że przeciążenie funkcjami zarządzającymi nie pozostawia im czasu ani chęci dla stanowienia prawa we właściwym rozumieniu. Jest to przy tym zadanie, które wymaga biegłej znajomości rzeczy, jaką mógłby posiadać długoletni uczestnik zgromadzenia, ale której trudno oczekiwać od wziętego polityka, zainteresowanego efektami, którymi mógłby wylegitymować się wobec wyborców jeszcze przed terminem następnej elekcji. Nadanie zgromadzeniom przedstawicielskim władzy nieograniczonej wywołało więc zgoła paradoksalny skutek - przestały one pełnić rolę zasadniczego podmiotu prawodawstwa, oddając tę funkcję coraz bardziej w ręce biurokracji.

Nie chciałbym znużyć czytelników dalszymi szczegółami tej Utopii - chociaż muszę wyznać, że znajduję fascynującym i pouczającym odkrywanie nowych możliwości, kryjących się w autentycznym oddzieleniu prawodawstwa od zarządzania. Narzuca się słuszne pytanie o celowość takiej utopijnej konstrukcji, skoro - określając ją tym mianem - zdradzam własną niewiarę w szanse jej zrealizowania w dającej się przewidzieć przyszłości. Odpowiem słowami Davida Hume'a, zaczerpniętymi z jego esaju "The idea of perfect commonwealth":

"w każdym przypadku, jest rzeczą pożyteczną znać swój ideał i wiedzieć, że mogliśmy przybliżyć do niego każdą rzeczywistą konstytucję i formę rządów, przez zmiany i innowacje na tyle subtelne, że nie spowodowałyby one większych zakłóceń w życiu społeczeństwa".

łłun. Jędrzej Branecki

Friedrich A. von Hayek

## Socjalistyczne korzenie nazizmu

Wszystkie siły przeciwnie liberalizmowi  
Iżną się przeciw wszystkim co jest li-  
beralne.

A. Moeller van der Bruck

Powszechnym błędem jaki popełnia się, jest traktowanie Narodowego Socja-  
lizmu jako zwykłej rewolty skierowanej przeciwko rozumowi, jako irracjo-  
nalnego ruchu pozbawionego zaplecza intelektualnego. Gdyby istotnie rzeczy  
tak się miały, to Narodowy Socjalizm byłby zdecydowanie mniej niebezpiecz-  
ny, niż okazał się w rzeczywistości. Jednak nic nie może być bardziej od-  
ległe od prawdy, ani mylące, od takiego właśnie punktu widzenia. Doktryna  
ta jest bowiem ukoronowaniem drugiego procesu ewolucji idei, procesem któ-  
rego twórcy wywierali duży wpływ daleko poza granicami Niemiec. Cokolwiek  
bowiem by nie myśleć o przesłankach, jakie stały się dla nich punktem wyj-  
ścia, nie da się zaprzeczyć iż twórcy tej doktryny pozostawili trwałe ślady  
na całej myśli europejskiej. Ich system myślowy został rozwinięty z bez-  
względną konsekwencją. Jeśli ktoś raz zaakceptował przesłanki będące pun-  
ktem wyjścia to nie było dla niego ucieczki od ich logiki. Jest to po-  
 prostu kolektywizm, pozbawiony wszelkich, szczerkowych śladów tradycji  
indywidualizmu.

Chociaż w procesie rozwoju Narodowego Socjalizmu role pierwszoplanowe  
odgrywali Niemcy, to nie byli oni bynajmniej jedynymi. W równym stopniu  
w procesie tym uczestniczyli Thomas Carlyle /1795-1881, historyk i pisarz  
angielski, głoszący tezę o decydującej roli jednostki-przywódcy w dziejach  
społeczeństw - przyp. tłum./, Houston Chamberlain /1855-1927 filozof kultury,  
twórca teorii wyższości rasy niemieckiej - przyp. tłum./, August  
Comte, czy też Georg Sorel /1847-1922, zwolennik syndykalizmu - przyp.  
tłum./. Łatwo jest jednak przecenić znaczenie tych idei w Niemczech przed  
rokiem 1919. Myśl wymienionych tu autorów była jednym z wielu i do tego  
źródlicowym nurtem, popieranym przede wszystkim przez pogardzaną mniej-  
szość. Co więc spowodowało, że wyznawane przez pogardzaną mniejszość idee  
ostatecznie zdobyły sobie poparcie większości Niemców i praktycznie całej  
młodzieży niemieckiej?

Nie była to przecież reakcja na przegrana, gorzka upadku, ani fałs nacjo-  
nalizmu. W jeszcze mniejszym stopniu była to, jak chcą tego niektórzy,  
kapitalistyczna reakcja skierowana przeciw sukcesom socjalizmu. Wręcz przeci-  
wnie - to właśnie poparcie lewicy wniosło te idee na piedestał. I pew-  
nością nie dokonało się to przez burżuazję, a raczej właśnie dzięki temu,  
że w Niemczech brakowało silnej burżuazji.

Doktryny, jakie kierowały rządzącymi w Niemczech, nie były przeciwnie  
socjalizmowi, ale liberalnym pierwiastkom jakie zawierał, jego internacjo-  
nalizmowi i demokracji. I wraz z tym jak stawało się coraz bardziej oczy-  
wiste, że właśnie te pierwiastki stanowiły przeszkodę na drodze jego urze-  
czywiania, socjaliści lewicy, coraz bardziej zbliżali się do prawicy.  
Był to więc w efekcie związek antykapitalistycznych sił zarówno lewicy,  
jak i prawicy, fuzja radykalnego i konserwatywnego socjalizmu, jaki wypie-  
niał z Niemiec wszystko co było liberalizmem.

Wielki między nacjonalizmem i socjalizmem była w Niemczech bliska od samego początku. Charakterystycznym jest bowiem to, że znamienici przodkowie Narodowego Socjalizmu: Fichte, Rodbertus i Lassalle byli jednocześnie uznani ojcami socjalizmu. Wprawdzie w okresie, gdy teoretyczny socjalizm w swej marksistowskiej formie kierował ruchem robotniczym Niemiec, elementy totalitarne i nacjonalistyczne straciły na pewien czas na znaczeniu, ale nie trwało to długo. Począwszy bowiem od 1914 roku z szeregu marksistów, jeden za drugim występują ci, którzy przewodzili ciężko pracującej niemieckiej klasie robotniczej i idealistycznej młodzieży, wiodąc ich ku Narodowemu Socjalizmowi. A więc nie byli to konserwatyści, czy też reakcyjniści! Od tego właśnie momentu faisa nacjonalizmu wzbierała tak wysoko, że szybko przerodziła się w doktrynę hitlerowską. Historia wojny 1914 roku, która od czasu przegranej nigdy nie wygasła, stała się początkiem nowoczesnego rozwoju, który zaowocował Narodowym Socjalizmem, a dokonało się to przy pomocy starych socjalistów!

Prawdopodobnie pierwszym i najbardziej charakterystycznym przedstawicielem tego nurtu był profesor Werner Sombart, którego głośna praca "Handlarze i herosi" ukazała się w 1915 roku. Sombart swą karierę rozpoczął jako marksista. Jeszcze w 1909 roku mógł z dumą twierdzić, że większość życia poświęcił walce o idee Marksa. Właściwie dla rozpowszechnienia myśli socjalistycznej i antykapitalistycznego resentymetu wśród Niemców uczynił tyle co każdy inny, ale jeżeli myśl niemiecka została tak głęboko przesiąknięta elementami marksizmu, a Niemcy - do czasu rewolucji rosyjskiej - przodowali w recepcji marksizmu, to stało się w głównej mierze dzięki niemu. Przez pewien czas chodził Sombart w glorii intelektualisty prześladowanego za swe lewicowe przekonania, który nie może znaleźć pracy na uniwersytecie.

W swej pracy, ten stary, niemiecki socjalista, powiata: I wojnę światową jako nieunikniony skutek konfliktu między handlową cywilizacją Anglii a heroiczną kulturą Niemiec. Jego pogarda dla handlowej mentalności Anglików, którzy utracili niemal wszystkie instynkty wojownicze, była nieograniczona. Nic bardziej bowiem w jego oczach nie zasługiwało na pogardę od dążenia jednostki do osiągnięcia szczęścia.

Niemiecka idea państwa, wywodząca się od Fichtego i Lassalle'a, zasadza się na zupełne innych niż angielska przesłankach. PAŃSTWO nie jest tu ani tworzone, ani formowane przez jednostkę, nie jest także zbiorem jednostek. Nie jest również celem państwa służenie jednostce. PAŃSTWO to Volksgemeinschaft - a więc ludowa wspólnota, w której jednostka nie posiada praw, ale wyłącznie obowiązki.

Żądania jednostki są bowiem zawsze wynikiem pokutującego ducha komercjalizmu, zaś idee roku 1789 - wolność, równość, braterstwo - są charakterystyczne dla niego i nie mają na celu nic ponad ocalenie praw do roszczeń jednostki.

Przed rokiem 1914 wszystkie prawdziwe ideały niemieckie - heroicznego życia - znalazły się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, płynącym z ciągłych sukcesów ideałów angielskich, angielskiego komfortu i sportu. Zdaniem Sombarta, Anglicy nie tylko stali się narodem całkowicie skorumpowanym, a ich związki zawodowe ugrzęzły w bagnie komfortu, ale zaczęli zarządzać tym inne społeczeństwa. Tylko wojna mogła przypomnieć Niemcom, że są w istocie wojownikami-ludźmi dla których wszystkie cele i dążenia gospodarcze podporządkowane są jednemu celowi - wojnie. Sombart wiedział, że Niemcy byli pogardzani przez innych właśnie dlatego, iż uważali wojnę za rzecz świętą. Lecz ona ją gloryfikuje. Uważać wojnę za nieludzką i bezsensowną, to produkt idei handlowych. Istnieje życie wyższe niż jednostkowe, indywidualne - życie społeczeństwa i państwa. Celem jednostki jest poświęcanie samej siebie w imię tego wyższego życia. Wojna jest dla Sombarta spełnieniem ideału heroicznego sposobu życia, a wojna przeciwko Anglii jest wojną z obcymi ideałami - ideałami komercjalizmu i wolności indywidualnej, które w jego oczach znalazły najbardziej godny pogardy wyraz w bezpiecznych ostrzach do golenia, znalezionych w płaszczach poległych żołnierzy angielskich.

Idee Sombarta były jednak zbyt krądcowe nawet dla Niemców i może nie wywarłyby tak wielkiego wpływu, gdyby nie pojawił się profesor Johann Pleige z po-

dobnymi koncepcjami, ale ujętymi w bardziej umiarkowaną i szkolarską formę. Profesor Plenge był tak samo wielkim autorytetem w dziedzinie marksizmu, jak i Sombart. Jego praca "Marks i Babel" oznaczająca początek nowoczesnego renesansu wśród marksistów, daje świadectwo czysto socjalistycznej natury tego przekonania.

Spśród jego publikacji na szczególnią uwagę zasługuje jednak jedna, ale niewątpliwie szeroko dyskutowana, pracy pod znamienitym tytułem: "1789 i 1914: Symboleczne lata w historii rozumu politycznego". Książka poświęcona była konfliktowi między ideałami roku 1789 - idealnej wolności, a roku 1914 - idealnej organizacji.

Wła Plengego, jak i pozostałych socjalistów, którzy wywodzą socjalizm z prywatnej aplikacji ideałów szorstym do rozwiązywania problemów społecznych, organizacja stanowi o istocie socjalizmu. Przekonanie, że, jak słusznie podkreślił, było koniecznym celem socjalistycznego od początku XIX wieku. Marks i marksizm zaryzykował jednak podważenie ideałów socjalizmu przez ich fanatyczne, ale stopniowe przywiązanie do abstrakcyjnej idei wolności. Dopiero teraz, w dobie wojny i wojny światowej - przyp. tłum. / organizacja na nowo stała się istotna, jak dowodziła tego praca E. G. Wallisa "Future in America" w Stanach Zjednoczonych. Ale ze szczególną siłą wystąpiła idea organizacji w Niemczech, gdzie jest najlepiej zrozumiana i realizowana. Wojna między Niemcami a Anglią jest przede wszystkim rzeczywistością konfliktu między światem przeciwstawnymi sobie zasadami życia gospodarczego. Ekonomiczna wojna światowa jest trzecią wielką epoką walki ideałów w współczesnej historii. Jej znaczenie jest równe Reformacji i burzliwej rewolucji wolności. Jest to walka o zwycięstwo nowych sił, zrodzonych przez wysoki rozwinięty życia gospodarczego: socjalizm i organizację.

"Poniżej w dziedzinie idei, pisze Plenge, Niemcy były najbardziej przekonującym przykładem, a w sferze materialnej pełnym siły budowniczym, najbardziej zorganizowanego systemu ekonomicznego - w nas XXI wiek. Jakkolwiek zakończy się wojna, my będziemy przykładem dla innych. Nasze idee określają cele życia ludzkości. Historia świata jest obecnie świadkiem wielkiego spektaklu, w którym wraz z nami, nowa wielka idea życia kroczy do wielkiego zwycięstwa, podczas gdy w tym samym czasie w Anglii jedna z historyczno-swiatowych zasad przegrywa."

Gospodarka wojenna stworzona w Niemczech w 1914 roku "jest to po raz pierwszy urzeczywistnienie społeczeństwa socjalistycznego. Potrzeby wojenne uznały idee socjalizmu w niemieckim życiu gospodarczym, w ten sposób obrona naszego narodu dała ludzkości idee roku 1914 - idee niemieckiej organizacji, ludową wspólnotę /Volksgemeinschaft/ narodowego socjalizmu. Niepostrzeżenie całe nasze życie polityczne w państwie i gospodarce przeszło na wyższy etap. Państwo i życie gospodarcze formują nową jedność. Początek gospodarczej odpowiedzialności, które charakteryzuje cywilnego funkcjonariusza przenika całą sferę prywatności." Nowa niemiecka konstytucja korporacyjnego życia gospodarczego, które - jak przyznaje Plenge - nie jest jeszcze w pełni dojrzałe, ani rozwinięte - "jest najwyższą formą życia państwowego, jaka kiedykolwiek znana była na świecie."

Początkowo profesor Plenge ciągle wierzył w możliwość pogodzenia ideału wolności i idealnej organizacji, chociaż chciał tego dokonać w głównej mierze przez całkowite, przymusowe podporządkowanie się jednostki społeczeństwu. Ślady liberalizmu szybko jednak giną z jego prac. Około roku 1918 związek między socjalizmem i bezlitosną władzą stał się w jego wyświele kompletny. Na krótko przed końcem I wojny światowej, w piśmie "Die Glocke" zaklinał swych readerów tymi słowami: "Jest już najwyższy czas aby uznać, że socjalizm musi być polityką siły, ponieważ ma być organizacją. Socjalizm musi zdobyć władzę, nie wolno mu zniszczyć jej bezwzględnie. Ale najważniejszym pytaniem dla socjalizmu w dobie wojny jest to: jaki człowiek jest wybitnie predystynowany do sprawowania władzy, ponieważ to będzie przykładowy lider w procesie organizacji społeczeństwa?"

Plenge zapowiada wszystkim te idee, które ostatecznie usprawiedliwiły Nowy Porządek Hitlera:

"Władze z punktu widzenia socjalizmu, który jest organizacją, czyż nie jest absurdalnym prawem samookreślenie ludzi, prawo indywidualistycznej eko-

I dalej " Ponieważ socjaldemokraci przy pomocy ogólnego suffrażu z roku 1867 zajęli miejsce w Reichstagu, Parlamencie Państwowym, radach muncypalnych, sądach handlowych, funduszach zapomogowych itd., przerznięli głęboko do organizmu życia państwowego. Ale cena jaką musieli za to zapłacić była taka, że państwo wywarło z kolei głęboki wpływ na klasę robotniczą. Państwo pod wpływem trwającego od 50 lat ruchu robotniczego nie jest tym, już dłużej tym samym, czym było w 1867. Również socjaldemokracja nie jest tym, czym była wówczas. Państwo przechodzi proces socjalizacji a socjaldemokracja nacjonalizacji."

W efekcie Plenge i Lensch dostarczyli myśli przewodnich mistrzom Narodowego Socjalizmu, szczególnie zaś Oswaldowi Spenglerowi i Arturowi Moeller van der Bruckowi, aby wymienić nazwiska tylko tych najbardziej znanych.

Opinie czy ten pierwszy był socjalistą mogą się różnić, ale wydaje się że rozstrzyga o tym jego praca "Prussianism and Socialism" z 1920 roku, kilka próbek jego myśli wystarczy. "Stary duch Prus i socjalistyczne przekonania, które dzisiaj są tak nienawidzone przez innych, są tym samym." Przedstawiciele zachodniej cywilizacji w Niemczech, niemieccy liberałowie są "ukryta armią angielską, która po bitwie nad Jeną, Napoleon pozostawił na ziemi niemieckiej". Dla Spenglera ludzie tacy jak Hardenberg/1/ i Humboldt oraz inni liberalni reformatorzy byli "Anglikami". Ale ten angielski duch zostanie pokonany przez niemiecką rewolucję roku 1914.

"Trzy ostatnie narody Zachodu mierzą z trzy formy istnienia reprezentowane przez trzy słynne hasła - Wolność, Równość, Wspólnota/lub Społeczność, Ukazują się one w politycznej formie liberalnego parlamentaryzmu, socjaldemokracji, autorytarnym socjalizmie...Niemiecki, bardziej poprawnie pruski instynkt, to władza należąca do ogółu... Każdemu przypisane jest jego miejsce. Ktoś rozkazuje lub słucha. Jest to od XVIII w. autorytarny socjalizm, skrajnie nieliberalny i antydemokratyczny... lecz sam liberalizm na ziemi niemieckiej zasługuje jedynie na pogardę."

"Struktura narodu angielskiego oparta jest na rozróżnieniu między bogatymi i biednymi, natomiast pruskiego na różnicie i posłuszeństwie. Znaczenie różnic klasowych jest więc całkowicie odmienne." Po wskazaniu głównej różnicy między angielskim systemem konkurencji, a pruskim systemem administracji i po jego pokazaniu, jak za czasów Bismarcka celowa organizacja przybrała bardziej socjalistyczną formę, Spengler pisze dalej: "W Prusach istniało realne państwo w najbardziej ambitnym znaczeniu tego słowa. Mogłoby tam nie być, ściśle mówiąc, osób prywatnych. Każdy, kto żył w tam systemie, pracującym tak samo precyzyjnie jak zegarek, był trybikiem w mechanizmie. Prowadzenie publicznej gospodarki mogłoby przeto nie spoczywać w rękach osób prywatnych, jak to zakładał parlamentaryzm. Byłby to Urząd /Amt/ i odpowiedzialny polityk w postaci cywilnego urzędnika, sługi ogółu."

Idea pruska wymagała aby każdy stał się urzędnikiem państwowym - tego aby wszystkie płace i pensje były ustalone przez państwo. Administracja cała własnością staje się płatną funkcją zarządzania. Państwem przyszłości będzie Beamtentstaat /państwo urzędników/. Ale decydującym zagadnieniem nie tylko dla Niemiec, ale całego świata, jest to czy w przyszłości handel będzie rządził rządem, czy rząd handlem? W obliczu tego problemu prusjanizm i socjalizm to to samo... "Prusjanizm i socjalizm prowadzą walkę z Anglią w naszych czasach."

Tylko jeden krok dzielił patrona Narodowego Socjalizmu Moellera van der Brucka od proklamacji I wojny światowej jako wojny między socjalizmem i liberalizmem. "Przeegraliśmy wojnę przeciw Zachodowi. Socjalizm przegrał wojnę z liberalizmem." Tak dla Spenglera liberalizm jest tu największym wrogiem. Moeller van der Bruck z dumą ogłasza fakt, że nie ma już dzisiaj liberałów w Niemczech, są tylko młodzi rewolucjoniści i młodzi konserwatyści. Lecz ktoś byłby liberałem? Liberalizm jest filozofią życia, od której młodzi Niemcy odwracają się ze wstrętem, pogardą i gniewem. Dlatego nie ma bardziej obcej Niemcom, filozofii. Młodzież niemiecka widzi w niej swego największego wroga.

Trzecia Zrzesza Moellera van der Brucka miała dać Niemcom socjalizm przy-

stosowany do ducha pruskiego i nieskalany zachodnimi ideami liberalizmu. I tak się też stało.

Mysliciele ci nie byli wyizolowanym zjawiskiem. Już w 1922 roku wnikliwy obserwator z zewnątrz mógł mówić o "szczególnym i na pierwszy rzut oka zadziwiającym fenomenie". Walka przeciw kapitalizmowi była w Niemczech kontynuacją wojny przeciw Entencie obroną ducha organizacji gospodarczej, sposobem, który prowadził do realnego socjalizmu, ponownie do "najlepszej i szlachetnej tradycji niemieckiej".

Walka przeciw liberalizmowi we wszystkich swych przejawach, liberalizmowi który doprowadził do klęski Niemiec /I wojna światowa/ była wspólną ideą która łączyła w jeden front socjalistów i konserwatystów. Początkowo był to głównie Niemiecki Ruch Młodych, niemal całkowicie socjalistyczny z inspiracji, przez który idee te zostały najszybciej przyjęte, a fuzja socjalizmu z nacjonalizmem pełna. Pod koniec lat 20-tych i przed dojściem do władzy Hitlera, koła młodych Niemców, skupione wokół socjalistycznego pisma "Die Tat", prowadzone przez Ferdinanda Frieda, stały się czołowym przedstawicielem tradycji niemieckiej w kołach intelektualnych.

"Koniec kapitalizmu" Frieda był prawdopodobnie najbardziej charakterystycznym produktem tej grupy młodych nazistów /Edelnazi/ i szczególnie niepokojącym, ze względu na jego podobieństwo do literatury, której jest dzisiaj tak wiele w Anglii i USA, w której daje się dostrzec to samo lgnięcie do "niebieskiej prawicy i lewicy i niemal tę samą pogardę dla liberalizmu w tradycyjnym sensie. "Konserwatywny socjalizm" /lub w innych kołach "religijny socjalizm"/ był sloganem pod sztandarem którego wielu twórców przygotowywało atmosferę w jakiej zwyciężał Narodowy Socjalizm. To właśnie konserwatywny socjalizm jest nurtem dominującym obecnie.

Czy "broń ducha i ekonomicznej organizacji" w walce z Zachodem nie ma nie zwyciężyła nim wojna rozpoczęła się na dobre?

thun. 5 - 4

/1/- Hardenberg Kari August von, 1750-1822 polityk pruski, od 1818 roku kanclerz, kontynuator reform państwowych Steina, jego ustawy finansowe uzdrowiły finanse Prus.

**Janusz Lewandowski**  
**[przy współpracy Jana Szomburga]**

## Historia gdańskiego ruchu samorządowego

Sprawa samorządu pracowniczego łączy się w naszej powojennej historii z krótkimi epizodami narodowej nadziei. Bezpośrednio po zakończeniu wojny samorzutne komitety załogowe odgruzowały i uruchomiły fabryki. Wkrótce jednak rzeczywiste uczestnictwo załóg w zarządzaniu wyrezytowała ideologiczna formuła, stawiająca znak równości pomiędzy upaństwowieniem fabryk i przejściem ich we władanie społeczne. Następny epizod przypała na lata 1956-58. Żywiłowy ruch rad robotniczych po Październiku obudził nadzieje na "polski model gospodarczy". Ale samorzady usychały w warunkach sablokowania reformy gospodarczej i szybkiego odwrótu od demokratyzacji struktur politycznych. Usankcjonowała to ustawa z roku 1958, wprowadzając w życie polski pomysł na fasadową demokrację gospodarczą - tworzyły Konferencje Samorządu Robotniczego /wybieralna rada robotnicza uzyskała niewybieralną obstawę, złożoną z delegatów partii i organizacji społecznych/. KSR i jego podstawa prawna, zniekształcona różnymi wytycznymi i przepisami administracyjnymi przetrwała do Sierpnia 1980 roku.

Rozpoczął się wówczas trzeci epizod autentycznej samorządności gospodarczej. Spróbujemy naszkicować jego fazy rozwojowe, zwracając uwagę na element współpracy międzyzakładowej - niewątpliwą dowód zdolności uczenia się działaczy z lat 1980/81 na błędach poprzedników. Historia opowiedziana jest przez przyzmat doświadczeń gdańskich, ściślej zaś relacjonuje kształtowanie się nadmorskiego regionu samorządowego Gdańsk-Elbląg-Słupsk. Ale w naszej optyce mieszczą się też wydarzenia rangi ogólnokrajowej i dorobek innych regionów. Rozkwit rad pracowniczych na Pomorzu Gdańskim był przecież tylko jednym z wielu spletających się ze sobą wątków polskiego dramatu z lat 1980/81.

### I. POCZĄTKI /jesień i zima 1980/81/

Hasło współzarządzania nie widniało na sztandarach Sierpnia. Doświadczenia historyczne przekonały strajkujących do przyjęcia związkowej formy samoobrony. Krąży opinia, że temat samorządu usiłowała wtedy podrzucić strona rządowa, widząc w tym wygodniejszą dla siebie alternatywę w stosunku do wolnych i niezależnych związków zawodowych. W rzeczywistości temat samorządu przywieźli eksperci warszawscy i nie wzbudził on większych emocji. Zajął niewiele miejsca

Jest to pierwszy rozdział /pt. "Fazy rozwojowe ruchu samorządowego"/ oraz "Postscriptum" pracy Janusza Lewandowskiego i Jana Szomburga pod tytułem "Współpraca samorządów pracowniczych Pomorza Gdańskiego na tle sytuacji w kraju w latach 1980/81" mającej ukazać się wkrótce na Zachodzie. Tytuł pochodzi od Budekaj!



w rokownikach i historycznym tekście Porozumienia Gdańskiego. W sprawie punktu szóstego z listy postulatów strajkowych, który brzmiał: "Podjąć realne działania mające na celu wyprowadzenie kraju z sytuacji kryzysowej" ustalono:

*Wierzymy w konieczność wydatnego przyspieszenia prac nad reformą gospodarczą. Władze określić i opublikować w ciągu najbliższych miesięcy podstawowe cele i zadania tej reformy. Należy umożliwić szerokie uczestnictwo w publicznej dyskusji nad reformą. Związki zawodowe powinny uczestniczyć szczególnie w pracach nad zadaniami o socjalistycznym charakterze gospodarczym i o samorządzie robotniczym. Reforma gospodarcza powinna opierać się na zasadniczo święconej samodzielności przedsiębiorstw i rzeczywistym uczestnictwie samorządu robotniczego w zarządzaniu.*

Podpisanie porozumień w Szczecinie, Gdańsku i Jastrzębku rozpoczęło żywiołowy i zdumiewający swym rozmachem proces, z którego wyłoniła się wielomilionowa "Solidarność" i który ujawnił w różnych częściach kraju całą armię samorodnych talentów organizatorskich i osobowości przywódczych. Na marginesie potężniejszego nurtu przemian wegetowały stare KSR-y. Były to ciała obce sążnogom, traktowane przez robotników jako dekoracyjny element władzy w przedsiębiorstwie. Jako takie, KSR-y stawały się nieprzydatne dla kierownictwa przedsiębiorstw w nowej sytuacji. Przy braku dyktawki płynących z góry potrzebny był organ reprezentacyjny dla załogi, który mógłby np. zatwierdzić plan produkcyjny na rok 1981. Próby ożywienia i uwiarygodnienia KSR-u przez włączenie do niego komisji zakładowej "Solidarności" natrafiały na opór - ożywienie starych, skompromitowanych struktur było wtedy mniej popularne aniżeli zakładanie nowych. Ponadto Związek programowo wzbrał się przed włączeniem do zarządzania i kierowania. W ten sposób sprawa planu na rok 1981 lub innej decyzji wymagającej akceptacji załogi stawała się impulsem do rozwoju samorządności. Czasem samorząd organizował się wbrew administracji, w celu usunięcia dyrektora lub przeciwstawienia się dyrektorowi "przywiezionemu w teczce" - karuzela stanowisk kręciła się wtedy coraz szybciej. Można też znaleźć taką kategorię zakładów, w których zadecydowały konflikty interesów grupowych - rada pracownicza organizowała się jako przeciwwaga dla komisji zakładowej "Solidarności" i innych ujętych grupy pracowników, którzy czuli się nie reprezentowani w nowych związkach zawodowych.

Przy zróżnicowanych stanach wyjściowych i impulsach początkowych tryb powoływania samorządów był dość podobny. Zaczynał się zwykle od porozumienia wszystkich organizacji działających na terenie zakładu. Wynikała z tego grupa inicjatywna, organizująca dyskusję czy referendum na temat koncepcji samorządu. Dalsze czynności założycielskie przebiegały wedle dwóch głównych schematów:

a/ rozwiązania przejściowe: w formie komitetu założycielskiego lub tymczasowej rady pracowniczej - to jest ciał mających przygotować warunki dla powstania pełnego samorządu, a do tego czasu wyposażonych w niektóre jego kompetencje. Wariant ten był wygodniejszy w wielkich zakładach o skomplikowanej strukturze organizacyjnej. Otrzymał go m.in. Stożnia im. Lenina w Gdańsku i Stożnia im. Komuny Paryskiej w Gdyni.

b/ rozwiązania docelowe: mandat grupy inicjatywnej wyczerpywał się w czynnościach przygotowawczych, przede wszystkim w wypracowaniu i uzgodnieniu z załogą ordynacji wyborczej i projektu statutu samorządu. Z chwilą zakończenia tych czynności powoływano pełnoprawną radę pracowniczą. Na Wybrzeżu liderami były duże zakłady elektroniczne "Unimor", gdzie przymiarki trwały do września, stałe organy samorządu ukonstytuowały się pod koniec października, zaś szef rady /K. Wejs/ przeszedł na etat 1 grudnia 1980 roku. W Głębi Polski wczesny rozgłos uzyskały inicjatywy samorządowe w Ursusie k. Warszawy.

Na przełomie roku 1980 i 1981 pełnoprawne samorzady trafiały się rzadko. Formowanie ich w warunkach braku precedensów i wypracowanych wzorców wystawało kłopotliwie dobrze świadczącemu organizatorem, zwłaszcza tym z małych zakładów i peryferyjnych miejscowości. W tym kontekście warto odcnotować, że Rada Pracownicza Przedsiębiorstwa Budownictwa Rolnego w Braniewie /500 zatrudnionych/ ukonstytuowała się już 24.01.1981 roku.

żywa była jeszcze tradycja rad robotniczych z 1956 roku, ale trudno było liczyć na konkretne umiejętności. Dominowali w ruchu ludzie młodzi, "kombatanów" z okresu poprzedniego zrywu było bardzo niewiele. Zresztą tamten epizod był zbyt krótki, by zebrać wiele doświadczeń. Silniejsze zakłady /stocznie, Rafineria, wspomniany "Unimor"/ radziły sobie same, słabsze szukały wsparcia w gdańskim MKZ "Solidarność".

Wprawdzie już w programie działania z września 1980 roku "Solidarność" postawiła sobie jako jeden z celów powoływanie rad pracowniczych, ale faktyczne stanowisko ogień związkowych wobec ruchu samorządowego było niezdecydowane, a praktyczną pomoc niewystarczającą. Częstościwo wynikało to z innej listy priorytetów w gorączkowym okresie wyborów do komisji zakładowych, formowania regionów i batalii o rejestrację. Dokładały się do tego uprzedzenia licznych działaczy związkowych wobec samorządu, jako potencjalnego rywala na terenie zakładu pracy. Dlatego w niektórych regionach /bydgoski, szczeciński, dolnośląski/ ruch samorządowy był wręcz hamowany. W Gdańsku Zespół Analiz Bieżących działający przy MKZ wydał 6 stycznia 1980 roku krótką instrukcję wyboru rad pracowniczych. Animator tej akcji i zarazem jeden z nielicznych weteranów, J. Ciałuń, forsował wtedy ideę wyborów pięcioprzymiotnikowych, tzn. nie tylko tajnych, powszechnych, równych i bezpośrednich, ale też proporcjonalnych - na listy wystawiane przez różne organizacje polityczne i społeczne. Pragnął aby formowanie samorządu stało się pierwszą po wojnie szkołą demokratycznego wyboru proporcjonalnej reprezentacji całej załogi. W praktyce przeprowadzenie głosowania na listy nastarczało trudności i wydawało się robotnikom skomplikowane. Od początku szukano jednak rozwiązania problemu wyboru rady pracowniczej przez załogę, a nie przez organizacje działające na terenie przedsiębiorstwa.

Przypominając wcześniejsze reakcje Związku na samorząd, warto przytoczyć stanowisko "Solidarności" łódzkiej - regionu bardzo aktywnego w kwestiach gospodarczych. W oświadczeniu z 28 stycznia 1981 roku Prezydium MKZ Ziemi Łódzkiej stwierdziło, że w ramach istniejącego, biurokratycznego systemu zarządzania gospodarką nie ma warunków do wywierania przez załogę rzeczywistego wpływu na działalność gospodarstwa swego zakładu pracy. Do czasu stworzenia odpowiednich warunków rada pracownicza powinna być organem walki o prawdziwy samorząd. Stanowisko działaczy z Łodzi było realistyczne. Tak zwana mała reforma /1/ oddalała w gruncie rzeczy perspektywę usamodzielnienia przedsiębiorstw. Rosnące obawy budziła ociężała machina Komisji Reformy Gospodarczej /2/. Zaczynało być jasne, że rady pracownicze mogą długo działać w warunkach braku odpowiedniej regulacji prawnej. L. Bar - przewodniczący Zespołu Komisji d/s Samorządu i podstaw prawnych reformy ujawnił, że jesienią 1980 roku rozważano w kręgach rządowych projekt przeprowadzenia w ciągu miesiąca wyborów do rad robotniczych, według ustawy z 1958 roku. Ale projekt upadł - Rada Państwa musiałaby uznać za nieważne wytyczne CREE, którymi "nowelizowano" ustawę w latach niedemdziesiątych. Na szczęście rządowa Komisja Reformy Gospodarczej dopuszczała możliwość organizowania rad robotniczych przed przygotowaniem i uchwaleniem odpowiednich ustaw. "Podstawowe założenia reformy gospodarczej" ze stycznia 1981 roku przewidywały:

- w fazie pierwszej reformy /do połowy 1981 r./ "... stworzenie możliwości powoływania w zakładach pracy w jak najkrótszym czasie rad robotniczych",
- w fazie drugiej /do końca 1981 r./ "... przygotowanie i uchwalenie ustaw o związkach zawodowych, o samorządzie przedsiębiorstwa, o przedsiębiorstwach państwowych".

Po latach odczytujemy ten zapis jako jeden z dowodów ówczesnego, przejściowego zainteresowania władz samorządami - być może w nadziei, że osłabia one znaczenie struktur związkowych. Przychylnym komentarzem z najwyższej mównicy towarzyszyły wtedy inicjatywę samorządową organizacji partyjnych w zakładach pracy.

Działo się to w czasie, gdy środowiska inteligentkie, zwłaszcza zaś ekonomiczne dalekie były od fascynacji samorządem i jugosłowiańskim modelem gospodarczym. Świadczyły o tym "społeczne" projekty reformy, zgłaszane wtedy przez silniejsze ośrodki akademickie - ekspozowały one problem samodzielności i

samofinansowania się przedsiębiorstw, czerpiąc inspirację z modelu węgierskiego. Kreszta konkurowały wtedy nie tylko rozwiązania samorządowe i managerskie. Modna była koncepcja rad nadzorczych, wprowadzających do zarządu osoby spoza przedsiębiorstwa. Ten sceptycyzm i powierzchniowy stosunek do naszej demokracji gospodarczej zaczął być rewidowany dopiero wtedy, gdy - z jednej strony - uwidoczniły się spory establishmentu wobec reformy, z drugiej zaś - dostateczny rozgłos uzyskały sukcesy rad pracowniczych. Pierwszym zwiastunem nowego podejścia było seminarium dyskusyjne na temat samorządu zorganizowane 22 stycznia 1981 roku przez warszawski oddział Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego.

Pierwsza faza rozwojowa ruchu samorządowego może być podsumowana w następujący sposób:

- przeważały wtedy motywy doraźne i mikroekonomiczny punkt widzenia. Inicjatywy samorządowe były odcierane od siebie i niezbyt liczne. Miały charakter spontanicznej improwizacji w warunkach próżni prawnej. Szukanie dróg najbardziej adekwatnych do własnej sytuacji dawało w efekcie formy stanowiące mieszaninę znanych detali modeli historycznych;
- zażądki współzrządzenia pracowniczego i szereg innych równoległych inicjatyw obywatelskich świadczyły o tym, że wyzwolona w Sieroniu energia społeczna zaczynała przekraczać ramy związkowe, przechodząc nieuchronnie w formy samorządowe;
- więcej było w tym okresie na temat samorządności gospodarczej w prasie partyjnej i dokumentach rządowych, aniżeli w biuletynach i dyskusjach związkowych.

## II. NARODZINY WSPÓŁPRACY REGIONALNEJ I ROLA SIECI (wiosna 1981)

Dnia 22 marca 1981 roku "Życie Gospodarcze" opublikowało tezy projektów ustaw o przedsiębiorstwach państwowych i o samorządzie załogi przedsiębiorstwa państwowego. Dyskusja społeczna nad tezami miała trwać do połowy kwietnia. W maju rozwinięte i uwzględniające wyniki tej dyskusji projekty ustaw miały być skierowane do Sejmu.

W chwili ukazania się tez rządowych było w całym kraju około 300 rad pracowniczych /stałych i tymczasowych/. Konfrontacja projektów rządowych z wizją, jaką posiadali faktyczni organizatorzy rad pracowniczych, była jednym z katalizatorów przełomu w ruchu samorządowym. Wyrażał się on przede wszystkim w nawiązaniu współpracy międzyzakładowej. Precedens miał miejsce w Gdańsku. Zażądki pierwszej w kraju współpracy regionalnej samorządów wyglądały następująco /według własnej relacji z roku 1981/:

*Rada Pracownicza Gdańskich Zakładów Rafineryjnych na szym trzechm woboczym posiedzeniu w dniu 18 maja 1981 roku rozpatrywała wstępny inny plan techniczno-ekonomiczny swego zakładu. Wniosek z dyskusji wtedy innymi samorząd nie ma i nie będzie miał wpływu na kształt i realizację planu, dopóki letnie będzie system nakazowo-rozdzielczy zarządzania gospodarką. Identyczne wnioski wysłał do samorządowcy z "Unimoru" - skrepowani przepisaniami bankowymi i kontrolą zjednoczenia. Była to kreszta to sama sądrość, która odłągnęła - powiezczanie - twórcy Rad Robotniczych z lat 1956-58. w rafinerii padł wniosek, by nakłonić inne lokalne samorzady do wspólnej walki o własną reformę gospodarczą. Zawarta w tym była głęboka i ogoraz lepiej rozumiana prawda o potrzebie faktu dokonanych, wyprzedzających prawa uregulowanie statusu samorządu i przedsiębiorstwa. Praktyczne doświadczenie poucało, jaki powinien być kształt ustawy i abnaciło słabości gabinetowych pomysłów, wynikające często ze złej woli projektodawcy.*

*Tak więc na 27 maja do gdańskiej rafinerii zostały zaproszone samorzady pracownicze z Trójmiasta. Na godzinie 12.00 przybyło 58 osób, reprezentujących 58 zakładów pracy, również epoka Gdańska. Spotkanie prowadził przewodniczący Rady Pracowniczej Rafinerii Andrzej Sobociński. Dyskutowano nad tym, jak działać w nieokreślonym samorządem otoczeniu, co robić z brakiem odpowiedzialności załogi i pracowników, czego oczekiwano od ustaw sejmowych i jak ze sobą współpracować. Nikt nie kwestionował celowości dalszej współpracy. Zobowiązano organizatorów do reprezentacji na następnym spotkaniu ekspertów i posłów na Sejm, chciano dyskutować ustawy o przedsiębiorstwie i samorządzie. Rada Pracownicza GZ "Unimor" miała pełnić rolę punktu konsultacyjnego, gdzie można było otrzymać ustawy i niezbędne porady. Na zakończenie spotkania opracowano komitet,*

który następnego dnia zamieścił na swych łamach "Dziennik Bałtycki". Początek został zrobiony.

Dotęży staraniem Kazimierza Wejca z Rady Pracowniczej GZE "Unimor" na drugie spotkanie samorządów w dniu 10 czerwca 1981 zostali zaproszeni profesorowie. Dr Dariusz Pilar z Uniwersytetu Gdańskiego wygłosił prelekcję "Reforma gospodarcza w świetle jej ujęteń". W trakcie spotkania powołano komisję roboczą do spraw regulaminu i kontaktów między samorządami. Z uwagi na nieistnienie dojazd do rafinerii nastąpiło spotkanie w sali konferencyjnej "Energopolu" w Gdańsku-Krzeszoku. Dotęży pośrednictwem Tadeusza Kremera Przeszosa stał się stałym miejscem cotygodniowych spotkań samorządów. Tamże przybyły na trzecie zebranie 23 czerwca grupy samorządowe z Elbląga, Torunia i Pruszcza, "zobowiązane" przez Bogusława Szymbalskiego, Jerzego Bandrowskiego i Andrzeja Sobierajskiego. Kontynuował się samorządowy makroregion. Na spotkaniu przybyły też eksperci gdańskiegos OPSZ, pracownicy Uniwersytetu Gdańskiego doc. dr hab. Jan Najewski, mgr Janusz Lewandowski i mgr Jan Szmoburg, którzy trwali zaangażowali się w ruch samorządowy. Nastąpiło spotkanie naukowe między grupą inicjatywną samorządów pracowniczych. (...) Powołał kształtowała się demokratyczna struktura organizacyjna (tzn. punkty konsultacyjne i skupiska punktów mikroregionalny) oraz dwuczłonowy system władzy plenarnej:

- część organizacyjna, na której podejmowane były decyzje o charakterze organizacyjnym oraz wyrażane opinie na temat wszystkich istotnych spraw dotyczących samorządów;
- dyskuje problemowe przygotowane przez ekspertów. /3/

Przytoczony wyżej tekst rejestrował na gorąco dojrzewanie nowych motywów i szerszego spojrzenia wśród działaczy samorządowych. Rozumiano niewystarczalność akcji samykającej się w murach przedsiębiorstw. Łączyła się z tym świadomość przetrwania w procesie znacznie donioślejszym, niż tylko zakładowe porządki.

Skala i dojrzałość ruchu samorządowego, ujawniona w akcie jego konsolidacji regionalnej wywarły spore wrażenie w środowisku uniwersyteckim. Setkniecie się z tym fenomenem miało decydujący wpływ na zorganizowanie się zapięcza eksperckiego na Wybrzeżu Gdańskim. Odsłaniające się fakty nakazywały przerwać akademickie dyskusje. Jeśli o powodzeniu reformy miało decydować jej masowe poparcie, to ten akceptowalny kierunek reformy był już przesądzony. Otwierało się zarazem interesujące pole analiz ekonomiczno-prawnych i doradztwa. Przyszli eksperci wchodzili na to pole nie bez zastrzeżeń i znaków zapytania, ale przekonani, że tym razem środowisko naukowe Wybrzeża musi stanąć na wysokości zadania - zdobyć się o własnych siłach na fachową i rzetelną obsługę ruchu masowego, którego pozytywny charakter nie budził wątpliwości.

Działacze i późniejszych ekspertów połączyła wspólna diagnoza rzeczywistości, wyrażona w następujących słowach w pierwszym regionalnym manifestie samorządowym /z przełomu maja i czerwca 1981 roku/:

W zmienną rzeczywistość polskiej ostatnich miesięcy krążyją się dwie tendencje - powolna demokratyzacja życia i szybkie pogarszanie się sytuacji gospodarczej. Niewątpliwym pryncypem satysfakcji obywatelskiej towarzyszą narastające wstręty rynku, władze się ona oraz większym cieniem na posterunku zdobywa (...). Jedyną skuteczną formą samoobrony społecznej może być przejście inicjatyw w swoje ręce (...). Energiczne Rady Pracownicze, ociekające sobie pole decyzyjne to nie tylko ratunek przed paraliżem gospodarczym i jego społecznymi konsekwencjami. Jest to równocześnie instytucja reformy gospodarczej, gdyż oddolne fakty dokonane rokuja większe nadzieje niż przedsięwzięcia rządowe.

Wkrótce po rozruchu pierwszej w kraju wspólnoty regionalnej usłyszeliśmy głos zapowiadający kierunkowo zbieżną inicjatywę środowisk ekonomicznych. Pod koniec maja przyjechał do Gdańska R. Krawczyk, reprezentant warszawskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, z propozycją utworzenia społecznego ciała mającego za cel "... jak najszybsze podjęcie działań na rzecz jednoznacznie samorządowej reformy gospodarczej". R. Krawczyk sondażował opinie przywódców związkowych i badał ewentualne zaplecze lokalne dla tej idei. Usłyszał wstrząsające "tak" od R. Gwizdy i B. Lisa. Dnia 8 czerwca grupa

ekonomistów związana z gdańskim OPSZ uczestniczyła w Warszawie w zebraniu założycielskim Społecznego Komitetu Reformy Gospodarczej.

Powinno, że na szczepia przedsiębiorstwa do samorządu wstąpił już masowo działacze "Solidarności", oficjalne stanowisko i faktyczne nastawienie kierownictwa Związku nie dległo w tym okresie zmianie. Przy całym zróżnicowaniu sytuacji w poszczególnych regionach, centrala "Solidarności" starała się zachować w kwestiach gospodarczych czystą linię związkową, to znaczy program kontroli i rewindykacji, a nie współdecydowania. Wydaje się zresztą, że był to program podany z osobistymi przekonaniami ówczesnych negocjatorów i kadencji Związku w temacie gospodarczym - B. Lisa i J. Kłyaś. W publicystyce związkowej przebiegał się coraz silniej głos zwolennika samorządności S. Jakubowicza, ale nie brakowało też wstrzeżeń i sceptycyzmu - powoływano się na negatywne doświadczenia tych związków zachodnich /np. brytyjskich/, które dały się wciągnąć do współdecydowania i przesłać do współodpowiedzialności. Obawy poważnego odłamku działaczy związkowych podsumowali K. Bagał i S. Jakubowicz w projekcie stanowiska Krajowej Komisji Porozumiewawczej w sprawie rad pracowników, opublikowanym w "Tygodniku Solidarność" z 22 maja 1981 roku. Wzruszenia były trójakiego rodzaju:

- niebezpieczeństwo powtórzenia rad przez organizacje partyjnie i administrację oraz użycia ich w charakterze instrumentu osłabiającego Związek,
- możliwość przekazania na samorządzie szkodowej odpowiedzialności za ewentualne pogłębianie się kryzysu,
- kompromitacja idei samorządu w warunkach, gdy powstawanie rad pracowniczych wyprzedzało w czasie niezbędne dla ich pełnego funkcjonowania zmiany w systemie zarządzania.

Do powyższych obaw związanych z sytuacją polityczną i gospodarczą kraju, dołączala się zwykła niezufaność wobec efektywności samorządowej formy zarządzania przedsiębiorstwami.

W Gdańsku kontakty między centralą związkową a powstającymi ugrupowaniami samorządowym nie były satysfakcjonujące. Obrady plenum związkowego greszyły wtedy w sporach personalnych. Temat gospodarczo-samorządowy, wielokrotnie wychany na marginesie porządku obrad, nie mógł uzyskać należytej rangi.

Na szczęście istniejąca w kraju luka zaczęła wypełniać Sieć Organizacji Zakładowych NSZZ "Solidarność" wiodących Zakładów Pracy. Rodowód i dorobek tej oryginalnej struktury wewnątrzzwiązkowej stanowił temat sam w sobie. Sieć zawiązała się z inicjatywy Stoczni Gdańskiej w okresie kryzysu bydgoskiego, kiedy pogotowie strajkowe umożliwiała szybki kontakt z działaczami największych zakładów pracy innych regionów /WSK PZL Białostok, Stocznia im. A. Żurawskiego w Szczecinie, H. Cegielski w Poznaniu, WSK "Wujek", Huta im. Lenina, Pafewag Wrocław i inne/. Organizatorzy Sieci - Świadekmi postępującego zagrożenia gospodarczego i nie chcąc dopuścić do tego, aby siła Związku wyrażała się tylko strajkiem i negocjacja - uznali za konieczne wypracowanie społecznego programu radykalnej i szybkiej reformy, jako kontropropozycji dla poczynan rządowych.

Sieć, raskakująca inwencją i nowymi metodami pracy, uznana została oficjalnie za ośrodek konsultacyjny Związku /Komunikat KKP z dnia 28 maja 1981 r./. Wyrastała szybko na potężne lobby wewnątrzzwiązkowe, podejmujące aktywnie kwestie gospodarcze i wspierające ruch samorządowy własnymi instrukcjami i kadram ekspertów. Nie wszystkie regionalne oczka Sieci wywiązywały się ze swych zadań, ale w Gdańsku już na drugim spotkaniu samorządów pojawił się K. Szyc ze Stoczni Gdańskiej z ofertą współpracy /był też na spotkaniu też inni animatorzy Sieci - J. Merkel, J. Milewski, a E. Dudziak ze Stoczni im. Komuny Paryskiej współpracowała stale w roli koordynatora terenowego/. W ten sposób lokalna inicjatywa zakładów małych i średnich zespoliła się z ogólnokrajową siecią przemysłowych gigantów.

Działalność koncepcyjna i organizatorska Sieci przygotowała następną, rozstrzygającą fazę ruchu samorządowego. Podstawowym rysem kończącej się fazy, przysięgającej na miesiąca wiosenne, była rosnąca świadomość, iż dziesięćco-milionowa "Solidarność" nie może przyglądać się tonącej łodzi z polską gospodarką, ponieważ sama się w tej łodzi znajduje. Świadomość ta była wspólnym motywem wszystkich trzech inicjatyw wspomnianych w tym punkcie, tzn. gdańskiej współpracy samorządów, Sieci i Społecznego Komitetu Reformy Gospodarczej;

## III. WALKA O KSZTAŁT REGULACJI PRAWNEJ /lato 1981/

W lecie kwestia samorządowa nabrała gwałtownie na znaczeniu. Wzrasta się akcja formowania rad pracowniczych i poszerza jej zasięg, co ściągnęło na salę wtorkowych spotkań we Wrzeszczu nowych uczestników. Nieprzypadkowo trafili tam na przykład reprezentanci państwowych gospodarstw rolnych, wypchniętych w połowie roku na głębokie wody samodzielności, często w warunkach deficytu finansowego. Rosły oczekiwania wobec działaczy struktur ponadzakładowych i ekspertów. Z czasem luźna i nieformalna współpraca stała się niewystarczająca. Pojawiła się potrzeba skromnej choćby instytucjonalizacji i zorganizowania stałego sekretariatu. Na jedenastym z kolei spotkaniu w dniu 18 sierpnia 1981 roku zebrani zatwierdzili strukturę Rady Koordynacyjnej Samorządów Pracowniczych Regionu Gdańskiego i Elbląskiego. Przewodniczącym obrano H. Szyca ze Stoczni Gdańskiej, jego zastępcą B. Szybalskiego z elbląskiej "Solidarności". W skład Rady weszły następujące sekcje: biuro /A. Bartkowski, D. Reluga/, informacja i propaganda /A. Sobociński, J. Cała/, interwencje /A. Sobierański, B. Paszkiewicz/, koordynatory terenowi /T. Kremer, E. Dudziuk, J. Bandrowski/ oraz eksperci /J. Majewski, J. Szomburg, J. Lewandowski/. Sekretariat obsadzony przez W. Trojanowską otrzymał stałe pomieszczenie w Gdańsku. Powstanie Rady Koordynacyjnej nie naruszyło w żadnym stopniu autonomii rejestrowanych przy niej samorządów. Źelazną regułą współpracy regionalnej w Gdańsku było pozabawienie struktur ponadzakładowych wszelkich uprawnień władczych. Członkowie Rady spotykali się zazwyczaj w poniedziałki, uzgadniając program ogólnego plenum wtorkowego.

Większość czasu pochłaniały problemy lokalne. Podstawowa energia kierowała się wciąż na wspomaganie akcji zakładania samorządów. Ale nieuchronnie stawało się też nasze uwikłanie na forum szerszym, ogólnokrajowym.

Żadne wydarzenie gospodarcze, społeczne czy polityczne, mające związek z samorządem pracowniczym, nie mogło przejść bez echa na spotkaniach wtorkowych - ryt tych wydarzeń, rozgrywających się na scenie ogólnopolskiej, zagęszczał się wyraźnie. W rok po "sierpniu związkowym" rozwijała się "rewolucja samorządowa" i narastał konflikt na tle regulacji prawnej samorządu. Czerwcem Sieć skierowała do Sejmu i równocześnie upowszechniła kontrpropozycję wobec projektów rządowych - projekt ustawy o przedsiębiorstwie społecznym. Różnice były istotne. Projekty rządowe mówiły o samorządzie załogi, projekt Sieci o samorządzie przedsiębiorstw - była to propozycja jednej ustawy zamiast dwóch oddzielnych regulacji przedsiębiorstwa i samorządu. Różnice dotyczyły też stopnia samodzielności przedsiębiorstwa i podporządkowania dyrekcji organom przedstawicielskim załogi. Inicjatywa Sieci nie znalazła odzwierciedlenia w debacie sejmowej, toczonej się od połowy lipca. Zmową milczenia uzupełniał zapis cenzorski na nazwę "przedsiębiorstwo społeczne". Ale informacyjne kanały związkowe były już wtedy wystarczająco sprawne, by doprowadzić ideę przedsiębiorstwa społecznego do masowej świadomości. Propozycja Sieci trafiła do niej tym łatwiej, iż była zwięzła i czytelna. W przededniu Nadzwyczajnego Zjazdu PEPR, który mógł przesądzić kształt regulacji prawnej samorządu, potrzebna była demonstracja społecznego zaplecza projektu Sieci. Rolę tę spełnił pierwszy ogólnopolski wiec samorządowy, zwołany w Stoczni Gdańskiej 8 lipca 1981 roku. Przekrój uczestników ilustrował stan zorganizowania samorządowego w kraju. Dominowali zainteresowani samorządem działacze związkowi, m.in. siłami reprezentacja Śląska. Obok nich pojawili się członkowie komitetów założycielskich oraz tymczasowych i stałych rad pracowniczych. W sumie, według listy, 1088 osób, które przyjęły odważnie popierającą koncepcję przedsiębiorstwa społecznego. Ten głos nie mógł być zlekceważony. Jakby w odpowiedzi, referat programowy KC na IX Zjazd PEPR potępił "akcje samowolnego powoływania solidarnościowego samorządu" i projekt przedsiębiorstwa społecznego. Na ten znak, dany przez dyrygenta, rozpoczęła się nagonka prasowa, radiowa i telewizyjna na niezauważaną dotąd Sieć. Zamiast argumentów operowano stykiatką anarcho-syndykalizmu. Biuletyny "Solidarności" publikowały odpowiedzi Sieci. "Przegląd Techniczny", "Życie Gospodarcze"; a nawet niektóre lokalne gazety partyjne wzięły na siebie rolę mediatora.

Potrzeba zajęcia stanowiska w tym sporze i możliwość mówienia własnym głosem była jednym z czynników konsolidujących ruch samorządowy. Stawał się on siłą

zorganizowaną w skali całego kraju. Tworzyły się kolejne ugrupowania regionalne: Mazowsze /6.07./, Śląsk /11.08./, Toruń /sierpień/. Na wspomnianym wiecu gdańskim doszło po raz pierwszy do próby powołania ogólnopolskiej reprezentacji samorządowej - grupy inicjatywnej z różnych stron kraju czuły się nie reprezentowane w tym względzie przez "Solidarność". Ostatecznie, w wyniku gorącej debaty, uczestnicy wiecu uznali za swego przedstawiciela Sieć, co poświadczało rosnący autorytet tej organizacji. W drodze powrotnej z Gdańska szereg delegacji odwiedziło Lublin, gdzie w dniach 12-13 lipca obradowała konferencja "Solidarność" a samorząd pracowniczy. Zawiązała się tam Grupa Robocza na rzecz Międzyregionalnej Inicjatywy Współpracy Samorządów Pracowniczych, która stawiała sobie za cel m.in. zawarcie porozumienia między ugrupowaniami samorządowymi z różnych stron Polski. Wreszcie 7 sierpnia w auli Politechniki Warszawskiej odbyło się drugie ogólnopolskie spotkanie, gromadzące tym razem przede wszystkim członków rad pracowniczych. Przyjęta rezolucja ponownie dokumentowała wolę uczestnictwa załóg w zarządzaniu przedsiębiorstwami według zasad nakreślonych przez Sieć. Domagano się udziału przedstawicieli ruchu samorządowego w pracach nad ustawami, w Komisjach Sejmowych.

Gdańsko-elbląskie ugrupowanie samorządowe zaznaczało się wyraźnie na mapie krajowej. Prestiż Gdańsk jako kolebki "Solidarności", równał się zwiększonym oczekiwaniom i odpowiedzialności. Niezależnie od rosnącego zaangażowania na forum ogólnopolskim, region starał się wypracować własne stanowisko w zasadniczych kwestiach. Na kolejnych spotkaniach przyjęto krytyczną opinię w sprawie rządowych projektów ustaw i protest przeciwko "przeinaczeniu intencji ruchu samorządowego". Sformułowano też odczwę do posłów na Sejm, starając się nawiązać z nimi kontakt. Pomimo wysiłków, początkowo doszło zaledwie do jednego spotkania w Elblągu i jednego w Gdańsku /z posłem B. Bukowskim/. Zaproszono imiennie wszystkich posłów Ziemi Gdańskiej, w tym ówczesnego pierwszego sekretarza KC S. Kanię i pierwszego sekretarza KW w Gdańsku T. Fiszbachę /który nadysłał uprzejme usprawiedliwienie swej nieobecności/.

W miarę konsolidacji ruchu samorządowego w Polsce region nadmorski nie gubił swej tożsamości. Odrębnie - zauważalna stawała się jego odrębność programowa i swoisty styl pracy. Brało się to z odmiennej niż gdzie indziej relacji między przedsiębiorstwami a powołaną przez nie strukturą ponadzakładową. Liderzy ruchu z głębi Polski, tacy jak R. Szlajfer, Z. M. Kowalewski i J. Musarewicz mieli na swym terenie decydujący głos programujący i szeroką swobodę działania. Na Wębrzeżu tryb podejmowania decyzji wydawał się ociężały, ale wiązało się to z bardziej demokratyczną procedurą i silną kontrolą nad ekspertami. Różnice wychodziły na jaw w trakcie spotkań ogólnopolskich. O ile delegaci innych regionów byli skłonni podejmować decyzje czy uchwały w imieniu reprezentowanych samorządów, delegaci Gdańsk i Elbląg mieli w perspektywie dwuszczeblową procedurę "ratyfikacyjną". Na pierw trzeba było wywołać dany temat na plenum wtórkowym we Wrzeszczu, po czym odbywały się konsultacje w zakładach pracy. Dopiero ich przytłumiony wynik, komunikowany w następnym wtorek, przetrząsał się w wiarygodną decyzję regionu, którą można było wnieść do "banku" krajowego. Ta czasochłonna procedura budziła niekiedy niezrozumienie u naszych partnerów. Ale z kolei zdrowe fundamenty ruchu nadmorskiego dawały idei samorządowej nieporównanie większy stopień identyfikacji wśród załóg zakładów pracy. Aktywna i krytyczna sala samorządowa we Wrzeszczu była w tym okresie niewątpliwie zjawiskiem niepowtarzalnym w skali kraju. Odciągała ona zresztą uwagę członków Rady Koordynacyjnej od "wielkiej polityki" ku przyziemnym, lecz fundamentalnym kwestiom zakładowym. Tak więc bardziej demokratyczna formuła i mniejsze upolitycznienie grupy gdańsko-elbląskiej tłumaczyły się wzajemnie. Świadectwem odrębności programowej był przyjęty przez Radę w sierpniu "Program działań doraźnych". Czytamy w nim:

*Można mówić o swoistej orientacji późniejszej w ruchu samorządowym. Jej istotną cechą jest unikanie działań prestiżowych, obliczonych na efekt polityczny. Stawiamy na działania pozytywne, budujące raszej niż burzące. Program taki wynika ze zrozumienia powagi naszej sytuacji gospodarczej.*

Wspomniana Grupa Lubelska i działacze śląscy zalecali w tym czasie natychmiastowe wprowadzenie w życie tych elementów samorządowej reformy gospodarczej, co do których istnieje już całkowita zgodność". Chodziło mianowicie o skoordynowaną akcję występowania ze zjednoczeń

koordynowaną akcją występowania ze zjednoczeń i wyboru nowych dyrektorów. Miał to być pokaz siły ruchu samorządowego, zwiększający szansę pozytywnej regulacji prawnej. Natomiast działacze gdańscy wpatrywali głównie źródło tej siły w przekonaniu i przygotowaniu załóg do współzarządzania. Kierowali więc całą uwagę na "pracę u podstaw". Wtedy takie różnice zaistniały, z perspektywą czasu wydają się naturalne i inspirujące.

Dnia 8 września przybyli do Wrzeszcza przedstawiciele Słupska. W ten sposób, w tydzień później, ukształtował się ostatecznie makroregion samorządowy Gdańsk-Elbląg-Słupsk.

Dojrzwianę współpracy regionalnej wyrażało się między innymi stworzeniem samowystarczalnego zaplecza eksperckiego. Wspomnianą trójkę pracowników Uniwersytetu Gdańskiego uzupełnili na stałe trzej praktycy o sporej wiedzy teoretycznej: R. Napieralski, R. Krafiński, i K. Bialecki. Spośród nich, K. Bialecki doskonalił się w unikalnej i poszukiwanej wtedy specjalności: metodyka konkursów dyrektorskich. Pełnym sukcesem zakończyło się poszukiwanie prawnika, który potrafiłby poruszać się sprawnie w ówczesnej niestabilnej sytuacji - nawiazano współpracę z J. Krakowską-Antczak, wspomaganą przez P. Napieralskiego.

Opisywane procesy konsolidacji ruchu samorządowego w skali regionalnej i ogólnopolskiej miały oczywisty związek z generalną zmianą stanowiska NSZZ

"Solidarność" w kwestii gospodarczej. Wprawdzie 16 czerwca Prezydium KKP przyjęło w jego oczekiwaniu uchwałę, popierającą tworzenie rad pracowniczych i krytycznie opiniującą rządowe projekty ustaw, ale jeszcze na ogólnopolskim wiecu w Gdańsku /8.07/ głos L. Wałęsa wyłamywał się z chóru zwolenników rozwiązania samorządowego i pełnego uwikłania Związku w tę materię. Wałęsa widział szansę wariantu managerskiego, negatywnie oceniał sytuację, w której: "...dyrektor jest między młotem a kowadłem, czyli naciskany zarówno przez załogę, jak i władzę". Ale odbywające się w tym czasie Walne Zgromadzenie Delegatów NSZZ "Solidarność" poszczególnych regionów deklarowały kolejno poparcie dla idei samorządowej i potrzeby wypracowania konstruktywnego programu gospodarczego Związku. W wyborach regionalnych awansowali do ścisłego kierownictwa działacze "uczyniący" temat samorządowy, na przykład G. Pałka w Łodzi i J. Merkel w Gdańsku. Problematyka gospodarcza zajmowała coraz więcej miejsca na łamach prasy związkowej - przełom zwiastował artykuł W. Kuczyńskiego pt.: "Ruch gospodarczej naprawy", zamieszczony w tygodniku "Solidarność" nr 14 /z 3.07.1981/ Gdański organ o tej samej nazwie poświęcił gospodarce i samorządności dwa numery /30.07. i 25.09.1981/. Dnia 3 sierpnia doszło w Warszawie do spotkania władz "Solidarność" na temat poprawy sytuacji ekonomicznej. Po trzech dniach rozmowy załamały się, nie uzgodniono komunikatu końcowego.

W kraju miały miejsce demonstracje uliczne /"marsze głodowe"/ i inne formy protestu przeciw katastrofalnym brakom rynkowym. Pekała odporność ludzka na coraz bardziej dotkliwe skutki kryzysu. Dotychczas linia związkowa była nie do utrzymania - "Solidarność" musiała podjąć wyzwanie i włączyć się w dzieło naprawy.

W rocznicę Sierpnia 1980 Krajowa Komisja Porozumiewawcza wydała apel do członków Związku i całego społeczeństwa. Była to propozycja poszerzenia formuły ruchu o działania obywatelskie w sferze gospodarki /między innymi o inicjatywy produkcyjne i dobrowolne przepracowanie ośmiu wolnych sobót/. Ta doniośna reorientacja programowa potwierdzona została w Oświadczeniu Prezydium KKP z 26 sierpnia 1981 roku, gdzie zapowiadano między innymi podjęcie, wspólnie z ruchem samorządowym, konkretnych działań wdrażających reformę. Symbolem współpracy stało się Spółeczeństwo Porozumienie na rzecz Reformy, którego sygnatariuszami, obok reprezentantów NSZZ "Solidarność" i NSZZ Rolników Indywidualnych "Solidarność" były regionalne porozumienia rad pracowniczych oraz Społeczny Komitet Reformy Gospodarczej. W ten sposób narodził się front koordynowanego działania sił społecznych, torujących drogę reformie. Opracowany przez ekspertów gdańskich poradnik pt. "Samorząd Pracowniczy, Krok Pierwszy", przyjęty został przez uczestników Porozumienia do wykorzystania w akcji propagowania ruchu samorządowego i wspomagania czynności założycielskich.

Wne elementy strategii Związku uczyniły z gospodarki główne pole konfliktu między władzą a "Solidarnością". Zapowiedź kontrolowanej dystrybucji efektów społecznych inicjatyw produkcyjnych, w szczególności zaś zasobów żywności, traktowana była jako zamach na istniejący porządek i próba przejęcia władzy. Najbardziej polaryzowały się stanowiska wokół samorządu. Kontrofensywa aparatu władzy /najmniej odczuwana w Wybrzeżu Gdańskim/ eksponowała następujące punkty sporne:

- ostateczny kształt ustawy o przedsiębiorstwie i samorządzie;
- tryb rozwiązania zjednoczeń i powoływania dobrowolnych zrzeszeń;



- dostęp rad pracowniczych do informacji i poligrafii w przedsiębiorstwach oraz sposobów finansowania działalności samorządu;
- wybory dyrektorów w drodze otwartych konkursów.

W sposób coraz bardziej oczywisty ta ostatnia sprawa, czyli sprawa partyjnej gestii w obsadzaniu kluczowych stanowisk gospodarczych /nomenklatura/, stawała się punktem zapalnym. Miesiące letnie w pełni odsoniły rzeczywistość oś konfliktu, kamuflowanego w dotychczasowej dyskusji nad reformą przez obie strony. Przygrywkę stanowił opór władz przy zatwierdzaniu dyrektorów wybranych w przedsiębiorstwach użyteczności publicznej /casus LOT-u/. Krańcowe punkty polaryzacji stanowisk wyznaczały dwie uchwały - z jednej strony uchwała III Plenum KC PZPR z 3 września, z drugiej strony uchwała pierwszej tury Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ "Solidarność" z 8 września 1981 roku. III Plenum ogłosiło niedwuznacznie powrót do zasady nomenklatury w gospodarce. Zjazd "Solidarności" potwierdził nieustąpliwą w walce o samorząd o pełnych kompetencjach, zapowiadając bojkot ustaw, o ile odbiegają będą od oczekiwań społecznych.

Tak więc końcowa faza walki o kształt regulacji prawnej samorządu przebiegała w atmosferze narastającej konfrontacji politycznej. Przypomnijmy ostrzegawczy list z Kremia i wznosząca się falę krytyki u innych sąsiadów. Biuro Polityczne PZPR potępiło 16.09.1981 przebieg pierwszej tury Zjazdu "Solidarności" /"...Zwyciężyła linia budowania opozycyjnej politycznej organizacji, która jawnie postawiła sobie cel - przejęcie władzy oraz zmianę ustroju społeczno-politycznego w państwie". Czytelnie stawały się groźby stanu wyjątkowego /"...Socjalizm będziemy bronić tak, jak broni się niepodległości Polski. Państwo dla tej obrony użyje takich środków, jakich wymagać będzie sytuacja"/.

Trwał impas w komisjach i podkomisjach sejmowych zajmujących się samorządem. niewiele wskórała powołana przez KEP grupa d/s kontaktów z Sejmem /J. Dynner, G. Paika, E. Nowak, A. Swinarski, T. Stankiewicz/. Projekty ustaw zbliżyły się w nieznanym stopniu do oficjalnego stanowiska "Solidarności", opartego w dużej mierze na propozycji Sieci i przekazanego na ręce posła A. Łopacki. 10 sierpnia. 15 września sprawa wydawała się przesądzona - w czasie zamkniętego posiedzenia Komisji Planu Gospodarczego, Budżetu i Finansów oraz Komisji Prac Ustawodawczych zatwierdzony został ostateczny kształt obu ustaw w wersji rządowej.

Dalszy nieoczekiwany rozwój wypadków wiązał się z bezprecedensową aktywizacją części zespołu poselskiego. Oto R. Reiff/Pax/ i J. Zabłocki/Polski Związek Katolicki/ społeczny/ zablokowali wniesienie projektów ustaw na posiedzenie plenarne Sejmu. Wyłoniono sejmową podkomisję d/s kontaktów z "Solidarnością" i rozpoczęto pospieszne mediacje. 21 września doszło do spotkania, w czasie którego przedstawiciele Prezydium w kadłubowym składzie /L. Wałęsa, S. Wądołowski, T. Jedynak, J. Rulewski/ zaakceptowali osiągnięty kompromis w "kwestii dyrektorowskiej"/4/. Przesądziła o tym argumentacja doradcy J. Kuronia, który przewidywał, że kompromis nie będzie przyjęty przez Sejm. Tego samego dnia rano delegaci "Solidarności" znaleźli się w Sejmie. Wypełniając przepowiednię J. Kuronia, klub poselski PZPR polecił wrócić do rządowych projektów ustaw. Wówczas miał miejsce drugi fakt zaprzeczający dotychczasowej rutynie sejmowej. Włócnicy kompromisu /między innymi K. Małcużyński/ zdobyli poparcie posłów bezpartyjnych, katolickich, a nawet niektórych posłów SD, ZSL i PZPR - realna stawała się groźba polaryzacji stanowisk. W tej sytuacji władza uległa i obie ustawy przegłosowano w wersji wynegocjowanej. W ten sposób po raz pierwszy od roku 1947 atoczona została w Sejmie prawdziwa batalia o kształt regulacji prawnej i po raz pierwszy ostateczny wynik w postaci ustaw o samorządzie i przedsiębiorstwie odbiegał od propozycji rządowych.

#### IV. NOWY STAN PRAWNY. FEDERACJA KRAJOWA /jesień 1981/

Aż do dnia 1 października 1981 roku powstawanie rad pracowniczych, mając oparcie w Umowie Społecznej i Konstytucji, natrafiało na lukę w normach prawnych niższego rzędu. Ustawa z roku 1958 o samorządzie robotniczym, na którą powoływały się nągninnie statuty formowanych samorządów, nie stanowiła zadowalającej regulacji problemu. Lukę tę wypełniły uchwalone przez Sejm 25 września

i obowiązujące od 1 października ustawy o przedsiębiorstwach państwowych i samorządzie załogi przedsiębiorstwa państwowego. Sejm uchwalił obie ustawy jednym myślnie, w brzmieniu - jak pisaliśmy - nieznacznie tylko odbiegającym od zapisu wynegocjowanego z Prezydium KKP NSZZ "Solidarność". Zabrakło jednak zapowiedzianych przepisów wykonawczych. W terminie do 31 grudnia 1981 miały dostosować swój udział w zarządzaniu przedsiębiorstwami do przepisów ustawowych, co równało się konieczności korekty większości statutów samorządów już istniejących.

W chwili uchwalenia aktów sejmowych w Radzie Koordynacyjnej Samorządów Pracowniczych Regionu Elbląskiego, Gdańskiego i Słupskiego rejestrowano 225 tymczasowych lub stałych rad pracowniczych.

W mieszanych nastrojach, z napięciem i ciekawością wyczekiwano reakcji delegatów Związku na kompromisową formułę dyrektorską, przyjętą przez Prezydium KKP. Nazajutrz po uchwaleniu ustaw rozpoczęła się w Hali "Olivia" w Gdańsku druga tura Zjazdu "Solidarności". Sprawozdanie ustępującej Krajowej Komisji Porozumiewawczej, uzasadniające między innymi wspomniany kompromis, przedstawił A. Celiski. Zgodnie z oczekiwaniem rozpętała się burza - delegaci surowo rozliczali decyzję Prezydium, kwestionując jej legalność między innymi Zjazdu i jej sens merytoryczny. Ale podjęta przez Zjazd "Uchwała w sprawie ustaw o samorządzie załogi przedsiębiorstwa państwowego oraz o przedsiębiorstwach państwowych" odznaczała się wstrzemięźliwością, podobnie jak cały dokumencie tej tury Zjazdu. Związek nie odrzucał ustaw w całości, lecz zapowiadał poddanie pod referendum tych przepisów, które w sposób rażący odbiegały od postulatów załóg. Wyniki referendum miały dać podstawę do wystąpienia o nowelizację ustaw. Niewątpliwym wpływem na uspokojenie nastrojów miało wywołane stanowisko Sieci, wysłuchane przez delegatów z uwagą.

Nie mniej burzliwa była recepcja ustaw w środowisku samorządowym. Dało się to odczuć w czasie ogólnopolskiego spotkania, zwanego w czasie trwania Zjazdu w Gdańsku - wykorzystano fakt obecności na Zjeździe wielu działaczy samorządowych. Zaznaczyły się wtedy dwie charakterystyczne orientacje.

Pierwszą z nich, "południową", reprezentowaną przez Grupę Lubelską i działaczy śląskich można określić jako konfrontacyjną. Zalecała mobilizację samorządów do walki o korektę ustaw i tworzenie faktów dokonanych zgodnych z ideą przedsiębiorstwa społecznego/np. zsynchronizowane w czasie wybory nowych dyrektorów/. Ekspertci z tych środowisk skupili uwagę i energię na przygotowaniu referendum i nowelizacji ustaw.

Nasze ówczesne stanowisko, czyli orientację "północną", można opisać następująco. Ustawy sejmowe były lepsze od projektów rządowych. Daleko im było jednak do klarownego projektu Sieci, który pozostał ideałem i modelem nadal widzą gospodarczą uczestników ruchu samorządowego. Nie było rzeczą łatwą pogodzić się z realiami prawnymi i odnaleźć w nowych warunkach pierwotny entuzjazm i energię do pracy. Ale nacisk potrzeb bieżących i realizm podpowiadał inną taktykę.

Pamiętając o perspektywie nowelizacji, nakreślonej przez Związek dostrzeżano potrzebę i możliwość działania w nowych warunkach, określonych przez niedoskonałe, ale przecież obowiązujące ustawy. Pilna stawała się potrzeba wypracowania jednolitej wykładni przepisów i zbudowania na tym gruncie ujednoliconej taktyki działania w całym makroregionie. W intensywnym trybie, pod patronatem Rady Koordynacyjnej, powstał zbiór komentarzy do ustaw zatytułowany "Samorząd i przedsiębiorstwo w świetle ustaw", wydany w dużym nakładzie w październiku. Proponowane tam wzory statutu samorządu i przedsiębiorstwa zapisywały maksymalnie wyraziście w danych warunkach podział ról między organami samorządu i dyrektorem jako wykonawcą uchwał samorządu. Taka rozszerzona interpretacja przepisów ustawowych pozwalała zrealizować większość punktów uchwały Zjazdu "Solidarności" bez potrzeby nowelizacji ustaw.

Obowiązujące od 1 października ustawy były jedynie ważnym przystankiem na drodze do samorządności gospodarczej załóg. Wypełniły zaledwie część przesłanki prawnej związanej z reformą gospodarczą. Powstawanie rad pracowniczych wyprzedziło w czasie niezbędne dla ich funkcjonowania zmiany w systemie zarządzania, planowania i finansów. Należało zatem kontrolować dalszy przebieg procesu ustawodawczego. Dotychczasowe doświadczenia pouczyły o celowości społecznej inicjatywy ustawodawczej. Ciężar taki wzięła na siebie Sieć. Ambicją ekspertów gdańskich, mającą rosnące pokrycie w potencjale ludzkim, było komentowanie projektów rządu i Sieci na użytek samorządów. Zakres samorządności i układ sił w przedsiębiorstwie zależał w równej mierze od przepisów, co od inicjatywy ludzi i ich przygotowania do nowej roli. Żadne wystąpienie "Solidarno-

ści" czy referendum nie mogłoby zrekompensować pasywności załóg i niedojrzałości działaczy. W sumie ustawy sejmowe otwierały nową fazę walki o samorządność gospodarczą. Miała ona przebiegać na wielu płaszczyznach, nie tylko legislacyjnej i ciężar tej walki rozkładał się na Związek oraz struktury zakładowe i ponadzakładowe ruchu samorządowego.

Nowa sytuacja, zaistniała od 1 października 1981 roku, wymagała przewartościowania hierarchii zadań bieżących samorządów i Rady Koordynacyjnej. Srogi samorządów /w Trójmieście była to większość/ wydobył się już ze stadium formowania i związanych z nim czynności statutowo-organizacyjnych. Należało przygotować przedsiębiorstwo do działania w przewidywanej, częściowo zreformowanej rzeczywistości roku 1982, kiedy to rady miały wystąpić w roli gospodarza zakładu pracy. Dlatego w listopadzie podano do ich użytku trzeci z kolei zeszyt samorządowy: "Poradnik działań doradczych". Był to zestaw materiałów wspomagających zrewidowany i uzgodniony na spotkaniach wtorkowych program pracy. Priorytetem była wtedy ocena stanu przedsiębiorstwa na podstawie raportu, który należało wyegzekwować od administracji. Nie mniej pilne stało się uporządkowanie systemu płac. Poradnik zawierał też pionierski zbiór reguł konkursu dyrektorskiego oraz sceptyczną charakterystykę strajku czynnego; hasło strajku czynnego robiło w tym okresie karierę, proporcjonalną do nieznamomości treści tego hasła wśród załóg. Równoległe trzeba było przededogawiać i wznowić pierwszy poradnik agitacyjno-założycielski, którym zainteresowane były te załogi, głównie spoza Trójmiasta, które przystępowały dopiero do zakładania samorządu. Regularnymi bywałcami spotkań we Wrzeszczu zaczęli być w tym okresie m.in. przedstawiciele zakładów pracy z Kwidzyna, Olsztyna i Włocławka. Nawiązano kontakty z Piłą, Szczecinem i Dolnym Śląskiem. Wizyta Jugosłowian nasunęła myśl o systematycznej współpracy. Irregularnym poziomem zaangażowania uczestników spotkań wtorkowych stanowił pewne urzędzenie - nowi goście ponawiali te same pytania, podczas gdy uwaga stałych uczestników i ekspertów wybiegała już ku nowym problemom.

Nową jakością w jesiennym programie współpracy regionalnej było szkolenie rad pracowniczych. Przywiązywano do tego dużą wagę, co powinno być zrozumiałe w świetle przedstawionej wyżej strategii działania. Wśród członków rad pracowniczych przewałała kadra techniczna - ludzie chłonni, szybko się uczący, ale zdradzający oczywiste braki w zakresie wiedzy ekonomiczno-prawnej. W niedzielę, 24 października, ruszyły seminarie szkoleniowe w pomieszczeniach Uniwersytetu Gdańskiego. Taka forma, pochłaniająca resztki czasu wolnego kilku bardzo już wyeksploatowanych osób, nie mogła się utrzymać na dłuższą metę. Po pewnych spekulacjach wewnętrznych zwyciężył pogląd, że Rada Koordynacyjna nie zdąży zapewnić fachowych i regularnych szkoleń własnymi siłami. Był to zbyt poważny problem organizacyjny i aby się z nim uporać, należało wykorzystać powołane w tym celu instytucje /PTE, NOT, TNOiK/, kontrolując tematy i dobór osób szkolących. Uczestnicy szkoleń mieli spotykać się na sesjach wyjazdowych w wynajętych ośrodkach /Sobieszewo/, ale czasu starczyło zaledwie na jeden eksperyment.

W swoistym stanie zawieszona znaleźli się liczni reprezentanci sektora użyteczności publicznej. Były to rady lub komitety założycielskie barażące dotąd na statutach Słeci, jakkolwiek świadome, że nie mieszczą się w kategorii przedsiębiorstwa społecznego, tzn. w pełni samorządowego, samodzielnego i samofinansującego się. Zgodnie z przewidywaniami, niektóre z tych przedsiębiorstw /kolejnictwo, banki, LOT, ubezpieczenia i poczta/ zostały wyłączone z zakresu ustawy o przedsiębiorstwach państwowych, inne /komunikacja miejska, gospodarka komunalna, usługi kulturalne, energetyka i inne/ miały otrzymać szczegółową regulację prawną w formie rozporządzenia Rady Ministrów. Uprzedzając te regulacje - brak było zresztą konsultacji w tym zakresie - załogi zainteresowanych przedsiębiorstw usiłowały wytworzyć własną wizję ograniczonego samorządu, skorelowaną z ograniczoną samodzielnością firmy. Rosłały zespoły robocze opracowujące koncepcje samorządu w obszarach specyficznych: kolejnictwo /organizatorem był L.Weber/, energetyka /A.Trojanowski/, gospodarka komunalna /A.Bartkowski/. Charakterystyczne dla tych grup przedsiębiorstw były intensywne kontakty poziome w skali ogólnopolskiej.

Ogólnie biorąc, jesienią 1981 roku pierwszorzędnej rangi nabierał temat samorządu nietypowego. Kontakty z Radą Koordynacyjną szukali m.in. pracownicy jednostek gospodarczych służby zdrowia, szkolnictwa, kultury itp. O potrzebie

zróżnicowanych rozwiązań mówiło się od dawna, ale dopiero w listopadzie nastąpiły przykłady do opracowania tego tematu w formie czwartego zeszytu samorządowego.

Zamierzeń tych nie udało się już zrealizować. Poza pojemnym patronatem Rady znaleźli się natomiast spółdzielcy. Ciekawe zresztą, że ta forma gospodarowania, mające piękne tradycje w Polsce międzywojennej, potrzebowała niewątpliwie czasu by otrząsnąć się z letargu. Impulsem były prace nad nową ustawą o spółdzielczości. Poderwanie środowiska i fakty dokołane, wstrząsające biurokratycznym gorsetem spółdzielczości miały być formą nacisku na przebieg procedury legislacyjnej. Odradzająca się spółdzielczość była naturalnym sojusznikiem samorządów pracowniczych. Spółdzielcy powinni jednak założyć własną "izbę" regionalną, dysponującą wyspecjalizowanym gronem ekspertów. Idąc w tym kierunku próby porozumienia się organizatorów samorządu spółdzielczego w Gdańsku i Elblągu przerwane zostały 13 grudnia 1981 roku.

Lista problemów przed jakimi stanęli działacze makroregionu samorządowego i ich doradcy jesienią 1981 roku była o wiele dłuższa. Obok problemu samorządu nietypowego stawał problem samorządu w przedsiębiorstwach wielozakładowych. Pilnej reakcji wymagał wtedy obserwowany pęd do zrzeszeń, częściowo podsycany przez kadrę dawnych zjednoczeń, szukającą dla siebie miejsca w nowej rzeczywistości. Na przełomie listopada i grudnia większość pytań i zleceń ekspertyzy dotyczyła tych właśnie tematów.

W obliczu piętrzących się zadań trzeba było poszerzyć zespół ekspertów i potencjalnych szkółących. Dołączyli wtedy do grupy m.in. P. Adamowicz i P. Nowina-Konopka. Także kilku studentów Uniwersytetu Gdańskiego dorastało szybko do tej roli. Na szczęście otwarta była możliwość importu usług z innych ośrodków - współpracował z Radą m.in. znany cywilista ze Szczecina dr E. Kotłowski. Szansa stabilizacji zespołu i lepszej obsługi potrzeb ruchu samorządowego wiązała się z reorganizacją gdańskiego Ośrodka Prac Społeczno-Zawodowych "Solidarność". Wspomnieliśmy o szkoleniu rad pracowniczych - należy dodać, że sami potencjalni nauczyciele odczuwali potrzebę dokształcenia. Wyczerpywały się zasoby gotowej wiedzy, zebranej w drodze pospiesznego samokształcenia /polegającego m.in. na analizie doświadczeń jugosłowiańskich i studiowaniu literatury zachodniej na temat demokracji przemysłowej/. Coraz częściej pojawiały się tematy nowe, nierozpoznane, wymagające gruntownych badań. Narastała potrzeba zaplanowania dłuższego oddechu, ponownego "naładowania akumulatorów" - najchętniej w formie kilkudniowego seminarium z udziałem specjalistów z innych ośrodków. Zabrakło jednak czasu.

Nad wieloma poczynaniami Rady Koordynacyjnej ciążył brak osobowości prawnej. Nieformalny status utrudniał np. organizację szkoleń i prowadzenie akcji wydawniczej. We wszystkich ruchach związanych z przepływem pieniądza występowało uzależnienie od Związku. Istnienie Rady miało oparcie w ustawie o samorządzie załogi przedsiębiorstwa państwowego /art. 35/. Przyszedł więc czas na zalegalizowanie organizmu, który zdobył sobie już niebagatelną pozycję na mapie trzech województw. Wstępne starania o rejestrację Rady wywołały żywe zainteresowanie wojewody J. Kołodziejskiego. Dalsze czynności przerwane zostały 13 grudnia, ale ich przebieg rękował pomyślny wynik i był jednym z wielu na Wybrzeżu dowodów, że współpraca i porozumienie są możliwe.

Obok problemów stwarzanych przez działanie rad pracowniczych w nowych warunkach prawnych, jesień 1981 roku przebiegała pod znakiem inicjatywy powołania ogólnopolskiej reprezentacji samorządowej. Był to, jak pisaliśmy, temat podrzucony z zewnątrz. Jego wytrwałym nośnikiem była grupa lubelska, a później regiony: Śląsko-Dąbrowski, Łódzki i Mazowski. W pewnym momencie okazało się, że region nadmorski był osamotniony w swym sceptycyzmie wobec tej inicjatywy. 17 października, na spotkaniu w Warszawie, przyjęto "Uchwałę Przedstawicieli Regionalnych Rad Współpracy Samorządów Pracowniczych w sprawie powołania Komitetu Założycielskiego Krajowej Federacji Samorządów". Inicjatywa ta uzyskała poparcie władz "Solidarności", które jednak odmówiły uznania powstającej organizacji za wyłącznego reprezentanta ruchu samorządowego. Należało liczyć się z faktami i dalego - pomimo niewielkiego entuzjazmu dla sprawy - delegacja makroregionu nadmorskiego udała się do Katowic, gdzie 27 października 1981 roku ukonstytuował się Komitet Założycielski KFS, obierając H. Szyca ze Stoczni Gdańskiej jako swego przewodniczącego /5/. Zgodnie z oczekiwaniami sprawa akcesu do Federacji wzbudziła gorące spory na najbliższym plenum samorządowym we Wrzeszczu. Oponenti wywodzili się z przedsiębiorstw o

najdłuższej tradycji samorządowej, wiernych zdecentralizowanej formule ruchu /Rafineria Gdańska, Unimor/. Zgłaszano wątpliwość, czy powstająca Federacja będzie tylko płaszczyzną współpracy, czy też "czapa administracyjna" dla struktur zakładowych. Podział zdań i osamotnienie Gdańska /popieranego tylko przez Dolny Śląsk/ potwierdziły się na ogólnopolskiej naradzie działaczy "Solidarności" odpowiedzialnych za sprawę samorządów, którą zwołał J. Merkel do Gdańska w dniach 10 i 11 listopada. Zarzuty izolacjonizmu i egoizmu regionalnego brały się jak zwykle z niezrozumienia zasad gdańskiej współpracy i właściwego jej trybu podejmowania decyzji. Sporo wzajemnych uprzedzeń udało się wyjaśnić w czasie spotkania Komitetu Założycielskiego Federacji z samorządowcami gdańskimi w połowie listopada. Przewlekanie sprawy było dla obu stron niekorzystne - zajęła ona i tak zbyt wiele czasu na spotkaniach wtorkowych. Różnice zdań to ambicjonalne spory ekspertów, odległe od rzeczywistych problemów zakładów - Komunikat z 18 listopada 1981 roku głosił: "... Komitet Założycielski KPS zapoznał się z zastrzeżeniami Rady Koordynacyjnej Samorządów Pracowniczych Regionów Elbląskiego, Gdańskiego i Słupskiego i przyjął z zadowoleniem podtrzymanie jej uczestnictwa w pracach KZ KPS". Następne spotkanie Komitetu Założycielskiego zaplanowano w Łodzi, 14 grudnia 1981 roku.

Całe opisywana aktywność Rady Koordynacyjnej nie pozostawiała jej członkom wiele czasu na refleksje co do generalnego kierunku rozwoju wydarzeń politycznych i gospodarczych w Polsce. Ale wszystkimi była coraz bardziej podwójna świadomość:

- pogłębiania się kryzysu gospodarczego, czego widowym sygnałem było zalesnienie się dostaw rynkowych dla ludności;
- odsłaniającego się bezlitośnie politycznego pata.

Jesienią 1981 roku społeczeństwo dotknięte było już nie tylko ulowionym systemem reglamentacji żywności, ale także brakiem podstawowych lekarstw i środków higieny osobistej /co budziło rozmaite domysły/. Narastała frustracja i zniechęcenie. Rządowa "propaganda kryzysu" uprawiała od roku 1980 odnośną sukcesję. Udało się wytworzyć w części społeczeństwa, zwłaszcza o bezbronnych w tej sytuacji ludzi starszych, psychozę rynkową i poczucie zagrożenia w obszarze nadchodzącej zimy.

Działacze samorządowi dostrzegali konieczność odwrócenia kryzysowego trendu i szukali sposobów. Ale wszystkie czynione wtedy próby, zwłaszcza jeżeli spojrzeć na nie z perspektywy czasu, grzeszyły aktywnością i powalały inne słabości dawnych "inicjatyw społecznych". Przykładem może być "Akcja Zima", zgłoszona przez samorządy przedsiębiorstw gospodarki komunalnej w październiku 1981 roku, propagowana chętnie w lokalnych środkach masowego przekazu. Rada Koordynacyjna poparła apel do przedsiębiorstw trzech województw, by zaoferowały na sprzedaż wszelkie materiały, które mogą być spożytkowane do uszczelniania na zimę domów mieszkalnych, drzwi, okien itp. Rada apelowała także o zaangażowanie ludzi, którzy mogliby fachowo zająć się wykonaniem tych czynności, zabezpieczających mieszkania przed mrozem. Odzew był minimalny: czeskie zakłady oferujących pomoc i tylko trzy przedsiębiorstwa plus jedna spółdzielnia mieszkaniowa pomocy tej oczekujące! /5/. Inny przykład: w listopadzie ruch samorządowy nawiązał kontakt z rolnikami z WSI Rolników Indywidualnych "Solidarność", którzy od tej pory gościli kilkakrotnie na spotkaniach wtorkowych. Świątek rzucił wtedy hasło produkcji deficytowego sprzętu rolniczego w ramach nadwyżek, przestojów itp. Szum był duży, ale rezultaty mierne - produkcja uboczna okazała się droga i mało efektywna.

Choć węg. spotkania samorządowe, uruchomione dla zupełnie innych celów, nabierały z wolna cech regionalnej izby gospodarczej, wniosek był oczywisty. Konsultacje, apele i wymiana informacji nie mogły zastąpić zdrowych mechanizmów ekonomicznych. Nie tędy wiodła droga do ożywienia więzi towarzyskiej między miastem a wsią, czy szerzej, do uzdrowienia gospodarki. Szlaki gospodarcze na szczeblu przedsiębiorstw musiałyby się zespolić z gospodarczością w skali makro. Tymczasem przebieg zasadniczej batalii o racjonalny system ekonomiczny i wiarygodną politykę antykryzysową był niepomysłny, co odbierało wiele ludziom wiarę w sens podejmowanych wysiłków. Uczestnicy współpracy samorządowej znali już przebieg pertraktacji gospodarczych z pierwszej ręki, je-

ko, że główny - obok G.Palki - negocjator z ramienia Związku, J.Merkel, utrzymywał regularne kontakty z Radą Koordynacyjną i był częstym gościem na spotkaniach plenarnych we Wrzeszczu. Tematy gospodarcze nie miały szans powodzenia w warunkach otwartej konfrontacji politycznej. Dowodem tego była szybka i kompletna fiaska negocjacji w sprawie kontroli społecznej i utworzenia Obojętnej Rady Gospodarki Narodowej.

Dnia 30 listopada Rada Ministrów uchwaliła "Zasady działalności przedsiębiorstw państwowych w 1982 roku" - tzw. provisorium, które oznaczało zahamowanie reformy i nikłe szanse dla samorządności w nadchodzącym roku.

Dnia 8 grudnia, we wtorek, samorządowcy makroregionu zbrali się na kolejnym, 22 spotkaniu. Przyjęto stanowisko w sprawie provisorium, wręczając je bezcennie wtedy na sali posłowi na Sejm K.Cupiszowi. Zrealizowano inne, rutynowe punkty obrad. Było to, jak się okazało wkrótce, ostatnie plenium samorządów w sali Energoopolu w Gdańsku-Wrzeszczu.

Dnia 13 grudnia, w momencie wprowadzenia stanu wojennego:

- Rada Koordynacyjna zrzeszała 250 samorządów;
- delegacja makroregionu znajdowała się w drodze do Łodzi, na spotkanie Komitetu Wzajemności Krajowej Federacji Samorządów;
- eksperci Rady zajęci byli opracowywaniem zeszycu poświęconego nietypowym formom samorządu;
- przygotowywana była kolejna narada produkcyjna z rolnikami;
- oczekiwano przyjazdu doc. Sz.Jakubowicza z Warszawy /planowanego na poniedziałek/ celem omówienia udziału Rady w redakcji ogólnopolskiego periodyku samorządowego;
- w toku uzgodnień z Urzędem Wojewódzkim znajdował się tryb rejestracji Rady Koordynacyjnej.

\* \* \*

Wraz z wprowadzeniem stanu wojennego /13 grudnia 1981/ działalność samorządów pracowniczych została zawieszona, a wszystkie ich uprawnienia oddano w ręce dyrektorów przedsiębiorstw. Ustawowy immunitet ochronny wobec członków rad pracowniczych przestał działać. Wielu działaczy zostało zwolnionych z pracy, innych spotkały mniejsze nieprzyjemności /degradacje itp./. Dnia 12 stycznia 1982 roku ustami członków Sejmowej Komisji do Spraw Samorządu Pracowniczego rzucano kłótwę nielegalności na regionalne porozumienia samorządowe typu gdańskiej Rady Koordynacyjnej. Oceniając ich działalność, nie znaleziono żadnych pozytywów. Długa lista zarzutów eksponowała ten, iż Rady "...nie działały zupełnie na rzecz poprawy realizacji zadań gospodarczych czy warunków socjalnych, a na rzecz realizacji uchwał I Zjazdu NSZZ "Solidarność". W referacie KC na VIII Plenum KC PEPR w kwietniu 1982 roku uznano, iż "...zebrane doświadczenia nakazują rozpocząć proces tworzenia samorządów pracowniczych niejako od nowa". Sprzyjała temu oficjalnie lansowana teza, iż samorządy, które nie dostosowały zasad swej działalności do wymogów ustawy w terminie do 31 grudnia 1981 roku /wprowadzenie stanu wojennego pokrzyżowało plany wielu rad pracowniczych w tym zakresie/ ulegają automatycznie rozwiązaniu. Podstawowym wymogiem odblokowania samorządów w okresie stanu wojennego /13 grudnia 1981 - 31 grudnia 1982/ i w okresie jego zawieszenia /do 21 lipca 1983/ było spełnienie w danym zakładzie pracy odpowiednich warunków politycznych. Kompetencje odwołanych rad pracowniczych były okrojone w stosunku do przepisów ustawowych. Najważniejszym z tych ograniczeń był całkowity brak wpływu na wybór dyrektora - tymczasem nominowano w tym okresie ponad 1800 dyrektorów, pomijając i świet obowiązującą prawnie procedurę konkursu.

Zakończenie okresu zawieszenia stanu wojennego nie oznaczało powrotu do ust. przedsiębiorstwie i samorządzie, wywalczonych z takim trudem w roku 1981. Ustawa z 21 lipca 1983 roku o szczególnej regulacji prawnej w okresie przetrwania kryzysu społeczno-ekonomicznego, oprócz innych ograniczeń, przyniosła w tym zakresie istotną nowelizację - pracodawcą dyrektora stał się

organ założycielski. Równa się to trwałemu podporządkowaniu dyrektora organem szefującym wobec przedsiębiorstwa. Na liście obejmującej blisko dwa tysiące przedsiębiorstw "o podstawowym znaczeniu dla gospodarki narodowej", pozostających w kręgu nomenklatury, znalazły się między innymi zakłady poligraficzne, ortopedyczne i akcesoriów meblowych. Takie lista przedsiębiorstw użyteczności publicznej niepokojąco rośnie, a przecież nie jest to ostatnia kategoria zakładów, w których samorząd staje się instytucją fasadową.

Ogólnie zatem dzisiejsze rany prawne funkcjonowania rad pracowniczych są znacznie gorsze niż w roku 1981. Bardzo charakterystyczną cechą obecnego okresu jest swoisty "szum informacyjny" wokół samorządu - zmienna i niejednolita interpretacja przepisów, sprzeczne poglądy, a w efekcie zróżnicowana praktyka. Zasadniczo mniej przychylnie jest dziś dzisiejsze otoczenie instytucjonalne. W latach 1980/81 każdy krok na drodze ku demokratyzacji systemu ubrały rady pracownicze. Każdy krok wstecz na tej drodze po 13 grudnia 1981 roku dzisiaj na niekorzyść samorządności pracowniczej. Potrzebuje ona samodzielnych przedsiębiorstw, autentycznych związków zawodowych, jasnych reguł gry, możliwości współpracy w różnych formach, wsparcia niezależnych ekspertów... można dalej mnożyć warunki, których spełnienie w obecnej chwili nie wydaje się możliwe.

Alle podstawowe czynniki różniące obecną sytuację samorządów w stosunku do roku 1981 leżą nie tylko w sferze instytucjonalnej - dotyczą też postaw ludzkich.

Stan wojenny odebrał samorządom ich naturalne zaplecze społeczne - aktywność ludzi i ich uwrażliwienie na sprawy publiczne. Radom pracuje się ciężiej w sytuacji próżni społecznej, w obliczu apatii, cechującej się niewiarą w możliwość pozytywnej zmiany i wycofaniem się ludzi w sferę życia prywatnego. Latwiej wtedy o wyobcowanie, czy nawet korupcję udziałaczy.

W tych warunkach wielu uczestników ruchu samorządowego z lat 1980/81 zrezygnowało z dalszej działalności. Sama zaś instytucja spychana jest - wobec braku silnych związków zawodowych - na płaszczyznę rozstrzeniowo-rewindykacyjną.

Obecna sytuacja osłabia więc szansę samorządową, ale nie musi tej szansy przekreślać. Ożywiają ją do dziś autentyczne nadziejki ludzkie, dlatego warto nad nią dyskutować. W swym stanowisku w sprawie gospodarki narodowej i samorządu pracowniczego z 7 marca 1984 roku Lech Małesa powiedział:

*Nie należy się tłumaczyć, że obecny samorząd może odegrać rolę zbliżoną do tej, której oczekiwaliśmy po nim w roku 1981, czyli być rzeczywistym gospodarzem zakładu pracy i siłą napędową reformy. Ale nie można oddać tego pola. Przecież samorząd pracowniczy to nie rzecz daremna, to instytucja wywołana zaangażowaniem tysięcy ludzi. Wyróżnia się wśród innych form społecznych autentycznym, przedgrudniowym rodzajem i niektóre elementy tego autentyzmu zachował do dziś. Spotykamy omyłkowo samorządy ubóstwione i nie lubi się w nich, ale to nie należy do świata fikcji. Obok wielu trwają jednak niezaprzeczalne zespoły kadrowe, odciskające się autorytetem wśród szefów i broniące swej niezależności. Takie samorządy należy popierać. Jak chociażby robotnicy mają uszyć się gospodarności i przedsiębiorczości, czyli cech urealnionych perspektyw pełnej samorządności i potrzebnych wtedy, gdy pojawią się lepsze formy gospodarowania w Polsce.*

Nawet w obecnej sytuacji, w której łatwo o zarzut kolaboracji i która nie sprzyja zaangażowaniu, można wskazać pozytywne wartości działalności samorządowej. Gra o samorząd toczy się w Polsce nadal i ma poważny wpływ na losy reformy gospodarczej. Ale niepowtarzalny epizod samorządności pracowniczej, przypadający na lata 1980/81, należy już do przeszłości i zasługuje na podsumowanie. Było to niewątpliwie osiągnięcie społeczne i gospodarcze, ruch biorący się z autentycznej troski o losy swego warsztatu pracy i kraju. Obserwując jego narodziny, jeden z publicystów pisał: "...Nikną obawy, że społeczeństwo zyskało dzięki Sierpniowi prawo decydowania o swych losach, zastępnie w bardziej nadziejnej obronie stopy życiowej środkami związku zawodowego". Rozstrzygnęło się w ten sposób pytanie, czy Polska większej wolności okaże się także Polska większej sprawności gospodarczej. Epizod z lat 1980/81 wniósł nowe jakości do tradycji samorządowej w kraju. Taką nową jakością było na przykład używanie nazwy "rada pracownicza" zamiast "rada robotnicza" - wyrażające zasadę nie

anta nizmowania grup społecznych, lecz ich integracji. Uczestnicy ruchu samorządowego po Sierpniu 1980 było jednak wyjście poza mury przedsiębiorstw i zaangażowanie w współpracę w skali regionalnej, a nawet ogólnopolskiej. Cele współpracy zmieniały się, ale wiodącym motywem była chęć niedopuszczenia do tego, by reformy formowania samorządu, a potem jego funkcjonowania, rozgrywały osamotnieni i zespoły pracownicze w poszczególnych, odosobnionych od siebie przedsiębiorstwach. Eksperyment gdański przerwany został w momencie, gdy regionalne samorządy stały przed szansą usankcjonowania prawnego.

## WZPISY

11/ Termin finansowany niezastudzenie przez środki masowego przekazu w odniesieniu do uchwały nr 116 Rady Ministrów z 17. 11. 1980 w sprawie zmian w systemie kierowania przedsiębiorstwami państwowymi z roku 1981.

12/ Komisja reformy gospodarczej liczyła 500 członków reprezentujących w większości krajowy establishment. Brakowało przedstawicieli "Solidarności", jakkolwiek mieli oni zagrożone udziały w roli obserwatorów. Dnia 10 stycznia 1981 roku "Trybuna Ludu" opublikowała dorobek Komisji: "Podstawowe założenia reformy gospodarczej."

13/ Fragment artykułu pomyślanego jako wizytówka nadmorskiego ruchu samorządowego, drukowanego m. in. w rubryce "Samorządność" nr 157 "Dziennika Bałtyckiego" z roku 1981.

14/ Teg samego dnia, tj. 22 września Rada Koordynacyjna Samorządów Pracowniczych Regionów Elbląskiego, Gdańskiego i Słupskiego zorganizowała spotkanie z posłami. Przybyli posłowie (R. Bukowski, A. Pławska, Z. Jędrzejewski) zostali zobligowani do zorganizowania inicjatywy poselskiej na rzecz projektu Sieci i rozpowszechnienia w Sejmie odezwy skierowanej do wszystkich posłów. Ten fakt potwierdza nieoczekiwany charakter kompromisu osiągniętego przez Prezydium KKP.

15/ Funkcję szefa Rady Koordynacyjnej Samorządów Pracowniczych Regionów Elbląskiego, Gdańskiego i Słupskiego przejął 1 grudnia A. Sobociński z rafinerii.

16/ Niewielki efekt przyniosły też zalecenia Komisji Krajowej "Solidarności" z 31. 4. 1981 r. pada 1981 roku ("Związek wobec zimy").



rozmowa George Urbana  
z Aleksandrem Zinowiewem

# Portret dysydenta sowieckiego

## 1. PRAWDA I "WIDZENIE OD WENWĄTRZ"

George Urban: *W swoich książkach i wykładach poddaje pan w wątpliwość właściwie wszystkie interpretacje systemu sowieckiego dokonane na Zachodzie. Przedstawia pan argumenty wykazujące słabości i błędy tych interpretacji. Kwestionuje pan nie tylko osiągnięte wyniki, lecz również zasadność podejmowania takich prób przez zachodnioeuropejskich naukowców. Systematycznie twierdzi pan, że system sowiecki pozostanie dla nich zamkniętą księgą i tego faktu nie smienią ani głęboka znajomość rosyjskiej historii i ideologii, ani rozwinięta wyobraźnia historyczna. Aby zrozumieć system - trzeba być jego częścią. Tylko patrząc od wewnątrz można go zrozumieć i poddać analizie.*

Aleksander Zinowiew: Kryteria właściwe dla zrozumienia społeczeństwa na Zachodzie zawieszają, gdy próbuje się użyć ich w odniesieniu do innych typów społeczeństwa. Naukowiec posługujący się koncepcją zachodnią będzie miał trudności przy analizie społeczności hinduskiej XII wieku, czy społeczeństwa chińskiego V w. p.n.e. Jestem przekonany, że społeczeństwo radzieckie różni się zasadniczo od zachodnioeuropejskiego. Próba analizy wymaga całkowicie nowej teorii i metodologii postępowania, nowej terminologii, nowych modeli myślowych.

Dla wyjaśnienia podam kilka przykładów. Zastanówmy się nad słowem "partia". KPZR jest partią podobnie jak Socjaldemokratyczna Partia Niemiec, czy Konserwatywna Partia Wielkiej Brytanii. Zachodzą tu jednak podstawowe różnice; KPZR nie jest partią w rozumieniu tego słowa przez Zachód. KPZR nie jest jakimkolwiek zjawiskiem politycznym. Jest motorem i kierownikiem systemu władzy. Również systemu sowieckiego nie możemy nazwać zjawiskiem politycznym.

G.U.: *Nie jest zjawiskiem politycznym?*

A.Z.: Nie. Społeczeństwo komunistyczne nie jest zjawiskiem politycznym, gdyż słowo "polityka" w takim znaczeniu, jakie ma poza ZSRR, tam nie istnieje. Polityka może być rozumiana jako scena niezależnych od siebie aktorów, rywalizujących między sobą w celu zdobycia częściowej lub całkowitej władzy

w państwie. Partie komunistyczne Zachodu są partiami politycznymi, przynajmniej wtedy, gdy znajdują się w opozycji. Stosunki ZSRR z zagranicą są stosunkami politycznymi, lecz w chwili, w której Partia Komunistyczna przejmie władzę, jej charakter polityczny zanika, a ona sama przyjmuje charakter społeczny. Zmienia strukturę całego społeczeństwa, w zarodku niszcząc jakąkolwiek walkę o władzę, czy też niezależne siły, które powstają (lub zdołałyby rzetrwać), by prowadzić taką walkę.

Est dla mnie rzeczą oczywistą, że bez znalezienia się wewnątrz społeczeństwa, które poddaje się naukowym badaniom, nie można przeprowadzić jego analizy. Trzeba doświadczyć warunków życia i przyjąć punkty odniesienia tego społeczeństwa. Co więcej - należy zagłębić się w życie najmniejszej jednostki społecznej i wyciągnąć wnioski w oparciu o zjawiska w niej występujące. Samowystarczalny dwór feudalny, czy kapitalistyczna jednostka produkcyjna, to jądro umożliwiający poznanie społeczeństwa feudalnego, lub kapitalistycznego. Analogicznie w przypadku systemu radzieckiego. Trzeba zrozumieć jego podstawową jednostkę - kolektyw grupy pracowników uniwersyteckich, kołchoźników, kolektyw szkoły itp. - zanim zacznie się wypowiadać sądy na temat systemu. A to, jak mówię, wymaga wiedzy dogłębnej, czerpanej z wnętrza nowego społeczeństwa, a także nowych kryteriów.

G.U.: Nie jestem zbyt przekonany pańskim twierdzeniem o "wiedzy od wewnątrz" koniecznej dla zrozumienia sowieckiej rzeczywistości. Twierdzenia tego typu stawiano w wielu wypadkach bez udzielenia dalszych wyjaśnień. Socjologowie nazistowscy twierdzili, że specyficzna zdolność duchowa, która pozwala Niemcom dojrzeć do narodowosocjalistycznej odnowy, jest nieosiągalna dla nie-Niemców. Podobnie twierdzili faszysty włoscy oraz wielu innych proroków i obrońców rzekomej wyjątkowości tego lub innego porządku społecznego, czy też "charakteru narodowego".

Nacisk na "wiedzę od wewnątrz" kładł się również z twierdzeniem, że szukać pan ściśle naukowego rozumienia i interpretacji społeczeństwa sowieckiego. Chemik czy fizyk, który twierdzi, że jego teoria potrafią zrozumieć i sprawdzić tylko ciemnowidzi mękożyjni, o 178 cm wzrostu, urodzeni we wsł Cuckfield w roku 1947, zostaliby wyśmiani przez swoich kolegów.

A.Z.: Pańskie analogie nie są zbyt szczęśliwie dobrane. Komunizm to nowy typ społeczeństwa, gdyż zmienia on całkowicie charakter stosunków społecznych. Faszyzm tego nie czynił - był to reżim polityczny, a nie nowy typ społeczeństwa. Dlatego można twierdzić, że powiedzmy angielski naukowiec może zrozumieć właściwie faszyzm włoski, patrząc nań z zewnątrz, z oddali, natomiast nie jest w stanie - dopóki jest obcym - zrozumieć społeczeństwa komunistycznego.

G.U.: Powiedział pan jednak, że społeczeństwo "polityczne" wymaga kilku niezależnych aktorów rywalizujących między sobą, by zdobyć władzę polityczną. Przeciwnie w społeczeństwie narodowo-socjalistycznym Hitlera, czy w włoskich Mussoliniego nie istniały siły niezależne. Nazisci, czy w mniejszym stopniu partie faszystowskie były motorem i kierownikiem wszystkich wydarzeń w kraju - dokładnie to samo ma miejsce w ZSRR. Nie tolerowano żadnej opozycji.

Dlatego więc twierdzi pan, że faszyzm i nazizm były "reżimami politycznymi", a nie społeczeństwami pod wieloma względami przypominającymi komunizm sowiecki? Prezentuje pan ortodoksyjne sowieckie stanowisko w tej sprawie. Kapitalizm, nazizm, faszyzm należą do tego samego gatunku, podobnie jak komunizm - nie. Poglądy Zachodu są przeciętne - to znaczy wiele osób uważa, że społeczeństwa komunistyczne, nazistowskie i faszystowskie mają o wiele więcej wspólnych cech (np.: totalitaryzm, jednopartyjność systemu) niż ich własne społeczeństwa, np.: brytyjska demokracja parlamentarna i amerykańska Francuska.

A.Z.: Faszyzm był zjawiskiem "politycznym", chociaż było to zjawisko jednopartyjne, ponieważ nie wiązało się ono z całkowitą strukturalną zmianą społeczeństwa. Nie prowadziło do fundamentalnej reorganizacji stosunków

społecznych, poza totalitarnymi, antyarystokratycznymi tendencjami, które były niewątpliwie obecne w Niemczech i we Włoszech.

G.U.: ...stary slogan rosyjski (jeśli mogą na chwile przerwać)...

A.Z.: Każde społeczeństwo, czy to starożytne, czy współczesne, może być zrozumiane tylko przy użyciu swych własnych punktów odniesienia, specyficznych kryteriów. Środkami analizy, dobre dla zrozumienia starożytnego Egiptu, nie pozwolą pojąć feudalnego społeczeństwa Francji XIII w. I to tylko twierdzą.

Społeczeństwo radzieckie wymaga również właściwego sposobu podejścia i specyficznego języka, ponieważ uległo ono w całości jakościowej zmianie. Opieram swe twierdzenie na pewnych ideach post-kantowskich i post-heglowskich, które akcentują, jak ważną rzeczą jest zidentyfikować się najpierw z obiektem obserwacji, zanim zacznie się porównywanie go z innymi zjawiskami.

G.U.: Niewątpliwie myślał pan o Dilthey'u i jego definicji "Verstehen"...

A.Z.: Tak, między innymi. Najpierw musimy zrozumieć podstawową komórkę społeczeństwa radzieckiego - kolektyw. Potem trzeba określić prawa, które rządzą wzajemnymi stosunkami między tą, a innymi komórkami. Oczywiście zaczynamy od tych praw, które najłatwiej rozpoznać i stopniowo przechodzimy do bardziej złożonych. Podstawowa zasada, której trzeba przestrzegać, mówi, że nie wolno nam zboczyć na teren przedczesnych czy niedojrzałych porównań. Trzeba jako punkt wyjścia rozważać przyjął podstawową charakterystykę systemu radzieckiego, jako niezależnego, immanentnego zjawiska. Wtedy dopiero możemy przystąpić do porównań historycznych z Włochami faszystowskimi, bądź z jakimkolwiek innym zjawiskiem.

G.U.: Rozumiem. Dlaczego jednak upiera się pan przy twierdzeniu, że naukowiec z Francji, czy USA nie jest w stanie zebrać tyle siły intelektualnej czy wyobraźni, aby określił system sowiecki? Jedną z najlepszych historii literatury anglistyki napisał dwaj Francuzi (Leqouis i Czazmian). Czy jest rozsądnie twierdzić, że tacy naukowcy, jak George Kennan, Merle Fainslad, Leonard Shapiro, czy Roland Engleb, okazali się niezdolni do osiągnięcia tego poziomu wyobraźni i intelektu?

A.Z.: System radziecki posiada własną specyfikę. Jest wyjątkowo trudno zrozumieć go, także tym ludziom, którzy się w nim urodzili i wychowali. Proszę nie zapominać, że różnica pomiędzy istnieniem danego fizycznego, czy socjologicznego zjawiska, a jego naukowym określeniem może być bardzo duża. Ludzie żyli miliony lat nie rozumiejąc zasady grawitacji. Mechanika Newtona należy do odkryć niedawnych. Jeszcze nowsza jest teoria względności Einsteina. Społeczeństwo kapitalistyczne istniało od wielu stuleci, gdy w XIX wieku nauki społeczne zaczęły określać jego strukturę i zasady. Społeczeństwo komunistyczne jest jeszcze bardzo młode. Jego historia zawiera się w sześćdziesięciu sześciu latach. Dlatego też próby zrozumienia go podejmowane z zewnątrz są bardzo trudnym zadaniem. Ponadto zachodni naukowcy posługują się własną hierarchią wartości i kryteriami ich własnego świata. Te czynniki powodują zniekształcenia i nieścisłości.

Dla kontrastu ważny pod uwagę moją własną zdolność rozumienia rzeczywistości radzieckiej. Urodziłem się kilka lat po wybuchu Rewolucji Październikowej. Uczyłem się w radzieckich szkołach i uniwersytetach, służyłem podczas wojny w lotnictwie Armii Czerwonej. Przez trzydzieści lat zajmowałem się badaniem społeczeństwa radzieckiego, opracowując swą własną metodę i logikę, by te badania miały sens. Zapewne jestem jedynym człowiekiem na świecie, który - by zrozumieć społeczeństwo radzieckie - rozwinął swoją własną teorię socjologiczną. Opiera się ona na doświadczeniu, które zdobyłem żyjąc w tym społeczeństwie, spotykając ludzi ze wszystkich szczebli drabiny społecznej; (przez kilka lat pracowałem w fabryce) i obserwując

ich przenieszczenie, tak w aspekcie geograficznym, jak i w hierarchii społecznej

G.U.: Jak pan streściłby tę teorię?

A.Z.: Nie twierdzę, że stworzyłem pełną i sprawdzalną teorię. Ja po prostu położyłem fundamenty czegoś, co w ciągu dwustu, czy trzystu lat może stać się teorią zawierająca elementy opisowe i prognostyczne. Szkic mojej teorii zawarłem w książce "Rzeczywistość komunistyczna".

G.U.: Wątpię, czy jeszcze mi pan podaś zarys ogólnej hipotezy. W tej chwili jest jednak chociażby podkreślić moje wątpliwości dotyczące pańskiego stwierdzenia, że tylko członek społeczeństwa sowieckiego może podjąć się jego analizy. Przypomniał mi się absurdalny argument z kryminalistyki mówiący, że sędzia, który sam nie zabija, nie ma prawa wydać wyroku na mordercę, gdyż nie jest w stanie zrozumieć podstaw psychologicznych skłaniających praworządnego obywatela do popełnienia zbrodni. Może pan powiedzieć, że to się porównanie - ale ono wyjaśnia mój punkt widzenia.

A.Z.: Społeczeństwo komunistyczne jest faktem empirycznym. Naukowe badanie wymaga traktowania faktów empirycznych jako właśnie takich. Społeczeństwo radzieckie może być rozumiane tylko od wewnątrz.

G.U.: Twierdzi pan, że zachodnioeuropejscy naukowcy nie są w stanie adekwatnie zająć się sowieckim społeczeństwem z powodu różnic punktu widzenia.

A.Z.: Być może są w stanie, lecz na razie tego nie udowodnili. Weźmy za zgodną interpretację radzieckiego społeczeństwa opartą bezpośrednio na twierdzeniu Sołżenicyna, że Rosjanie nie identyfikują się z partią i rządem i chcą obalić system. To jest po prostu niezgodne z prawdą.

G.U.: Czy według pana Sołżenicyn jest w błędzie wygłaszając twierdzenia, które już przed nim wygłaszało wielu zachodnich obserwatorów?

A.Z.: Oczywiście. Sołżenicyn myli się całkowicie.

G.U.: Jaki wobec tego jest naprawdę stosunek ludzi do systemu komunistycznego? Czy popierają oni ten system jako wynik własnego wyboru?

A.Z.: Nie jest w mojej gestii wydawać sądy polityczne tego rodzaju. Oczywiście, system jest akceptowany. Moim zadaniem jest opisać i zrozumieć system. Chcąc poznać, jaki jest w rzeczywistości stosunek ludzi radzieckich do partii i rządu, trzeba najpierw zbadać strukturę społeczeństwa radzieckiego - i to właśnie robiłem.

Opisuje i analizuje fakty empiryczne takimi, jakimi one są. Weźmy na początek podstawową grupę społeczną. Założmy, że jest nią instytut naukowy. Ta podstawowa grupa jest zjawiskiem bardzo złożonym. Jest tam dyrektor, wicedyrektor, grupa starszych doradców. Powiedzmy, że instytut składa się z pięciu departamentów, z których każdy dzieli się na kilka podgrup - wszystkie mają własnych szefów, personel, sekretarza partii i innych urzędników. Co więcej - okazuje się, że efektywność każdej grupy ogranicza jej wielkość. Jeśli cały personel liczy sto osób, trzeba dziesięciu grup do podziału pracy, kontroli i zarządzania. Jeśli jakiegokolwiek grupy wypracują w realizacji celów społecznych czy produkcyjnych, to okazuje się, że kontrolę przejmują koterie i w końcu pojawia się hierarchia elity z charakterystycznymi cechami i prawami ustalającymi wewnętrzne relacje. Prawa te są trudne do uchwycenia, lecz one istnieją.

G.U.: Implikuje pan, że struktura społeczeństwa sowieckiego w rzeczywistości odpowiada społeczeństwu i mentalności ludzi stamtąd.

A.Z.: Nie. To nie jest sprawa życzeń ludzi, lecz praw społecznych. Struktury i wzajemne stosunki, które badam, nie zależą od charakterystycznych

cech ich podmiotu. Stosunki te mają siłę praw naturalnych. Odnoszą się one wszędzie do wszystkich ludzi i do każdego człowieka.

G.U.: Ma pan na myśli komunistyczne społeczeństwo typu sowieckiego?

A.Z.: Tak, występują wszędzie tam, gdzie własność prywatna została zniszczona i gdzie upaństwowiono przemysł ciężki i rolnictwo. Tam, gdzie te warunki faktycznie mają miejsce, struktury społeczne identyczne do tych, które istnieją w ZSRR na pewno stają się faktem.

G.U.: Prawo uniwersalne?

A.Z.: Tak - gdziekolwiek komunizm jest faktem - wszystkie prawa społeczeństwa komunistycznego są prawami uniwersalnymi.

G.U.: Czy jest pan zwolennikiem tego typu socjalistycznego stwierdzenia?

A.Z.: Jestem i byłem antystalinista i pan o tym wie. To stwierdzenie nie jest wypowiedzią stalinisty czy antystalinisty, lecz naukową opierającą się na dowodach empirycznych.

G.U.: Mój stosunek do takiego twierdzenia - bez względu na jego naukową prawdziwość - jest dwuznaczny, gdyż tyrania Stalina w Europie Wschodniej, a także sądami objęta przez niego przywództwa w światowym ruchu komunistycznym, oparte były na założeniu mówiącym, że sowiecki model komunizmu jest uniwersalnym modelem dla społeczeństw socjalistycznych czy komunistycznych. Z tego powodu mamy prawo podchodzić do pańskiego "prawa" z rezerwą.

A.Z.: Prawa komunizmu wyrażane w społeczeństwie radzieckim są prawami uniwersalnymi, lecz ich zastosowanie i rezultaty mogą być różne. Porównując komunizm na Ukrainie, w Gruzji czy Rosji zauważa się duże różnice. W rzeczywistości gruzińska odmiana komunizmu różni się bardziej od odmiany moskiewskiej, niż polski typ komunizmu. Te różnice mogą być wytłumaczone odmiennymi klimatu, historii narodowej i innych cech szczególnych. Odrzucając różnice i biorąc pod uwagę społeczeństwa komunistyczne w czystej postaci zauważamy, że prawa komunizmu są aktualne wszędzie. I tego nie należy fakt, że przeciętny człowiek żyje lepiej w Gruzji, niż w Rosji, czy też, że Węgry ma lepsze warunki mieszkaniowe, wyższe i kulturalne niż Czech. Porównując organizację fabryki w Gruzji, Czechosłowacji, Rosji i na Węgrzech zauważamy, że jest ona identyczna i stosunki społeczne tam tworzone - również jednokowe.

G.U.: Wydaje się, że kładzie pan nacisk na wartość abstrakcji mówiąc, że w warunkach idealnych komunizm przybiera jednakową formę, bez względu na miejsce występowania. Dla większości z nas ma to jednak niewątpliwie znaczenie, gdyż jesteśmy przekonani, że dopóki społeczeństwo składa się z ludzi (a nie robotów czy ludzkich automatów), dopódy warunki idealne nie zostaną spełnione. Człowiek zawsze będzie ingerował - przują i odmieścając każdą "czystą" formę komunizmu. Nawet Rewolucja Kulturalna Mao - obrydająca "czysta" forma kierownictwa społeczeństwem - nie uniknęła tego losu.

Osobiście zwróciłbym szczególną uwagę na to, co pan mówi o Węgrzech, gdzie żywność jest dużo, warunki mieszkaniowe - jak na komunistyczny standard - są nienie, kultura jest mniej skrepuowana niż w innych krajach socjalistycznych, a nawet - do pewnego stopnia - możliwe są podróże zagranicę. Lecz zdobywszy te nie są upiściono nalożenia się narodowego charakteru na komunistyczne struktury społeczne (choćby spry i wyrefinowanie Węgrów odgrywały tu dużą rolę). Wytłakają one z determinacji Węgrów, którzy poprawiają i rewidują "prawa" i założenia sowieckie i w rzeczywistości - choć tego nie przyznają - odchodzą od nich. Jeśli o mnie chodzi, a chyba i pan tak myśli, prawdziwą moją pochwałą dla węgierskiego eksperymentu jest nie realizacja abstrakcyjnej formuły niezbędnej komunizmu, lecz dobrobyt i szczegó-

*dość maksymalnej liczby mężczyzn i kobiet. Węgierski eksperyment jest według mnie dowodem na to, że jedynym sposobem prowadzącym do sukcesu komunistycznej doktryny jest jej odrzucenie.*

A.Z.: Oczywiście, gdy zająć się całością ludzkiego społeczeństwa trzeba zawsze wziąć pod uwagę niemal niezliczoną ilość komplikacji. Lecz mnie nie interesuje dziedzictwo historii, kultura czy religia. Jako logik i socjolog opisuje w formie abstrakcyjnej pewne zjawiska, które istnieją w społeczeństwie komunistycznym. Opisuję komunizm w formie idealnej. Nie przeczę, że jego realizacja może przybrać różne formy w różnych krajach, lecz moim zadaniem jest skonstruowanie modelu - a w tym celu muszę postępować krok za krokiem. Rzeczywistość komunistyczna jest próbą opisu mojej metody.

Zdaje sobie sprawę, że jakkolwiek analiza systemu radzieckiego musi się zacząć od generalizacji. Przedstawiam kilka praw ogólnych w języku i porządku logicznym, charakterystycznym dla mojej metody. Uczyniwszy to, udoskonalam je poprzez posłużenie się faktami empirycznymi, a kończę swą pracę otrzymując mniej lub bardziej dokładny obraz działania radzieckiego społeczeństwa. To bardzo powolna procedura.

Badacze Związku Radzieckiego pochodzący z Zachodu, zwłaszcza ci, którzy są doń wrogo nastawieni, działają w pośpiechu. Z łatwością wydają sądy i pośpiesznie formułują opinie. Przyznają, że system radziecki ma totalitarny charakter Niemiec nazistowskich, że nie jest on trwały, że padnie ofiarą wewnętrznych sprzeczności itp. Opinie te będące wynikiem niepewnej wiedzy, nieporozumienia czy wręcz zgadywanki, nie są zgodne z rzeczywistością, którą widzi kompetentny naukowiec, służą zaś potrzebom dziennikarstwa i propagandy politycznej. Ja posługuję się metodą naukową, która dały do wykrycia faktów, nie do wydawania sądów wartościujących.

## 2. MODEL WZORCOWEJ METODOLOGII

C.U.: *Te rozważania przywołują wąski problem, którego nie jesteśmy w stanie rozpatrzyć podczas naszej rozmowy, tzn. czy nauki społeczne są nauką i czy naukowiec zajmujący się osobą ludzką może czy też powinien powstrzymać się od sądów wartościujących. Nie ukracając w ten sposób problemom chciałbym jednak zauważyć, że zapewne wielu pańskich czytelników będzie uważało pańską neutralną postawę naukowca wobec systemu sowieckiego za jego podświadome usprawiedliwienie - wychodząc z założenia, że jakkolwiek pozbawione sądów wartościujących badanie systemu, który spowodował śmierć milionów ludzi oraz okupację i uciek połowy kontynentu europejskiego jest typowym przypadkiem la trahison de clerics, a więc, że w rzeczywistości sądził pan ocenę. Można przecież postawić wniosek, by zanalizować system faszystowskich obosów koncentracyjnych, ich strukturę społeczną, hierarchiczną organizację, powiązania z innymi organami narodowego socjalizmu itp., nie odwołując się do nieprzyjemnego faktu, że zadaniem obosów była eksterminacja ludzi poprzez zagazowanie, spalanie, zagłodzenie, rozstrzelanie, powieszanie i inne metody.*

Szanuję pańskie wymagania od nauki integralności i neutralności. Niemniej jednak pańskie bierno podejście do tematu tak przesłanym cierpieniem wzbudza we mnie niepokój. Czy ktoś w 1984 roku może powiedzieć słowo sowiecki nie dppowiadając jednocześnie słowa Gulag?

A.Z.: Nie jest pan pierwszym, który oskarża w ten sposób, lecz pana krytyczym zdradca pewnie filisterstwo i jest zarazem nieusprawiedliwiony. Oskarżenia pod moim adresem są zazwyczaj utrzymane w tej formie. W mojej pracy naukowej opisuje społeczeństwo radzieckie jako zjawisko normalne. Moi krytycy, tak jak i pan, twierdzą, że to zakłada aprobate systemu radzieckiego. To twierdzenie pozbawione jest sensu. Idea normy nie niesie ze sobą sądu wartościującego. Jest ona absolutnie neutralna jednostką wiary...

G.U.: ...jest w sensie ogólnym. Lecz jest także "zasadą właściwego zachowania" w stylu: "jednostką sądu wartościującego" w aksjologii.

A.Z.: Ponieważ jednak ja w moich badaniach odrzuciłem etykę i aksjologię, nie ma sensu tracić czasu na rozważanie późniejszych znaczeń. W nauce norma jest terminem neutralnym. Mówiąc, że społeczeństwo radzieckie jest zjawiskiem normalnym, twierdząc tylko, że jest tak w obrębie społeczeństwa komunistycznego. Po 66 latach istnieje pełna harmonia między nim, a czystym modelem społeczeństwa komunistycznego. Czyż moi krytycy byłiby zdumieni słysząc, że "jadowity wąż ze swymi kłami jadowymi jest normalnym zjawiskiem w dzungli Azji Płd-Wsch"? Na pewno nie. Jadowity wąż byłby zjawiskiem anormalnym na ulicach Londynu, lecz nie w Indiach. Moje twierdzenia dotyczące społeczeństwa radzieckiego są analogiczne. Mówię o tym szczegółowo w *Encyklopedii komunistycznej*, toteż teraz już nie będę tego wyjaśniał.

G.U.: Czy wobec tego normalne społeczeństwo komunistyczne zakłada konieczność popełnienia gwałtów masowych przez państwo, jako warunek swego istnienia?

A.Z.: Nie interesują mnie chaotyczne narodziny radzieckiego społeczeństwa czy specyficzne rosyjskie warunki (między dwiema wojnami), które wpłynęły na jego wyłonienie się. Opisuję strukturę społeczeństwa radzieckiego taka, jaka ona jest, pomijając elementy uboczne.

G.U.: Nawet jeśli gwałt masowy jest elementem ubocznym, znaczy on więcej dla zwykłych obywateli sowieckich niż jakakolwiek inna osoba tego systemu. Bez względu na okoliczności generują one poważne uwagi na temat wskazanego braku kompetencji u zachodnich badaczy Związku sowieckiego. Ważny na przykład jedną z najbardziej znaczących i aktualnych monografii dotyczących życia codziennego sowieckiego społeczeństwa Smoleńsk pod rządami sowieckimi. Maria Fainsood. Namp tu do czytelnika z drobiazgową analizą systemu sowieckiego przeprowadza przez amerykańskiego autora, który doskonale orientuje się w kulturze Związku sowieckiego i operuje dobrze językiem rosyjskim, a ponadto wspiera się dużą ilością sowieckich dokumentów. Czy chciałby pan powiedzieć, że winna społeczeństwo sowieckiego przedstawiona przez Fainsooda jest niepełna lub mylna?

A.Z.: Faktografia nie wystarcza. Co innego dobra znajomość faktów, a co innego umiejętności dostrzegania praw społecznych. Faktów istnieje wiele. Celem nauki nie jest zbieranie faktów, lecz poddanie ich interpretacji. W czasach Newtona każdy wiedział, że jabłko spada z drzew oraz, że jakieś siła utrzymuje planety w ruchu wokół Słońca i Księżyc w ruchu wokół Ziemi. Ale siła ta była niewidoczna. Newton zdołał powiązać pozornie odrębne fakty i wykazać, że jedna i ta sama siła - powszechne ciążenie - leży u ich podłoża. Podobnie jeśli chcemy zrozumieć Związek Radziecki musimy najpierw zacząć od hipotezy i przekształcić ją w teorię naukową równie sprawdzalną, jak prawa mechaniki Newtona.

Pytam więc pana, w jakim stopniu prace amerykańskich socjologów spełniają te kryteria? Czy może mi pan pokazać choćby jedną publikację zachodnią, która jest w stanie określić przyszły rozwój społeczeństwa radzieckiego nawet w najbardziej ogólnym zarysie? Ludzie zajmujący się na Zachodzie Związkiem Radzieckim nie są naukowcami we właściwym znaczeniu tego słowa i dlatego niczego nie rozumieją.

G.U.: Wyciąga pan daleko idące wnioski. Nie chciałbym tutaj wdawać się w dyskusję na temat, w zakresie których pana wiedza znacznie góruje nad moją, ale wiem, że nawet najzagorzalsi wśród zachodnich socjologów zwolennicy budowania modeli naukowych przed stwierdzeniem, że jakkolwiek prawo dotyczące zachowania ludzkiego sprawdziłoby się, szukano w takim stopniu, jak prawo grawitacji Newtona.

A.Z.: Zasadniczo prawa społeczne są równie sprawdzalne jak inne prawa nauki. Ja przyjmuję ideę idealnym modelem społeczeństwa komunistycznego. Zachodnie badania radzieckiej rzeczywistości opierają się na wyznaczeniach osobistych, analogiach historycznych, ocenach moralnych i innych prawach czynnika naukowego. Ja to wszystko odrzucam.

G.U.: Dawał pan do zrozumienia, że nie akceptuje pan zachodnich teorii określających społeczeństwo sowieckie jako totalitarne. A przecież właśnie nad tym pojęciem głoszą się długo zachodni teoretycy - jak George Kennan, Iżigniew Brzezinski, Carl J. Friedrich, Hannah Arendt, Karl Deutsch - aby wspomnieć tylko parę nazwisk. I żaden z nich nie miał wątpliwości co do tego, że społeczeństwo sowieckie jest totalitarne. Czy wszyscy oni popełnili błąd?

A.Z.: Błąd to za mocne określenie. W świetle własnych kryteriów nie popełnili błędów, ale ja nie dzieliłam ich kryteriów. Dzięki mojej teorii dochodzę do matematycznego modelu społeczeństwa komunistycznego. Oczywiście jej weryfikacja będzie wymagała długoletniej pracy setek kompetentnych badaczy i nawet po jej ukończeniu rozdział między prawdą abstrakcyjną, a jej konkretnym zastosowaniem może być znaczny. Mimo to prawa wynikające z mojej teorii są równie sprawdzalne, jak prawa fizyki. Są to obiektywne istniejące prawa uniwersalne.

G.U.: W tym co pan mówi można dostrzec interesującą sprzeczność. Najpierw podkreśla pan, że społeczeństwo sowieckie można zrozumieć tylko od zewnątrz. Teraz potem stwierdza pan, że społeczeństwo sowieckie podlega uniwersalnym i sprawdzalnym prawom. Czy to drugie stwierdzenie nie zaprzecza pierwszemu? Bo oś to za sprawdzalne i uniwersalne prawo, które jest dostępne jedynie grupie uprzywilejowanych obserwatorów, takich jak pan, urodzonych i wychowanych w systemie sowieckim?

A.Z.: Nie twierdzę, że trzeba być obdarowanym szczególną intuicją, żeby odkrywać prawdę o rzeczywistości radzieckiej. Twierdząc jedynie, że nie ma się dostępu do empirycznych danych nie będąc człowiekiem społeczeństwa radzieckiego.

G.U.: Ale czy w ostateczności nie sprowadza się to do tego samego? Czyż nie oznacza to, że niesowieccy są w zasadzie wykluczeni z rzędu tych, którzy mogą zrozumieć społeczeństwo sowieckie? Czy zachodni naukowcy byłby w stanie je rozumieć używając pańskiej metody i analizując sowiecką społeczność od zewnątrz?

A.Z.: Moja teoria wymaga, aby punkt odniesienia umiejscowiony był wewnątrz społeczeństwa radzieckiego.

G.U.: Zachodni badacze powinni więc przyjmować pańską teorię na wiarę?

A.Z.: Ależ nie, moja metoda jest im dostępna. Bez względu na to, czy przyjmą tę metodę czy inną, będą musieli spojrzeć na rzeczywistość radziecką w sposób obiektywny i empiryczny oczyma kogoś, kto jest częścią systemu. Moje poglądy na ten temat dalekie są od dogmatyzmu. Dopiero doświadczenie pokaże, czy jest to możliwe. Na razie nie widzę żadnych oznak świadczących, że którykolwiek z zachodnich uczonych chciał przejść taką metodologiczną metamorfozę. Ich obecna metodologia, o ile jakkolwiek posiadają, jest godna pożałowania. Ich oceny są chaotyczne. Może dam przykład. Przed II wojną światową przywódcy hitlerowscy analizowali fakty. Znali słabe i mocne strony Związku Radzieckiego lepiej, niż same władze radzieckie. Niemcy dysponowali najlepszymi służbami wywiadowczymi, wiedzieli wszystko o radzieckim potencjale przemysłowym. Wiedzieli, ile posiadamy i potrafimy wyprodukować czołgów, karabinów i samolotów, jakimi surowcami dysponujemy, jaki jest stan naszych żródeł i kolei, jaka jest gotowość bojowa jednostek Armii Czerwonej i naszego lotnictwa, jakie posiadamy rezerwy żywnościowe



i tak dalej. Kiedy jednak przyszło do oceniania naszego potencjału militarnego i naszej zdolności do obrony, Hitler i jego podkomendni zrobili parę podstawowych błędów i zapłacili za to przegraną wojny.

G.U.: *Jak by pan sprecyzował - na czym polegały te błędy?*

A.Z.: Zнали fakty, ale - jak już powiedziałem przed chwilą - fakty to za mało. Nie dysponowali żadną metodą, która pozwoliłaby je zrozumieć i powiązać.

G.U.: *Czy chce pan powiedzieć, że nie potrafili wziąć pod uwagę takich imponderabilii jak duch oporu narodu rosyjskiego wobec agresji zewnętrznej?*

A.Z. Zupełnie nie o to chodzi. Nie dysponowali oni naukową metodą pozwalającą powiązać fakty dotyczące rosyjskiego potencjału militarnego i przemysłowego z całą masą innych czynników, tak aby uzyskać zintegrowany, całościowy schemat. Niemcy mogli uzyskać wiarygodny obraz mocnych i słabych punktów systemu radzieckiego i nie zrobili tego. Teraz kraje zachodnie, a nawet ich organizacje wywiadowcze popełniają ten sam błąd.

Wkrótce po wydaleniu mnie ze Związku Radzieckiego odwiedziłem mnie trzech panowie. "Panie Zinowiew - powiedzieli - czytaliśmy pana książki i artykuły i podziwiamy głęboko pana spostrzeżeń. Chcielibyśmy, aby pan przedstawił nam teorię umożliwiającą zniszczenie systemu sowieckiego". A ja na to odpowiedziałem: "Nie mam nic przeciwko temu, abyście mnie wykorzystali, ponieważ jestem politycznie obojętny. Mogłbym pracować dla władz radzieckich, mógłbym równie dobrze pracować i dla was. Jestem naukowcem i profesorem uniwersyteckim. Poświęciłem trzydzieści lat życia na badanie społeczeństwa radzieckiego i mam tego efekty. Moja jedyna ambicją jest, aby te rezultaty znane były w świecie jako wnioski Zinowiewa, a moja teoria jako teoria radzieckiego systemu Zinowiewa. Możecie wykorzystać moją teorię jak tylko chcecie, ale uwierzcie mi, że nie pragnę zniszczenia systemu radzieckiego, tak jak nie pragnę zniszczenia Zachodu. Jeśli chcecie znać moją teorię - przyslijcie mi dziesięciu lub piętnastu zdolnych studentów. Pozwólcie im studiować trzy lata pod moim kierunkiem i stwórzcie im takie warunki, aby mogli swoją wiedzę przekazać następnym grupom młodych uczonych. Któryś z nich w końcu opracuje model komputerowy człowieka radzieckiego, a może nawet systemu radzieckiego".

Nic z tego, co powiedziałem, nie zadowolono moich rozmówców. "Ile czasu nam to zajmie?" - spytali. Odpowiedziałem, że około trzech lat. I to było dla nich za długo. Spieszyli się. Chcieli, abym zaproponował im magiczną formułę i to natychmiast. Więc spakowali się i odjechali. Nie zrozumieli, tak jak hitlerowcy nie potrafili zrozumieć przed nimi, że uzyskanie wiarygodnego modelu wymaga długoletnich, drobiazgowych badań naukowych.

G.U.: *To bardzo ciekawa historia. Pańska naukowa neutralność przynosiła nam myślenie niemieckich specjalistów od nowych broni z czasu wojny. Niektórzy z nich po wojnie kontynuowali pracę w USA, inni w Związku Sowieckim. To, że społeczeństwo sowieckie jest również pozbawione wolności jak hitlerowskie, nie przeszkadzało im. Interesowała ich tylko budowa coraz potężniejszych i lepszych rakiet.*

Ale wróćmy do błędnej oceny Związku Sowieckiego przez hitlerowców. Hitler nie był odcobniony w niedocenianiu sowieckiej odporności. W Anglii i w USA również obawiano się (i nawet mówiono o tym otwarcie), że Związek Sowiecki nie wytrzyma naporu wspieranych wyspecjalizowanej i dowodzonej armii Hitlera. I nie były to obawy nieuzasadnione, szczególnie, gdy można było przekozać się, że wysiłek kosztowało naruszenie swojej woli małej Finlandii w czasie Wojny Zimowej 1939-40. Kiedy jednak las się odwrócił, sukcesy Stalina przypisano rosyjskiemu patriotyzmowi, osobistemu przywództwu Stalina, a nie dostawom wojennym z USA i Wielką Brytanią. Nikt, poza komunistami zachodnioeuropejskimi i innymi atamanami systemu sowieckiego społeczeństwa, nie twierdził, że Hitler lub Szechtel nie dosięgł siły społeczeństwa sowieckiego.

A.Z.: Patriotyzm działa w obie strony, może wzmacniać, ale i osłabiać. Podobnie wielkość radzieckiej maszyny wojennej może odgrywać zarówno pozytywną, jak i negatywną rolę. Wszystko zależy od bardzo wielu zmiennych niemierzalnych, które wynikają z charakteru radzieckiego systemu, a które trudno zrozumieć czy obliczyć. Hitler nie dysponował formułą, w której mógłby je znać przy szacowaniu potęgi radzieckiej. Dlatego popełnił błąd w swojej kalkulacji. Obecnie zachodni sowietolodzy robią ten sam błąd. Nie posiadając odpowiedniej metody - nie są w stanie przedstawić wiarygodnej całościowej oceny potencjału militarnego ZSRR.

G.U.: Ale pozostawmy na chwilę przy naszym przykładzie. Zachodni historycy twierdzą, że ZSRR wygrał wojnę z trzech głównych powodów. Po pierwsze, Hitler zwrócił do siebie przyjaznych początkowo Rosjan i Ukraińców. Kiedy wojska niemieckie znalazły się na Ukrainie, powitano ich jako wyzwolicieli. Dlatego bestialski charakter polityki niemieckiej wobec Słowian oraz szczególnie brutalność niemieckiej okupacji na terytorium sowieckim doprowadziły do umocnienia się sowieckiego oporu. Czy pan zgodziłby się z tym?

A.Z.: Nie, ten czynnik nie odegrał żadnej roli.

G.U.: Drugim czynnikiem miało być odwołanie się Stalina do rosyjskiego patriotyzmu i nacjonalizmu, uzyskanie poparcia duchowej potęgi Kościoła Prawosławnego, nawiązanie do wielkich osiągnięć wojennych Rosjan w przeszłości oraz przywrócenie stopnia wojakowskich i dystynkcji.

Wreszcie trzecim czynnikiem miały być masowe dostawy z USA i Wielkiej Brytanii samochodów ciężarowych, samolotów, karabinów i dział, samolotów, samolotów i innych produktów.

Czy zgodzi się pan, że te czynniki odegrały rolę?

A.Z.: Nie. Wszystkie te wyjaśnienia daleko odbiegają od sedna sprawy, choć nie są bezsensowne. Rozwój wydarzeń historycznych w czasie wojny był bardzo skomplikowany. Hitler robił błędy, Stalin robił błędy, Roosevelt robił błędy i Churchill robił błędy. W przypadku wojny radziecko-niemieckiej błędy popełnione po obu stronach w pewnym sensie równoważyły się. Chcę powtórzyć, że naprawdę liczył się tylko błąd popełniony przez Hitlera przy całościowej ocenie potencjału systemu radzieckiego. Prawdziwą tragedią jest to, że zarówno zachodni obserwatorzy, jak i zachodnie rządy powtarzają obecnie błędy Hitlera.

Niedawno zaproszono mnie na konferencję dotyczącą istoty radzieckiej potęgi. Jednym z jej uczestników był znany zachodni specjalista od zagadnień wojennych. Znał z nazwiska każdego radzieckiego generała wyższej rangi. Znał zakres ich obowiązków, ich wzajemne animozje, sprzęt na wyposażeniu jednostek oraz ich stan osobowy - zarówno w okresie pokoju jak i mobilizacji - wiedział wszystko. Nie potrafił jedynie obliczyć, mimo tak imponujących danych, tego co najważniejsze - całościowej potęgi Związku Radzieckiego. Zapewniłem go, że gdyby mieszkał w ZSRR, przekonałby się, iż większość uczonych radzieckich nie potrafi wymienić nawet członków Biura Politycznego, nie mówiąc już o Komitecie Centralnym. A mimo to mają precyzyjny obraz funkcjonowania systemu. Dlaczego? Ponieważ rozumieją, że jednostka nie liczy się w systemie radzieckim. Liczy się tylko sam system i można go zrozumieć tylko poprzez badania naukowe. Zachodni sowietolodzy napisali całe tomy na temat następstwa władzy w ZSRR. A mimo to w czasie miesięcy poprzedzających usunięcie Chruszczowa nie dostrzegli niczego, co zapowiadałoby to wydarzenie. Nie byli też w stanie powiedzieć niczego sensownego na temat tego, kto obejmie władzę po Breżniewie. Większość stawiała wówczas na Czerwenkę. Wartość nauki polega na umiejętności przewidywania wydarzeń. Zachodni sowietologia jest domeną szarlatanów.

G.U.: A czy pan jest w stanie przewidzieć funkcjonowanie sowieckiego systemu w przyszłości?

A.Z.: Tak. Nie potrafię przedstawić precyzyjnych, matematycznych wyliczeń,

ale potrafię przewidzieć pewne tendencje.

G.U.: *Na przykład?*

A.Z.: *Przypuśćmy, że państwa NATO lub same Stany Zjednoczone narzucają swoją okupację Iranowi lub pewnym krajom w Afryce. Jestem w stanie, wykorzystując matematyczny model Związku Radzieckiego jako mocarstwa światowego, przewidzieć przeciwdziałania, jakie może podjąć Kreml, jak np.: wkroczenie do Pakistanu, aktywizacja układu radziecko-syryjskiego, zwiększenie nacisku na Południową Afrykę itd.*

G.U.: *Niech mi wolno będzie zauważyć, że analiza systemowa przewiduje w sposób cudowny to, co i tak jest oczywiste. W jaki sposób rząd USA rozdysonuje fundusze przeznaczone na programy rozwoju regionów upośledzonych? - taki był temat opracowywany przez zespół badawczy na Uniwersytecie Południowej Kalifornii w czasie, gdy tam byłem. Po dwóch latach i wydaniu setek tysięcy dolarów zespół doszedł do zdumiewającego wniosku, że rząd USA będzie budował szkoły w dzielnicach murzynskich, gdzie szkół brakuje i szpitale w rejonach, gdzie opieka zdrowotna jest niewystarczająca! Kiedy tak się istotnie stało, moi koledzy od analizy systemowej chodzili z uśmiechem wszechświata na ustach, powtarzając: "A nie mówim?"*

*Pańskie przeprowadzenie przypomina mi tamtą historię. Prześcisł każdy początkujący dyplomata brytyjski czy francuski poważnie nadzarczałby swoje możliwości awansu, gdyby nie przewidywał takich posunięć sowieckich, które pan w majestacie nauki przepowiada.*

A.Z.: *Pan to wszystko bardzo upraszcza. Budowanie modelu matematycznego wymaga najwyższych umiejętności i jest bardzo skomplikowane. Mógłbym pana nauczyć mojej metody, gdybyśmy mieli jakieś dwa lata do dyspozycji.*

G.U.: *Sugeruje pan przez to, że byłbym słabym czy dobrym uczniem?*

A.Z.: *Przy tak krótkim okresie nauki musiałby pan być dobrym uczniem.*

G.U.: *Czy moglibyśmy przy użyciu pana metody na przykład zrozumieć francuskie społeczeństwo sprzed Rewolucji Francuskiej lub po niej?*

A.Z.: *Można byłoby przy użyciu metody naukowej wypracować teorię społeczeństwa francuskiego. Ale moja teoria nie odnosi się do społeczeństwa francuskiego. Można ją zastosować tylko w odniesieniu do społeczeństwa komunistycznego.*

G.U.: *Czy można ją zastosować w przypadku społeczeństwa Chin?*

A.Z.: *Nie. Chińskie społeczeństwo nie jest społeczeństwem czysto komunistycznym. Klasyczna jego forma jest społeczeństwem radzieckie. Niektóre z moich twierdzeń można zastosować do opisu Chin, Węgier, Rumunii czy innych krajów Europy Wschodniej, ale ogólnie moja teoria dotyczy tylko społeczeństwa radzieckiego.*

G.U.: *Czy nie sądzi pan jednak, że w czasie dziesięcioletniego okresu maoistowskiej Rewolucji Kulturalnej Chiny były bliżej modelu komunistycznego egalitaryzmu, niż Związek Radziecki w jakimkolwiek okresie swojej 66-letniej historii?*

A.Z.: *Nie znam społeczeństwa chińskiego, więc nie będę o nim mówił. Ale jest jeszcze jeden powód, dla którego moją teorię nie można zastosować do opisu Chin. Według mojej teorii każdemu systemowi społecznemu odpowiada optymalna wielkość społeczeństwa. Jeśli w jakimś systemie zostanie znacznie przekroczona jego optymalna wielkość, mogą się wydarzyć dwie rzeczy: albo rozwiną się podsystemy o odpowiednich parametrach i system*

przetrwają, albo nie rozwiną się one i wówczas system zniszczy sam siebie. Mogę udowodnić z matematyczną pewnością, że Chiny nie mogą stać się efektywnym mocarstwem światowym właśnie dlatego, że są państwem zbyt licznym. Społeczeństwem złożonym z miliarda ludzi trudno i nieporęcznym jest kierować.

G.U.: *Jaka więc jest optymalna wielkość społeczeństwa, gwarantująca jego efektywne funkcjonowanie?*

A.Z.: Wystarczy około 200 milionów. Chiny stałyby się wielkim państwem, gdyby pozbyły się połowy swej ludności. Istnieją pewne sprawdzalne matematyczne korelacje dające nam górna i dolną granicę efektywności społeczeństwa, które mógłbym panu wyłożyć, gdyby zechciał Pan na jakiś czas zostać moim uczniem. Na przykład rachunek zdolności do podejmowania decyzji w systemie, rachunek stabilności systemu, parametry podejmowania ryzyka przez przywódców itd. Niestety moja teoria ciągle jeszcze ma swoje słabe strony i nie mogę odpowiednio wyjaśnić wszystkiego, co wymaga się wyjaśnienia.

G.U.: *Czy przewidział pan w oparciu o swoje obliczenia wkroczenie wojsk sowieckich do Afganistanu?*

A.Z.: Tak. Mówiłem o tym w trakcie wykładu dla Klubu Amerykańskiego w Moskwie.

G.U.: *Właczego świat nie zareagował na pańskie ostrzeżenia?*

A.Z.: Tego nie potrafię panu powiedzieć.

G.U.: *Dysponuje więc pan teorią, która po pierwsze jest koncepcyjnie dostateczna tylko wierszkiom Związku Sowieckiego, po drugie może być zastosowana jedynie do opisu sowieckiego typu społeczeństwa komunistycznego i po trzecim może znaleźć zastosowanie do opisu społeczeństwa komunistycznego charakteryzującego się odpowiadającą istniejącemu społeczeństwu sowieckiemu wszytko to nastroja mnie podejrzliwość tym bardziej, że pana stwierdzenia o naukowości tracą dziś wiarygodność w świetnym szafentymem. Jako człowiek socjalistyczny obserwuje pan społeczeństwo sowieckie od trzydziestu lat z wielką empatią i inteligencją. Opisywał je pan drobiazgowo z jadowitym humorem i wielkim wyrafinowaniem. Sądzę osobście, że ta jest pana głównym wkładem do dyskusji nad społeczeństwem sowieckim, a nie jakiś model matematyczny odpowiedni tylko dla Związku Sowieckiego, ludzi sowieckich a może w gruncie rzeczy dla jednego człowieka sowieckiego - dla pana.*

A.Z.: Jest pan całkowicie w błędzie. Moja teoria jest ściśle teorią opartą na doświadczeniu z pierwszej ręki i czuję, że mam prawo mówić wykorzystując ją, ponieważ dotyczy ona życia lub śmierci ludzkości. Związek Radziecki stał się bardzo poważnym wrogiem świata zachodniego i należy poświęcić czas, energię i pieniądze, aby doskonalić nasze zrozumienie tego wroga. Być może moja teoria znajdzie zastosowanie tylko w tym jednym przypadku. Wcale by mnie to nie wzruszyło.

Związek Radziecki pod większością względów przypomina system mechaniczny. Większość faktów dotyczących społeczeństwa radzieckiego można obliczyć i wprowadzić do pamięci komputera. Jeśli wdrożenie zagrożenie wojenne, będziemy mogli na szczęście dzięki mojej teorii przeprowadzić pomiary systemu radzieckiego w dosłownym sensie tego słowa. Przypuśćmy, że następną wojną będzie konflikt nuklearny, byłoby wówczas dla nas bardzo istotne, który system - radziecki czy zachodni - charakteryzuje się większą zdolnością przetrwania.

G.U.: *A pan może nam powiedzieć, który...*

A.Z.: Tak, to możliwe. Na pewno tak. Komputery, które mamy obecnie do swo-

jej dyspozycji nie są w stanie tego dokonać, ale jak tylko będziemy mieli komputer zdolny do przetwarzania kilkuset zmiennych będzie można to obliczyć.

G.U.: *W jaki sposób obliczyć morale armii, poświęcenie, siłę nacjonalizmu?*

A.Z.: Byłoby to trudne, ale możliwe do zrobienia.

### 3. O DUMIE ROSYJSKIEJ I UPRZEDZENIACH ETNICZNYCH

G.U.: *Generał John Hackett w swojej znanej książce Trzecia Wojna Światowa przepowiada, że po ograniczonej wymianie pocisków nuklearnych i przelubieżnej się wojnie konwencjonalnej w Europie Centralnej, Związek Radziecki rozpadnie się na kilka części wskutek wzrostu narodowych separatyzmu. W jaki sposób wprowadziłby pan do swojej kalkulacji aspiracje niepodległościowe Ukraińców, Litwinów czy Uzbeków?*

A.Z.: Scenariusz generała Hacketta jest idiotyczny, ponieważ chciałby on, aby Związek Radziecki rozpaść się, przepowiada wydarzenia zgodnie ze swoimi życzeniami.

G.U.: *Czy chce pan twierdzić, że poczucie narodowej niezależności nie istnieje w nierosyjskich częściach ZSRR?*

A.Z.: Tak właśnie uważam.

G.U.: *Je w ogóle nie istnieje?*

A.Z.: Istnieje, ale jest zbyt słabe, aby mogło cokolwiek znaczyć. Trzeba wiedzieć rzeczywistość taka, jaka naprawdę ona jest. Poza odosobnionym przypadkiem małych republik nadbałtyckich związanych kulturowo z Niemcami (zwłaszcza Łotwa i Estonia) nierosyjskie narody i narodowości wydłgają korzyści ze swojego związku z Rosją. Gdyby zaproponowano przeciętnemu Ukraińcowi czy Azerbejdżaninowi wystąpienie jego republiki ze Związku Radzieckiego, zaprotestowałby! Oczywiście zawsze można znaleźć niewielkie grupy nacjonalistów i dysydentów wysyłających inaczej, ale większość nie chce mieć nic do czynienia z niepodległością. Za dużo by ich to kosztowało.

G.U.: *Przypomina pan nieczynny habsburski obywatel status quo w 1914 roku.*

A.Z.: Niezupełnie. Mówię o powszechnie akceptowanym status quo. Weźmy na przykład Azerbejdżan. Wielu z nich mieszka w Moskwie lub w Leningradzie, zajmuje przywilejowane stanowiska, zamieszkuje w luksusowych domach, posiada dzieci do przywilejowanych szkół i tak dalej. Żyją z ziemi rosyjskiej. Dla nich Rosja jest kolonią.

G.U.: *Czy rusyfikacja nierosyjskich republik, o której tyle pisano, jest również według pana mitem?*

A.Z.: Oczywiście. Nierosyjskie republiki nie zostały rusyfikowane w starym imperialnym znaczeniu tego słowa. Wręcz przeciwnie, jedna z charakterystycznych cech Rewolucji Październikowej było skolonizowanie Rosji i narodu rosyjskiego. Bolszewicy bardzo się bali siły ukrytej w masie narodu rosyjskiego. Prościej im było wykorzystać grupy Ukraińców, Tatarów, Gruzinów itd., oprzeć swoje rządy na łatwiejszych do wymanipulowania grupach narodowościowych mniejszości. Nawet dzisiaj, kiedy ta antyrosyjska polityka jest już w odwrocie, w Moskwie, Leningradzie i innych głównych miastach rosyjskich przynajmniej połowa elity partyjnej, ster rządowych, czy wyższej administracji nie wywodzi się z Rosji. Jeśli popatrzymy na liste ra-

dzieckich generałów, piararki, wrażeń znajdziemy bardzo niewiele nazwisk rosyjskich. Większość stanowić będą Ukraińcy i inni.

Jeszcze nie tak dawno Rosjanie byli najbardziej uciesnioną grupą w imperium radzieckim, zupełnie tak, jak w czasach carskich. Byli chłopami, przywiązani do swoich wsi, uprawiającymi ziemię, dostarczającymi siłom zbrojnym mięsa, amunicję i w ogóle wykonujący podległe zadania niktym chłopom pańszczydzianami. Dlatego też większość kierownictwa naszego kraju i jego elity kulturalnej, czy to w sferze literatury, czy muzyki, prawodawstwa lub nauki, była pochodzenia nierosyjskiego. Po Rewolucji wymordowano około 3 miliony rosyjskich inteligentów. Potem w latach 1929-32 przy okazji kolektywizacji zmarło około 15 milionów chłopów rosyjskich. Dopiero teraz Rosjanie powoli się emancypują i mogą ubiegać się o odpowiedzialne funkcje. Do niedawna żaden rząd Rosji nie był rządem rosyjskim. Właściwie nie mieliśmy w Rosji rządu rosyjskiego od czasów Piotra Wielkiego. Nasi późniejsi carowie byli wszyscy germanizowani dzięki swoim związkom małżeńskim.

Można więc zupełnie spokojnie twierdzić, że każdy inny naród był uprzywilejowany w stosunku do narodu rosyjskiego i patrzył na Rosję jak na kolonię. Na przykład każdy naród, każda narodowość, ma swoją Akademię Nauk. Nie istnieje jedynie Rosyjska Akademia Nauk.

G.U.: To samo dotyczy partii komunistycznej. Wszystkie republiki mają swoje własne partie komunistyczne, nie ma jedynie Rosyjskiej Partii Komunistycznej.

A.Z.: Tak, to prawda.

G.U.: Dobrze zorientowani w sytuacji uważa, jak na przykład Leonard Scho-piro, twierdzą, że dominująca organizacja, Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego, jest w istocie Rosyjską Partią Komunistyczną.

A.Z.: To się zupełnie nie pokrywa z prawdą. KPER nigdy nie była tworem rosyjskim. Obecnie tylko około 10% członków Radzieckiej Akademii Nauk to Rosjanie, stanowiący przeciw połowę ludności radzieckiej. To samo dotyczy Komitetu Centralnego, aparatu bezpieczeństwa, wojska itd., aż po najwyższe władze radzieckie. Rosjanie są wszędzie pokrywani. I to samo dotyczy rosyjskiej kultury.

G.U.: To zupełnie zaprzecz wszystkim, co słyszałem i czytałem na ten temat. Przez 10 lat, za rządów Breżniewa, wszyscy członkowie Sekretariatu KC byli Rosjanami, mimo że Rosjanie stanowią tylko 80% członków partii. Napisałem całe tomy o rusyfikacji republik środkowoeuropejskich, państw bałtyckich, Ukrainy. Nie obchodzą tego wszystkie tutaj powtarzane, jest to kwestia dobrze znana. Czyliby pan chciał powiedzieć, że to wszystko są bzdury?

A.Z.: Tak, rzeczwiście tak chciałbym powiedzieć. Wszystkie te republiki nie zostały woddane rusyfikacji w żadnym znaczeniu tego słowa.

G.U.: To może znasz dzieje się odwrócić?

A.Z.: A tak, właśnie. Jeśli ktoś jedzie do Związku Radzieckiego z wczesniej urobionymi koncepcjami, zawsze znajdzie fakty potwierdzające je.

G.U.: Czyliby nie było też prawdą, że ktoś uprzedzający system sowiecki z jego potężnym materialistycznym modelem zawsze znajdzie fakty potwierdzające ten model?

A.Z.: Jeśli pan a priori przyjmie, że konflikty narodowościowe rozsada Związek Radziecki, znajdzie pan zawsze "dowody" na istnienie tych konfliktów. Niektórzy zachodni uczeni wierzą, że Związek Radziecki zostanie zniszczony przez alkoholizm, C62, jedna bzdura jest równie dobra jak inna.

G.U.: *Ale chyba nie zaprzeczy pan ietnieniu rusyfikacji jesykowej?*

A.Z.: *To też mit. Wszyscy radzieccy obywatele ucza się co prawda rosyjskiego, ale tego nie można nazwać rusyfikacją. Być może wprowadziła pana w błąd niedawna demonstracja w Gruzji, o której często się mówi jako o dowodzie na powszechną niechęć Gruzinów do języka i narodu rosyjskiego. Tyle, że to wszystko nieprawda. W tej chwili już wiadomo, że tylko niektórzy demonstranci w ogóle znali język gruziński. Natomiast wszyscy Gruzini znają rosyjski i to znają ze względu na własny interes. Kiedy Gruzini jedzie do Moskwy sprzedawać swoje produkty, pospekulować na czarnym rynku lub opublikować książkę, musi znać rosyjski, a nie gruziński. Gruzja to mała republika. Rosyjski to lingua franca Związku Radzieckiego.*

G.U.: *W pana głosie można wysłuchać nutki imperializmu. Niech mi wolno będzie panu przypomnieć, że również w przypadku Indii Brytyjczycy używali podobnych argumentów. Również w Indiach język angielski został zaakceptowany przez ludność miejscową zarówno jako lingua franca w kontaktach między miejscowymi narodowościami, jak i jako klucz do wykształcenia, awansu zawodowego i sukcesu materialnego. Brytyjczycy często powtarzali, że interesy ekonomiczne Indii łatwiej jest zaspokoić w ramach Imperium Brytyjskiego, niż poza nim i że to właśnie władze brytyjskie stworzyły w Indiach dobrą administrację. Ostatcznie okazało się, że wykształcona na modłę brytyjską indyjska inteligencja wolała niepodległość, niż ekonomiczne korzyści i dobrą administrację i Brytyjczycy musieli odejść.*

*Próbuje panu wyjaśnić, że bez względu na korzyści ekonomiczne i kulturalne, jakie Gruzini mogą mieć w obecnej sytuacji, nie można odbierać im aspiracji do narodowej niezależności, choćby z lepszej wychodzili na swoje po rządami rosyjskimi, odchodząc do szkół rosyjskich itp., aniżeli gdyby rozdzielili się sami. Narody po prostu nie zachowują się aż tak racjonalnie, o czym dobrze wiemy z przykładu rozpadu imperium kolonialnych po wojnie.*

A.Z.: *Pana twierdzenia o rusyfikacji są absurdalne. Język rosyjski jest ogólnie akceptowany w Związku Radzieckim...*

G.U.: *Tak jak angielski był i jest w Indiach...*

A.Z.: *Ale przyjęcie języka rosyjskiego nie oznacza rusyfikacji. Mogę z przekonaniem powiedzieć, że twierdzenie zupełnie odwrotne jest znacznie bliższe prawdy. Weźmy na przykład Ukrainę, którą znam dobrze, ponieważ często tam jeździłem, aby egzaminować doktorantów. Wszyscy wykształceni Ukraińcy znają rosyjski, używają też ukraińskiego. Rosjanie nie skolonizowali Ukrainy. Co więcej, zdobycie pracy przez Rosjanina na Ukrainie jest prawie niemożliwe, podczas gdy w Rosji 60% wyższych stanowisk zajmują Ukraińcy. W pewnym okresie 70% radzieckich uczonych było żydami i to w sytuacji, gdy żydzi stanowili jedynie 1% ogółu obywateli radzieckich. Kiedy przedstawiono moją kandydaturę do Akademii, przyjęto właśnie nową oficjalną linię, wedle której należało przyjmować do niej więcej Rosjan. Komisja kwalifikacyjna pytała mnie, czy jestem żydem czy Rosjaninem. Jak pan sam wie, jestem Rosjaninem. Pomimo oficjalnej linii obowiązującej wówczas w Akademii, wybrano żyda. I skłonny jestem ten fakt przypisywać temu, co mówiłem panu wcześniej - przywódcy radzieccy w głębi serca boją się narodu rosyjskiego. Znacznie wygodniej im mieć do czynienia z wynarodowionymi mniejszościami.*

G.U.: *W jaki więc sposób wytłumaczy pan skowizm wielkarosyjski Stalina, za który krytykował go w 1922 roku Lenin? Lenin, jak pan zapewne pamięta, obawiał się, że konstytucja ogólnozwiązkowa nie ochroni mniejszości "przed ograniczeniem ich praw przez typowego Rosjanina, skowiznie a naturze tajdaka i prześladowcy, typowego rosyjskiego biurokraty..."*

A.Z.: *Po pierwsze, Stalin ani nie był typowym Rosjaninem, ani się nim nie*

stał. Po drugie, Lenin był już wówczas chory i napisał wiele nonsensownych zdań. W każdym razie jego ostrzeżenie było aktualne we wczesnych latach dwudziestych, a nie obecnie. Nie ma sensu porównywać rzeczy nieporównywalnych.

G.U.: *A co sądzić o sławnym hojście, jakie w czasie obchodów zwycięstwa 24 maja 1945 roku Stalin złożył narodowi rosyjskiemu mówiąc, że bez jego wytrwałości ZSRS przegrałby wojnę?*

A.Ż.: Tak, Stalin zaproponował ten pamiętny toast. Był to typowy przykład jego natchnionego oportunistycznego ideologicznego. Dla mnie było to również pamiętne wydarzenie, ponieważ pod jego wpływem napisałem wiersz satyryczny (obecnie przedrukowany w mojej książce *Światłana przyszyłość*), za co znalazłem się w więzieniu. Cokolwiek jednak Stalin nie powiedział w 1945 roku, nie minęło wiele czasu, nim wznowiono przesładowania narodu rosyjskiego. Znowu wypełniono obozy rosyjskimi oficerami, żołnierzami, intelektualistami, a całemu narodowi rosyjskiemu narzucono status kolonialny.

Istnieje w Związku Radzieckim tendencja do podkreślenia przez mniejsze narody i grupy mniejszościowe, że są w gorszej sytuacji, że się je dyskryminuje dlatego, że są Gruzinami, Azerbejdżanami czy Żydami. To tylko jeszcze jeden mit. Może opowiem panu historyjkę.

Dwaj radzieccy Żydzi spotykają się na ulicy w Moskwie. "No i jak leci?" pyta pierwszy.

"N-n-nie... z-z-za... d-d-dobrze", mówi drugi jakając się.

"Ale dlaczego? Co się stało?"

"Z-z-złotyłem... po-po-podanie... o p-p-pracę w t-t-talewi-wizji ja-ja-ja- jako spi-spi-spiker i o-o-odrzucano m-m-mnie po-po-ponieważ je-je-jestem z-z-żydem."

G.U.: *Czy chce pan twierdzić, że wszystkie uprzedzenia etniczne i całej antysemityzm są zwykłym wymysłem?*

A.Ż.: Nie; Związek Radziecki jest olbrzymim krajem. Tu i ówdzie można zetknąć się z uprzedzeniami wobec Muzułmanów, Ormian, Żydów, kogokolwiek. Ale nastroje antyżydowskie (których nie należy mylić z antysemityzmem) są zjawiskiem typowym dla ostatnich dwóch czy trzech dekad i wzrastały się wraz z powolną emancypacją narodu rosyjskiego. W miarę jak wzrastały kwalifikacje Rosjan, zwiększało się odczucie, że Żydzi zagarnęli nieproporcjonalnie dużo najbardziej poszukiwanych miejsc pracy w stosunku do swojej liczebności w społeczeństwie radzieckim. Przed II wojną światową Żydzi byli uprzywilejowaną grupą w moim kraju i część tych przywilejów zachowali do dziś; mogą emigrować jeśli bardzo tego chcą, podczas gdy Rosjanie lub Tadżycy nie mogą.

G.U.: *Nie muszę chyba przypominać panu historii rosyjskich pogromów, stalinowskiego antysemityzmu, "spółki lekarzy", prawdziwych celów kampanii antyżydowskich, przesładowań żydowskich emigrantów oraz dyskryminacji, jakiej doświadcza w każdym dniu swego życia przeciętny Żyd ze strony przesiedlonych Rosjan i Ukraińców. Już sam fakt, że w dowodzie osobistym sklasyfikowany jest w rubryce "narodowość" jako Żyd, dużo nam mówi.*

A.Ż.: Naród rosyjski nigdy nie był antysemicki. Pod pewnymi względami preferował nawet Żydów bardziej niż Rosjan. Ilekroć Rosjanie mieli prawo wybierania przywódcy grupy ludzi czy dyrektora przedsiębiorstwa spośród dwóch kandydatów - Rosjanina i Żyda, wybierali z reguły Żyda. To nasza stara tradycja wynikająca z rosyjskiej awersji do rządzenia. Żydzi takiej awersji nie mieli i rządzili dobrze, ponieważ byli kompetentni, mieli silną woli i tożum. Po II wojnie światowej emancypacja Rosjan przybrała na sile i zaczęto krytycznie patrzeć na dominację Żydów. Stąd się bierze cały hałas wobec rosyjskiego antysemityzmu. Ale, jak już mówiłem, przed wojną wszystkie katedry uniwersyteckie w Moskwie, Leningradzie i innych większych miastach były w rękach uczonych żydowskich, a Akademia też była prawie



całkowicie przez nich opanowana. W tamtych czasach ilość poważnych posad uniwersyteckich ograniczała się do paru tuzinów, podczas gdy dzisiaj ilość odpowiedzialnych statów badawczych w nauce i przemyśle można liczyć w dziesiątkach tysięcy. Nie ma po prostu dostatecznej ilości wykwalifikowanych Żydów, aby mogli współzawodniczyć ze 100-milionową masą Rosjan.

G.U.: *Czyaby sugerował pan, że antysemityzm można sprowadzić do wzrastającego współzawodnictwa o lukratywne posady i prestiż?*

A.Z.: Nie. Ten problem nie sprowadza się tylko do kwestii żydowskiej. Chodzi w ogóle o problem "mafijności", bowiem naród rosyjski ma do czynienia z kilkoma "mafiami" równie nieulubianymi. Ormianie charakteryzują się "mafijną" lojalnością grupową, gdziekolwiek by nie mieszkali, podobnie Gruzini, Tatarzy i również Żydzi. Rewolucja Październikowa w pewnym sensie zalegalizowała ten stan rzeczy podkreślając równość wszystkich narodów i kultur. Jedyne naród, któremu szroniono kulturować swoją szczególną spójność i indywidualność, to naród rosyjski. Gdy tylko Rosjanie próbowali przemawiać swym własnym głosem podnoszono krzyk o "nacionalizmie", "szowinizmie" czy nawet "faszyzmie". Po części współczesny antysemityzm w Związku Radzieckim wynika z "mafijnego" charakteru szczególnej grupowej spójności Żydów radzieckich i ich więzi ponadnarodowych. Żydzi, podobnie jak Ormianie i inne mniejszości narodowe, obdarzeni są szczególnymi przywilejami, których odmówiono Rosjanom. To właśnie rodzi antyżydowskie nastroje, które we mnie osobiście budzą wstręt.

G.U.: *Czy według pana amerykańskie naciski ekonomiczne użyte w celu ułatwienia emigracji żydowskiej z ZSRS poprawiły czy też pogorszyły sytuację sowieckiego Żydostwa?*

A.Z.: Przyczyniły się do wzrostu antysemityzmu i pogorszyły sytuację większości Żydów, którzy nie mogą lub nie chcą emigrować. Gdyby Stany Zjednoczone i żydowskie grupy nacisku w Ameryce poparły żądania dysydentów tatarskich, ormiańskich, ukraińskich czy rosyjskich z gorliwością choćby mniejszą niż w kwestii emigracji żydowskiej, sytuacja Żydów radzieckich mogłaby być zupełnie inna.

G.U.: *Czy sądzi pan, że przywódcy sowieccy pozwoliliby po ośchu wyjechać Żydom sowieckim, gdyby Amerykanie nie stosowali nacisków? Czyś nie traciłby wówczas wówczas politycznego w rozgrywkach wewnętrznych kosztu ofiarnego oraz dogodnego punktu przetargowego z Amerykanami?*

A.Z.: Nie jestem w stanie odpowiedzieć na pańskie pytanie. Sam uważam, że powinno pozwolić się naszym Żydom na emigrację, o ile sami tego chcą, choćby dlatego, że użyteczność Żydów radzieckich jako nosicieli wiedzy, kultury i umiejętności dobiegła już kresu. Związek Radziecki dysponuje wystarczającą ilością lekarzy uczonych i nauczycieli, aby móc obyć się bez pomocy żydowskiej. Gdyby jednak emigracja okazała się niemożliwa, należałoby dać naszym Żydom szansę równomiernego rozmieszczenia się na terenie Związku Radzieckiego, aby przestali tworzyć zwarte skupiska. To pomogłoby przeciwdziałać negatywnemu zjawisku antysemityzmu.

G.U.: *"Pełna asymilacja"... pomimo doświadczeń niemieckich?*

A.Z.: To trudny temat i nie jestem w jego zakresie kompetentny. Niechaj więc wystarczą tutaj konstatacja, że na szczęście w Związku Radzieckim zanika poczucie ważności zachowania czystości narodowej. Ja uważam siebie za Rosjanina i jak pan musiał zauważyć, czuję się głęboko związany z kulturą rosyjską i losem narodu rosyjskiego, tak bardzo upośledzonego przez historię. Jestem jednocześnie świadom tego, że mimo mojej "rosyjskości" w moich żyłach nie ma ani kropli krwi szwajcarskiej. Nie mogę więc być rosyjskim rasista. Moi przodkowie przybyli do Rosji ze Szwecji i Finlandii,

przyjęli język rosyjski za swój i zostali schryścianizowani jako "Rosjanie". Nie sądzę, aby zachowanie narodo- bądź rasowo czystych grup, czy to żydowskich czy też szwedzkich, było jakimś szczególnie ważnym imperatywem moralnym, a nawet zjawiskiem historycznie pożądanym lub możliwym. Wielu spośród naszych Żydów uważa się obecnie za bardziej rosyjskich niż Rosjanie. Nie mam nic przeciwko temu.

G.U.: Jednym z bardziej spektakularnych błędów Marksa było niedoprecyzowanie problemu rasy i nacjonalizmu. Czy pan, wychowany w duchu marksizmu, nie popełnił tego samego "etnicznego" błędu? Czy nie przescaż pan sobie sam, kiedy z jednej strony popiera pan emancypację narodu rosyjskiego, a z drugiej umniejsza wagę zachowania narodowej jednorodności?

A.Z.: Nie. Nie ma tu sprzeczności. Nie zależy mi na narodowej jednorodności. Moje zainteresowanie przyszłością narodu rosyjskiego wynika z głębokiego utożsamienia się z losem i kulturą Rosjan jako ludzi, którzy wkroczyli w XX wiek obarczeni specyficzną przeszłością. To nie ma nic wspólnego z rasą. Weźmy może największe nazwisko w historii rosyjskiej literatury - Puszkina, po kadzieli pochodzący z Abisynii, był cieniem skory tak, że można byłoby go wziąć za Afrykańczyka. Albo Dostojewski, ze swoimi polskimi przodkami. Nie ma czystych ras we współczesnym świecie i jak sądzę, wcale nie są potrzebne. Jestem więc zdania, że nasza mniejszość żydowska po zniesieniu wypełnieniu swej misji kulturowej może teraz z pożytkiem dla siebie rozplynać się poprzez dobrowolną emigrację lub asymilację. Moja sugestia nie jest antysemitka, podobnie jak moje zainteresowanie rasowo mieszanym narodem rosyjskim nie jest antyrosyjskie.

#### 4. SPOWIEDŹ DZIECKA REWOLUCJI

G.U.: Wróćmy do głównego tematu naszych rozważań. Czy uważa pan, że ogólnie rzecz biorąc naród rosyjski nie tyle odnosi korzyści z systemu socjalistycznego, ile jest jego ofiarą?

A.Z.: Nie pod każdym względem i nie w przeciągu całej 66 letniej historii reżimu. Przed Rewolucją 80% o ile nie 90% narodu rosyjskiego składało się z chłopów żyjących na granicy przetrwania, na samym dole drabiny społecznej. Ich sytuacja była niewiele lepsza niż sytuacja chłopów pańszczyźnianych. Rewolucja to naprawdę zmieniła. Ja na przykład pochodzę również z chłopskiej rodziny. W wyniku kolektywizacji moi rodzice stracili wszystko, co posiadali. Ale mój najstarszy brat w końcu został dyrektorem fabryki, drugi awansował do rangi pułkownika, trzej inni bracia zdobyli tytuły inżyniera, a ja zostałem profesorem Uniwersytetu Moskiewskiego. W tym samym czasie wykształcono miliony chłopów rosyjskich, a niektórzy z nich zdobyli wysokie kwalifikacje zawodowe.

G.U.: Ale przecież osiągnęliście te pozycje po trupach milionów chłopów systematycznie zagłodzonych w latach 1929-32.

A.Z.: Tak, jeśli pan chce w ten sposób to ująć. Po prostu powiedziałbym, że kolektywizacja stworzyła wiele nowych możliwości. Życie całego kraju uległo radykalnej zmianie.

G.U.: To, co pan mówi, niewiele odbiega od stwierdzenia, że zagłodzenie Żydów i Cyganów w Oświęcimiu było radykalnym posunięciem z zakresu inżynierii społecznej i jako takie "stworzyło wiele nowych możliwości".

A.Z.: Kolektywizacja była konieczną fazą rewolucji bolszewickiej. Bez niej

mój kraj uległby dezintegracji. Rosyjska rewolucja zaczęła się w 1861 roku i osiągnęła kulminacyjną fazę w roku 1917. Po prostu miała miejsce, a jej jedynie możliwym efektem była kolektywizacja.

G.U.: *Więc nawet teraz jako dysydent żyjący na Zachodzie akceptuje pan kolektywizację z jej 15 milionami ofiar?*

A.Z.: Oczywiście tak. Całkowicie ją akceptuję.

G.U.: *Pomimo straszliwych ofiar?*

A.Z.: Pomimo ofiar. Kolektywizacja zapewniła przemysłowi miliony robotników. A przemysł oznaczał nowe możliwości.

G.U.: *Zastanawiam się, czy czasownik "zapewnić" jest odpowiedni. Czy przypadkiem nie wygnano tych ludzi z wiesek przy pomocy głodu i brutalnej przemocy?*

A.Z.: Nikt ich nie zmuszał do przejścia do przemysłu. Oczywiście kulaków likwidowano, ale zwykli chłopcy mogli pozostać na roli. Życie w mieście było jednak zbyt silnym magnesem, tym bardziej, że życie wiejskie było prymitywne i nudne. Moja rodzina żyła z pracy na roli. Mieliliśmy duży i wygodny dom. W Moskwie w 10 osób dzielił się dziesięciometrowy pokój - jeden metr kwadratowy na osobę. Czy pan to może sobie wyobrazić? A mimo to woleliśmy żyć w Moskwie.

G.U.: *Przecież gdyby nie zabrano ziem, pana rodzina nie opuściłaby swojej wsi. Musieli to zrobić w wyniku aktu arbitralnego wywłaszczenia.*

A.Z.: Nie wiem. Na pewno nie opuścili wsi z powodu braku jedzenia. Przenieśli się do Moskwy, ponieważ tam życie oferowało im więcej możliwości. Historycy mówią nam teraz, że exodus ludności wiejskiej był wynikiem głodu i innych nacisków. Część chłopów mogła przybyć do miasta z tych powodów, ale większość poszukiwała lepszego życia - życia kolektywnego w ramach radzieckich instytucji.

G.U.: *Przecież, o ile chodziło im o życie kolektywne, mogli więc to samo pozostając na wsi. Niektórzy z nas na Zachodzie uważają, że wiedzieliśmy właśnie wiele od kolektywnych form życia.*

A.Z.: No tak, ale wówczas życie kolektywne nie było na wsi prawidłowo zorganizowane. Teraz jest, ale w latach dwudziestych i wczesnych trzydziestych kolektywizacja rolnictwa była w połowie drogi między starym a nowym systemem. Zupełnie odrębną kwestią jest też to, że w miastach ludzie mogli korzystać z bibliotek, chodzić do kina, uczyć się języków, utrzymywać kontakty towarzyskie. Była tam różnorodność, rozrywka, kultura oraz lepsze płace. Nie zapominajmy, że Rewolucja była również wielką rewolucją kulturalną. Wielkie tragedie wspomniane przez pana współwystępowały z istotną poprawą perspektyw życiowych.

G.U.: *Ogólnie mówiąc akceptuje pan ciotum Lenina, że należało poświęcić całe pokolenia...*

A.Z.: Nie oceniam tego. Przyjmuję naukową postawę neutralności. To, co się stało, nie odstanie się. Moim zadaniem jest zajmować się powstałą rzeczywistością w takiej formie, w jakiej istnieje, a nie ferować wyroki.

G.U.: *Ależ pan feruje wyrok, kiedy mówi pan, że system sowiecki uległby dezintegracji, gdyby nie wprowadzono kolektywizacji, ponieważ utrzymuje pan, że warto ten system ocenić nawet za cenę 15 milionów istniejących ludzi.*

A.Z.: Każda odrobina postępu ma swoją cenę i niesie ze sobą pewne konsekwencje. Niektóre z nich są pozytywne, inne negatywne. Jak sam pan wie, byłem antystalinowcem. Zostałem aresztowany i uwięziony za czasów Stalina, ponieważ przeciwstawiłem się jemu. Ale jako naukowiec moge próbować wytknąć i zresztą to robię, dlaczego naród rosyjski popierał Stalina. Byłem antystalinowcem, ale muszę panu powiedzieć, że właśnie w więzieniu stalinowskim miałem po raz pierwszy w życiu własną łójkę i porządne ubranie. Przedtem byłem zawsze głodny. Po zwolnieniu z więzienia byłem znów głodny.

Niech pan pomyśli, co za paradoks - antystalinowiec, który pomimo to musiał przekonywać, że czasy Stalina były wielką epoką w dziejach ludzkości! Zresztą nie ja sam tak to odczuwałem. Moja matka, która nienawidziła Stalina i wszystkich jego dzieł, trzymała w swojej biblii jego zdjęcie aż do jego śmierci. Miliony Rosjan postępowały podobnie.

G.U.: *Czyby pozostałość po czasach carskich... Stalin zamiast Ojcaśka Kwaschroff?*

A.Z.: Nie wiem. Stalin uosabiał dynamikę życia. Reprezentował władzę szarych ludzi. Kiedy zmarł, władza ludowa zmarła wraz z nim. Dzięki Rewolucji moja rodzina miała szansę partycypować we władzy ludowej zamiast przebywać na wsi w charakterze chłopów.

G.U.: *Czy uważałby pan swoją oficerską służbę w lotnictwie wojskowym za kolejny dostrzeżony aspekt dynamiki życia za rządów Stalina?*

A.Z.: Tak. Stalin przeprowadził czystkę w Armii Czerwonej. Bez względu na słuszność, czy niesłuszność osądzenia Tuchaczewskiego i innych (sam Tuchaczewski był zapewne bardzo sprawnym żołnierzem), czystka usunęła starą grupę albo wykształconych i biernych oficerów, umożliwiając młodszym przejęcie ich funkcji. Byłem jednym z nich, jako młody porucznik i mogę pana zapewnić, że byłem bardziej kompetentny od oficera, którego zastąpiłem po jego aresztowaniu.

G.U.: *Historycy wojskowości twierdzą, że gdyby nie rozstrzelanie Tuchaczewskiego i innych generałów, Wojna Zimowa z Finlandią w 1940 roku nie skończyłaby się tak nędznie.*

A.Z.: To bzdury - mogę jeszcze coś dodać: gdyby Stalin nie przeprowadził czystki w Armii Czerwonej, Związek Radziecki poniósłby porażkę w wojnie z Hitlerem. Mój kraj ocalało nowe i doskonalsze dowództwo Armii Czerwonej, złożone z przepojonych nowym duchem kompetentnych młodych oficerów.

G.U.: *"Życie stało się lepsze, życie stało się wesele." Kto by pomyślał, że po pięćdziesięciu latach sowiecki dysydynt będzie popierał szną pracę za rękę Stalina.*

A.Z.: Ależ życie było naprawdę niesłychanie fascynujące, pomimo wszystkich trudności. Znałem wielu ludzi, którzy wiedzieli, że zostaną rozstrzelani, a mimo to wychwalali Stalina. Stalin był symbolem nadziei i wigoru. Jeden z moich krewnych wiedzac, że czeka go w ciągu roku długi wyrok więzienny, został (a w czasach Stalina zdarzało się to często) nagle wyznaczony na stanowisko dyrektora dużej fabryki. Chwycił się t.j. szansy, ponieważ to wyzwanie związane z jednym cudownym rokiem było dla niego warte więcej niż tydzień lat pozbawionego zdarzeń życia. "Wiem, że mnie zabiją, ale ten rok będzie moim rokiem", mówił. Był wypełniony świadomością współtworzenia historii.

G.U.: *A czy pan też czułby się i zachował tak samo?*

A.Z.: O tak, zresztą i teraz tak samo myślę. Czterdzieści lat dzieli mnie od moich doświadczeń wojennych z czasów, gdy byłem oficerem radzieckiego

lotnictwa. Z chęcią wymienilibym te czterdzieści lat za jeden tydzień mojego wcześniejszego życia w charakterze pilota myśliwca.

Jestem dzieckiem Rewolucji, niech pan o tym pamięta, jestem wytworem Rewolucji. Do szkoły chodziłem w latach trzydziestych i wychowano w atmosferze romantyzmu rewolucyjnego. Dla mnie Rewolucja, wraz ze wszystkim, co za sobą pociąga, wyznacza cały sens życia. Nie oznacza to jednak, że popieram obecny reżim radziecki. Nie, ja jestem człowiekiem lat dwudziestych i trzydziestych.

G.U.: *Jest pan, profesorze Zinowiew, typowym człowiekiem sowieckim, mimo że jest pan dydydentem - Homo Sovieticus, by sacytować tytuł jednej z pana książek...*

A.Z.: Zgadza się. Jestem człowiekiem radzieckim. Spędziłem około 60 lat mego życia w społeczeństwie radzieckim i zawsze starałem się jak najlepiej mu służyć. Byłem, jak sądzę, dobrym żołnierzem, dobrym oficerem lotnictwa, dobrym profesorem oraz dobrym i pracowitym członkiem mojego kolektywu. Z tego punktu widzenia jestem człowiekiem radzieckim par excellence.

G.U.: *Tym niemniej padeka bezlitośna analiza psychiki człowieka i społeczeństwa sowieckiego spowodowała wydalenie pana z ZSRR. Muszę więc przyjąć, że pod pewnymi istotnymi względami nie jest pan w ogóle człowiekiem sowieckim.*

A.Z.: Ależ właśnie jestem, co wcale nie oznacza, że nie krytykuję systemu. W Związku Radzieckim system był zawsze krytykowany na wszystkich poziomach, ale była to krytyka pochodząca z wnętrza systemu, nie kwestionująca jego prawowitości.

Ludzie z Zachodu często widzą społeczeństwo radzieckie jako wielki obóz koncentracyjny. To po prostu nie jest prawdą. Niektóre z moich utworów satyrycznych najpierw w Rosji w formie publicznych wykładów. Na przykład przedstawiłem rozdział z *Przestępnych wyżyn* i to rozdział akurat o przywództwie, w formie wykładu dla Akademii Wojskowej. W audytorium było 200 generałów i wszyscy bili brawa. Czegoś takiego nie można robić w obozie koncentracyjnym. Uważam istnienie systemu radzieckiego za naturalny fakt. Moim problemem jest określenie tego, jak żyć w tym społeczeństwie.

G.U.: *Przypuśćmy, że przywróconoby panu stanowisko profesora na Uniwersytecie Moskiewskim i dyskretnie wybaczone odejście od ortodoksji. Czy wróciłby pan wówczas do Związku sowieckiego?*

A.Z.: Wrócił bym natychmiast. Ale proszę zrozumieć - chociaż byłem (co już kilka razy podkreślałem) zajadym oponentem Stalina i stalinizmu, przecież całym sobą żyłem w tym środowisku. Walczyłem w obronie radzieckiego systemu, którego przywódcą był Stalin i walczyłem z zapałem. W tym samym czasie byłem tak przeciwny samemu Stalinowi, że planowałem zamach na niego.

G.U.: *Naprawdę?*

A.Z.: Tak, chociaż ilekroć moi dowódcy rozkazywali mi ryzykować życiem za Stalina, wykonywałem rozkaz bez wahania.

G.U.: *Przypuśćmy, że po powrocie do ZSRR i ponownym włączeniu się do swego kolektywu, znów popadłby pan w konflikt z systemem i został sankcjonowany w szpitalu psychiatrycznym. Czy wówczas uważałby pan siebie za osobę psychicznie normalną, niestwierdzoną za nienormalną bądź szaloną?*

A.Z.: Nie, wcale bym tak nie pomyślał. Po prostu byłbym nienormalny.

G.U.: *Nie dajmy się znów zaplątać w dyskusję o normalności. Byłby pan uważany*

żony za całowita nienormalnego tylko w takim sensie, w jakim władze władze sowieckie określały tym mianem każdego człowieka, który próbuje reformować społeczeństwo sowieckie. Ale przecież pan nie przyjąłby takich kryteriów. Pan sam czuły, że jest całkowicie normalny i to właśnie system jest nienormalny, prawda?

A.Z.: Czyżby pan nie dostrzegał, że to ja byłbym nienormalny z punktu widzenia systemu, w którym normalna jest jego akceptacja? Byłbym anomalia w systemie.

G.U.: Ale czy pan, w głębi ducha, uważałyby siebie za psychicznie chorego?

A.Z.: Byłbym świadom faktu, że z punktu widzenia systemu jestem nienormalny. A ponieważ w systemie radzieckim nie ma innego punktu widzenia, musiałbym żyć ze świadomością, że jestem zboczony.

G.U.: Nawiązując pan w pewnym sensie do słów Nikity Chruszczowa, który powiedział: "Przestępstwo jest odejściem od ogólnie przyjętych norm postępowania; często określamy je mianem zaburzeń umysłowych. Stan umysłów ludzi nawiązujących do opozycji wobec komunizmu jest w sposób oczywisty nienormalny." Nie określałbym zbyt dużo mówić na ten temat, ale właśnie owa nienormalność, która sprawiła iż napisał pan Przepastne wyżyny i inne znane utwory satyryczne o sowieckim społeczeństwie, gwarantuje w naszych oczach pańską normalność. Podziwiamy pańską inteligencję i odwagę, ponieważ pisał pan te książki pomimo nacisków ze strony sowieckiego otoczenia, a właśnie to otoczenie uważamy za chore. Czy zdolał pan zakłonić do stwierdzenia, żeby już sięgnąć do bardzo prostego języka, że czuje pan naprawdę to samo co my? Gdyby tak bowiem nie było, musiałbym przyjąć, że nie potrafi pan dokonać rozróżnień między sobą, a przedmiotem swych badań.

A.Z.: Społeczeństwo radzieckie jest jednocześnie przedmiotem moich badań i moim naturalnym środowiskiem. Moje książki wraz z ich autorem są nienormalnym zjawiskiem w kontekście życia radzieckiego.

G.U.: Ale czy uważałyby pan siebie za chorego, czyli słusznie osadzonego w szpitalu psychiatrycznym?

A.Z.: W danym i jedynie możliwym kontekście, tak.

G.U.: Przecież rozmawiamy teraz na Zachodzie, w Szkocji, z dala od tamtego kontekstu. Znajduje się tu pan właśnie dlatego, że odrucił pan tamten kontekst.

A.Z.: Pana pytanie jest bezzasadne poza kontekstem radzieckiego społeczeństwa. Nie mogę więc dać panu odpowiedzi poza kontekstem systemu radzieckiego. Szkocja to nie Związek Radziecki.

G.U.: Więc według pana niezależna moralność, istniejąca poza systemem, nie istnieje?

A.Z.: Nie istnieje dla kogoś, kto żyje wewnątrz systemu. Moralność zależy od całokształtowego wpływu środowiska. Biedacy nie mogą być bardzo moralni. To samo dotyczy Człowieka Radzieckiego.

G.U.: Uświęcony przez czas kasanda Lenińska?

A.Z.: Po prostu opis rzeczywistości radzieckiej, która jest rzeczywistością niemoralną, tylko gdy patrzy się na nią z zewnątrz. Zachodnia moralność nie obowiązuje w radzieckim systemie.

G.U.: Zaczynam opadać z sił pod naciskiem pańskiej dialektyki. Wiersz widzieli pan Stalina, a mimo to kochał go pan. Był pan gotów zabić go, ale równocześnie był pan gotowy zginać za niego. Andriej Amalnik kiedyś powiedział, że całe społeczeństwo sowieckie jest psychicznie nienormalne. Teraz widzę, co miał na myśli.

A.Z.: Ja opisuję bardzo normalne zjawiska radzieckie. Walczyłem w obronie Stalina kiedy wymagały tego moje obowiązki oficerskie. Byłem gotów poświęcić moje życie za Stalina, za dowódców i towarzyszy. Kiedy się osiągnie pozycja oficera lotnictwa, chce się być dobrym oficerem.

G.U.: Sądzę, że włódamu człowiekowi, który jest pełen życia, takim tego wszystkiego, co życie może mu przynieść, służba wojskowa może sprawić przyjemność bez względu na to, w czyich rękach spoczywa kierownictwo polityczne nad armią. Chyba każdemu z nas nieobca była kiedyś chęć sprawdzenia się w pełni wśród rówieśników. Przypuszczam, że podobna chęć pomądzawała patetkim zachowaniem w okresie stalinowskim.

A.Z.: Tak, to prawda.

G.U.: Czy kiedykolwiek wydał pan sobie pytanie, czy walczy pan w obronie Rosji, czy też komunizmu uosobionego w Stalinie?

A.Z.: Nie. Moim obowiązkiem było wykonywać rozkazy. Niemcy byli moimi wrogami. Moim zadaniem było walczyć z nimi - i ramię to z przyjemnością.

G.U.: Czy zgodziłby się pan z twierdzeniem, że nie ma pan żadnych podstaw moralnych, żeby potępić większość żołnierzy niemieckich, którzy walczyli za Hitlera argumentując zupełnie tak samo - że w czasie wojny należą wykonywać rozkazy i służyć się ich obywatelnie, ponieważ głównym obowiązkiem jest obowiązek względem ojczyzny, dowódców i towarzyszy, bez względu na to, czy się spróbuje czy nie samych przynajmniej.

A.Z.: Te dwie rzeczy są nieporównywalne. Poza tym natychmiast po zakończeniu wojny podjąłem krytykę systemu radzieckiego i stworzyłem najostrejszą wizję krytyczną systemu w ZSRR. Musi pan jednak pamiętać, że moja krytyka wypływa z wnętrza systemu. System radziecki to mój dom, moja rodzina, moje życie. Na dobre i złe byłem jego częścią. Nie byłem władny tego zmienić. Mam córkę - może być dobra czy zła, mądra czy głupia, ale czy będę kochał ja mniej, jeśli okaże się głupia lub zawiedzie moje nadzieje? Oczywiście, że nie.

G.U.: Włóć wyznać, nie chce pan, żeby obalono system sowiecki?

A.Z.: To mnie nie interesuje. Widzę jednak przy tym poważne niebezpieczeństwo, jakie system radziecki gromadziła wobec świata zachodniego i chce pomóc w uniknięciu tej groźby. Jestem przede wszystkim Rosjaninem i chciałbym widzieć naród rosyjski szczęśliwym i bogatym. To jednak wymaga dezintegracji radzieckiego imperium. Edaje sobie z tego sprawę.

G.U.: Chce pan być środkiem końca imperium lecz nie systemu komunistycznego.

A.Z.: Ponieważ chce, aby naród rosyjski uzyskał niepodległość jako suwerenne państwo, musi mieć nadzieję na zniesienie imperium radzieckiego, zaś system komunistyczny to odrębne zagadnienie.

G.U.: Czy pana Rosja obejmąby Ukrainę?

A.Z.: Nie. Pozwoliłbym Ukraincom rozwiązać swoje problemy w takich ramach, w jakich chcieliby to zrobić. Jedyne co mnie interesuje, to przyszłość narodu rosyjskiego. Jestem rosyjskim pisarzem i piszę dla rosyjskich czytelników.

ników. Chciałbym, aby moi współcześni mogli czytać moje książki. Chciałbym, żeby naród rosyjski był wykształcony, kulturalny, pełen wiary w siebie - tak by mógł uczestniczyć w bogactwie kultury światowej i sam ją wzbogacać. Chciałbym wydobyc Rosjan z wielowiekowego zacołania i zniewolenia. Naród rosyjski nigdy nie osiągnie tego wszystkiego wchodząc w skład imperium radzieckiego.

G.U.: Powiedzieli pan, że "system to odrębne zagadnienie". Czy twierdzi pan, że system komunistyczny przetrwałby nawet gdyby imperium sowieckie zostało zniszczone lub rozpadło się z powodów wewnętrznych?

A.Z.: Tak, uważam, że system przetrwałby. Jestem przekonany, że system komunistyczny ma przed sobą przyszłość. Więcej, że ostatecznie obejmie całą ludzkosć. Ale imperium radzieckie musi zginąć.

G.U.: Czy chciałby pan, aby porażka militarna sowieckiego imperium przyczyniła się do wyzwolenia narodu rosyjskiego i powstania niepodległego rosyjskiego państwa narodowego?

A.Z.: Nie chodzi o to, czego ja bym chciał. Jestem pewien, zupełnie pewien, że w III wojnie światowej zarówno Związek Radziecki, jak i USA muszą ponieść klęskę, choć każde z tych państw w odmienny sposób. ZSRR nieuchronnie rozpadłby się na szereg małych i średnich państw. Jestem przekonany, że byłoby to dobre nie tylko dla tych narodów, ale i dla całej ludzkości. Radzieckie imperium w swym obecnym kształcie jest dla Zachodu bardzo niebezpieczne. Ciągłe wracam do tego zagadnienia, ponieważ Zachód nie docenia potęgi przeciwnika. Jako machina wojenna ZSRR korzystnie prezentuje się na tle Zachodu, gdyż jest w stanie nieustannej mobilizacji. Ma możliwość zniszczenia Europy Zachodniej. Może też zniszczyć USA, choć w razie takiego konfliktu sam ulegnie zniszczeniu.

G.U.: Mówi pan tak, jakby III wojna światowa była nieunikniona.

A.Z.: Jestem pewien, że jest nieunikniona.

G.U.: Czy w przeciągu najbliższych dziesięciu lat?

A.Z.: Nie jestem w stanie przewidzieć terminu, ale jedno mogę powiedzieć, to Związek Radziecki będzie inicjatorem jakiegokolwiek przyszłej wojny światowej. Słowa inicjator używam świadomie. Nie twierdzę, że Związek Radziecki wojnę rozpocznie - ale że doprowadzi do niej wywołując niepokoje w jednym miejscu, podsycając nastroje antyzachodnie w drugim itd. Taka właśnie politykę prowadzi w Angoli, Etiopii, Afganistanie, a ostatnio w Ameryce Środkowej, zmierzając etapami do wojny. W czasie konfliktu irańskiego Kremł niegłównie powtarzalną szansę uderzyć w Zachód z pozycji siły i nie wykorzystał jej. Teraz będzie potrzebował przynajmniej pięciu lat, by skoncentrować swą atuty w rozgrywek z Zachodem w punkcie, w którym Zachód jest najsłabszy. Nagłe przebrojenie sił zbrojnych USA oraz wrażliwość na Zachodzie świadomość realności zagrożenia radzieckiego mogą powieścić szyki Kremlowi. Chciałbym jednak zaznaczyć, że rząd radziecki może poczekać. Jeżeli układ sił nie będzie faworyzować strony radzieckiej za powiedzmy pięć lat, przywódcy radzieccy będą czekać, aż jakiś kryzys na Zachodzie nie otworzy im drogi. Imperium nie jest przypadkowym agresorem. Jego ekspansjonizm wynika z samej natury obowiązującej w ZSRR filozofii i nie podlega zmianom. Taktyczne opóźnienia są możliwe; trwałe zmiany - nie.



## 5. W STANIE WOJNY ZE ŚWIATEM

G.U.: *Mówił pan o układzie. Według najbardziej rozwiniętego poglądu na Zachodzie jesteśmy słabo przygotowani do jakiegokolwiek konfrontacji ze Związkiem sowieckim. Czy pan podziela ten pogląd?*

A.Z.: I tak, i nie. Każdy system ma swoje mocne i słabe strony. Zachód składa się z odrębnych państw mających własne interesy i tradycje. Do pewnego stopnia łączy je NATO, ale ich współpracy militarnej nie można porównać z wysoce scentralizowaną, totalitarną strukturą Związku Radzieckiego. Z drugiej strony Zachód jest bardziej elastyczny, łatwiej przystosowuje się do zmian sytuacji i jest bardziej pomysłowy. Mój pięcioletni pobyt w Europie Zachodniej przekonał mnie, że kraje zachodnie są tak elastyczne i posiadają tak kolosalne rezerwy w zakresie twórczego myślenia zarówno w sferze militarnej, jak ekonomicznej i kulturalnej, że zachodni styl życia przetrwa wszystko, co może go doświadczyć włącznie z radziecką okupacją w razie przegranej wojny. Kiedy żyłem w Rosji, byłem przekonany, że jesteśmy ogólnie rzecz biorąc lepiej przygotowani do wojny niż nasi przeciwnicy. W tej chwili już nie jestem tego tak pewien. Cywilizacja zachodnioeuropejska jest żywym organizmem. Może przetrwać ciężkie czasy, dojść do siebie po chorobach i rozwinąć się w bardzo wielu nowych kierunkach. Nawet komunizm przyjąłby bardziej cywilizowane, liberalne formy, gdyby kiedykolwiek ogarnął Europę Zachodnią.

G.U.: *Czy twierdzi pan, że "zachodni styl życia" przetrwałby przegraną wojnę mimo upadku naszego zachodnioeuropejskiego porządku społecznego?*

A.Z.: Uważam, że zachodni typ liberalnej demokracji nie będzie istnieć długo bez względu na to, czy wojna wybuchnie czy nie. Myślę jednak, że zachodnie formy socjalizmu i komunizmu będą znacznie różnić się od tego, co mamy w ZSRR. Nie można zmusić Francuzów, Włochów czy Amerykanów do życia w takich warunkach, w jakich żyją Rosjanie. Nie będą tolerowali obozów pracy przymusowej, cenzury, nędznych warunków życia, tresury ideologicznej itd. Po prostu nie zaakceptują tego.

G.U.: *Mówi pan jak eurokomunista...*

A.Z.: Nie. Po prostu odpowiadam na pytania.

G.U.: *Przedstawił pan dość optymistyczną wizję siły i elastyczności społeczeństwa zachodniego. Co mógłby pan powiedzieć o Związku sowieckim? Kilkakrotnie poutawał pan, że jest on zagrożeniem dla świata zachodniego.*

A.Z.: Również tutaj musimy porównać słabe i mocne strony systemu. ZSRR jest silny, ponieważ jest w stanie ciągłej mobilizacji, jest obozem wojskowym. Wszyscy sprawni mężczyźni oraz kobiety wchodzi w skład wyszkolonej rezerwy sił zbrojnych. W przypadku mobilizacji nie trzeba im mówić dokąd mają iść, co robić. Oni to wiedzą, ponieważ mają za sobą całe lata instruktazu i dyscypliny.

G.U.: *Właśnie przeczytałem broszurę generała Ugarkowa wywołującą obywateli sowieckich, aby przygotowali się fizycznie i psychicznie na wypadek wojny totalnej...*

A.Z.: Tak, ale nawet tego nie trzeba robić, bo życie codzienne ZSRR to życie pułkowe, na które składają się uwarunkowania ideologiczne, instruktaz paramilitarny itd. Niezmiernie jest i zawsze był w stanie wojny ze światem nieradzieckim. Jest to część jego niezwykłych cech.

G.U.: I wszystko to przyczynia się do wielkiego potencjału militarnego sowieckiego systemu...

A.Z.: Tak, ale ta potęga nie jest trwała i nie może ulec przetworzeniu na efektywny ekspansjonizm. Może zacząć od tego drugiego zagadnienia.

Kiedy zachodni sowietolodzy badają militarny potencjał Związku Radzieckiego, nie biorą pod uwagę nadzwyczaj istotnego czynnika ludzkiego i cech charakteru narodowego Rosjan. Kraj zamierzający podbić świat potrzebuje ludzi, którzy nadają się na władców świata. Potrzebuje ludzi, którzy (słusznie czy niesłusznie) czują się lepszymi od reszty ludzkości oraz są oddani i gotowi do poświęceń. Potrzebuje ludzi, którzy rozumieją, że ich obywateli i ich krajów nie należy traktować jak kolonii. Brytyjczycy i nieco w inny sposób Niemcy oraz Francuzi posiadają te cechy. Narod rosyjski nie ma tych cech. Nie jest narodem panów. Historia zawsze stawiała Rosjan w rzędzie przegranych. Nie ożywia ich konieczność spełnienia misji imperialnej. Nie czują też, w przeciwieństwie do Francuzów, że mają prawo narzucania swojej kultury narodom, którym wiodło się gorzej. Ale zachodni badacze spraw radzieckich, zapatrzeni w swoje dokładne tabele, modele i statystykę, nie rozumieją tej podstawowej cechy rosyjskiej psychiki i historii.

G.U.: Zastanawiam się, na ile orientuje się pan, co zachodni badacze powiedzieli na ten temat. George Kennan na przykład, w czasie mojej z nim rozmowy w 1976 roku wyraził opinię prawie identyczną z tym, co pan przed chwilą powiedział:

Nie przyznają Rosjanom politycznych i ideologicznych zdolności do kontrolowania setek milionów Zachodnich Europejczyków, którzy - ze względu na swoją liczebność, tradycje i doświadczenia - byłoby znacznie mniej podatni na kontrolę niż narody Europy Wschodniej(...) Niemcy byli znacznie bardziej efektywni, mieli lepszych administratorów i więcej pewności siebie, aniżeli Rosjanie w jakimkolwiek okresie. Kiedy podbijali jakieś kraj mieli do dyspozycji ludzi znających miejscowy język, mogli natychmiast przejąć koleje i system komunikacji. Byli nie tylko kompetentni w wielu sprawach, ale posiadali też na tyle dużo wiary w siebie, że potrafili wymusić, do pewnego stopnia, respekt dla siebie u podbitych narodów. Rosjanie nie byłoby w stanie osiągnąć żadnego z tych celów.

Można cytować podobne wypowiedzi wielu zachodnich historyków.

A.Z.: No tak, jeżeli Kennan powiedział, że wszystko niezależnie od moich obserwacji, to tym lepiej. Należy pamiętać, że Rosjanie nie są narodem panów.

G.U.: Ale czy nie sądzi pan, że dziesiętnastowieczni siewianofile myśleli o Rosji, że cała ich filozofia usparta była na przeświadczeniu, iż naród ten, jeśli nie do spełnienia na świecie misji - misji mesjanistycznej?

A.Z.: Tak właśnie twierdzili, ale to przeświadczenie było i nadal jest nieuzasadnione. Wspomniana misja zakłada kulturalną wyższość, a tego właśnie Rosjanie narodowi rosyjskiemu brakowało. Bez tej wyższości i przekonania, że mają prawo i obowiązek ją podkreślać, jakimkolwiek misyjny imperializm nie może przetrwać. Naród rosyjski jest leniwy, słabo zorganizowany, pozbawiony poczucia dyscypliny oraz samodyscypliny. Szczególnie wyraźnie widać w nim brak woli kontrolowania innych narodów i przewodzenia światu. Jest dostatecznie silny, aby uniemożliwić Amerykanom przejęcie kontroli nad światem, ale sam nie jest w stanie narzucić własnej kontroli.

W tym kontekście warto wspomnieć o słynnym powiedzeniu: "Naród nasz wtedy, gdy pał-

Przebieg, September 1976

Rozmowa z G. Urbanem - Encounter, May 1981, oraz Z. Brzeziński Trogiczy-  
 1981, Wydawnictwo sowietologiczne, Przegląd Polityczny nr 4

niz jeszcze swoje funkcje, jak i potem, wyjaśniając amerykańskim neoinstancjonalistom, że nie ma innej możliwości, jak amerykańskie przywództwo światowe.

A.Z.: Aby uwierzyć w rosyjską nieumiejętność lub niechęć do narzucenia swego przywództwa, trzeba najpierw tej niechęci doświadczyć. Pamiętam, że w okresie pełnienia funkcji wojskowych sam nie byłem w stanie narzucić swojej woli podwładnym. Mógłby pan teraz pomyśleć, że miałem pod swoją komendą całą eskadrę. I tu by się pan pomylił. Miałem trzech, dosłownie trzech ludzi do swojej dyspozycji i nie byłem w stanie powiedzieć im, co mają robić. Każdy z nich robił co chciał. Później, w Moskwie, byłem przez krótki czas przewodniczącym uniwersyteckiego kolektywu, ale zrezygnowałem z tej funkcji, ponieważ zupełnie nie nadawałem się do jej pełnienia.

G.U.: W jakim sensie?

A.Z.: Nie byłem w stanie kontrolować członków kolektywu. Ponadto wcale nie chciałem ich kontrolować. Widzi pan, jestem typowym Rosjaninem. Nigdy nie chciałem nikogo do niczego zmuszać. Wiedziałem, że wszyscy mają inne skłonności i potrzeby psychiczne. Po co miałbym trzymać ich na uwięzi? Pewien jestem, iż zgodzi się pan ze mną, że taka postawa nie charakteryzuje imperialnej ekspansji czy też Radosnych Imperialistów.

G.U.: Mimo to, kiedy po koniec wojny Armia Czerwona posuwała się na zachód, sporo mówiono na wszystkich szczeblach sowieckich sił zbrojnych o niestosowaniu anglo-amerykańskich linii i "parcie w kierunku Atlantyku". Czy tak popularny wówczas slogan nie wyrażał ambicji imperialnych?

A.Z.: To dwie różne sprawy. "Parcie w kierunku Atlantyku" było hasłem krążącym w Armii Czerwonej - a my w tej chwili rozmawiamy o charakterze narodu rosyjskiego. Nie wszystkie jednostki radzieckie składają się z Rosjan; dowództwo sił zbrojnych w większości stanowią Ukraińcy. Po drugie, hasło to stworzył Stalin, a więc Gruzin. Nie można więc twierdzić, że to "parcie" wyrażało rosyjskie ambicje imperialne. Cała ta idea jest w ogóle groteskowa, jako że pojęcie podboju światła nie wchodziło w skład instruktażu psychologicznego Armii Czerwonej. Tamta wojna była wojną obronną. Nie byliśmy przygotowani do najazdu na Europę Zachodnią.

G.U.: A gdyby w warunkach zagrożenia wojennego objął władzę na Kremlu nowy silny przywódca na modłę Stalina? Czy nie sdołałby poprowadzić entuzjastycznego Imperium i entuzjastycznej Armii Czerwonej (ożywionej podobną motywacją jak ta, która inspirowała pana w czasach walki z Hitlerem) w kierunku imperialnego ekspansjonizmu pod hasłem obronności? A czy wówczas automatycznie ów ekspansjonizm nie przybrałby charakteru rosyjskiego?

A.Z.: Osobowość podobna do Stalina nigdy nie dojdzie do władzy w ZSRR. Stalin był wyjątkowym zjawiskiem. Był dzieckiem Rewolucji, reprezentował młodość społeczeństwa komunistycznego i był dla nas niewątpliwie największym człowiekiem XX wieku. Lenin zrodził Rewolucję, ale dopiero za Stalina zaczęła się ona rozwijać, przeżywać radość istnienia i dążenia do często niemożliwych celów - podobnie jak to robiło wielu młodych ludzi we wszystkich epokach wszystkich cywilizacji.

G.U.: Czy przypadkiem nie chodzi panu o to, że stalinizm był koszmarem dla tych, którzy się wewnątrz zaplątali, ale pan miał wtedy osiemnaście lat, trochę pieniędzy brzęczało po kieszeniach, słonce świeciło, a dziewczyny były ładne?

A.Z.: Pańska wyobraźnia jest płodniejsza od mojej dialektyki.

G.U.: Powiedział pan przed chwilą, że sowiecka potęga nie jest trwała.

A.Z.: Sugerowałem, że podczas gdy społeczeństwo Zachodu można porównać do zdrowego organizmu w pełni sił, system radziecki jest chory i łatwo może paść w chorobę śmiertelną, ponieważ draży go rak społeczny. Społeczeństwo radzieckie jest pozbawione sił twórczych i hierne kona.

G.U.: Znów trudno mi wadzić za pana dialektyką. Powtarzał pan kilkakrotnie w czasie tej rozmowy (jak również w swoich książkach), że system sowiecki jest nadzwyczaj silny, że jego potencjał militarny jest niedoceniany na Zachodzie i że jest on praworem systemu społecznego, który kiedyś obejmie całą ludzkość. Teraz pan mówi, że system sowiecki toczy rak. Czy mógłby mi pan pomóc w zrozumieniu swojej argumentacji? Jeśli system sowiecki jest tak silny, to dlaczego jest tak słaby?

A.Z.: To zbyt obszerne zagadnienie. Przyszłość i natura społeczeństwa radzieckiego to temat na inną rozmowę.

## 6. KLAMSTWO JAKO SPOSOB ŻYCIA

G.U.: Przyjmęmy, że jest luty 1917 roku i pan dokładnie orientuje się jakże ofiary pociągnięte za sobą Rewolucja Październikowa: wojna domowa, masowe mordy związane z kolektywizacją i wielkim terrorem, Archipelag GULag, dojście Hitlera do władzy dzięki błędowi Stalina, który mylnie zanalizował stan Republiki Weimarskiej i tak dalej. Czy wówczas ciągle pragnąłby pan Rewolucji Październikowej? Pan sam sudał to pytanie w swojej książce Światłana przyszłość, ale pana odpowiedź była dwuznaczna.

A.Z.: Tak, walczyłem w obronie Rewolucji i dzisiaj i jutro. Napisałem całą książkę na temat mojej opozycji wobec stalinizmu (wyszła w druku po rosyjsku w lutym 1983 r.). Ale gdyby postawiono mnie przed wyborem życia w naprawdę strasznej epoce stalinowskiej albo w jakimś spokojniejszym i wygodniejszym okresie, bez wahania wybrałbym okres stalinowski.

Nie chcę się za bardzo powtarzać; powiem więc tylko raz jeszcze, że okres stalinowski był epoką pełną idealizmu, poświęcenia, a nawet heroizmu. Mieliśmy cel w życiu i dążyliśmy do niego. Nieczęsto w historii to się zdarza.

G.U.: Ale w jaki sposób może pan z jednej strony odtwarzać sobie krzyki torturowanych i umierających, egzekucje przez powieszenie i rozstrzelania, które - jak pan sam powiedział - dziesiątkowały pana naród za czasów Stalina i Lenina, prowadząc do większej ilości ofiar niż obony koncentracyjne, a z drugiej strony twierdzić, że walczyłby pan w obronie Rewolucji Bolszewickiej od nowa?

A.Z.: Zdarzenia które pan opisuje były tragiczne, ale nie przestępstwa. Rewolucja przyniosła ze sobą wykształcenie, zdrowie, awans społeczny i nowy porządek. Mówiliśmy już o tym przedtem. Niektórzy ludzie ginęli, inni wychodzili na swoje. Gdyby porównał pan ilość tych, którym Rewolucja stworzyła nowe możliwości, z tymi dla których oznaczała tragedię, to zdziwiłby się pan jak kolosalnie liczba korzystających z Rewolucji góruje nad liczbą tracących.

G.U.: Więc ofiary ludzkie były całkowicie usprawiedliwione?

A.Z.: "Ofiary ludzkie" to określenie o treści moralnej i jako takie nie może znaleźć zastosowania, gdy mówimy o historii. Moralność w ogóle nie wchodzi tu w rachubę. Historia rozwija się tak jak się rozwija. Moje zadanie polega na opisanie tego stanu rzeczy i przeanalizowaniu jego konsekwencji...

G.U.: Z punktu widzenia Człowieka sowieckiego...

A.2.: ... z punktu widzenia kogoś, kto narodził się w społeczeństwie radzieckim i wie, że nie można go zniszczyć nawet w ciągu tysiąca lat. Musimy je zaakceptować, próbować je poprawić i koegzystować z nim w miarę naszych możliwości. Tylko to mnie interesuje i tylko to interesuje ludzi radzieckich.

G.U.: Wydaje mi się, że jest pan podwójnie zaangażowany w system sowiecki: emocjonalnie i intelektualnie. Odnoszę wrażenie, że system pana oczarował niczym jakiś niezmienny, podstawowy fakt. Ale czy nasze rozumienie związku sowieckiego może być wzbogacone przez kogoś, kto tak głęboko jest weń zaangażowany, czy też może paradoksalnie właśnie pana głębokie zaangażowanie może naszą wiedzę wzbogacić? W końcu nieczęsto się zdarza, żeby wybitny dysydent przypominał nam o domniemyanych zaletach systemu, przez który został odrzucony. Pozwól sobie zauważyć, że na tym polega szczególna pikanteria sowieckiego stanowiska i pana przepowiednia do sławy. Czy pan jest świadom tej swojej roli? Czy pan celowo przybrał taką postać, aby odeparować się od innych wygnańców sowieckich i zagwarantować sobie miejsce na szpaltach gazet?

A.2.: Jestem Człowiekiem Radzieckim i naukowcem. Pochlebiam sobie, że wiem, o czym mówię. Nie do mnie należy rozsądzanie tego, czy pomagam wam w zrozumieniu systemu ze względu na to co mówię, czy też dlatego, że ja to mówię.

Fakty są bardzo proste. Możemy założyć, że z praktycznego punktu widzenia system radziecki będzie trwał do końca historii ludzkości. Pytanie, które muszę sobie zadać nie brzmi więc: jak pozbyć się tego systemu. Wiem, przeciwnie, że to jest niemożliwe. Powinienem więc raczej pytać: jak wymusić na systemie, aby poprawił sytuację mieszkaniową, dostarczył więcej żywności, poprawił kanalizację w moim mieście, itd. To są pytania znaczące. A państwo, partia? Można równie dobrze martwić się głębokością morza lub ludzką śmiertelnością.

G.U.: Odsie podział się rosyjski idealizm? XIX-wieczna historia pańskiego kraju i rosyjska XIX-wieczna literatura obfitują w młodych ludzi, których spała altruistyczne (i często oderwane od życia) pragnienie, aby ratując naród rosyjski i całą ludakość uspokoić własne sumienie. Wasza Rewolucja październikowa byłaby nie do pomyślenia bez nich. I oto znany rosyjski matematyk i filozof, który zdobył uznanie w świecie swoimi satyrycznymi utworami o sowieckim społeczeństwie, mówi nam, że wszelkie zmiany w tym systemie należy ograniczyć do ulepszenia systemu kanalizacyjnego! Niech pan wyobrazi sobie, co powstędnataby na to Wiera Zasułicz?

A.2.: Ależ to, co było możliwe przed Rewolucją, jest często teraz niemożliwe. Trudno zachować postawę idealistyczną, gdy stoi się na drodze pędzącego 50-tonowego samochodu ciężarowego. Dla nas czynniki materialne, które porusza pan z takim lekceważeniem, nie są trywialne. Kiedy głównym problemem staje się dodatkowe 5 metrów kwadratowych powierzchni życiowej, lub dostęp do sklepu z żywnością, czy też uzyskanie lekarstwa, bez którego pana dziecko umrze, wtedy to, co wydaje się trywialne obserwatorom zachodnim nabiera kolosalnego znaczenia.

G.U.: System więc osiąga swój cel - pewność przetrwania, po prostu utrzymując naród w nędzy.

Wielu socjologów twierdzi, że bieda rodzi niepokój i rewolucję, inni utrzymują, że paraliżuje wolę i wywołuje apatię. sowiecki przypadek, tak jak pan go przedstawił, wydaje się wspierać tę drugą tezę. Jeśli tak, to kwestionowanie systemu na jego obraźkach niczego nie zmieni. Tylko całkowita zmiana mogłaby...

A.2.: To, jak już mówiłem, należy wykluczyć nawet gdyby doszło do wojny.

Nedza w Związku Radzieckim jest wielka, dostawy żywności i innych produktów są mniejsze, niż w jakimkolwiek okresie od czasu II wojny światowej. Trudno sobie wyobrazić, że mogłoby być jeszcze gorzej. Wszystko to oczywiście ogranicza zapędy reformatorskie i nakierowuje ludzi na zaspokajanie swoich doraźnych potrzeb. Wola osiągnięcia wyższych wartości jest sparaliżowana, co przy totalitarnym charakterze państwa komunistycznego, oznacza paraliż idealizmu i millenaryzmu typu XIX-wiecznego.

Proszę sobie wyobrazić, ile wysiłku poświęca przeciętny radziecki student lub nauczyciel poprawie swojej sytuacji poprzez dostanie się na studia doktorskie, czy też uzyskanie stanowiska docenta. Na pewno nie będzie chciał kwestionować systemu uniwersyteckiego, a tym bardziej radzieckiego. Dla niego oba te systemy są jak najbardziej odpowiednie. Cóż więc będzie robił? Podejmie małe i przemysłne kroki wewnątrz systemu. Będzie starał się przekonać swoich zwierzchników, że jest najodpowiedniejszym człowiekiem do uzyskania awansu. A jak to zrobić? Będzie ofiarowywał "prezenty", czy wręcz łapówki odpowiednim ludziom, a nawet pisał donosy. Sporo pisałem na temat łapówek w książce  *homo Sovieticus*. Niech mi wolno będzie tylko dodać, że pisanie donosów jest przyjętą powszechnie praktyką w radzieckim społeczeństwie. Jest naturalnym sposobem życia. W twardej walce o przetrwanie można używać wszelkich środków. To, co się liczy dla przeciętnego radzieckiego obywatela, to żywność, mieszkanie, ubranie, buty, zdrowie i awans. Nie ma tu miejsca na idealizm, który motywował młodych Rosjan w XIX wieku.

G.U.: A co się stało z tradycyjnym dla Rosjan zainteresowaniem prawdą, z odnową przyjmowania kłamstwa podsuwanych przez władzę?

A.Z.: Gdyby jakiś student publicznie wyraził opinię, że system radziecki lub partia wspiera się na kłamstwie, zostałby natychmiast usunięty z Komsomolu. Naraziłby się na poważne kłopoty z otrzymaniem pracy. Ta droga nie jest więc dla niego otwarta. W zasadzie większość młodych w pełni akceptuje system włącznie z oficjalnymi kłamstwami, chociaż niektórzy mogą mieć krytyczne spojrzenie na ten czy inny aspekt systemu.

G.U.: Aleksander Sołżenicyn umieścił "potrzebę odejścia od kłamstwa" na czele swoich priorytetów. Czy pan zgodziłby się z nim?

A.Z.: To zupełnie idiotyczne wymaganie. W systemie radzieckim nie sposób żyć bez kłamstwa. Ale musimy najpierw przyjrzeć się słowu "kłamstwo", żeby zobaczyć co ono naprawdę oznacza. Na Zachodzie "kłamstwo" jest rozumiane całkowicie negatywnie jako zaprzeczenie prawdy. W ZSRR jest inaczej. Jest około 50 tysięcy pisarzy w Związku Radzieckim. Nie mogą pisać "prawdy" w zachodnim pojęciu, ale to co przelewają na papier nie jest też "kłamstwem". Radziecka ideologia i moralność określa granice wewnątrz których pisarz może się poruszać. Musi wyrazić siebie poprzez zaakceptowane pojęcia. Ale klucz do tych pojęć jest dobrze znany czytelnikom, którzy odczytują to, co autor chciał przekazać nawet jeśli zachodniemu obserwatorowi wydaje się iż pisarz dostarczył czytelnikom "kłamstwa". Sołżenicyn bardzo upraszcza to zagadnienie.

G.U.: Powiedział pan minucie temu, że system sowiecki jest naturalnym faktem, którego pan nie kwestionuje. W tej chwili odnośnie wrażenie, że jest czymś więcej - faktem naturalnym popieranym przez pana (jeśli może tak powiedzieć) - a zatem zupełnie nienaturalnym jak na kogoś, kto został tak małostkowo potraktowany przez reżim sowiecki.

A.Z.: To, że zostałem tak potraktowany nie może zmienić mojej oceny systemu. Jak pan sam wie, nigdy nie wahałem się poddawać różnorodnych aspektów systemu ostrej krytyce. Potępiałem braki w zaopatrzeniu żywnościowym, zaniedbujący stan budownictwa mieszkaniowego i wiele innych niedomagań.

Obecnie żyję w Europie Zachodniej. Mam sporo żywności, porządne mieszkanie, trzy garnitury i niech mi pan wierzy, oddałbym to wszystko, a nawet więcej za możliwość włączenia się ponownie do radzieckiego kolektywu.

G.U.: *Co dokładnie pana pociąga w sowieckim "kolektywie"?*

A.Z.: Życie radzieckie jest przesycone poczuciem wspólnego celu i to daje mu trwałą orientację i nową bogatą świadomość. Można czuć wówczas, że poniemo porażek dokądś się zmierza. Nikt na Zachodzie nie jest w stanie odczuwać niczego podobnego.

G.U.: *Poczucie mieć do spełnienia, może nawet fanatyzm?*

A.Z.: Po prostu sposób życia, życia kolektywnego. Homo Sovieticus nie jest indywidualistą, może nawet nie jest jednostką. Przy próbie definiowania go należy zawsze zaczynać od stwierdzenia, że jest członkiem grupy i nie można o nim myśleć w oderwaniu od niej. Na tym właśnie polega moja tragedia na Zachodzie. Nie mam swojej grupy. Jestem rybą wyciągniętą z wody i to samo dotyczy wszystkich wygnańców radzieckich, nawet tych najbardziej rozgorzconych. Bez względu na to, czy żyja w Paryżu, czy w Londynie, niosą system radziecki w sobie.

G.U.: *Pisze pan u Homo Sovieticus, że sowiecki kolektyw jest "najsprawiedliwszym światem". Zazwyczaj nie widzimy w takich barwach sowieckiego Kołchozu czy stachanowskiego oddziału fabrycznego. Wręcz przeciwnie, zwykle uważamy sowiecki kolektyw za jeden z najmniej sprawiedliwych systemów w historii współczesnej, ponieważ utożsamiamy go z życiem regulaminowym, kontrolą myśli, odczuwaniem oraz niską stopą życiową. Czy byłoby mylić się?*

A.Z.: Znowu stajemy przed problemem niezrozumienia. Członkowie prymitywnego plemienia z Polinezji czy Afryki zawdzięczają swoje szczęście całkowitej integracji z kulturą wspólnoty plemienną. Nie funkcjonują jako "jednostki". Pojęcie indywidualizmu byłoby dla nich bez znaczenia. Ludzie radzieccy podobnie uważają za niezrozumiałe zachodnie pojęcie "jednostki" jako osoby obdarzonej prawami i zasługującej na szacunek niezależnie od swojego kontekstu społecznego.

G.U.: *Czy to nie wynika częściowo z faktu, że chrześcijaństwo późno dotarło do Rosji i nigdy nie zapuściło tam korzeni zbyt głęboko?*

A.Z.: To, czy tak było czy nie, nie jest w tej chwili naszym problemem. Pewne jest, że pojęcie jednostki jako dziecięcia Bożego i nośnika wartości nadrzędnej – sumienia, całkowicie zanikło w myśleniu radzieckim. Czy się ludzi radzieckich od dzieciństwa widzieć siebie jako członków grupy i w tej chwili potrafią już tylko w ten sposób czuć i myśleć. Chęć zostania "osobowością" czy "jednostką" odczuwana jest jako ekscentryczność, brak odpowiedzialności i szacunku dla bliźnich. Weźmy mój przykład. W moim Instytucie na Uniwersytecie Moskiewskim znałem wielu ludzi. Byłem świadom ich stosunku do mnie, pozytywnego czy negatywnego, a oni wiedzieli co sądzą o nich. Byliśmy do siebie przyzyczajeni. Byliśmy grupą. Oddałbym życie za każdego z nich. Proszę to porównać z moim obecnym życiem w Europie Zachodniej. Jeżdżę z wykładami do wielu zachodnich krajów, wydaję książki i artykuły, występuję w telewizji. Ludzie piszą o mnie: *Zinowiew to mądry człowiek. Zinowiew to wielki satyryk*, i tak dalej. Dostają nawet listy od wielbicieli. Ale czy to znaczy dla mnie dużo? Nie bardzo. Nic nie znaczy, bo żyję w intelektualnej izolacji, jak większość Francuzów, Amerykanów i Niemców. Każdy w swoim przegrzanym, przemeblowanym osobistym getcie... Każdy walczy z depresją i rozpaczka wynika z przesyty, izolacji i braku wyższe-

go, kolektywnego celu.

Ale gdyby ktoś ze Związku Pisarzy Radzieckich dał do zrozumienia, że uważa mnie za dobrego pisarza, to byłoby dla mnie bardzo ważne.

G.U.: Ależ przecież Związek Pisarzy Sowieckich to ci sami ludzie, którzy uważali pana za społecznika sowieckiego i zniechęcili smuszając do życia na Zachodzie. Jak może pan przyznawać im prawo osądu swoich książek?

A.Z.: Ryba może żyć tylko w wodzie, ptaki tylko w powietrzu. Jestem rybą i należę do stawu radzieckiego. Nie mogę być ptakiem choćbym i próbował. Możecie używać wszystkich sił, by przekonać mnie: Leć z nami. Popatrz jakie piękne niebo, ciesz się blaskiem słońca! I tak nie będę mógł tego zrobić, bo nie jestem ptakiem. Dlatego powtarzam, że pochwała ze strony Związku Pisarzy Radzieckich to jedyne, co się dla mnie liczy. Jestem Człowiekiem Radzieckim.

G.U.: To bardzo dziwne, że po wygnaniu ze Związku Sowieckiego za postawę krytykowską próbuje pan nadal uzyskać aprobatę ideologiczną tych samych ludzi, którzy spowodowali pana "upadek". Tomasz Mann nie starał się aby jego książki pisane w USA były chwalone przez Goebbelsa. Byłby zażenowany, gdyby narodo-socjalistyczni uczeni czy dziennikarze nagle zaczęli obsypywać go pochwałami.

A.Z.: Ludzie radzieccy nie mogą wyzbyć się swej tożsamości. Mogą być dysydentami, mogą żyć za granicą, mogą być od stóp do głów antyradzieccy - ich natura człowieka radzieckiego i tak będzie widoczna we wszystkim, co napiszą i zrobią. Nawet najbardziej antyradziecka literatura pisana jest w łączności z radziecką ideologią, chociażby jako jej odwrótność.

G.U.: Z tego, co pan mówi, wynika, że psychologiczna tresura społeczeństwa była bardziej udana w ciągu 88 lat istnienia systemu, niż wielu z nas by chętnie przyznało. George Orwell chyba w końcu miał rację.

A.Z.: Tak, bez względu na powód, Człowiek Radziecki zawsze pozostaje Człowiekiem Radzieckim.

G.U.: Kiedy mówi pan o "izolacji" człowieka Zachodu w swoim getcie, przybiera pan bardzo ostry ton. Kiedy myślę o milionach obywateli sowieckich, których jedynym marzeniem, zazwyczaj nie do zrealizowania, jest osiągnięcie odrobiny izolacji w postaci mieszkania, paru włączonych pokoi, których nie trzeba dzielić z innymi, pańska krytyka Zachodu nie wydaje mi się zbyt przekonująca. Nie jestem w stanie wskazać sytuacji społecznej, do której powiedzenie Sartrre'a, że Piekło to inni ludzie, pasowałoby lepiej, niż do sowieckiego kolektywu.

A.Z.: Nie zgadzam się. Ale w jednym ma pan rację: im dłużej żyję na Zachodzie i im bardziej moje życie w Związku Radzieckim oddala się w przeszłość, w tym ładniejszych barwach widzę radziecki kolektyw. Zgadzam się, że tendencja do zapomniania o mniej przyjemnych stronach życia kolektywnego musi nieuchronnie odbijać się na moim myśleniu.

## 7. KTO WALCZY O PORÓJ, WOLNOŚĆ LUB ZA OJCZYZNĘ?

G.U.: Jak, według pana, zachowałyby się "sojuszniczne" siły wachodnioeuropejskie, gdyby Związek Sowiecki znalazł się w stanie wojny? Czy dołączyłyby do niego też odcięte od siły sowieckiej?



A.Z.: Zdecydowanie zwiększyłyby one siłę ZSRR.

G.U.: Czy uważa pan, że wojska węgierskie, czeskie i polskie oddałyby dobrowolnie życie, aby wspomóc swych ciemiężycieli?

A.Z.: Ależ to nie jest tak. Weźmy Polskę. Możliwe, że znaczna część narodu polskiego nie jest zadowolona z reżimu socjalistycznego, tak jak to jest w chwili obecnej, ale znaczna większość Polaków jednak akceptuje ten system. W innym przypadku system ten zostałby dawno zniesiony.

G.U.: Mówi pan tak, jakby rok 1956 na Węgrzech i 1968 w Czechosłowacji nigdy się nie zdarzyły, tak jakby Polska nigdy nie doświadczyła stanu wojennego i okupacji nałożonej przez swe władze. Jasne jest, że wschodnioeuropejskie reżimy zawdzięczają swe istnienie ZSRS a nie żadnym innym czynnikom.

A.Z.: Nie docenia pan siły przyzwyczajenia i nienaruszalności pewnych praw. Społeczne status quo w Europie Wschodniej związane jest z prosperowaniem wielkiej liczby czołowych jednostek: biurokracja, klasa urzędnicza, elity profesjonalne zatrudnione przez państwo - wszyscy oni czerpią korzyści z tego status quo. Oligarchia ta z pewnością będzie tkwiła przy Związku Radzieckim tak długo, jak długo będzie przekonana, że ZSRR jest po zwycięskiej stronie.

G.U.: I tu także pańskie przekonania różnią się od opinii poinformowanego Zachodu. Pamiętam jak rozmawiałem na ten temat z Deanem Rusk'iem, poprzednim sekretarzem stanu USA. Wyraził on silne przekonanie, że państwa satelickie znacznie osłabiłyby potencjał militarny Związku sowieckiego przez sabotowanie linii komunikacyjnych, blokowanie oddziałów sowieckich itp.

A.Z.: Niemożliwe byłoby dokonanie żadnej z tych rzeczy. Sabotaż - no cóż, każdy żołnierz w radzieckich siłach zbrojnych sabotuje swój oddział każdego dnia tygodnia. Jest to całkiem normalne w ZSRR - a jednak system trwa.

G.U.: Drobne kradzieże, saniedbania obowiązków, nieubordynacja w czasie pokoju - to jedna rzecz. Inną rzeczą, sądziłbym, jest sabotaż Armii Czerwonej podczas wojny zorganizowany na skalę narodową. Najistotniejsze linie komunikacyjne Armii Czerwonej biegną przez Polskę, Czechosłowację i Niemcy Wschodnie. Oporne polskie lub czeskie społeczeństwo, nie wspominając o sie napoobionej polakiej lub czeskiej armii, mogłoby postawić sowieckich przywódców przed groźnymi problemami. To właśnie, między innymi, miał na myśli Dean Rusk.

A.Z.: Pański scenariusz brzmi dość logicznie na poziomie abstrakcji, ale po bliższym przyjrzeniu się, okazuje się być absurdalny. Wie pan, generałowie Czerwonej Armii nie są kompletnymi gurniami. Polskie, czechosłowackie i wschodnioniemieckie oddziały są tak ściśle powiązane od wewnątrz z oddziałami radzieckimi, że każdy niezależny ruch z ich strony jest faktycznie niemożliwy. Uzależnione są one od sił radzieckich w kwestii dostaw amunicji, wymiany i naprawy sprzętu, żywności i wywiadu. A przede wszystkim, są one częścią w porządku walki i struktury dowodzenia, co eliminuje niesubordynację na dużą skalę, a co dopiero powstanie na skalę narodową.

Pamiętajmy, że w czasie radzieckiej inwazji na Czechosłowację w 1968, siły czechosłowackie, okazały się dobrze wyposażone, były bezradnymi obserwatorami ponieważ, zgodnie ze zintegrowanym planem walki Układu Warszawskiego, były one nakierowane na zachód. Tak czy owak, wojska "sojusznicze" najprawdopodobniej nie będą wykonywały precyzyjnych zadań na linii frontu. Ich zadaniem będzie postępować za radzieckim natarciem, umacniać zdobycze, likwidować opór i dostarczać sił okupacyjnych. Takie działania mogą być

z łaźwością kontrolowane.

G.U.: No co co z Polakami? Czyż i oni nie stanowią poważnego zagrożenia dla sowieckiego? I linii komunikacyjnych?

A.Z.: Wie - siły wschodnioeuropejskie, włączając polskie, zostały starannie wchłonięte przez Armię Czerwoną i nie mogłyby dokonać czegoś takiego. Jest już za późno, stanowczo za późno, aby takie nadzieje mogły być realistyczne.

Oczywiście, gdyby imperium radzieckie zaczęło się rozpaść, czy to w konsekwencji militarnych porażek, czy z powodu wewnętrznej dewintegracji lub w wyniku kombinacji obu tych czynników, Europa Wschodnia ustanowiłaby swoją niezależność i dodałaby swą część do upadku imperium. Wtedy to właśnie, wszystkie czynniki, które pan wymienił, mogą zacząć funkcjonować niezależnie - ale, jak sądzę, nie wcześniej. Europa Wschodnia odzyskałaby swą niezależność w wyniku rozpadu imperium radzieckiego nie będąc jego główną przyczyną.

Pańskie pytania poruszają problem "warunków wystarczających". Do jakiego stopnia lojalność i podporządkowanie się sił wschodnioeuropejskich wystarczą, aby zapewnić gładkie funkcjonowanie radzieckiej maszyny militarnej we wczesnych fazach wojny?

Wzmy, na przykład, moją własną karierę wojskową. Byłem, jak już powiedziałem, stanowczo przeciwny Stalinowi, zarówno podczas wojny jak i później. A jednak walczyłem za niego tak jak wszyscy, ponieważ byłem oficerem lotnictwa Armii Czerwonej - walczyłem za niego jak mogłem najlepiej i z całkowitym poświęceniem. W Polsce mamy poniekąd analogiczną sytuację: Polacy służący w polskich siłach zbrojnych mogą nie lubić Rosjan, polskiego reżimu, zdelegalizowania "Solidarności", bądź cokolwiek innego. Ale są oni wcielonymi w Układ Warszawski. System ma ich w swych szponach i to "wystarczy". Krenl może nie być w stanie spowodować, by siły satelickie proryły ZSRR z entuzjazmem, ale kooperacja bez entuzjazmu też wystarczy.

G.U.: Pozostając przy przykładzie Polski - twierdzono nawet, że ponieważ polskie siły zbrojne, w szczególności oddziały milicji ulicznej ZOMO, nie uważały się nigdy siły przeciwko swym braciom i siostram, tym bardziej nie uważałyby się one skierować broni przeciw Niemcom.

A.Z.: Tak, ma pan rację.

G.U.: Historia wydaje się sugerować, że w obliczu groźby wojny Sojusz Atlantycki chciałby zadbać o to, aby Europa Wschodnia osłabiła siłę militarną ZSRR, nie w zaawansowanym stadium rozkładu Sowietów, ale na początku gry. Czy sądzi pan, że mogłoby to być osiągnięte przez ogłoszenie np. Rumunom i Węgrom, że ten kto pierwszy swóci się przeciwko Związkowi Radzieckiemu będzie miał uprzywilejowaną pozycję w sporach terytorialnych?

A.Z.: Nie, wszystkie rozszczenia wschodnioeuropejskie musiałyby poczekać aż do chwili, gdy los Imperium Radzieckiego zostanie przesądzony lub będzie bliższe określenia. Zanim to się stanie, żadna propaganda nie może być efektywna.

G.U.: Spójrzmy na szanse osłabienia systemu sowieckiego metodami pokojowymi. Krenl, jak wiemy, znacznie przyczynił się do popierania tak zwanych "ruchów pokojowych" na Zachodzie, chociaż nie on je stworzył.

A.Z.: Tak, gdy wszystko zostanie powiedziane i zrobione, "ruch pokojowy" staje się bronią radziecką, niezależnie od tego, że Związek Radziecki może nim sterować tylko pośrednio i niezależnie od tego, ile autentycznej dobrej wiary tkwi w motywach ludzi protestujących na Zachodzie.

G.U.: *Dlaczego kładzie pan nacisk na powiedzenie, że jest to "broń sowiecka"?*

A.Z.: Dlatego, że jest to pole treningowe dla projektowania i przeprowadzania masowych ruchów protestu. Gdy już raz machina ta jest ustawiona i gdy ludzie raz już zostali wyćwiczeni w określonym rodzaju protestu, mogą zostać użyty w innych rodzajach. System radziecki działa na bazie komerek i oddziałów. Kreml jest wysoce świadom konieczności stworzenia podstawowej sieci ludzi o podobnej mentalności, którzy mogą być wykorzystani w osiąganiu radzieckich celów. "Ruch pokojowy" spełnia taką rolę. Jest to kość trojańska, przeciw któremu zachodnie demokracje niewiele mogą zrobić. Nikt nie jest przeciwko "pokojowi", tak jak nikt nie jest przeciwko swej matce.

G.U.: *Czy nie uważa pan, że moglibyśmy eksportować czy też re-eksportować tę propagandową obsesję "pokoju" do Związku Radzieckiego i krajów Europy Wschodniej? Czy nie moglibyśmy powiedzieć Ukraińcom, na przykład, że rozmieszczenie tak wielu rosyjskich pocisków na ich ziemi nie im nie pomoże, jeśli chodzi o przetrwanie w wojnie nuklearnej - dokładnie tak jak sowieccy marszałkowie mówią Niemcom Zachodnim? Czy może pan sobie wyobrazić ukraińskich demonstrantów "pokojowych" maszerujących ulicami Kijowa pod transparentami głoszącymi że Matki ukraińskie nie pozwolą swym synom ginąć w imię wojny Andropowa lub KGB przygotowuje książki aby wyolbrzymić arsenał nuklearny USA i tym podobne?*

A.Z.: To całkiem niemożliwe. Musicie zrozumieć, że żadna siła wewnętrzna nie jest dość silna, aby osłabić obsesję Kremla na tle potęgi militarnej. Gdyby pozwoliła na to radziecka ekonomia, marszałkowie radzieccy wypełnili by każdą chłopską stodołę czołgami i działami samobieżnymi. Dla reżimu, który jest ciągle niepewny swej prawomocności, zarówno wewnętrznej, jak i w skali całego świata, punktem wiary jest to, że potęga militarna musi być maksymalna, bez względu na koszty. Protest wewnętrzny - jeśli w ogóle można by to sobie wyobrazić w warunkach radzieckich - nie miałby jakiegokolwiek siły oddziaływania. Radziecka potęga lub świadomość siły może być tylko ograniczona przez równoważną potęgę o sile równej lub większej. Gdyby radzieckie wejście do Afganistanu napotkało na opór Zachodu, to właśnie mogłoby powstrzymać radziecki ekspansjonizm. Ale "marsze pokojowe"?

Powiedziałem, "jeśli protest wewnętrzny można by sobie wyobrazić" - otóż nie można tego sobie wyobrazić. Wydaje się, że nie jesteście w stanie pojąć do jakiego stopnia radzieckie społeczeństwo jest pasywne i zdyscyplinowane. Jeśli rząd rozkaże ludziom demonstrować na rzecz "pokoju", wyjdą na ulice, będą demonstrować na rzecz "pokoju". Ale jeśli rząd radziecki zarządzi demonstrację na rzecz wojny, ci sami ludzie będą maszerować i demonstrować na rzecz wojny. Nasi ludzie są zrezygnowani. Są obojętni. Nie wierzą, że mogą mieć swą własną wolę lub że mogliby się domagać jej uznania, gdyby ją mieli.

G.U.: *Ale... zakładając silne poczucie odrębności narodowej Ukraińców i pragnąc podważać ich obywatelstwa (jak to jest odczuwane przez wielu z nich) pod dominacją rosyjską... czy nie moglibyśmy delikatnie przypominąć im przez nasze środki informacji: Możecie znaleźć się w ogromnym niebezpieczeństwie, gdyby wybuchła wojna nuklearna, ponieważ na waszym terytorium rozmieszczonych jest tak wiele rosyjskich pocisków. Pokażcie swoją narodową niezależność przez żądanie usunięcia obcych rakiet - zostaniecie przy życiu?*

A.Z.: Byłoby rzeczą bezsensowną i niepotrzebną mówić coś podobnego.

G.U.: *Dlaczego?*

A.Z.: Postawcie się w sytuacji typowego Ukraińca. Niewykluczone, że jego pierwsza reakcja może być pozytywna. Możliwe, że powie on: Tak, musimy pozbyć się tych rakiet. Ale po chwili zastanowienia stwierdzi, że jest bezradny. Jest on częścią grupy Rosjan w swoim miejscu pracy i w dzielnicy, w której mieszka. Straci swą pracę, gdy się choć trochę wychyli i pozbawi się szans na jakiegokolwiek inne zatrudnienie. Otrzyma czarny znak w swej kartotece, o ile nie znajdzie się w więzieniu. Natomiast jeśli zastosuje się do rozkazów władzy wyższej, demonstrując, tak jak mu się każe, czy to na rzecz pokoju, czy wojny - jest pozostawiony w spokoju, na tyle, na ile można być pozostawionym w spokoju w systemie totalitarnym.

G.U.: Maluje pan obraz tyranii bez skazy, w której protest jednostki jest nie tylko niemożliwy, ale i nie do pomyślenia. Dwidzić się należy w jaki sposób reformatorskie ruchy wschodnioeuropejskie, czeskie i polskie zdarały się.

A.Z.: To jest inna sprawa. Ale proszę mi pozwolić kontynuować o Ukraińcach. Prawda jest taka, że naród ukraiński wie wszystko o pociskach rozmieśczonej na ich terytorium i jest świadom niebezpieczeństwa jakie one stanowią. Jak dowiedzieli się o nich? Po prostu, Ukraińcy lubią wędrować, a nie można chodzić na piesze wycieczki po Ukrainie i nie zauważać pocisków dookoła. A poza tym wszyscy mamy krewnych w Czerwonej Armii. Chłopcy przyjeżdżają do domu na urlop i mówią, jak i gdzie broń ta jest rozmieszczona i na jakie cele jest nakierowana. Tak więc jeśli w swojej propagandzie mówicie Ukraińcom, że są oni w ciągłym zagrożeniu, ponieważ mają te pociski na ziemi ukraińskiej, nie mówicie im niczego, czego nie wiedzieliby niezależnie od was.

Ale to nie wszystko. Większość Ukraińców, dostrzegając niebezpieczeństwo, odpowie nam jednym tchem: No tak, ale musimy bronić się przed amerykańskimi, brytyjskimi i francuskimi szantażem nuklearnym. Bez tych pocisków, Amerykanie mogliby nas zniszczyć.

G.U.: Czy nie uważa pan, że Ukraińcy przejawiają tendencję do schizofrenii: że są antyrosyjscy jedna połowa swego umysłu, a drugą wierzą sowieckiej propagandzie?

A.Z.: Nie, to nie to. Jak wszyscy ludzie radzieccy, Ukraińcy potrafią dostosowywać się do mechanizmów funkcjonowania tego społeczeństwa. W systemie totalitarnym, racjonalizacja jest warunkiem psychologicznego przetrwania. Ukraińcy racjonalizują sobie to, czego, jak wiedzą, i tak nie mogą zmienić i powiedzą: Tak, byłoby nam o wiele lepiej bez tych rosyjskich pocisków - ale musimy robić o o ś względem amerykańskiego zagrożenia.

I ta racjonalizacja jest psychologicznym kołem ratunkowym. Co można powiedzieć sobie i swojej rodzinie, gdy nie ma mięsa w sklepach? Nie można winić całego systemu i rządu. Te dwie rzeczy są dane. Równie dobrze można obwinić "Boga" lub "naturę ludzką". Dlatego też usprawiedliwia się sytuację przyjmując punkt widzenia radzieckiej ideologii - za brak mięsa obwinia się niewiedzących Polaków i Czechów, którzy ofiarnością w czasach wojny odpracili czarną niewdzięcznością. Lub też obwinia się Amerykanów, których groźby nuklearne zmusiły rząd radziecki do składowania żywności na cięższe czasy.

G.U.: Jeszcze raz dotykamy istotnych różnic pomiędzy Waszym stanowiskiem, a Waszym, tu na Zachodzie. Mówi pan o sowieckim systemie i radzi, że są one "dane", tak jakby były one nałożone na narody sowieckie przez jakąś nieosobową siłę, której żadna działalność ludzka nie może zmienić. Wy na Zachodzie, nie wierzymy, że systemy polityczne pojawiają się i trwają w warunkach bezpodmiotowych. Wierzymy (i ja osobista wierzę), że system sowiecki istnieje, ponieważ narody sowieckie tolerują go, a jeśli go tolerują, to muszą ponosić pewną odpowiedzialność za swój sty los, jak również za los, który system ten zyska na innych.

A. Z.: Prawda polega na tym, że zachodni historycy po prostu nas mogą wczuć się w radziecką mentalność. Wydają się sądzić, że kategorie, które stosują w warunkach Zachodu, mają odniesienie w kategoriach obowiązujących w społeczeństwie radzieckim. Wierzą gni, że pojęcia takie jak "prawda", "wolność", "demokracja", "godność ludzka", "prawa jednostki", mają w społeczeństwie radzieckim tę samą doniosłość i znaczeniowe skojarzenia, co w demokracjach parlamentarnych. A tak nie jest.

Nie można przenieść zachodniego "ruchu pokojowego" do Związku Radzieckiego, ponieważ kontekst jest całkiem inny. Możę zrozumieć waszą chęć "moralizowania" społeczeństwa radzieckiego, ale żeby to zrobić, musicie skierować swe wysiłki na sfery, które są rzeczywiście na to podatne: niedobory żywności, złe warunki mieszkaniowe, niedostatek i zła jakość odzieży, nieosiągalność pewnych lekarstw, przywileje i korupcja w systemie szkolnictwa, itp. To są rzeczy, którymi martwią się ludzie radzieccy. To są najbardziej czułe punkty społeczeństwa radzieckiego. Ale mówienie Ukraincom, że nie są wystarczająco "wolni", lub stawianie "Solidarności" jako przykładu czoł, co rosyjscy związkowcy powinni naśladować, ujawnia niezrozumienie radzieckiej rzeczywistości.

G. U.: *Satoczyliśmy koło w naszych argumentach. Zaczęliśmy tę długą rozmowę od sprostowania, że zachodni naukowcy, dyplomaci i dziennikarze nie są w stanie, według pana, zrozumieć systemu sowieckiego i kończymy ją tym samym akcentem.*

*Czy więc smarnowaliśmy wzajemnie swój czas? Nie, sądzę. Sypmi otwartymi wyjaśnieniami wzbogacił pan moją wiedzę o Cielowieku sowieckim - a szczególnie nie o jednym - chociaż jestem nim tak samo zainteresowany i oczekiwany, jak przed wieloma godzinami i wiele argumentów ustecz. Być może, nieuniknione zestawienie paradoksu w końcu rozjaśni rzeczywistość. Być może, nie można przekroczyć istniejącej przepaści pomiędzy wartościami udręczonymi przez system sowiecki, a tymi, które my w świecie zachodnim uważamy za istotne dla wolnej i godnej egzystencji ludzkiej. Udanie zachodnim uważamy za istotne uświadomiona koniecznością wydaje się tkwić w podstatę wszystkiego, co mi pan w tej rozmowie powiedział. Jeśli istnieje idea, którą wolny świat demokracji odrzuca i musi odrzucić, pod groźbą zafależowania swej własnej istoty, jest nią leninowskie zaprzaczenie wolności ludzkiej w imię tejże wolności.*

*Ciebieście jestem na tyle optymistą, jeśli chodzi o historię, aby wierzyć że Cielowiek sowiecki jest zjawiskiem tymczasowym, że dążenie do wolności jest tak naturalną potrzebą życia ludzkiego, iż pozostaje ono niezniszczalne nawet tam, gdzie doświadczenie wolności nie istnieje, a jej zewnętrzne modele są znieszczone. Ale to doprowadziłoby nas do innej rozmowy.*

*Dziękuję panu, panie profesorze, za pełną cierpliwą współpracę.*

titum. PP

## Myśli o Rosji

Revolucja rosyjska przejawia typowe dziedziczne cechy charakterystyczne dla każdej rewolucji. Ujawnia się w niej ten sam żywioł, który wystąpił we wszystkich innych rewolucjach; włada nią to samo fatum. Wszystkie większe rewolucje miały swój nieodwracalny bieg, wszystkie były zaciekle, zię i mściwe, we wszystkich zwyciężały najbardziej skrajne tendencje, wszystkie rewolucje odrzucały wolność, prowadząc do skażenia ducha ludzkiego. Najwyżsi i ślepyli byli ci z was, którzy woliłi iluzję o dobrej rewolucji i wyobrażali ją sobie idyllicznie. Rewolucje to nie idylle, nigdy nie były piękne i dobre, nigdy nie zwyciężały w nich lepsze strony natury ludzkiej. Wszystkie budziły w człowieku ciemny i sty żywioł, prawdziwy chaos. Rewolucje nigdy nie były rozumne. Nigdy nie przynosiły radości i nigdy nie dawały tego wyzwolenia, o którym marzyły poprzednie pokolenia. Gdyż nigdy w historii nie wydarza się to, czego oczekują marzyciele.

Również rewolucja rosyjska, tak jak każde wydarzenie historyczne, posiadała swoiste, niepowtarzalne i indywidualne cechy. To cechy narodu rosyjskiego, niepodobnego do żadnego innego na świecie i cechy sytuacji historycznej, odmiennej od tych wszystkich, w których zaistniały dotychczasowe rewolucje. Rewolucja rosyjska była wydarzeniem podobnym wojnie światowej, epizodem tej wojny. Ma ona przede wszystkim jeden zabójny i poniżający dla narodu rosyjskiego sens: Rosjanie nie wytrzymali tej wielkiej próby wojennej. Wszystkie narody wzięły udział w wojnie światowej z tym duchowym i materialnym bagażem, który nagromadziły w sobie w ciągu długiej historii. I wśród rosyjski okazał się bankructem. Okazało się, że ma on słabo rozwinięte poczucie godności. Ale nie sama naroda jest temu winna, wina leży głębiej. Nie o tej jednak wiązi rewolucji z wojną chcę teraz mówić. Chcę mówić o cechach narodu rosyjskiego i o ich wpływie na rewolucję rosyjską. Naród rosyjski jest niastroszniejszy dla ludzi Zachodu, nie pojmują oni rewolucji rosyjskiej, gdyż kłaska rosyjskiej natury jest inna niż tkanka natury zachodniej.

Naród rosyjski nie jest narodem zachodnio-europejskim, podlegał on w dużym stopniu wpływom wschodnio-azjatyckim. Dusza narodu rosyjskiego jest złożona i pogmatwana, wtknęły się w niej i zmieszały dwa nurty historii światowej - wschodni i zachodni. I te dwa żywioły nie zostały w niej zorganizowane przeciwstawione w jednolity charakter, w jedną wola i jeden rozum. Wszyscy, którzy przyzwoliliście sobie szczerzy myśli zachodniej nie przekazując jej podstawowych trójników, wy, rosyjscy inteligenci, w których oczny wschodni żywioł jednoczy się z powierzchowną zachodnią świadomością, nie jesteście zdolni do aktu samopoznania, nie stać was na pojęcie tajemnicy Rosji. Zarówno okcydentaliści, jak i słowianofile nie mogli pojąć tajemnicy rosyjskiej duszy. Aby tę tajemnicę zrozumieć należy być kimś trzecim, należy wznieść się nad przeciwieństwo dwóch zasad - wschodniej i zachodniej, i dwóch świadomości - słowiańskiej i zachodniej; należy znać wchód nie tylko od strony tragicznych przeżyć wschodniego żywiołu i zachód nie tylko od strony powierzchownej zachodniej świadomości. Ost-

rość poznania rodzi się w wyniku wejścia w coś pośredniego pomiędzy dwoma przeciwieństwami. W zamyśle Bożym Rosja jest wielkim i jednolitym Wschodo-Zachodem, lecz faktycznie, w rzeczywistości jest Wschodo-Zachodem nieudanym i pomieszaniem. Wy, rewolucjoniści - w swojej żywiołowości ludzie wschodu i ludzie zachodu w swoich naukach - zagubiliście wielki Boży plan Rosji, przeskoczyliście w przetworzeniu dwóch sił i dwóch zasad w wyższą jedność, w autentyczną wartość ludzką.

Zagadka duszy Rosji i narodu rosyjskiego, źródło wszystkich naszych chorób i cierpień leży w zachwianym, niewłaściwym stosunku pierwiastków męskiego i żeńskiego. W głąbinach duszy rosyjskiej nie został uzupełniony wewnętrzny brak jakim jest słabe połączenie pierwiastków męskiego i żeńskiego, nie zrealizowano dojrzałego jej kształtu. Męski duch nie zjednoczył się organicznie z żeńską duszą Rosji, nie zawiązał od wewnątrz narodowym żywiołem. Nie dokonało się w Rosjanach to, co dokonało się we Francuzach, w Anglikach, w Niemczech i we wszystkich narodach Zachodu. Tam na określonym stopniu rozwoju i w specyficznej narodowej formie obudził się duch męski i od wewnątrz, organicznie formował narodowy żywioł. Rosja zawsze była żeńska, była panną, zawsze oczekiwała narzeczonego z zewnątrz. Do licznych przychodzących z zewnątrz mężów się zalecała, ale nigdy nie dochodziło do ślubu. Naród rosyjski nigdy nie mógł z własnego jądra zrodzić męskiej władzy i szukając jej na zewnątrz uznawał władzę Waregów lub niemieckich biurokratów.

Cerkiew i państwo rosyjskie zorganizowały się i funkcjonowały w oparciu o prawa bizantyjskie, ale masa rosyjska pozostała prymitywna, pogańsko-dionizyjska i antykulturalna. Dlatego rozkład bizantyjskich praw wystąpił na niebezpieczeństwo rozkładu także i całej Rosji. W gmachu państwa rosyjskiego, teraz zburzonym i rozbitym, istniała wcześniej szczelina, choroba - niernormalny stosunek narodu do władzy. Naród potrzebował władzy i odczuwał obcość tej władzy, był samowolny, zanachowany a podtrzymywał i sankcjonował władzę samodzielną, nieograniczoną. Niedorozwój stanów i klas społecznych przy wyłącznym rozwoju biurokracji wywoływały brak swobady w narodzie rosyjskim, brak męskiej aktywności i samodzielności. Jedynie przez wyłącznie żeński charakter ludzkiej duszy można wyjaśnić oryginalny przejaw rosyjskiego życia jakim było samodzierżawie.

Zjawiskiem męskim w państwie rosyjskim był Piotr. Ale Piotr był nie tyle mężem, ile gwałcicielem. Gwałcił on żeńską duszę narodu rosyjskiego. Jednak zasadniczy brak połączenia rosyjskiej męskości z rosyjską żeńskością nie został spowodowany jedynie przez niego. Część narodu uważała go za antychrysta, ale naród pokornie podporządkował się wprowadzonemu przez Piotra biurokratycznym, emieckim zasadom. Piotr zakął Rosję w dyby równocześnie wzywając ją do wielkiej przyszłości. Ale przeciwko męskiemu wzwaniu Piotra wstał w żeńskiej duszy rosyjskiej głuchy protest, który potem przekształcił się w gniew. Rosyjska inteligencja przez całe stulecia przygotowywała unicestwienie i zniszczenie dzieła Piotra. Rozłam w duszy Rosji okazał się nieprzerwywalnym i doprowadził do strasliwej katastrofy - do upadku Rosji jako wielkiego państwa. W historii rosyjskiej nie było rycerstwa i dlatego Rosja nie przeszła przez hart i dyscyplinę jednostek, przez kulturę jednostkowej godności.

W życiu duchowym i kulturze rosyjskiej zawsze obecny był ten sam, rozdarty i bolesny, stosunek zasad męskiej i żeńskiej, co i w życiu państwa rosyjskiego. Naród zbytino podporządkował się duchowo obcemu mu Bizancjum i to podporządkowanie silnie wykrzywiło charakter jego duszy. Bizancjum stało się dla niej ciężkim jarzmem. I z tego jarzma wyrwała się, powstawała i upadała pod nim rosyjska dzika masa. Również w rosyjskim prawosławiu istniało jakieś nieorganiczne pomieszanie bizantyzmu i barbarzyństwa. Rosyjskie prawosławie, bardzo różniące się od greckiego, jest swoistym przejawem rosyjskiego ducha. Nie mówię tu o Powszechnej Cerkwi, zawierającej w sobie jedyną prawdę, mówię o swoistej religijności narodu rosyjskiego. Otrzymał on inne wychowanie religijne niż narody Zachodu. Naród rosyjski religijnie kształtował się w kulcie świętych i świętości, a Cerkiew prawosławna ułatwiała mu zniesienie jego ciężkiej historycznej roli. Ale wychowanie religijne prawosławia nie dało jednostce tego hartu, tej samodyscypliny i kultury duchowej, które na Zachodzie dawało wychowanie katolickie, a w swoisty sposób również protestanckie. Katolicyzm zabezpieczał duszę dając jej mocne podstawy - krystaliczne kryteria dobra i zła.

ta krystaliczność katolicyzmu wzmacniała duszę, ale jednocześnie zamykała przed nią bezgraniczne i nieskończone perspektywy, czyniła ją niedostatkiem wrzawliwą na porwy mistycyzmu. Zaś dusza rosyjska porostała bezbrzeżnie, rozpyłyła się nie odnawiając granic, i dlatego ciemne żywioły ogarnęły ją i opanowały nie napotykając na sprzeciw, dlatego też dusza rosyjska podatna jest na duchy w przeciwieństwie do duszy zachodniej. Można to nazwać apokaliptyką duszy rosyjskiej. Prawoślawne wychowanie nie przygotowało Rosjan do życia historycznego i do tworzenia kultury. Zachodnie natomiast wychowanie religijne nawet po odpadnięciu od wiary porostawiało zdrowy osad w postaci norm kultury i dobrodziejstw cywilizacji. Dusza rosyjska po utracie wiary wpada w objęcia nihilizmu. Francuz był dogmatykiem lub sceptykiem; Niemiec - mistykiem lub krytycyzmem; Rosjanin - apokaliptykiem lub nihilistą. Los duszy rosyjskiej - to los najtrudniejszy. Można tworzyć kulturę na sposób dogmatyczny lub sceptyczny, mistyczny lub krytyczny, ale nie można jej tworzyć ani apokaliptycznie ani nihilistycznie. Apokaliptyka i nihilizm - to koniec wszystkiego, ani apokaliptyka ani nihilizm nie uznają leżącego królestwa kultury. Dlatego tak trudne jest dla Rosjan nie uznając leżącego królestwa kultury, w tworzeniu kultury; pragnienie uczestniczenia w procesie historycznym, w tworzeniu kultury; pragnienie aby rzeczywistość szybko skoczyła się w przyszłość albo przeszłość. Rosyjski żywioł narodowy znajduje swój wyraz zarówno wzmarsności i mistycyzmie jak i w skłonności do rewolucyjności. W tym tkwi jedna z przyczyn naszej tragedii, to należy uznać niezależnie od tego jaka idea polityczna wyznajemy.

Rosja była ciemnym chińskim państwem kierowanym przez cara. To ciemne carstwo osłonięte było cienką otoczką kultury. Idea cara miała dla duchowej dyscypliny narodu rosyjskiego ogromne znaczenie. Car był duchowym czynnikiem narodu i organicznie wszedł w jego religijną świadomość. Bez cara naród nie wyobraził sobie żadnego państwa, żadnego prawa, żadnego porządku i żadnego podporządkowania ogółowi i całości. Rosja bez cara dla ogromnej masy narodu rozpadała się i przekształcała w kupę śmieci. Car powściągnął atonizację Rosji i hamował anarchię; car osłaniał warstwę kulturalną przed naporem nie znającego wyższej kultury narodowego żywiołu. Albo car, albo pełna anarchia - między tymi błędnymi wahała się myśl narodu. Również z carem związana była dyscyplina i więc rozsypała się, zginęła, wszystko stało się dozwolone. To było wynikiem długiego procesu historii narodu i co wiązało się z głębią jego duchowego życia, ale może być zmienione tak szybko. A do tego nie tylko w Rosji rewolucjonści, socjaliści, anarchiści, nihilści ale i liczni z nas odnieśli się zbyt lekkomyślnie. Żeńska i pasywna dusza narodu rosyjskiego niegdy rozkladowała usunięto z niej dyscyplinującą, meską rolę cara. Przez wiele wieków prawosławie wychowywało naród rosyjski w religijnej pokorze wobec cara, ale samodzielności i samodyscypliny narodu prawosławie nie ukształtowało. W tym tkwi jedna z przyczyn naszej tragedii; to należy uznać niezależnie od tego jaka idea polityczna wyznajemy.

Wy, Rosyjscy chłopcy inteligencji, których tak trafnie opisał Dostojewski, zepsyście ze swojej natury zawsze szukaliście duchowego małżeństwa na zewnątrz. Nigdy nie potrafiliście odkryć ducha męskiego wewnątrz, we własnej głębi; szukaliście go na Zachodzie, w zachodniej męskiej nauce. Z waszej głębi zawsze jednak wychylał się wschodni, rosyjski chaos. Ale z tym większym szalenstwem przyswajaliście sobie najnowsze teorie zachodniej nauki, o pierając na nich wszystkie wystąpienia. Męskiego hartu nigdy w ten sposób nie zdobyliście. Najbardziej poszukiwaliście męskiego wpływu w duchu garstki męskich. Duch Marksa nieśmiało zniewolił wasze dusze. Męski duch garstki męskiej już od dawna stawał przed sobą zadanie cywilizowania żeńskiej ziemni rosyjskiej narzucał się jej w roli męża, oddatkiwał różnorodnymi sposobami drogami: od Marksa i przez Kantę, poprzez Stirnera i przez innych. Właściwie nauczyliście się osłabiających i oszukujących rosyjską wolę. W tym czasie w Rosji stała się wielka katastrofa. W naszym życiu państwowym i duchowym można wyróżnić tylko trzy, że trzy duszy narodu rosyjskiego nie dokonali się, wnetrzne małżeństwo, ze pieriałstek żeński i żeński porostali rozdzielone. Na tym gruncie w Rosyjskim charakterze powstała metafizyczna historia, skłonność do obsesji. W tym należy szukać rozwiązania wielu naszych nieporozumień. W Rosjanie kulturowo stawali się zachocnymi, kiedy przesiali duchem dyscypliny, wtedy nie z siebie rodzili kulturę; swój duchowy i cis-



lesny żywioł opanowywali nie własnym duchem, czerpali nie ze swoich organicznych podstaw, lecz czerpali z kultury zachodniej, na zewnątrz formowali swoją świadomość. Jest to droga przeciwna do tej, po której Fichte prowadził Niemców do narodowej samoświadomości. Dojrzała samoświadomość narodu jest tajemniczym zjednoczeniem w nim pierwiastków męskiego i żeńskiego, męskiego ducha i żeńskiego żywiołu duchowego. Każdy naród przechodzi ten proces w sposób niepowtarzalny i swoisty. Rosja dotychczas go nie przeszła. I właśnie wy - rosyjscy inteligenci o różnorodnych orientacjach nie pomagaliście lecz przeszkadzaliście w osiągnięciu tego dojrzałego, męskiego samopoznania narodowego, nie wypełniając w ten sposób swojego długu wobec narodu. Dojrzałe narodowe samopoznanie musi być u nas przezwyciężeniem i słowianofilstwą i okcydentalizmem, wiążących się z naszą niedoskonałością. Rosjanina może być podobny do Niemca w dwóch przeciwnych znaczeniach: może on odnosić się do Rosji tak, jak Niemiec odnosi się do Rosji i może on odnosić się do Rosji tak, jak Niemiec odnosi się do Niemiec. Powinniśmy być podobni do Niemców w tym drugim sensie.

Rosyjscy narodnicy, którzy w różnych formach wiedali umysłami i sercami byli przeskodą na drodze do naszego dojrzałego narodowego samopoznania. Było narodnictwo konserwatywne i rewolucyjne, narodnictwo religijne i materialistyczne, ale zawsze było ono kapitulacją naszej, powołanej do misji światła w ciemność, warstwy kulturowej przed nieograniczonym żywiołem chińskiego carstwa; zawsze było ono wyrazem rosyjskiego zacofania, ekstensywności, zawsze oznaczało niedostatek mestw duchowego. Narodnictwo "wyznania" prowadziło do bałwochwaltwa narodu, jako faktu empirycznego, jako czysto ilościowej masy; zawsze podporządkowywało ono życie duchowe środowisku materialno-socjalnemu, zawsze tłumio jednostkowy twórczy pierwiastek, pogrążało jednostkę w kolektywizm. To samo należy powiedzieć również i o słowianofilstwie, stanowiącym swoisty typ religijnego narodnictwa. Ale słowianofilstwo stoi od tego rewolucyjnego i materialistycznego narodnictwa, które przez prawie całe stulecie wiodało rosyjską inteligencją i doprowadziło do katastrofy rewolucji, nieskończenie wyżej. W słowianofilstwie była jednostronność i złudzenia, ale była też swoista prawda. Zaś lewicowe narodnictwo było całkowitym zaprzeczeniem religijnych, narodowych i kulturalnych wartości. Bóg został zastąpiony narodem, wartości - interesami, rzeczywistość duchowa - przejściowym szczęściem klas społecznych. W rezultacie narodnicze bezbożne bałwochwaltwo, zaprzeczające wszystkim nieprzemijającym świętościom i wartościom, pociągnęło za sobą Rosję. W ciągu jednego stulecia podważyło ono jej duchowy fundament, zburzyło rosyjską Cerkiew, rosyjskie państwo i kulturę, wstrząsnęło materialny rozwój Rosji. To wy - narodnicy wszelkich odcieni, strażnicy ducha, zabijaliście i gubiliście Rosję w imię mgiłowego szczęścia ludu. Rosja jako wyższa wartość, jako celowy plan Boga, nie istnieje dla was; istnieje tylko naród polowiczny - nacja, nie żywa istota, nie istniejący od tysiąca lat obejmujący wszystkie pokolenia jednolity organizm, lecz naród - chłopci i robotnicy z ich docelowymi materialnymi interesami. W imię szczęścia nacji zniszczyliście Rosję, zniszczyliście ogromny naród z wielkim posłannictwem. W imię małego i malutkich powstaliście przeciwko wielkiemu i wielkim. Jesteście niszczycielami wszelkiej wielkości, nie mogliście znieść wielkiej Rosji i pod różnymi maskami odradzałyście się wciąż jej powo. Wy - rosyjscy narodnicy, ciału z ciała i krwi rosyjskiej ciemnoty i zacofania kulturalnego - wkładaliście na siebie różne zachodnie przebrania i najgorszych, najbardziej niszczycielskich czynów dokonawaliście w niemieckich ubiorach socjaldemokratów. Narodnikami porostaliście nawet w charakterze socjaldemokratów - byliście wśród nich wyrzucicielami ekstensywnego ducha rewolucji, a nie intensywnego ducha twórczości. To, że problemy socjalne należy rozwiązywać przez rewolucję i drogą zwiększania wydajności, a nie twórczą pracą, jest przeciwieństwem idea rosyjskiej inteligencji. To wy - rosyjscy socjaldemokraci, którzy zapamiętaliście o niektórych stronach nauki swego bożyszczka Marksa, wprowadzając do niejrosyjski terror i rosyjski anarchizm - dokonaliście narodowego pogromu i rozłam i doprowadzając Rosję do ubóstwa, wystawiliście ją na długi okres nędzy. Tak zrealizowaliście dawne marzenia narodników o przelomie, o ogólnej równości, w ten sposób wtrącając kulturę rosyjską w ciemną otchłań. Państwo i kultura rosyjska zostały wydane na zniszczenie ciemnym tłumom, w któ-

rych najbardziej drapieżne instynkty wy rozpaliliście. W ten sposób, na chwałę i sławę waszych wrogów, w nieujarzmionej masie utonęło państwo i kultura rosyjska. Oto co wy - początkowo występujący z niewinnymi hasłami przyjaźni ludu, by potem przeobrazić się w rozwścieczone zwierzęta - uczyniliście. Przyszłe pokolenia nie wybaczą wam tych strasznych czynów.

Wy - rosyjscy narodnicy wszelkich odcieni - zawsze byliście wrogami kultury, zawsze przeciwstawialiście jej szczęście narodu. Dla was nic i nigdy samo w sobie nie posiadało wartości, wszystko przekształcaliście w utylitarne narzędzia. Ani religia ani Cerkiew, ani państwo, ani naród, ani Filozofia, ani nauka i sztuka, ani moralność i prawo, nic nie stanowiło dla was wartości samej w sobie, nic nie było autentyczne, realne duchowo. Wszystko zostało podporządkowane szczęściu nacji, zaspokojeniu interesów ludu. Wszystko zrzuciliście w ciemną otchłań **masowych instynktów** i interesów. Zawsze uważaliście kulturę za burżuazyjną, gdyż była realizowana przez klasy panujące. Ale to wy sami jesteście najbardziej płytkimi, tępymi i nędznymi mieszczanami, burżuazją ducha. Świat chcecie przekształcić w kompleks przemysłowy, całą ludzką społeczność uczynić społecznością konsumpcyjną. Wasz ideał życiowy jest ideałem bytowym. Ale ku waszej zgryzocie, należy przypisać, że nie tylko narodnicy-rewolucjoniści i materialiści, lecz i narodnicy typu słowianofilskiego, stojący na gruncie religijnym, przejawiali wrogi stosunek do kultury i jej wartości, szukali prawdy nie w środowiskach kulturalnych, nie w twórczych jednostkach, lecz w prostej masie narodu, w kolektywie. Odwieczny rosyjski kolektywizm zawsze był wrogi kulturze, jednostce, zawsze ścigał nas w dół, zawsze przeszkadzał w otwarciu się na świat, na jego przestwór. Ten kolektywizm paraliżował w nas poczucie jednostkowej odpowiedzialności i czynił niemożliwą inicjatywę jednostkową. Kolektywizm ten nie był nowością, był czymś dawnym - pozostałością naturalizmu pierwotnego. Ale często mylili go niektórzy z nas z duchową zbiorowością, z wyższym rodzajem braterstwa ludzi i na tym gruncie idealizowali rosyjską wspólnotę i jej podobne przejawy narodowego życia. Z rosyjskim kolektywizmem wiąże się też ujemny stosunek do prawa, jego zamiana na normy moralne. Ale odrzuceniem prawa, które u Rosjan postulowano z prawicy i z lewicy, jest odrzuceniem zbiorowości, podporządkowaniem jej kolektywowi. Prawo ochrania zbiorowość przed wpływem na nią złej woli. Prawo czyni wolność ludzkiej jednostki niezależną od cnót i wad innych ludzi, od ich poziomu moralnego, od ich samowoli. Prawo czyni możliwą wolność jednostki także wraz z istnieniem zła, złej woli ludzi. Rosjanie mylą prawo z moralnością, ustanawiając los jednostki zależnym od moralnego chcenia ludzi, od ich cnót. Ale jest wolność, która powinna być niezawarantowana i przy przewrotności ludzi, i przy ich skłonności do przemyce. Tege rosyjskie narodnictwo i prawicowe, i lewicowe, nigdy nie rozumiało. Takie zaprzeczenie prawa jest zaprzeczeniem świadomości jednostkowej, jest brakiem jednostkowej godności, oznacza pograżenie się w nieosobowym kolektywie. Ta cecha okazała się fatalną dla Rosji.

\* \* \*

Ku naszemu zmartwieniu w historii Rosji nie było rycerstwa. Tym można wyjaśnić fakt, że jednostka nie była u nas dostatecznie wyrobiona; że brakowało jej siły charakteru. Władza pierwotnego kolektywizmu pozostała w Rosji zbyt silna. Liczni rosyjscy myśliciele, uczeni i pisarze szczylili się tym, że nie posiadaliśmy prawdziwej arystokracji, tym, że kraj nasz jest z natury demokratyczny, a nie arystokratyczny. Ten nasz, piękny moralnie, demokratyzm, nasza prostota - to cechy właściwe również współczesnej szlachcie rosyjskiej. Lecz brak arystokracji był naszą słabością, a nie naszą siłą. Dlatego dawała się odczuć zbyt wielka zależność od ciemnego żywiołu narodowego, niemożliwość wyodrębnienia z ogromnej masy jakościowego pierwiastka kierowniczego. Od czasów Piotra rolę arystokracji odgrywała u nas biurokracja i w niej tkwiły niektóre cechy arystokratycznego doboru. Ale mimo wszystko biurokracja w swoim typie duchowywanie może być uznana za prawdziwą arystokrację. W Rosji zwyciężył od góry absolutyzm biurokratyczny, natomiast narodnictwo od dołu. Twórczy rozwój, w którym rolę kierowniczą odgrywałyby elementy dobrane jakościowo, stał się u nas niemożliwy i teraz ciężko z tego powodu pokutujemy. Jednak niespra-

wiedliwości byłoby negowanie ogromnego znaczenia szlachty w Rosji. Szlachta była naszą podstawową warstwą kulturalną, stworzyła wielką literaturę rosyjską. Szlacheckie sielanki, szlacheckie rodziny były naszym podstawowym środowiskiem kulturalnym. Piękno dawnego życia rosyjskiego - to piękno szlacheckie, szlachetny styl rosyjskiego życia to przede wszystkim styl szlachecki. Rosyjska gardia w swoim czasie była szkołą godności. Wtargnięcie do rosyjskiego życia różnorodności raczej obniżyło niż podniosło duchowy typ człowieka. Życie nasze straciło wszelki styl. Naszą najładniejszą, najbardziej stylową i piękną epoką, najbardziej godną narwana odrodzenia się początków słowianofilstwa, czas stylu empire, to czas dominującej roli szlachty, inteligencji szlacheckiej, jej warstwy kulturalnej. Wtedy nie byliśmy jeszcze nihilistami. Niejako niedostatecznie jeszcze skrytaliszowanej kultury szlacheckiej szał nihilizm i styl nihilistyczny. Ale wszystko w naszej kulturze najbardziej znaczące było związane ze szlachtą. Nie tylko bohaterowie Lewa Tołstoja, również bohaterowie Dostojewskiego nie są do pomysłania bez związku ze szlachtą. Przypomnijcie sobie co mówi o szlachcie i jej znaczeniu Dostojewski w "Włóczęgach". Szlachecki wpływ kulturalny przejęli są wszyscy wielki pisarze rosyjscy. W płodzeniach ognisk zapalonych przez rewolucję spala się nie tylko bałwo w stylu empire, lecz również Puszkina i Tołstoja, Czajkowskiego i Chomjakowa, spłonęła cała rosyjska twórczość i tradycja. Zniszczenie szlachty rosyjskiej jest zniszczeniem tradycji kulturowych, rozerwaniem związku czasów w naszym duchowym życiu. Wasza - parwenizacja - niewiedza do szlachty, to niskie, poniżające człowieka uczucie; kierujemy ją nie tylko na przywileje szlacheckie, których dawno już nie ma i których podtrzymywanie byłoby nierozumne, ale również na cechy psychiczne, które są niezniszczalne i które nasładowa wieczność! Ale należy przyznać, że nasza szlachta wczepniej upadła moralnie i duchowo, niż została obalona przez rewolucję.

Najbardziej twórcze jednostki ze scytytów kultury mogą głęboko przeżywać niesadowienie z jej poziomu i doświadczać głębokiego jej kryzysu. Ale ludzie o średniej kulturze, albo cełkiem niekulturalni nie mogą wyciągnąć z tego przesłania kulturze żadnych wniosków i nie mogą na tej podstawie idealizować niekulturalności lub podkulturalności. Tragedia i kryzys kultury pragnienie lepszych ludzi, aby przejść do stanu nadkultury, do nowego bytu, nowej ziemi i nowego nieba, nie mogą być argumentami na rzecz scytyjskiej, barbarzyńskiej ideologii. U Słowian, a w szczególności u Rosjan występuje podejrzliwość i ambivalentny stosunek do kultury. Lubiemy mówić o "burżuazyjności" kultury i bardzo łatwo stawiamy siebie ponad kulturą. Tendencje do negowania kultury, w której dostrzegamy się odpadające od pierwotnej czystości, od wyższego typu tycyjowego, idealizacja pierwotnego, jednolitego życia narodołowego poprzedzającego kulturę, są charakterystyczne również dla najwzrostających i oryginalnych myślicieli sowiejskich. Wśród Rosjan istnieją pokusa wskazać się za Scytytów i przeszcześniania się Grekami. Podczas rewolucji narodziła się u nas scytyjska ideologia. Była ona formą opętania ludźmi skłonnych do postycyzmu i mistycyzmu przez rewolucyjny tyfoid. Ideologia scytyjska jest jedną z masz niemożliwych. U swojej walce przeciwko przestępności i nieczystości kultury dąży ona nie wywi tu bezkresnej przestrzeni, lecz w 662 - ku otchłani. Współczesni Scytowie śpiewają hymny nie nadkulturalnemu, lecz podkulturalnemu stanowi. W żadnym stopniu nie dają oni do swojego nieba i nowej ziemi, do przeobrażenia świata. Są oni popędami, płynnie w nich krew ludzi nie wrażliwych w zgodzie z kłopotaniem. U Rosji scytyjska ideologia jest swojego rodzaju pogwałceniem seccjonalizmem, przechodzącym w nieczłowieczeństwo i antychrześcijański materializm. Scytowie powinni odpuścić nas grecczy przez podkopanie się kulturze i jej sukcesy szelca.

**Witold Chramiec**

## Szałeństwo i metoda

W roku 1836 w rosyjskim czasopiśmie "Teleskop" ukazał się "List filozoficzny", którego formalną adresatką była niejaka E.D. Panowa, autorstwa Piotra Jakowlewicza Czaadajewa, w którym pisał on m.in.: *Każdy naród przeżywa okres burzliwych porużeń, napiętego niepokoju, działalności nieprzemysłanej, nieumotywowanej. Jest to epoka mocnych prąży, śmiałych przedsięwzięć, wielkich pasji narodowych. Ludzie stają się wówczas tułaczami w świecie, tułaczami duszą i ciałem. Narody młotają się w podnieceniu, bez widocznej przyczyny, ale bez pożytku dla przyszłych pokoleń [...]. Epokę naszego życia społecznego, odpowiadającą tej fazie, wypełniła powrą i mdła szarstancja, której nie nie ożywiało oprócz szbrodni, nie nie tagodziło prócz niewolnictwa.*

Publikacja tego artykułu, analizującego historyczne podłoże nieszczęść carskiej Rosji i genealogię kryzysu politycznego, godziła w samą istotę urzędowej interpretacji historii i jako taka spotkała się z atakiem wściekłości ówczesnego władcy - Mikołaja I. Określił on ten tekst jako *bezcenne brednie obłąkanego*; pismo, które go opublikowało, rozkazał zlikwidować, cenzora zwolnić, a redaktora naczelnego zesłać i oddać pod stały nadzór policji. Autora zaś - także na osobisty wniosek cara - uznano za chorego umysłowo, umieszczono w areszcie domowym i poddano przymusowej, upokarzającej opiece lekarskiej. Nie oszczędzono również adresatki listu. Także i ją uznano za osobę o *zaburzonych władzach* i umieszczono w zamkniętym zakładzie dla obłąkanych. Po ostatecznej rozprawie z wszystkimi zamieszkanymi w sprawie Czaadajewa, wydano specjalny komunikat, w którym wszem i wobec oznajmiono, iż jego artykuł *wzbudził we Waszych umysłach bez wyjątku Rosjanach uczucie gniewu, wstrętu i przerażenia, które przetrwały się we współczesności, kiedy dowiedzieli się, że godny pożałowania rodziców autor cierpi na pomieszenie zmysłów. Biorąc pod uwagę chorobowy stan nieszczęśliwego Rząd w swojej trosce i ojcowskiej opiekuńczości zaleca, aby nie wychodził on z domu i zapatrzonny był w darmową pomoc lekarską.*

W niespełna rok później car uznaje dostarczony mu do lektury wiersz Lermontowa /1/ za *"wezwanie do rewolucji"* i - znów osobście czuwając nad realizacją swojego polecenia - wysłał do poety nadwornego lekarza wojskowego - łącząc ich stwierdzenia "niepoczytalności". Lermontow zostaje w rezultacie aresztowany i zesłany na Kaukaz.

Rząd tego typu ojcowską opieką otaczał również innych "nieszczęśliwych". Mikołaj I, będąc bowiem jednym z najbardziej reakcyjnych monarchów, wskazał swoim następcom nową metodę pozbywania się przeciwników politycznych - łącząc ich odosobnienie z duchowym rozbrojeniem i napiętnowaniem, jako osobników niespełna rozum, groźnych tym samym dla otoczenia. Dążąc do stworzenia systemu, który

umóżliwiałyby nieustanną kontrolę wszystkiego i wszystkich, pozostał przy okazji po sobie doskonały wzór interpretacji i oceny postępowania "inakowysliaszczych" *spotewań postępować jak obłąkany, powinien być ukarany jak obłąkany.* [2]

Aleksander Podrabinek, sanitariusz szpitala psychiatrycznego, jeden z organizatorów powstałej w 1977 w Moskwie Komisji d/s Badania Medycyny Psychiatrycznej [3], wskazuje w książce "Medycyna represyjna" [4], że Rosja nie posiada w zasadzie żadnych tradycji wolności obywatelskich i represje psychiatryczne, jakim poddawani są w ZSRR dysydenci, działacze religijni i wszelkiego rodzaju "nieprawomyślni", nie są w żadnym wypadku "osiągnięciem" porewolucyjnym. Za ojca i ideologą tego typu praktyk można oczywiście uznać Mikołaja I, ale jego pomysły wielokrotnie już zmodyfikowano i ulepszono. Podrabinek przypominając również, że opinia publiczna nigdy nie odgrzywała w życiu politycznym Rosji znaczącej roli. Nic więc dziwnego, że niewolnicze posuszeństwo jest w ZSRR tak powszechne i tak głęboko zakorzenione, iż ludzie, którzy wyrażają poglądy sprzeczne z ogólnie przyjętymi /tzn. reprezentującymi linię władzy/, postrzegani są jako osoby o zaburzoną poczucie rzeczywistości, i jako takie są potencjalnymi pacjentami szpitali psychiatrycznych. Jakikolwiek czyn, dokonany poza zasięgiem kontroli władzy, staje się więc w takiej sytuacji działaniem szkodliwym i niebezpiecznym - bo nielegalnym. Taki mechanizm analizy postępowania, wszczepiony radzieckim obywatelom, stanowi część totalitarnej techniki obezwładnienia społeczeństwa /wraz z atmosferą wszechobecnej kontroli - takie odziedziczonej po Mikołaju I/, stosowanej w celu podsycania niechęci - jeśli nie nienawiści - wobec "inakowysliaszczych". A wszelkie prążywy ruchy dysydenckie mogą być wówczas zdyskredytowane jako produkt "chorych umysłów". Zaszufiadkowanie dysydentów jako psychicznie chorych /do psychologicznych aspektów tego zjawiska jeszcze powrócimy/ jest również bardzo dogodne administracyjnie. Unika się wówczas uciążliwego śledztwa, procesu i konieczności oficjalnego wyroku w sąsiedztwie sądu. "Kłopotliwi" obywatele są pozabawieni możliwości jakiejkolwiek obrony - lub choćby jej pozorów. Trudno jednak na dzień dzisiejszy określić dokładną liczbę osób włączonych w specjalnych zakładach psychiatrycznych z powodów politycznych. Według Podrabinka liczba ta sięga tysiąca osób. Nie jest to jednak na pewno pełny obraz, ponieważ liczba przymusowo hospitalizowanych na różnych oddziałach psychiatrycznych normalnych szpitali według wszelkich danych jest jeszcze większa.

Wykorzystanie psychiatrii jako instrumentu represji wobec opozycji nie jednak w Rosji Radzieckiej zbyt długiej historii. W porewolucyjnym okresie krwawych rozliczeń i późniejszych stalinowskich czystek - wobec masowego terrorku w którym lagier i zesłanie były najdogodniejszą formą wyroku - represje tego typu uznano z pewnością za zbyt delikatne i mało skuteczne a więc zbędne. Znanych jest jedynie kilka odosobnionych wypadków.

Nasilenie praktyki internowania dysydentów w szpitalach psychiatrycznych datuje się na początek lat 60-tych. Nie przypadkowo zapewne. Chruszczowska odwili powoli zmieniała się w przyrządek, a stosunki Wschód-Zachód stawały się z każdym rokiem - coraz bardziej napięte. Nowa forma izolacji i unieszkodliwienia osób politycznie niewygodnych /działaczy religijnych, dysydentów czy po prostu ubiegających się o paszport/ miała na celu z pewnością uniknięcie rygorsu i omińnięcie drogi sądowej. Praktyką tym sprzyjały stworzone w tym celu nowe przepisy /instrukcja Ministerstwa Zdrowia z roku 1961/, które zezwalały na przymusową, natychmiastową hospitalizację bez zgody pacjenta i jego rodziny. Decyzje o odosobnieniu mógł od tej chwili wydawać lekarz. Instytucje te stworzyły bardzo dogodne pole do medycznych manipulacji i systematycznych nadużyć przymusowych hospitalizacji. W roku 1969 uzupełniono te instrukcje o dekret, zalecający prewencyjne odosobnienie pacjentów "o społecznie niebezpiecznych tendencjach" i zalecił prowadzenie specjalnej ich ewidencji. Dekret ten prowadził już do nadużyć prostą drogą. Psychiatria stanowi zresztą, wśród innych nauk medycznych, najbardziej do nich podatny grunt - ze względu na fakt, że trudno w niej operować określonymi jednostkami chorobowymi, a znacznie łatwiej - ogólnikowymi i dość płynnymi zespołami objawowymi. Przymusowa hospitalizacja psychiatryczna /przy czym okres odosobnienia może być tu praktycznie nieograniczony [5]/ weszła więc na stałe do arsenału technik represyjnych stosowanych wobec radzieckich dysydentów. Wiodącą rolę w koordynacji i centralnej kontroli tej polityki odgrywa aktualnie Instytut Psychiatrii Sądowej im. Serbskiego /bezpośrednio nadzorujący psychiatryczno-sądowe ekspertyzy/ i Instytut Psychiatrii Akademii Nauk Medycznych ZSRR z siedzibą w Moskwie, podpierają

jący i. działania swoim naukowym autorytetem.

Większość politycznych ofiar nadużyć psychiatrii w ZSRR jest diagnozowanych jako psychopaci /"paranoidalny rozwój osobowości"/ lub schizofrenicy /"schizofrenia utajona"/. Powodem odosobnienia jest niezmiennie "zagrożenie społeczne". W przyjętej ogólnie praktyce medycznej oznacza to po prostu, że pacjent może wyrządzić fizyczną szkodę sobie lub otoczeniu. W przypadkach, które udało się zbadać dr Anatolowi Korziaginowi/6/, okazało się, że pacjenci ci zostali uznani za zdolnych do "szkodzenia systemowi społecznemu" i domniemano: takie podawano jako główną przyczynę hospitalizacji/7/. Wyjaśnienie to pozwoli z pewnością lepiej zrozumieć tę zagadkową postać schizofrenii, na którą zapadają tylko obywatele radzieccy. A wybrano tu kategorię najwygodniejszą do medycznych manipulacji. Ze wszystkich kategorii diagnostycznych właściwa koncepcja schizofrenii jest najbardziej niejasna, najgorzej zdefiniowana i stanowi na gruncie psychiatrii pojęcie najszerze. Z tych też zapewne powodów została ona wykorzystana do stworzenia pseudonaukowej podbudowy dla psychiatrycznych represji.

Postać schizofrenii, "odkryta", opisana i propagowana w ZSRR przez prof. Snieżniewskiego /dyrektora osławionego już Instytutu Psychiatrii Akademii Nauk Medycznych ZSRR/ i prof. Nadżarowa /również pracownika Instytutu/ została nazwana przez nich "utajona" i "pełzająca" tzn. wolno się rozwijająca. Zawiera ona w swoich - opisanych przez prof. Snieżniewskiego - objawach m.in. "zorną normę zdrowia klinicznego, tendencję do narastania na warunki pracy, uogólnienia reformatorskie i przekonanie o ważności tych myśli i idei, się przycelowanie do środowiska społecznego, zmienność nastrojów, wrogość i nastawienie antyspołeczne, objawiające się odmową udziału w ochotniczych subotnikach i manifestacjach politycznych. Pacjent wykazuje poza tym zakłócony kontakt z rzeczywistością i wadliwy instynkt samonachowawczy, objawiający się brakiem poczucia usależnienia od władzy/8/. Koncepcja ta, akceptująca możliwość braku wyraźnych, skryzjalizowanych objawów, stwarza szeroką gamę wariantów, nie łamiących jednak ogólnej konwencji: u Leonida Pluszcza sygnałem choroby były np. "pojawiające się w jego wypowiedziach elementy mesjanistyczne i idee reformatorskie", zaś u filozofa Leonida Sewruka - "mania marksizmu i poszukiwanie prawdy". I tak dalej.

Przypatrując się powyższej koncepcji przez pryzmat skomplikowanego układu społecznych uwarunkowań i powiązań, spróbujemy wyjaśnić okoliczności i przyczyny jej powstania. Społeczeństwo radzieckie - jak każde inne - wykształciło pewien wzrost społecznych interakcji. Nie wylebiając się w jego polityczne i moralno-etyczne aspekty, stwierdzimy po prostu, że model ten implikuje system kategorierycznych i sformułowanych norm postępowania i zachowania w określonych sytuacjach oraz nienaruszalny układ wzajemnie ze sobą powiązanych ról społecznych. Wada, nawet niewielka, dewiacja stanowi realne zagrożenie poprzez stworzenie precedensu i zakłóca sprawne funkcjonowanie modelu. Zachowania takie są wobec tego niepożądane i jako takie stanowią wykroczenia przeciwko społecznym normom /narzuconym, ale przez większość społeczeństwa respektowanym/.

Thomas Sheff, psycholog amerykański, uważa, że większość objawów choroby psychicznej nie jest wolna od wpływów kultury i że są one same w sobie wykroczeniami przeciwko normom tej kultury. Używa on przy opisie tego sprzężenia dość banalnego potocznego terminu "pogwałcenie niepisanych praw", który daje się jednak znakomicie zastosować do analizy zjawiska nadużyć psychiatrii w ZSRR. Z drugiej jednak strony kategoria pojęcia tego typu nie pozwala na jednoznaczne stwierdzenie, czy diagnoza choroby psychicznej, używana jako element represji, jest stawiana we wszystkich przypadkach świadomie z pełną premedytacją i tak też przez radzieckie społeczeństwo oceniana. Bardzo prawdopodobna jest bowiem teza, że społeczeństwo to /a w ramach jego- także i milcząca większość psychiatrów/ wychowana w kulturze tak jednorodnej i wobec braku woli weryfikacji norm tejże kultury - jest w swej większości normami tym uzaufanym i nie potrafi się wyrwać z narzuconego kanonu myślenia. Poza tym - odczuwając lęk przed własnym sprzeciwem wobec władzy - łatwiej zakwalifikować tego typu sprzeciw /niezależnie od jego formy/ jako zachowanie co najmniej "dziwne". Stąd już tylko mały krok do diagnozy choroby psychicznej i izolacji jednostek "chorych", jako stanowiących zagrożenie dla istniejącego porządku. Powinno postępować jak obłąkami, powinni być ukarani jak obłąkami.

Oczywiście nie wszyscy psychiatrzy radzieccy beztrudno przechodzą do porzą-

dku dziennego nad sperarowanymi ekspertami Instytutu Serbskiego czy opiniami prof. Snieżniewskiego, Nadarawa, Wertmiana i in podobnych. Są i tacy, którzy protestują. Za pozostanie w zgodzie z własnym sumieniem płaci się jednak z reguły dość wysoka cena. Tylko nieliczni udaje się wyemigrować /casus dr Mariny Wokhańskiej/, większość jest natomiast sztykanowanych i w rozmaity sposób zeprejonowanych. Fakt los podzieliłi współprawnicy Komisji - wspomniany Anatol Koriagin, Aleksander Wołoszaniowicz czy dr Semen Gluzman. Ten ostatni za pozwolenie ekspertyzy sądowo-psychiatrycznej w sprawie gen. Grigorenki otrzymał wyrok 7 lat obozu i 3 lata zesłania. W obozie Gluzman poznał odbywającego tam swą kolejną karę Władimira Bukowskiego /9/, z którym wspólnie wracowali "Podręcznik psychiatrii dla dysydentów", powielany później w samizdacie.

Bardziej popularne i rozpowszechnione są jednak mniej buntownicze metody oporu i odmowy współpracy. Podrabianek wspomina np., jak pewien młody lekarz, któremu zalecono postawienie diagnozy choroby psychicznej u człowieka zdrowego, umieścił w jego karcie notatkę: *wskrywczenie norewiny*. Po całych wariacjach z KGB dopisał: *niep. sztykanowany na Pankas z pory*.

Ogromną większość radzieckich psychiatrów pozostaje jednak bierna, a osoby protestujące stanowią zaledwie margines i zachowania ich odczytywane są jako irracjonalne. I nic w tym dziwnego - wyrażając swój sprzeciw wobec praktyki wykorzystywania psychiatrii jako represji, sami zostają zakwalifikowani jako dysydenci i sami regresjom podlegają.

Sprawa nadużywania psychiatrii do celów politycznych w ZSRR została po raz pierwszy - po wcześniejszych sygnałach prasowych - uświadomiona oficjalnie przed Trybunałem Światowego Towarzystwa Psychiatrycznego /World Psychiatric Association - WPA/ na jego V Kongresie w Meksyku w roku 1971. Materiał dowodowy zawierał m.in. świadectwo Bukowskiego, zawierające opis 6 przypadków internowania (gen. Grigorenki, Gorbaczewskiej, I. Jachimowicza, W. Karniecowa oraz W. Fainberga i W. Borisowa /10// oraz dwie książki: "Kto samuszedszysj" brata Roja i Żozera Miodwidziów /11/ i "Oddział 7" /12/, której autor Walery Tarsis, opisywał swoje doświadczenia z lekarskiej praktyki w radzieckich szpitalach psychiatrycznych. Przewodniczącym tego Kongresu, dr Ramon de la Puentes powiedział wówczas w swoim inauguracyjnym przemówieniu: *Zamilnąć o tak haniebnych sytuacji niepodobna w czasach samizdatu*.

Wskutek szantażu delegatów towarzystw psychiatrycznych bloku wschodniego, groźących wystąpieniem z WPA i obawą przed politycznymi repercjami, nieopuszczono jednak sprawy do rozpatrzenia na szerszym forum. Stwierdzono jedynie ogólnikowo i polubownie, że *wody systemu psychiatrycznego w ZSRR wyrastają z braku izolacji i braku kontaktów i tymjaki doświadczeń z psychiatrią światową* /organizacja reprezentująca psychiatrów w ZSRR - Wszechniążkowe Stowarzyszenie Neuropatologów i Psychiatrów /dalej WSNIP/ - było członkiem WPA zaledwie od roku 1968/. Sprawę więc w imię "wyższych celów" przemilczano, co w wyniku przyniosło np. błyskawiczny /w niespełna miesiąc od zakończenia Kongresu/ proces Władimira Bukowskiego - pomysłodawcę i autora apelu do psychiatrów WPA - w którym skazano go na 2 lata więzienia, 5 lat obozu i 3 zesłania. Jedynym praktycznym rezultatem rozpatrzenia tej sprawy było powołanie w Londynie rok później - Zespołu Roboczego d/s Internowania Dysydentów i Nadużywania Psychiatrii do Celów Politycznych, który miał za zadanie gromadzenie i weryfikację wszelkich dowodów tego typu działalności. W ciągu kilku lat zespół ten zgromadził szeroką dokumentację dotyczącą kilkudziesięciu bezprawnie przetrzymanyh osób.

Przez kilka następnych lat mnożą się oficjalne protesty, dobiegają na Zachód informacje o kolejnych przypadkach, powstają na ten temat książki i publikacje. Wszelkie próby podjęcia jakichkolwiek rozmów z oficjalnymi czynnikami traktowane są jednak jako "brutalna ingerencja w wewnętrzne sprawy ZSRR" i nie przynoszą żadnych rezultatów. W roku 1977 ukazuje się w Londynie wspólne opracowanie psychiatry S. Blocha i politologa P. Reddway'a "Szpitale Polityczne w Rosji" /które obejmowało całość ówczesnie dostępnych danych na ten temat wraz z wykazem osób uwięzionych i analizowała ten problem w różnych aspektach/13/. Odbywający się w tym samym roku VI Kongres WPA w Hombliu tym razem już oficjalnie odnotował w swoich protokołach fakt nadużywania psychiatrii do specjalnego więzienia *ewidentnego i systematycznego nadużycia w psychiatrii do celów politycznych w ZSRR*. Powołano również specjalną Komisję do analizy wszystkich wpływających od członków WPA

skarg dotyczących tego tematu. Pierwszym przypadkiem, przedstawionym Komisji do dokładnego rozpatrzenia przez Królewskie Zrzeszenie Psychiatrów w Londynie, była sprawa Josipa Terelii, ukraińskiego nacjonalisty i działacza religijnego. Oskarżony w roku 1972 o "antysowiecką agitację i propagandę", uznany został przez Instytut Serbskiego za "niepoczytalnego" i umieszczony w specjalnym szpitalu psychiatrycznym. W 1977, po napisaniu listu protestacyjnego do Andropowa - w owym czasie jeszcze szefa KGB - został skazany na dalsze dwa lata pobytu w zakładzie zamkniętym. Do roku 1979 Terelia spędził w sumie 14 lat w rozmaitych szpitalach psychiatrycznych. Komisja zwróciła się w tej sprawie z oficjalną prośbą o udzielenie wyjaśnień do prezesa WSNiP. Pismo to pozostało jednak bez żadnej odpowiedzi pomimo kilkukrotnych monitów.

W październiku 1982 9 dalszych członków WPR przedłożyło Komisji do rozpatrzenia 28 następnych udokumentowanych przykładów nadużyć psychiatrii do celów politycznych z terenu ZSRR. W odpowiedzi na ten protest otrzymano jedynie niekompletne wyjaśnienia dotyczące 7 przypadków. WPA zostało przy okazji oskarżone przez 19 członków WSNiP /na czele z prof. Snieżniewskim, M. Wartanlanem i G. Moro zowem/ o udział w oszczerczej kampanii, wytoczonej przeciwko radzieckiej nauce /15/. Tymczasem toczyła się w środowisku WPA dyskusja zapoczątkowana przez Królewskie Zrzeszenie Psychiatrów, dotycząca projektu usunięcia Wszzechzwiązkowego Stowarzyszenia Neuropatologów i Psychiatrów z grona WPA na VII Kongresie tej organizacji w czerwcu 1983. Wykluczenie takie miałyby charakter bezprecedensowy i odbiłyby się szerokim echem na całym świecie. Przyjrzyjmy się głównym zarzutom, które miały zostać przedstawione radzieckiej psychiatrii na Kongresie. Oskarżano więc WSNiP przede wszystkim o:

- użycie diagnozy /"sluggish schizophrenia"/ niezgodnie z wiedzą medyczną w jakimkolwiek innym kraju w celu usprawiedliwienia przymusowej hospitalizacji dydentów,
- bezprawne uwięzienie osób /bez prawa apelacji/, które nie stwarzały zagrożenia dla otoczenia,
- podawanie lekarstw pacjentom wbrew ich woli,
- stosowanie nadmiernych dawek leków psychotropowych jako kary/wywołujące niepożądane skutki uboczne aminazyna, sulfazina, haloperidol/
- nadużycie leków sprawiających ból fizyczny /dożylne zastrzyki z aminatu sodu czy zawiesiny siarkowej/
- bezprawną izolację pacjentów /zakaz widzeń i wizyt, wstrzymywanie paczek i listów/,
- stosowanie groźby i represji wobec protestujących psychiatrów. /16/

Do zarzutów tych dołączona była oczywiście obszerna dokumentacja obrazująca systematyczne stosowanie takich praktyk na terenie Związku Radzieckiego. Nic więc dziwnego, że Stowarzyszenie Neuropatologów i Psychiatrów przewidując w obliczu takiego materiału dowodowego decyzję wykluczenia swojej organizacji z grona WPA, wolało ją uprzedzić, składając w lutym 1983 roku rezugnację z członkostwa, motywując swoją decyzję /tradycyjnie już/ oszczerczą kampanią, prowadzoną w sferach politycznych/17/. Decyzja ta rozwiązała, co prawda, ręce radzieckim psychiatrom, ale nie powinna bynajmniej skłaniać do porzucenia tematu. Zadaniem WPA wobec światowej opinii publicznej powinno pozostawać w dalszym ciągu demaskowanie i piętnowanie represji psychiatrycznych, gdziekolwiek by one miały miejsce oraz dalsze gromadzenie dokumentacji, a także aktualne informacje i komentarze takich przypadków na jak najszerszym forum.

A my - w wolnych chwilach - powróćmy tymczasem do lektury "Listu filozoficznego" Czaadajewa, w którym pisał on na koniec: *Należymy do tych nacji, które nie szemrzą jak gdyby integralnej części ludzkości, lecz istnieją tylko po to, by posłuchać za jakąś ważną lekcją odległym pokoleniom, które potrafią ją zrozumieć...*

#### Przypisy

1/ Historia ta dotyczy wiersza "Na śmierć poety", jakim Lermontow zareagował na zabójstwo Puszkina. W zakończeniu tej ody pisał on m.in.:

"Wy, stojący przed tronem zgrają niewolniczą,  
Wolność, Geniusz i Sława nie wstrzymały was,  
Kaci! Pod stopy prawa kryjcie się wczas,  
Przed wami sąd i prawda - niechaj milczą!"  
/tłum. Wiesław Karczewski/



- 2/ Cytat z orzeczenia w sprawie umieszczenia w zakładzie zamkniętym młodego Rosjanina, Koto-griwowa, za udział w rewolucji francuskiej 1830 roku.
- 3/ Komisja ta została zlikwidowana w roku 1981 poprzez masowe aresztowania, zestania lub przymusową emigrację jej organizatorów, członków i współpracowników. Cytowany np. Aleksander Podrabinek został aresztowany już w roku 1978 za "rozpowszechnianie kłamliwych pogłosek o ustroju radzieckim". Wypuszczonego, aresztowano i skazano ponownie za "pesożytnictwo" w roku 1980.
- 4/ A. Podrabinek. "Punitive medicine", Karoma, 1979.
- 5/ Josip Terelia spędził w szpitalach psychiatrycznych lat 14, prof. Henryk Forpostow - lat 13, Władimir Borysow - lat 10.
- 6/ A. Koriagin - lekarz psychiatra z Charkowa, współpracownik moskiewskiej Komisji, aresztowany i skazany w roku 1981 na 7 lat łagru o obostrzonym rygorze i 5 lat zestania.
- 7/ Por. A. Koriagin, "Unwilling patients", "Lancet" nr 8210/1981.
- 8/ A. Wynn, The Soviet Union and the World Psychiatric Association, "Lancet" nr 8321/1983.
- 9/ Dokładne opisy spraw W. Bukowskiego, L. Piłszcza, Z. Miedwiediewa i innych patrz: T. Kotakowska "Psychiatria sowiecka i dysydenci", Aneks nr 19/1979.
- 10/ Warto dodać kilka słów o nieco późniejszej działalności Wiktora Fainberga i Władimira Borysowa, gdyż reprezentują oni mało u nas znaną kartę historii walki z radzieckim totalitaryzmem: niezależny ruch zawodowy. Obydwaj robotnicy /Fainberg - elektryk, Borysow - górnik/, wcześniej wielokrotnie represjonowani za działalność dysydencką, w końcu lat 70-tych byli aktywnymi działaczami SMOT-u /Wolny Ogólnozawodowy Związek Ludzi Pracy/. Uznani w efekcie za "szczególnie niebezpiecznych dla otoczenia" i - po raz kolejny - umieszczeni w specjalnych zakładach psychiatrycznych. Pozbawieni następnie obywatelstwa radzieckiego /najwyższy wymiar kary/, zostali siłą wydalenii na Zachód. Aktualnie są oficjalnymi rzecznikami Rady przedstawicieli SMOT-u na zagranicę. Dodajmy jeszcze, iż SMOT stanowił już trzecią z kolei próbę powołania niezależnego stowarzyszenia zawodowego w ZSRR. Pierwsze ukonstytuowało się w lutym 1978 roku. Było to Zrzeszenie Wolnego Związku Zawodowego, którego większość działaczy trafiła prawie natychmiast do więzień, obozów czy "psych-uszek". Główny organizator - górnik Władimir Klebanow został umieszczony w najcięższym więzieniu psychiatrycznym w Dniepropietrowsku, gdzie poddawano go bestialskim torturom. Hospitalizowano także innych działaczy wolnego ruchu związkowego: Natalię Gorbaniewską, Michaiła Zotowa, Anatolija Pozdnikowa czy Aleksandra Skrobowa /ten ostatni przewodził także młodzieżowemu "Ruchowi Komunardów".
- 11/ Miedwiediew R., Miedwiediew Z., "Kto sumasszedzjij", London, Macmillan, 1971. /Fragmenty tłumaczenia książki Miedwiediewów, opisującej kulisy umieszczenia Łożesa w szpitalu psychiatrycznym, drukowała w Polsce "Karta", nr 1/1983. W przygotowaniu pełna polska edycja tej publikacji/.
- 12/ Tarsis W., Ward 7, London, Collins-Harvill, 1965.
- 13/ Russia's Political Hospitals, London, 1977.
- 14/ Patrz: T. Kotakowska op. cit.
- 15/ Why the Soviet Psychiatrists Resigned, Lancet nr 8324/1983
- 16/ Podaję za A. Wynn, op. cit.
- 17/ Why the Soviet..., op. cit.

Z Agnieszka Holland  
rozmawia Henryk Dobosz

## Chciałabym zrzucić tę suknię Kassandra...

Henryk Dobosz: Jest Pani twórcą o dużym temperamencie społecznym. Ale każdy temat, którego Pani dotknie, ma na sobie piętno katastrofy. W głębi słyszysz się głos Kassandra. To jest aż trudne do wytrzymania dla widza spragnionego jakiegś nadziei. Weźmy po kolei: "Aktorzy prowincjonalni" ukazują losy ludzi połowy lat 70-tych. Degradacja polega na wyjątkowieniu talentu, wypalaniu się uczuć w próbie szczerzania. Żadnej perspektywy nie widać. W życiu na scenie się Pan? aktorom prowincjonalnym powiodło się lepiej niż w filmie, ten oberwładujący somnambulozny układ udało się przebić, inna sprawa - na jak długo. Mniej więcej w tym czasie gdy ten układ pękał, powstaje film "Gorączka". Tym razem degradować się bohater-rewolucjonista, a jego idea wyraża się we własną karykaturę. Ci zamachowcy, socjaliści z 1906 roku stają się pożałowania godni, nieładacy. Następny Pani film, nakręcony w Polsce, nie wchodzi dotąd na ekrany. Słyszysz się jednak o tych, co go widzieli, że jest najczarniejszym obrazem filmowym, jaki powstał u nas w czterdziestolecie. A powstawał w warunkach, kiedy ludzie mieli jeszcze trochę złudzeń. Gdy artysta ma taki dar jasno- czyli czarnowidzenia, to doprawdy strach go pytać o następne dzieło. Na początek zapytam więc o coś innego. Pani wielokrotnie podkreślała swoje związki uczuciowe, a nawet rodzinne z lewicą, czy ściślej z polską tradycją lewicową. W tej chwili w Polsce jest w tej materii tak wielkie pomieszanie pojęć, że ludzie, nawet inteligenci, niechętnie stawiają sobie pytanie o swoje poglądy. Ale ten, dość podstawowy problem, musi jednak stanąć jeśli chcemy mieć jakąś pozytywną wizję przekształcenia rzeczywistości. Pani jest osobą odważną intelektualnie, dlatego zadam to pytanie: jakie są Pani poglądy polityczne i co Pani rozumie dzisiaj pod pojęciem lewicy czy prawicy, w jakim stopniu to może mieć zastosowanie do nas?

Agnieszka Holland: Nie potrafię odpowiedzieć kompetentnie ani wyczerpująco. Jedno jest dla mnie pewne: pojęcie lewicy tak się rozmyło, skomplikowało, stało się jednoznaczne, że przestało cokolwiek znaczyć. W Polsce i na świecie. U nas z całą pewnością może nawet więcej. W kręgach opozycji na przykład można podzielić ludzi na bardziej i mniej lewicowych, bo już w życiu politycznym nie ma już takiego. Tu we Francji lewica socjalistyczna jest teraz u władzy i stworzyła pewne chwytliwy strategii społecznej związanej z tą tradycją oraz powołuje się na imponowalność filozofii marksistowskiej, ale całość polityki nie ma wiele wspólnego z myślą lewicową, taką, jaką my znamy choćby z okresu międzywojennego. Komuniści zmieszali wszystko. Bo czy komuniści są w stosunku do socjalistów lewicą czy prawicą? Czy są lewicą czy prawicą w stosunku do liberalnych demokratów? Więc tych pytań już dziś nie należy używać. Jeśli

Wywiad publikujemy bez zgody i wiedzy jego Autorki.

ja mówię o swojej sympatii, to głównie do polskiej lewicy (zachodnia lewica zawsze mnie drażniła), do pewnego ethosu wyższej wrażliwości społecznej, krzywdy ludzkiej. Polscy socjaliści byli ludźmi, którzy mieli potrzebę przeciwdziałania się znu, mieli jakąś wielkoduszność, umiowanie ideałów niepodległościowo-ewangeliczno-równościowych. I to jest mi bliskie. Bo jeżeli spotykamy się z krzywdą ludzką, to obowiązkiem inteligenta, człowieka, który ma na rozum i serce, jest bronić tych ludzi, którzy sami obronili się nie mogą lub podsuać im sposoby obrony. A zatem dla mnie lewica - to dziś kategoria nie polityczna lecz etyczna, ewangeliczna niemal.

H.D.: Film "Gorączka" był właśnie opowieścią o takich ludziach. Ale ich postawa moralna dewalutowała się w miarę jak uświatał wolność o swoje ideały na drodze terronu. Jednak innej drogi nie mieli. I jesteśmy w środku kwadratury kota. To był bardzo tragiczny film, nie pozostawiający żadnej nadziei. Dlaczego Pani robi filmy tragiczne?

A.H.: Nigdy nie umiem dokładnie powiedzieć, dlaczego zrobiłam taki a nie inny film. Nie mówię, że to się dzieje w natchnieniu, ale coś takiego chyba jest, wypływa z nie do końca dającej się wyartykułować potrzeby żeby opowiedzieć jakąś historię mnie interesującą, czy wykreować jakąś rzeczywistość zgodnie z moim przeczućciem czy wewnętrzną wiedzą o tej rzeczywistości. Jeśli chodzi o "Gorączkę", to dziś a posteriori wiem jakby więcej, dlaczego ja zrobiłam tak, a nie inaczej. I jestem zadowolona, że tak to zrobiłam po tych doświadczeniach, które potem mieliśmy. Moja droga do filmu, do sztuki, do myślenia o filmie była zresztą dość pokretna i nie była wcale drogą wysilenia społeczno-politycznego, przeciwnie, dość wczesnie zanegowałam takie myślenie jako nieużyteczne, wręcz niebezpieczne dla kogoś, kto chce zajmować się sztuką. Pamiętam, na początku moich lat studenckich w Pradze byłam bardzo pogardliwa w stosunku do wszystkich, którzy się kręcą w tym tygielku też ideaowych. I dopiero doświadczenie 1968 roku i kłeski Praskiej Wiosny, upadek czegół, co było tak żywe, tak wspaniałe i zostało zmiążdżone czołgami na moich oczach to mi nagle uświadomiło, że może kiedyś tak, ale w dzisiejszym stuleciu, w czasach, w których żyjemy, w świecie w którym żyjemy, w krajach w których żyjemy, od tego nie można uciec. I było to doświadczenie kluczowe dla mojego życia, dla mojej biografii twórczej i dla mojego myślenia. Wszystko, co później przeżywałam, było jakby dopełnieniem tego, co zapuściło we mnie takie korzenie. Ale to doświadczenie Praskiej Wiosny, jej rozbicia i tego, co się potem stało z tą czeską rewolucją, z tymi ludźmi, którzy byli tak wspaniali w 68 roku i którzy już w 70 byli gotowi za swój względny spokój zrezygnować ze wszystkiego, sprzedać wszystko, to mi uświadomiło niejednoznaczność postaw ludzkich, sytuacji ludzkich w historii. I zawsze mnie odtąd drażniły, zresztą wcześniej też, z innych powodów, takie formy sztuki jak socrealizm czy surrealizm o rebours, czy taka czytankowa wizja świata ku pokrzepieniu serc, czy wizja, która mała zobaczyć w amerykańskich hollywoodzkich filmach, skądinąd dobrze zrobionych i atrakcyjnych. I zawsze wydawało mi się, że rzeczywistość jest tak strasznie skomplikowana i że ja odczuwam te konspikacje, że się z nią mociuje i że jest to jakby problem mego życia, więc jak robię film, to szukam raczej tych komplikacji niż uproszczeń. I że moim obowiązkiem jest mówić o tych skomplikowanych sprawach w sposób maksymalnie prosty, tak żeby jak największy ludzi mogło to zrozumieć i tym się przejąć.

W "Gorączce" zaciąkawiko mnie parę rzeczy, przede wszystkim okres historyczny, który był nie ruszony, a jak był ruszony, to kompletnie zakłamany - cała historia polskich ruchów robotniczych była opowiadana z perspektywy takiej, jakby to była cząstka rewolucji bolszewickiej, a to nieprawda. Albo to przemilczano, widząc ten ruch przez pryzmat późniejszego Piłsudskiego, polskiej rodzimej rewolucji socjalistycznej, początki tego ruchu z całym swoim skomplikowaniem, tragicznością są czymś żywym i tak ważnym, że wydawało mi się koniecznym do nich wrócić. Oczywiście, ten film nie miał ambicji historycznych, to było tylko dotknięcie, chciałam jakby przywołać do życia tamtych ludzi. Powieść Struga, na której oparty jest scenariusz, jest powieścią tragiczną, pisana z gorącej perspektywy kłeski. Jej język się zanachronizował, ale nie widzenie ludzi, uwikłania ich losów, ono jest głębokie i

wspaniałe, w tym Strug był prawdziwym artystą. On pokazał koszty, które kolejne pokolenia Polaków płacą. I to nie jest zdezaktualizowane. A poza tym scenariusz, tak jak to Toeplitz napisał, a ja potem jeszcze trochę przerobiłam, miał oryginalną konstrukcję dramaturgiczną. Wydawało mi się, że mogę zrobić film, jakiego jeszcze nie było, ani w Polsce, bo to był obszar tabu, ten sposób mówienia o historii nie był u nas zwyczajny, bo mówiło się socrealistycznie, albo bardzo romantycznie - że mogę pokazać postaci, które mają dla nas jakieś przesłanie na dzisiaj i że mogę zrobić film o bardziej oryginalnej, złożonej konstrukcji niż to, co się dziś robi na świecie. I myślałam, że ten film się sprawdzi i że się nie starzeje. Zrobiłam go tuż przed sierpniem 1980 roku. Potem przyszedł Sierpień i nagle zaczęły się pewne rzeczy aktualizować, nawet takie zewnętrzne. Okazało się, że Olo Łukasiewicz w tym filmie jest podobny do Wałęsy, a na przykład brama fabryczna była podobna do bramy strajkowej. Lecz przede wszystkim okazało się, że ruch "Solidarność", jego ekspresja, pewne cechy rodzące się myślenia ideowego - chociaż tam w głębi nawiązują do tego początku polskich ruchów socjalistycznych, z wyjątkiem terroryzmu, na szczęście, i że jest w tym coś podobnego. Bo "Solidarność" bardziej przypominała to właśnie niż nasze regularne powstania narodowe, do których się ja czasem przyrównuję.

H.D.: "Pewnym sastrążeniem. Wałęsa nie jest psychicznie podobny do tego nawiędnego bojownika szlachetnej sprawy, granego przez Olgierda Łukasiewicza, jest całowitekiem rzeźbionym w innym materiale historyczno-społeczno-osobowościowym. Natomiast co do losów polskich arwów rewolucyjno-wolnościowych, zgoda. Będę się powtórzyło. Częściowo, bo to był jednak inny styl, nowy model.

A.H.: Częściowo nowy. Myślę zresztą, że zaraz po sierpniu ludzie nie lubili oglądać tego filmu, to było przyjmowane jako rodzaj krakania. Ja też nie chciałam okazać się prorokiem, wołałam, żeby to nie poszło tak, jak opowiedziały w filmie. Chociaż przez cały okres "Solidarności" - co mi nie przeszkadzało cieszyć się nią i angażować na swojej działce - ponieważ byłam już zarażona doświadczeniem czeskim, myślałam, że to się skończy mniej więcej tak, jak się skończyło. To znaczy myślałam, że to się skończy dużo gorzej, bardziej krwawo.

H.D.: Ale "Gorączka" mówi o osymy jeszcze gorzszym, co się "Solidarności" jednak nie przytrafiło - o klęsce moralnej, o wyrażaniu się idei w osobistych postawach rewolucjonistów. Ten los nas ominął.

A.H.: W "Gorączce" mówiłam dość konkretnie o klęsce takiej walki, której instrumentem staje się terroryzm. Myślałam, że każdy ruch, który sięga po środek terroru indywidualnego, musi się moralnie zdyskredytować. I fakt, że "Solidarność" nie użyła tego środka do końca i także po wprowadzeniu stanu wojennego - świadczy, że jej duchowi przywódcy znali i zrozumieli to niebezpieczeństwo. Można by też powiedzieć, że nie było takiej determinacji. Ale wystarczyłoby przecież kilka zdeterninowanych osób, które zawsze się znajdują. Zresztą ja nie potępiałam tak wprost tych terrorystów z 1905 roku. Ponieważ są sytuacje w historii, niestety, kiedy postawa Ghandiego nie wystarczy. W polskiej historii takich okresów mieliśmy kilka i zawsze one były tragiczne dla ludzi, którzy stawali się tymi torpedami. Zawsze oni płacili kosztą straszne. Podczas okupacji również, choć wtedy sytuacja była bardziej klarowna. Ale nie zapominajmy o Rosjanach, to oni w filmie tworzą sytuację. Warunki są zdeterninowane przez niemożność innej walki. No i tutaj jest pewna analogia z dzisiaj.

H.D.: Analogii jest wiele. Ale sposoby walki się bardzo zmieniły. Zmienia się też typ bohatera polskich rewolucyjnych wydarzeń. Do tego stopnia, że dziś jest go dość trudno sdefiniować, zwłaszcza z całkiem aktualnej perspektywy. O zwycięstwo na miarę marzeń nie zostało odniesione, ale też nie było totalnej klęski, sprawa jakby ciągle trwa rozciągnięta w czasie. Kto więc jest jej głównym bohaterem? Czy o, co dokonują wyborów katerycznych, udając się na przykład na emigrację zewnętrzną lub wewnętrzną? Czy przeciwnie - akt. wy prowincjonalni stanu postwojennego, którzy tworzą nowe napięcia i sytuacje w warunkach życiowych potocznych, deterninowanych przez istniejący

wkład społeczno-polityczny? Od kogo będzie zależało, jak się to dalej potoczy? Filmy tzw. niepokorów moralnego z końca lat 70-tych były do siebie w tym podobne, że ich bohaterów charakteryzował ten sam stan ducha. Teraz obraz nas-trojów nie mógłby być tak jednolity. Gdyby Pani chciała zrobić film współ-czesny o Polsce, kto byłby tym bohaterem-lokomotywą czy też bohaterem-lustrzem?

A.H.: Byłoby mi bardzo trudno, w ogóle jest dość trudno zrobić filmy uciążliwe i adekwatne. Dlatego też one nie powstają. I dlatego tak mocno mnie to ciągnie, żeby w tej chwili wrócić do Polski. Już abstrahując od kłopotów urzędowych, które pewnie bym miała. Ale przede wszystkim nie mam żadnej wizji ani pomysłu na taki film. A innych realizować nie warto, w każdym razie ja nie mam ochoty. Bo co i kto mnie najbardziej interesuje? "Gorączka" to była taka jakby moja fanaberia. Zawsze, przedtem i potem, w "Kobięcie samotnej" zwłaszczą, opowiadałam o całkiem zwykłych nieszczęśliwych ludziach, którzy wpadli w sieci codziennych mechanizmów i własnych niemożności i się w tym szamocą i walczą o jakąś godność, o jakąś prawdę, ale ta ich walka często obraca się po prostu przeciwko nim. "Kobieta samotna" to był mój najczarniejszy film, jakby eksperyment, dokąd można dojść w tym pesymizmie, trzymając jeszcze ludzka uwagę, to chyba była ta granica. A przy tym chciałam się przeciwstawić pewnemu tonowi hagiograficznemu, który w okresie "Solidarności" się pojawił, buńczuczno-rewolucyjno-radosno-socrealistyczny na nowo. Wydawało mi się, że to nie jest ani czas, ani miejsce, ani nasze zadanie, żeby malować takie laurki. No ale teraz ... W latach 70-tych to była dużo prostsza sprawa, nasze odczucie było takie, że coś złego dzieje się ze społeczeństwem, które jest planowo i regularnie demoralizowane, upupiane, korumpowane, że więzi łączące ludzi, imponderabilia moralne, wartości ulegają rozmyciu, przeinaczeniu i sprzedaniu i należy przeciwko temu protestować.

H.D.: To snaczy powiedziałeś po prostu ludziom głośno, że tak jest, uważa to? Do do tego się te filmy sprawdzały.

A.H.: Tak. Wnioski każdy mógł sobie wyciągnąć. Taki był nastrój połowy lat 70-tych, kiedy jeszcze głerkowska maszynka dobrobytu się kłocila i kiedy maszynka korupcji nawijała się i ogarniała wszystkie kręgi społeczne, korupcji w sensie materialnym i duchowym. Nie wiem dokładnie, jak jest teraz, z tego co wiem, to ta maszynka nie została zahamowana zupełnie, ale jednocześnie ludzie wiedzą tak dużo, tak wiele zostało uświadomione, że w dziedzinie świadomości nastąpiła prawdziwa rewolucja. I takie mówienie o filmie: o, jest tak, jak jest - do niczego nie prowadzi, to jest stanowczo za mało. Trzeba by było albo mówić całą prawdę o mechanizmach, co jest niemożliwe, albo też szukać czegoś, przed czym wcześniej się broniłam, szukać pewnych, nawet niestniejących wzorów i postaw, to znaczy przebijając tę beznadziejność sytuacji kreowaniem zupełnie nieoczekiwanych bohaterów.

H.D.: Chciałaby Pani rzucić z siebie suknię Kassandra?

A.H.: Tak, absolutnie tak. Bo skoro już się spełniło to, co mogłam wykrakać... Oczywiście, może być jeszcze znacznie gorzej niż jest, ale skoro wszyscy czują i znają to, co jest złe, beznadziejne, to przy tym udreczeniu trzeba, jak sądzę, dawać zastrzyki nadziei. Nie takiej prostej, że jest fajnie albo wesoło, więc teraz zrobimy jakąś k u m e d i e albo coś takiego, choć komedie trzeba robić też, ale tym bym się nie umiała zająć. To znaczy nie znów ogłupiać się, tak jak się ogłupiają społeczeństwa zachodnie, że kiedy kryzys, bezrobocie, wojna nuklearna, wszystko jest takie ciężkie, so to ogłupiają się do tego stopnia, że doprowadzają się do stanu wtórnego infantylizmu. I rzeczywiście, poziom zachodnich społeczeństw - intelektualna, moralna, świadomościowa - jest w tej chwili żałośnie niski. To odbija się na poziomie polityków również. Polacy jako naród są dziś głębsi, mądrzejsi i myślą, że tego lepiej nie stracić, bo to jest jedyne właściwe bogactwo, jakie mamy. Ale film musi być domena wolności, nie służka - opisywacem tego wychodka, w którym nam przyszło żyć, powinien jakby otwierać okna i pokazywać, że można inaczej nawet w tym. Sama nie wiem, może myślę o prawie bajce.

H.D.: Jednak żaden taki film do tej pory nie powstał. Muszą być jakieś przeszkody, tak? w świadomości twórców.

A.H.: No bo to jest bardzo trudne. Żeby zrobić średnio mądrą komedię, śmie-

szna, sympatyczna, pouczająca, jak "Tootsie" na przykład, trzeba też mieć po prostu poczucie wolności. Nie wyobrażam sobie, żeby w Polsce można dziś było zrobić taki film, czy też pomyśleć w ogóle o takim filmie. Wolni ludzie bawią się tym, żeby coś opowiedzieć na pewnym poziomie beztroski, trzeba też beztroskę gdzieś tam w sobie mieć. Ale może to da się wyhodować? Tylko że w miałyby to trochę inny ton, zawsze byłoby w tym coś straceńczego. D.: W kraju rozsywają się teraz wykreślając bardzo rozmaite postawy ludzkie, które są szukaniem sposobu na życie, ale beztroski, nie widzę, niewyobrażone jednak, że i do tego dojdziemy. Tej różnorodności paunie dobrze nie dać stać, a emigracji.

A.H.: Chciałabym pewną rzecz uściślić jeśli chodzi o mnie. Nie jestem na emigracji, po prostu czasowo przebywam poza krajem. Ale ten dystans nie przeszkadza widzieć rzeczy właściwie, czasem nawet pomaga.

D.: Jak to się stało, że od trzech lat przebywa Pani w Paryżu?  
A.H.: Życiem ludzkim rządzą przypadki, które potem, a posteriori bądź nabiera sensu, bądź nie nabierają. Gdybym przypadkiem nie znalazła się w momencie wybuchu stanu wojennego za granicą, gdybym nie poczuła w tym momencie potrzeby czy obowiązku, żeby publicznie wypowiedzieć się na temat sytuacji w moim kraju i w związku z tym nie stała się przedmiotem ataku propagandy, to bym nie została tutaj, ani w ogóle bym nie myślała o wyjeździe. Bo przedtem przez całe lata byłam do tego nie tylko namawiana, ale niemal zmuszana. Zaraz po studiach w Pradze, gdzie miałam proces polityczny, usiłowano się mnie z Polski pozbyć na tej fali urzędowego antysemityzmu. Wszelkie moje próby zrobienia filmu rozbiły się wtedy przez dłuższy czas o taki kawkowski mur, który zresztą nie był wcale tajemniczy. Potem z kolei przez jedenaście lat nie dawano mi paszportu. No ale skoro wytrwałam przez ten najgorszy okres, to później, kiedy zbudowałam sobie pewną pozycję, tym bardziej nie miałam ochoty wyjeżdżać. Wiele złożyło się na to, że jestem tutaj. Najpierw to było nie całkiem trafne rozeznanie sytuacji, spodziewając się rozwiązań, które nastąpiło w grudniu 1981 roku, przewidywałam już wcześniej konsekwencje w kategoriach apokaliptycznych, wyobrażałam to sobie jako katastrofę totalną. Szczególnie, że ta rzeczywistość, że sytuacja materialna stawała się tak upiorna już przedtem. Akurat przygotowywałam scenariusz dla Wajdy na film o Korczaku, siedziałam w getcie, tak to można powiedzieć. Przeszukiwałam wszystkie możliwe dokumenty, pierwszy raz w życiu porozmawiałam z moją ciotką, siostrą mojego ojca, która była w getcie, gdzie rodzina jej i moja zginęła. Jak gdybyśmy troszeczkę przeżyła to getto. I widziałam Polskę, to, co się stało, narastało, w kategoriach getta. Ludzie, którzy przeżyli getto, zawsze oceniają rzeczywistość już z tej perspektywy.

H.D.: Jednak wnioski mogą być różne. W czasie zjazdu "Solidarności" robiłam wywiad z Markiem Edelmanem, jednym z przywódców powstania w getcie. Zarzucał Wałęsie oportunistę i brak odwagi. To także jedna z perspektyw getta, perspektywa straceńcza, ostateczna.

A.H.: Tak czy owak jest to perspektywa chora. Ja uległam tej chorobie. Ale dlaczego nie wróciłam potem, kiedy już nie było takich niebezpieczeństw? Bo niebezpieczeństwa typu aresztowania się nie bałam, to doświadczenie mogę skonsumentować, siedziałam w więzieniu i dobrze się tam czułam, to znaczy czułam, że się wzbogacam. Bałam się czegoś innego. Mianowicie mimo pewnego temperamentu społeczno-politycznego moja prawdziwa natura ciągnie mnie jednak gdzieś indziej, jest nią coś, co można nazwać pracą twórczą. Wiedziałam dobrze, że jeśli wrócę w tym momencie do Polski, to sytuacja, mój własny wybór, moje powiązania, sympatie popchną mnie już na drogę stricte polityczną, z której jest trudny odwrót. Czyli będę grała pewną rolę, która nie jest moją rolą. Miałabym wtedy takie wrażenie, że zmarnowałam troszkę życie, to znaczy ten dar, jaki może mam. A poza tym to jest ciekawe, popatrzeć na to wszyscy z innej perspektywy. I także na świat. Jakby dotknął świata inaczej. To jest pozytywne. Przez pięć lat byłam w Czechosłowacji. To jednak inny kraj niż nasz, choć bliski. I czułam, że to było potem dla mnie bardzo ważne. Nie sądzę, że cały czas musi się być w Polsce. Nienormalność tego systemu stwarza takie napięcie, osady, posądzenia o zdradę. Polacy starszego po-

kolenia, których tutaj poznałam i z którymi się zaprzyjaźniłam, na przykład Józef Czapski czy Konstanty Jeleński - ci ludzie są dla mnie jakby najwyższą próbką myśli polskiej, niezależności polskiego ducha, intelektu, pozbawieni jednocześnie uwikłania w zjadliwość, koteryjność, tego co sytuacja w Polsce rodzi, bo musi rodzić - a każdy z nich w kraju żył krótko, Jeleński chyba dwanaście na sześćdziesiąt dwa lata, Czapski sześć, siedem lat, a to już sądziwy człowiek.

H.D.: *Jest wiele przykładów na to, że można trudno zawsze Polsce, mieszkając poza krajem. Są też ludzie, dla których jest to nieszczęściem wyjątkowym psychicznie. To kwestia indywidualnej konstrukcji, może rodzaj talentu. Herbert uważa, że musi wrócić. I wrócił. Z perspektywy kraju problem emigracji jest dziś szczególnie ważny głównie jako problem środowiska, które staje się lub nie staje dostatecznie znaczącą siłą polityczno-intelektualną, zdolną wpływać na naszą sytuację dzisiaj i w przyszłości. Emigracja Polaka po "Solidarności" ma nowe szanse i większe obowiązki, wiele się od niej oczekuje. Czy Pani adamiem jest ona w stanie tym oczekiwaniom sprostać?*

A.H.: Sporo się tutaj dzieje. Ale chyba jedyną instytucją na miarę Wielkiej Emigracji jest Giedroyc z tym, co stworzył, taką rolę odegrała "Kultura". To postać zupełnie niezwykła, wyniosła, dziwny charakter, nastawiony docelowo. Może dlatego udało mu się tak wiele zrobić minimalnymi środkami. On ma bardzo górną perspektywę. Nie sądzę, żeby ta nowa emigracja była w stanie wytworzyć coś podobnego. Nie widzę takiego potencjału, choć ludzi jest bardzo dużo. No cóż, emigracja wytwarza przeważnie swoje własne problemy i zagrożenia, trudne do przewyżczenia. Jednym z najważniejszych jest znowu problem zagrożenia wewnętrznego wolności.

H.D.: *Jak to Pani rozumie?*

A.H.: Myślę, że największym problemem Polaków i wszystkich takich krajów jak Polska jest wewnętrzne zniewolenie, na dobre i na złe. Jest taka książka czeskiego pisarza Vaculika, nazywa się "Sennik czeski". To fascynujący dokument walki o wolność wewnętrzną. Opozycjonista, człowiek maksymalnie zniewolony przez otaczającą rzeczywistość polityczną, bez przerwy śledzony, przesłuchiwany, represjonowany, walczy o swoją wolność nie tylko w stosunku do tego represyjnego systemu, ale również względem towarzyszy walki, ponieważ ta sytuacja dysydenta jest w jakiś paradoksalny sposób także szalenie zniewalająca, to znaczy wszystko układa się według taktyki w stosunku do władzy, co jest niebezpieczne zwłaszcza dla intelektualisty, którego zawodem powinno być swobodne myślenie. I wkacając do emigracji - tutaj łatwo się wpada w pułapkę podejrzliwości i lęku przed podejrzeniami.

H.D.: *Te zaraza nie omija też kraju. Jest zresztą podsycona. Z tym, że będąc na miejscu, w środku, łatwiej jest się skorygować, zachować zdrowy rozsądek. Tym bardziej, że opozycja ma dziś bardzo szeroki zasięg, obejmuje różne środowiska. W tych warunkach różnicę poglądów są zupełnie zrozumiałe i uprawomocnione. Jest to z pewnością korzystne.*

A.H.: Raczej tak, choć widzę niebezpieczeństwa. Na przykład w stosunku do opcycji czeskiej, w Polsce jest niby łatwiej. Tam bycie dysydentem pociąga za sobą naprawdę ciężkie konsekwencje, to jest bardzo ryzykowne. Dysydenci są izolowani, społeczeństwo ich nie popiera w sposób aktywny, oni są w sytuacji zaszczytanych Robinsonów. U nas odwrotnie, ruch ma ogromną bazę społeczną. Ale jednocześnie się rozmywa. W Czechosłowacji na te szczyty dochodzą już tylko ludzie najwyższej próby. A w Polsce? Są jakby pewne mody, tworzą się kawiarniane opozycje. To staje się gestem. I ci opozycjoniści często zaszczuwają najprzywzwoitszych, którzy mają odwagę mieć opinię uczciwą i niezależną, ale inną, która może być zinterpretowana jako trochę prorządowa. Jeżeli jest się bliżej środka czy sceptycznym wobec pewnych gestów, można otrzymać etykietkę kolaboranta i być zaszczutym na wewnętrzną emigrację.

H.D.: *Nie wydaje mi się to adekwatne do aktualnych nastrojów w kraju. Jest to raczej charakterystyka stanu umysłów sprzed stanu wojennego. Może jednak reaszytuć się z daleka widok lepiej.*

A.H.: Ja znam kilku takich ludzi, którzy czują się teraz bardziej samotni niż kiedykolwiek. Poza tym człowiek powinien mieć także prawo do tak zwanej uczciwej pomyłki. Tymczasem okoliczności stawiają nas ciągle w sytuacji ja-

kiegoś szentatu moralnego. No bo w normalnym życiu politycznym wszystkie podziały się uzewzetrniają, natomiast w naszym życiu nabierają cech paranoi. I trzeba ogromnej siły, żeby się przebić przez tę sytuację. Kiedy na przykład patrzę na naszą niezależną literaturę, to myślę, że ona wogóle nie jest niezależna. Mam wrażenie, że oddała się w służbę tej drugiej stronie, w sposób może uciążliwy osobiście, ale nieuczciwy artystycznie. I dlatego to jest takie wzięcie.

H.D.: Czy nie jest to właśnie ten wielki temat na film, którego Pani szuka?

A.H.: No tak, ale nie można robić takiego tematu w tym momencie.

H.D.: Czyli jednak nie jest łatwo zdobyć się na odwagę samoinicjatywy?

A.H.: Nie tylko to. Przecież nie jest tak, że intelektualści są winni, tylko że oni padają ofiarą tej sytuacji. Ale dla dobra tego, o co walczą, muszą znaleźć jakąś metodę. Żeby to nie stało się takim myśleniem rótańcowo-kombatanckim, anachronicznym i zekalcowanym. Żeby było rouseau tak żywe i piękne, jak w 1980-81 roku, kiedy zachwyciliśmy i siebie i świat.

H.D.: A może tego bohatera wolnego wewnętrznym, o którym Pani wspominała, że film i sztuka powinny go wykreować, nie trzeba wcale wymyślać od początku do końca, może on jest. Wielu ludzi uważa za takiego człowieka Lecha Wałęsę. Z pewnością jest to jakiś nowy model, którego jakby nie się nie ma. I to jest w nim najbardziej porażające.

A.H.: Ja od początku byłem bardzo dobrego zdania o Wałęsie i często spierałem się z moimi kolegami, którzy oceniali go inaczej i byli nieufni.

H.D.: Wałęsa nie jest intelektualista. W tym środowisku miał też największą przeciwników. Niektórzy uważali, że nie jest dość rewolucyjny, że nie ma w sobie tego natężenia, inni, że jest trochę bęgalowaty. Tymczasem on stworzył coś takiego, czego żaden inteligent, a nawet wielki twórca nie przeczuł, sposób bycia zarówno na wypadek zwycięstwa, jak i porażki, które nie jest przegrana, bo pozwala przechodzić przez klęskę względnie suchą nogą. To w dużym stopniu jego zastuga, że tak się stało. I to jest również sprawą bardziej ogólną - nowy rys polskiego rysu. Co Pani o tym myśli.

A.H.: Wśród rasowych inteligentów stosunek do Wałęsy był dwójaki. Albo zachwyty nad tą prostotą, nad prawdziwością, na kolanach, tak jak było po wojnie czy po rewolucji radzieckiej w stosunku do proletariatu, podziwianie zwierzątka - postawa dość nieprzyjemna, albo pogarda dla tej prostoty, która jest według nich prostactwem. Dla mnie Wałęsa jest po pierwsze człowiekiem o wspaniałym, silnym charakterze, na miarę naszych czasów. Choć dla niego w gruncie rzeczy trudniejszą była sytuacja, gdy był przywódcą, niż teraz, gdy jest przegrany. To ciekawe i świadczy o naszym polskim piekle. Podobna była sytuacja Piłsudskiego. I na pewno nie w każdej sytuacji Wałęsa się sprawdził. Może niektóre cechy jego osobowości były budzić pewien niepokój, na przykład taka a le Piłsudski niechęć do demokratycznych form, ale wiemy dobrze, że ta demokratyczność stała się koniecznością, co zresztą jest

zrozumiałe w społeczeństwie, które przez czterdzieści lat nie miało w żadnym miejscu możliwości demokratycznej eksplozji. Ale jeśli patrzę z artystycznego punktu widzenia, to jest to rzeczywistość całkiem nowa, oryginalna, postać, nie z rekwizytorium romantycznego, prawdziwie ludowa, plebejska, dokładnie taka, jakiej potrzeba. Reagujący żywo, inteligentnie na rzeczywistość z jej wszystkimi przejawami bohater niejednoznaczny, którego zachowanie nie jest typowym zachowaniem z polskiego kodeksu. On jest dla mnie jak z powieści Kotrzykowskiej albo jak z Sienkiewicza, trochę Kalcic. W Wałęsie nastąpiło przełamanie stereotypu polskiego bohatera narodowego. Fakt, że narodził się utożsamił z takim właśnie bohaterem, świadczy o jakimś zwrocie duchowym, o próbie odejścia od czegoś, co przez dwa stulecia było obowiązującym kanonem i szukania świeżych źródeł w mądrości narodu, która nie jest tylko mądrością poświęcenia, całopalenia. Przy czym jestem przekonana, że on ma też cechy tragiczne i w razie czego gotów jest być tym kamieniem na szaniec. Czyli przy tej pozornej prostocie Wałęsa jest postacią ogromnie złożoną. Bardziej na przykład niż Gwiazda, który stoi intelektualnie wyżej. I wogóle ciekawszą, bardziej twórczą, inspirującą. I wcale nie przypadkiem



stał się on symbolem nie tylko dla nas, ale i dla świata, symbolem Polski. To dobrze, że mamy taki symbol. Obok Chrystusa przybitego do krzyża taką postacią ludzką realną i żywną, nawet trochę cwana, z krwi i kości. To dużo lepiej. Natomiast czy nawet taki typ jak on jest w stanie sprostać polskiej sytuacji, nie wiem. Wałęsa ma fantastyczny instynkt, ale jego sytuacja staje się znowu bardzo trudna, coraz trudniejsza, pole działania się kurczy. On jest cały czas jakby nakręcany przez kamery zachodniej telewizji, przed czym się broni, ale z drugiej strony jest mu to potrzebne! jest potrzebne sprawie, bo Polska ostatnio zredukowała się na Zachodzie właściwie do Wałęsy. Więc jest obawa, żeby on się nie stał taką odpostawą postacią folklorystyczną. Ale ja myślę, że on znajdzie na to sposób, w każdym razie miał parę zachowań fantastycznych, co usmierza tę obawę.

H.D.: *Obraz Polski w oczach Zachodu czy świata jest ważny, ale nie najważniejszy. Istotne jest to, co się dokonuje w świadomości samych Polaków. Na przykład fakt, który już jest wynikiem przemysłał stanu wojennego i aktualnej atmosfery, że inteligencja polska, tradycyjnie przywiązana do romantycznego modelu bohatera ze spiżu uważa w końcu wartość tej "plebejskiej" propozycji, wcześniej dla wielu kontrowersyjnej. Dziś już nie szermuje się tak chętnie epitetem oportunisty, choć jeszcze na początku wojny opinie na temat "kaprala" Wałęsy były bardzo podzielone.*

A.H.: No właśnie, Adam Michnik, który był wcześniej taki zatwardziały, po wyjściu z więzienia powiedział w pierwszych słowach swoich słowach: Kocham Wałęsę. Ale wcześniejsza kontrowersja między nimi też jest czymś bardzo ciekawym, godnym artystycznej analizy. Podejrzmy do sprawy psychologicznie i popatrzmy na zjawisko najbardziej zapalne, KOR. To byli ludzie, którzy jakby porzucili swoje życie w czasach, gdy było niewiele skłonnych się narażać. Ruch wspaniały moralnie. I w nich wykształcił się rodzaj pychy, że oni są awangarda. Tymczasem gdy powstała "Solidarność", różni doradcy, ludzie mądrzy i zrównoważeni, Mazowiecki, Bądkowski, inni, którzy jednak nie siedzieli w więzieniach, zaczęli doradzać i odradzać, że niby nie jest na KOR-owców czas. To kiedy ten czas jest? Wtedy kiedy trzeba iść siedzieć? Takie postawy spowodowały u nich reakcje krzywdy i nieufności. Także w stosunku do Wałęsy.

H.D.: *Awangarda z zasady nie są powszechnie zrozumiane wtedy, gdy się rodzą. Im i tak się powiodło, doczekali moralnego zwycięstwa, które nastąpiło teraz, nie wtedy, gdy zachowując się wcierniście, usiłovali zdyskontować zasługę natychmiast we władzach Związku. Co do Wałęsy, to myślę, że on tę sprawę od początku dość dobrze rozumiał, kierując się zarazem względami wyższej konieczności, co u niego jest równoznaczne ze zdroworossadkową oceną możliwości. To ale to już przeszłość. Dziś pojęcie opozycji, tak tajemnicze i dwuznaczne jeszcze osiemnaście lat temu dzięki skutecznym obrzydaniu przez oficjalną propagandę, straciło tę tajemniczą dwuznaczność, jest przyjmowane przez społeczeństwo jako coś normalnego i zrozumiałego.*

A.H.: Ja myślę, że to wygląda tak: dziś istnieją obok siebie w polskiej świadomości dwa równoprawnione typy pozytywnego bohatera. Ich współistnienie jest i nie może być sielanka, ale okazuje się twórcze, bo stwarza nam więcej możliwości.

H.D.: *Podobno zrobiła Pani niedługo po przyjeździe tutaj film o tym, jak Francuzi pomagają Polakom, który wzburzył Francuzów. To był dokument?*

A.H.: Nie, mała fabułka. Nie jestem z niej zadowolona. Byłam wtedy jeszcze w takim szoku, że chyba nie powinienam była tego robić. Taka historia dziecka które Francuzi w ramach tej akcji pomocy biorą do siebie na wakacje czy na dłuższy pobyt, żeby to dziecko odżywić, ubrać. Przez pokazanie zetknięcia tych dwu światów chciałam powiedzieć, że to wcale nie jest proste zrozumienie tych dwu światów chciałam powiedzieć, że to wcale nie jest proste zrozumienie i że nie wystarczy komuś kupić dżinsy czy posłać paczkę. Jeśli chce się naprawdę pomóc, to to jest wielki wysiłek i uczuciowy i intelektualny. Francuzi nie zostali pokazani w tym filmie flę. Był tylko ten problem głębszej odpowiedzialności.

H.D.: *Mnie się wydaje, że ten zachodni świat tym razem jednak coś zrozumieli, że dokonał pewnej ewolucji. Stąd ta pomoc i zaangażowanie tak intensywne.*

A.H.: *Rzeczywiście, zwłaszcza Francuzi bardzo dużo dla nas robili. Bo w gruncie rzeczy myśmy im byli tak samo potrzebni, jak oni nam. I chodzi o to, żeby oni to sobie uświadomili. Na Zachodzie zawsze ludziom potrzebne jest coś, żeby udowodnić swoją szlachetność. I może się okazać, że w tym momencie jest to Polska, jutro Angola, pojutrze ratowanie łodzi. Takie jest myślenie tych lewicowych marszów, ważne jest żeby maszerować i utrzymywać się w stanie pewnej egzaltacji. Warto to sobie uświadomić, żebyśmy wiedzieli, na ile można liczyć. I dobrze by było, żeby oni też zdawali sobie z tego sprawę, że to jest układ wzajemnych usług. My im dajemy możliwość spełnienia potrzeby zadowolenia moralnego, a oni nam konkretną pomoc.*

H.D.: *Takie myślenie miałyby krótkie nogi. Problem jest w tym, czy ludzie na Zachodzie osiągnęli tę świadomość, że istniejemy jako Europa, jako tradycja kultury w systemie nasytł potągowanych. I że to, co robimy dla Polski, ma też znaczenie dla ich przyszłości, dla całego kontynentu.*

A.H.: *To się pojawiło również. Na przykład związki zawodowe tutaj i na świecie zostały tak szalenie dowartościowane przez istnienie "Solidarności" jak na swoją ideologię. Wreszcie otrzymali coś, co zapewniło im wewnętrzna integrację i dobre samopoczucie. We Francji "Solidarność" była zresztą ostatnim progiem, który odrzucił ich od komunizmu typu stalinowskiego. Tu było szereg takich progów, kiedy pewna elita intelektualna i pewni ludzie myślący, wrażliwi, młodzież odchodzili od komunizmu. "Solidarność" przypięczętowała jego klęskę. Ale wracając do tego, że Zachód nam, my Zachodowi. Ja tu spotkałem wielu wspaniałych Francuzów, którzy pomagali Polsce. I myślałem, że ci najwspanialszy wszyscy jakoś Polsce pomagali. Na ogół są to ludzie w wieku 30-40 lat, przeważnie z pokolenia rewolty 68-go roku, często o przeszłości goszczynowskiej. Ja ich pytałem: dlaczego Polska was tak porusza? Dlaczego tracieście dla Polski tyle czasu? Bo oni jeździli tym ciężarówkami bez przerwy, zbierali rzeczy, robili mnóstwo imprez. Dlaczego nie Salwador, nie Afganistan? Mówili: bo Polska to jest to, o czym rozumiemy i o czym wiemy na pewno, że inwestujemy w słuszną sprawę. Oni przeżyli wielki szok po Wietnamie, całe to pokolenie bardzo się angażowało w tę wojnę przeciwko imperializmowi, po czym nastąpiło zwycięstwo i teraz ludzie uciekają z Wietnamu Północnego, uchodźcy idą w miliony, choć niemal dziewięćdziesiąt procent z nich ginie. I to był dla nich wstrząs. Mówią: Afganistan, tak, tam się dzieją rzeczy potworne, ale my poprzemy Afgańczyków, a potem się okazało na przykład, że oni zrobią taki reżym jak Chomeini. Czy popieramy Goerilla w Salwadorze, a oni zrobią jeszcze gorszą Kuba. A to, co się dzieje w Polsce, mieści się w granicach ich kultury. Co więcej, jest jakby mądrzejsze od tego, co ich ideologia wyprodukowała. Wierzą w to. Oczywiście, przeszkadza im mnóstwo rzeczy, na przykład kościół. Ale już się przyzwyczaili, że z kościołem w Polsce jest trochę inaczej niż w ich wyobrażeniach o kościele z okresu Komuny Paryskiej.*

H.D.: *Wróćmy jednak do filmu i do tego, co się dzieje w polskiej kulturze. Tyle zasadniczych rzeczy się zdarzyło, że to nie może pozostać bez wpływu na twórców. Wydawałoby się: teraz powinna nastąpić jakaś eksplozja. Tymczasem tak nie jest. A z pewnością nie w teatrze ani w filmie. Przeszliśmy, to dziedzinę sztuki, wcześniej wiodłoms, utraciły swoje przywództwo. Dlaczego?*

A.H.: *W filmie powstało sporo wartościowych dokumentów. W fabule też parę rzeczy, które wcześniej nie mogłyby powstać, Marczewskiego "Dreszcze", "Przesłuchanie" Bugajskiego, "Przypadek" Kieślowskiego, "Matka królów". Długo się coś jeszcze wyliczyć w telewizji. Jakiś przełom jednak dotąd nie nastąpił, może dopiero nastąpi, ale na razie opóźnia go wedziółno produkcyjna i cenzura, filmu nie da się zrobić konspiracyjnie, po cichu. Nawniejsze co się zdarzyło, to chyba w dziedzinie literatury. To jest wprowadzenie, już raczej na stałe - chyba żeby nastąpiła totalna pacyfikacja - alternatywnego obiegu wydawniczego w tak dużej skali. Ten drugi obieg*

stworzył sytuację, kiedy pisarze nie mają już wymówki. Choć przymuszam, że te nowe domy wydawnicze stosują też rodzaj cenzury a rebours, o czym już rozmawialiśmy i że pewnych utworów nie akceptują, jeśli ich myślenie nie jest stałe. Ale to się da powoli przełamać. Te nowe możliwości wydawnicze, w kraju i za granicą, mogą dziś zrównoważyć rynek oficjalny. To jest rewolucyjne. Natomiast na razie jakby niewiele z tego wynika, poza produkowaniem okolicznościowych dzieł i odrabianiem zaległości z tłumaczeń i literatury faktu, czy literatury filozoficzno-politycznej. Właściwie nie ma żadnej takiej książki, którą uważałabym za istotną. Właściwie nie ma żadnej takiej książki, którą uważałabym za istotną, z wyjątkiem tomu wierszy Herberta, ale Herbert był istotny od paru dziesiątków lat, nie od czasów "Solidarności", jest po prostu wielkim poetą. No i powstała jakby cała szkoła nowego dziennikarstwa. Też można powiedzieć, że te gazetki są różne, ich poziom często kiepski, ale z tej szkoły pewnie wyjdą wartościowi ludzie, tak jak całe to nieoficjalne społeczno-polityczne działanie jest ogromną szkołą polityczną. Natomiast jeśli chodzi o emigrację... Ja osobiście sądzę, że najważniejsze rzeczy w polskiej literaturze powojennej powstały na emigracji. To zresztą trudno tak ważyć, ale Gombrowicz, Miłosz to jest emigracja. W poezji w kraju odpowiednikiem jest Herbert, ale już w esejistyce nie ma równego Miłoszowi. To są ci najwspanialszy. A poza tym jest jeszcze Czapski, Jeleński, w powieści Józef Mackiewicz, Grinberg, bardzo istotny w nurcie żydowskim literatury polskiej, najprawdziwszy. Literatura krajowa na razie trzępcze się jakby w takich skurczach i pierwszy raz nie ma pretekstu, żeby nie osiągnąć szczytów. I musi to zrobić. Ale w tej chwili nie bardzo widzę.

H.D.: *Cerca więcej ciekawych rzeczy powstaje też w kulturze innych krajów naszego obszaru czy ścisłej naszej części Europy. Na Zachodzie ukazało się wiele pozycji głoszących. Do Polski dociera to słabo, ale trochę dociera poprzez ten drugi obieg wydawniczy. Czy to od powstania najwartościowszego we współczesnej kulturze polskiej i europejskiej krajów socjalistycznych, jako się uduchowił Pan? Sumuje, że znaczący czy w świecie stwarza adekwatny i sugestywny obraz sytuacji osłowień i społeczeństwa z naszej części świata i czy te doświadczenia Polaków, Czechów, Węgrów, Rosjan wpływają na siebie wzajemnie?*

A.H.: Tak, myślę, że to się w tej chwili sumuje. Choć, jeśli chodzi o literaturę rosyjską na przykład, powstająca na emigracji, która jest bardzo ciekawa i istotna, to ona niesie doświadczenia dość odmienne. Ja mam ogromny podziw dla Solżenicyna jako dla pisarza i jako dla człowieka, on dokonał rewolucji w świadomości. Jest też taki wspaniały poeta Josef Brodski. Jest wielu innych świetnych esejistów i poetów rosyjskich, którzy wiele wnoszą do tyżącego nas problemu, ale bliższe jest nam jednak to, co piszą Czesi, Węgrzy. Ich doświadczenia też są, oczywiście, specyficzne, ale o wiele bardziej wymienialne z naszymi. Świadczymy Czesi mają w tej chwili literaturę o wiele ciekawszą niż my. Mówię o Kunderze, o Vaculiku, o Szperewskim, jest jeszcze kilku innych, u nas może mniej znanych. Jest to literatura w znacznie większym stopniu wolna niż nasza, wolna od takiego trywialnie pojmowanego serwitutu wobec aktualnej rzeczywistości. To w Czechosłowacji jest jak najdrożej przyjmowane, "Sennik czeski" Vaculika oburzył środowiska opozycyjne w kraju i na emigracji również, Kundera też jest łączny. To kwestia tych pięknie lokalnych. Nasi pisarze natomiast tak zakosztowali tej miłości, gdy zjazd "Solidarności" wstąpił i przez piętnaście minut oklaskują prezesa Związku Literatów, że teraz jakby boją się utracić, to znaczy boją się ryzyka prowokacji intelektualnej. Tymczasem ich zadaniem jest opis na wyższym piętrem moralności i szlachetności i próba uogólnienia. Kundera to robi fantastycznie. On opisuje nasze doświadczenia, czeskie, ale i nasze, w taki sposób, że to jest zupełnie zrozumiałe i szalenie atrakcyjne także dla czytelników tutaj. Uniwersalizuje je, nie tracąc nic z uściwłości opisu. Dzięki temu bardzo wiele wytkumaczył Zachodowi. I przez to on chyba najwięcej robi dla Czecho-

słowacji, o której już by i pisać kulem mogła nie pamiętała. A on przypomniał, że problem istnieje. On też wiele robi dla nas, dla wszystkich. Wspaniały artysta i tyła.

H.D.: A Pani co w tej chwili robi - dla nas, no i dla siebie?

A.H.: Próbuję jak gdyby znaleźć granice swojej wolności. A konkretnie robię tu wiele różnych rzeczy, których nie chce wymieniać, bo to może nie jest tak istotne, no i staram się zrobić jakiś porządny film na zachodzie. To postawiłam sobie za cel, ale może mi się nie udać, ponieważ sytuacja kina na świecie jest bardzo niedobra, telewizja kablowa i niekablowa zabiera wszystko i właściwie tylko takie najbardziej komercyjne widowiska typu bajki i komedijki francuskie się przez to przebijają. To nie jest czas, jak np. lata 60-te czy czasy 70-te, kiedy się czuło, że kino oddycha, że powstaje wiele istotnych filmów i ludzie czekają, może niewielka publiczność, ale dostatecznie duża dla artysty widownia czeka, że padnie nowe słowo w kinie. Tego dziś nie ma. Film nie tylko w Polsce, ale i tutaj się zdegradował. No ale w związku z tymi planami poznaje skomplikowany świat dystrybutorów i producentów kina, miłych na ogół ludzi, tylko bardzo zadowolonych z siebie. Zrobiłam w tym czasie jeden film w Niemczech, trochę kompromisowy artystycznie, bo realizowałam go w trudnych warunkach, w krótkim czasie, ale jestem dosyć zadowolona, bo dzięki temu, że miałam dwoje wspaniałych aktorów jakoś to jednak wyszło. Ukazał się chyba w lutym na ekranach tam u nich. Historia dzieje się podczas wojny, ale wszystkie sceny wojenne, w mundurach, potem wychęłam. Tematem jest spotkanie dwojga bardzo różnych ludzi, inteligentnej Żydówki z Wiednia i chłopca ze Śląska, między nimi powstaje romans. Paradoksalnie trochę to przypomina "Kobieta samotna". Rzecz jest o tym, że zetknięcie ludzi różnych kultur, charakterów i różnych pici nawet przy natężeniu ich dobrej woli prowadzi do nieszcześcia. I o tym, jak trudno jest być dobrym. Nie wystarczy założyć sobie, że teraz spełniam dobre uczynki. Wobec pięknej duszy, której człowiek sam nie zna, że otoczka ideologii, jak przychodził co do czego, okazuje się bardzo wadliwa. Nie wiem, jak to będzie przyjęte u nas w Polsce, mogą być jakieś głosy oburzenia, bo film narusza pewne mity, troszczone, ten Ślązak to Polak, a muśnięty został problem antysemityzmu, właściwie tak uczucie nie eksploatowany u nas w ogóle, więc może ktoś będzie dotknięty, ale myślę, że to jest uczciwe. Napisałam też przez ten czas pięć scenariuszy. Jeden ten, który realizowałam, trzy dla Wajdy, zrobił z nich dotąd jeden, najmniej przede mnie lubiany, no i jeden dla filmu, który miałam już-już realizować we Francji, ale w ostatniej chwili się zawaliło ze względu na produkcyjnych. Teraz też coś piszę, na czym bardzo mi zależy, oczywiście, sprawy polskie, ale nie chcę mówić głośno, żeby nie zapożyczyć. Mam kilka konkretnych projektów, z których może coś wyjdzie.

H.D.: Czy jest wśród nich ten film *Pań tydzień*?

A.H.: Nie sądzę, żeby teraz była w stanie zrobić film swego życia. Ale może mam pewną szansę do niego się przybliżyć. Myślałam o zaczerpnięciu z twórczości pewnego świeżego współczesnego pisarza, ale jednocześnie jest szereg przeszkód. Byłby to film o ludziach z naszej części świata i równocześnie o ludziach stąd, bo jeżeli robi się na zachodzie film o nas, to trzeba znaleźć tutaj pewną postać, sytuację, przez którą się tłumaczy nasze problemy tutejszemu widzowi, inaczej oni tego nie zrozumieją, choćby udawali, że zrozumieli.

H.D.: A jeżeli Pani się powieści?

A.H.: Gdyby mi się coś takiego udało, to mogłabym już chyba wrócić do Polski.

H.D.: Dziękuję Pani za rozmowę.

Rozmawiała: Henryka Dobosz

**Kazimierz Działanowski**

## **Uwagi o myśleniu ofensywnym**

"Polityka nie jest wiedzą ścisłą" - powiedział Bismarck. Miał oczywiście rację. O ile do uprawiania licznych prac trzeba mieć odpowiednie kwalifikacje zawodowe, o tyle do uprawiania polityki nie trzeba, a przynajmniej tak to wygląda w praktyce. Wystarczają ambicje, albo szczęśliwy przypadek. Można też powiedzieć, że potrzebne są do tego specjalne cechy charakteru. I to wszystko. Ale jeśli jest tak właśnie, jak twierdził Żelazny Kanclerz, w takim razie w polityce nie obowiązują żadne ścisłe reguły i prawa, albowiem gdyby obowiązywały, to do jej uprawiania trzeba by fachowców. Polityka przypomina więc do pewnego stopnia prawo istniejące w krajach anglosaskich: nie ma w niej spisanych reguł ani kodeksów, a orzecznictwo opiera się na precedensach, jeśli zaś takich nie ma - tworzy je samo. O ile jednak precedens stanowi w prawie anglosaskim nienaruszalny fundament, który trzeba znać /i dlatego prawnikami muszą być fachowcy/, o tyle w polityce nie ma on mocy obowiązującej. Stanowić może jedynie ostrzeżenie lub naukę i trzeba go brać pod uwagę tylko o tyle, o ile może rzucić światło na naszą dżigielną sytuację, pomóc w przewidywaniu przyszłości, ułatwić podjęcie trafnej decyzji. Natomiast przeprowadzanie analogii i opieranie się na nich jest postępowaniem ryzykownym.

Istnieją jednak pewne fakty, zjawiska i tendencje, które powtarzają się, a zatem przyjęcie założenia, że w naszych czasach przestały one istnieć i nigdy już nam się nie przypomną - byłoby lekkomyślnością. Największym błędem w polityce, podobnie jak w życiu osobistym, bywa naiwne przekonanie, że sytuacja w której żyjemy jest ostateczna i nigdy nie zajdą w niej żadne zmiany; że jest to stan, któremu jest sądzone trwać po wieczne czasy. Dotąd nigdy się to nie potwierdziło, a sprawy rozstrzygnięte raz na zawsze trafiają się w stosunkach międzynarodowych zdumiewająco rzadko.

Taką sprawą, której nie możemy traktować jako na zawsze rozstrzygniętej i w której nic się nie zmieni - jest kwestia niemiecka. Pisząc te słowa nie wyrażam ani obawy, ani aprobaty; stwierdzam po prostu oczywisty fakt. Można to co powyżej odczytać jako ostrzeżenie. Kwestia niemiecka istnieje i ma przed sobą przyszłość. Jaka to będzie przyszłość nie podejmuję się wyrokować. Jedno jest pewne: jest to sprawa ważna i wszystko wskazuje, że w przyszłości będzie jeszcze ważniejsza. Negowanie tego może świadczyć tylko o krótkowzroczności, a Polacy nie powinni być w tej materii krótkowzroczni.

Po roku 1945, szczególnie zaś w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych Niemcy, to znaczy obie ich części, przeszły bardzo głębokie przemiany. Są to przemiany polityczne i gospodarcze, jak również społeczne i psychologiczne. Biorąc pod uwagę historię Niemiec i Europy, te drugie zmiany mają również wielkie znaczenie, jak te pierwsze. Minęło już prawie czterdzieści lat. W historii europejskiej ostatnich dwóch stuleci czterdzieści lat to okres bardzo długi, a w dziejach Niemiec - chyba jeszcze dłuższy. Warto to sobie uświadomić. Czterdzieści lat to tyle, ile upłynęło od założenia Niemieckiego Związku Celnego /1830/ i burzliwych manifestacji na cześć uczestników polskiego powstania do bitwy pod Sedanem, tryunu polityki Bismarcka, powstania cesarstwa, czyli Drugiej Przeszy. I kolei Druga Przesza, a więc cesarstwo Hohenzollernów z jego światowymi ambicjami, z jego wielokierunkową ekspansją, z jego polityką kanonierek i budowy pancerników - trwała zaledwie czterdzieści osiem lat. Cztery dziesięciolecia to również czas, jaki upłynął od wojny rosyjsko-japońskiej i pierwszej rewolucji rosyjskiej do upadku Hitlera. W tym czasie zmieściły się dwie wojny światowe i wiele, wiele innych zdarzeń.

Tekst usunięty przez cenzurę z "Przeglądu Katołickiego"

Warto, aby uświadomili to sobie ludzie, którzy tak często mówią o piątej, jakby od czterdziestego piątego roku nic się na świecie nie zmieniło. A przecież i w naszej historii czterdziście lat to zwykle bywało niemowlę, to na przykład czas od Konstytucji 3 maja do upadku Powstania Listopadowego z Insurrekcją Kościuszkowską, epoką napoleońską i Królestwem Kongresowym pośrodku. Dziwi więc czasem, że ton publicystyki czy przewodów bywa nieraz taki, jakby rok 1945 był dopiero wczoraj. Szczególnie uderza to w telewizji. Kiedy się tego słucha, odnosi się nieraz wręcz, jakby czas się zatrzymał. Nac sołna wprawdzie powiedział, że w powojennej publicystyce polskiej nie było prób otwartego i obiektywnego przyjrzenia się nowej rzeczywistości w podzielonych Niemczech. Były takie próby, ale prawda! /i był umiarkowany/ raczej model "Raportu z Monachium". Autor tego raportu okazał się później człowiekiem mało wiarygodnym. Dał drapakę, ale jego książka pozostała. Historia tej książki zawiera w sobie pouczający skrót, uczę ona, że dotrwała manipulacja mogła przy tym temacie zbyt często liczyć na powodzenie.

Wydaje, że słuszne jest, iż nie zapominamy co się działo przed czterdziestu i pięćdziesięciami laty, ale nieluzne, gdy zapominamy co się wydarzyło później.

W roku 1945 ludzie o małej wyobraźni mogli sądzić, że sprawa niemiecka została rozwiązana raz na zawsze. Ale trudno tak sądzić dzisiaj. Dzisiaj sprawą niemiecką interesują się wszystkie liczące się siły na świecie i wszystkie one wywierają na nią wpływ, albo przynajmniej usiłują taki wpływ wywierać. Przede wszystkim jest ona jednak w rękach samych Niemców. W czterdziście lat po upadku Trzeciej Rzeszy /i /i/ Brau/ sytuacja wewnętrzna w Niemczech zmieniła się w stopniu ogromnym, z czego przeciętny Polak często nie zdaje sobie sprawy. Mowa o sytuacji wewnętrznej w obu państwach niemieckich. Tymczasem Niemcy nie są dziś wprawdzie taką potęgą militarną jak dawniej, ale są ogromną potęgą gospodarczą. Wielkie jest też ich znaczenie polityczne zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie. Ich postępy dyplomatyczne jest silniejsza od naszej.

Obawiam się, że Polska nie wytworzyła własnego, partyjnego podejścia do kwestii niemieckiej. Co to znaczy? Wydaje, że czas najwyższy zrozumieć, że podejście negatywne, ograniczające się do potępiania dawnych przestępstw, musi sprząchać nas na margines. Kluczem jest przekonanie, że samo podnoszenie sprzeciwu i protesty dają nam wpływ na wydarzenia. Tak mogło być, gdybyśmy byli krajem potężnym i kwitującym, z którym wszyscy muszą się liczyć, ale nawet i wtedy brak pozytywnego programu byłby się polityką. Niestety, nie jesteśmy krajem potężnym, lecz zagrożonym we wszechstronny kryzysie. Powinnyśmy uważać dotychczas oczywiście głównie naszego stosunku do NFM, ale trzeba przecież zauważyć, że również i w stosunku do naszego bezpośredniego sąsiada za Odrą też brakowało nam /i brakuje/ twórczego, pozytywnego programu. Nas na Wyłto, że jeśli pragniemy w ten sposób ulotwić nasze stosunki na nowej i lepszej zasadzie, to trzeba na to składować. Wartej, otwartości i pozytywnej działalności, która doprowadziłaby do przełamania w świadomości obu społeczeństw. Uroczyście akademie i radomne spotkania na mostach odbywane przy dźwiękach orkiestr do tego nie wystarczą. Trzeba czegoś więcej.

Nie należy to, że porównamy zapamiętać o przeszłości. Przeciwnie! Właśnie pamiętając o niej, wiadczyć, że sprawa niemiecka nie jest sprawą, której należy się po prostu podjąć, powinniśmy się zdobyć na wyważenie i program konstruktywny. I protestem słabego nikt się na ogół nie liczy. Niczym innym możemy użyć prócz zachęcenia działań pozytywnych, na przykład - uśmiechu, wtedy, gdy warto je zachęcać. Jeżeli Polska otrzymała swobodę w sobie w pełni nie nowe stosunki z NFM, to i my powinniśmy dążyć do tego samego - z obu państwami niemieckimi.

Idąca sobie sprawa, że są to w tej chwili pytania czysto teoretyczne. Wydaje się jednak, że czas najwyższy, aby zacząć przeobrażać teoretyczne stereotypy w myślenie. W okresie powojennej polski stosunek do sprawy niemieckiej był obciążony ogromnym biurokratyzmem. Widać na tym to polska i z tego się wybudzi. Nie wolno nam jednak pokonać na sprawie wyłączenia z paradygmaty naszego lastu, ponieważ jest to podejście jałowe. Znaczący sprawa przyszłego kształtu stosunków między Polską a jej zachodnimi sąsiadami, powinniśmy mieć wyobrazić sobie wiele różnych wariantów. Potrzebne, stereotypowe myślenie w Polsce o tej sprawie zasadza się na przekonaniu, że każdy właściwy wariant może być dla nas tylko szkodliwy. Czy tak jest rzeczywiście? Ludzie, którzy hołdują przekonaniu, że każda przysięga zmiana musi być szkodliwa, a więc jest

niepożądana, nie są przygotowani do spotkania przyszłości. Uprawiają oni myślenie czysto defensywne, które w polityce jest rzeczą katastrofalną, zwłaszcza kiedy uprawia się je w kraju nie mającym zbyt wielu możliwości oddziaływania na bieg wypadków. Bardziej twórcze, choć z pewnością trudniejsze jest inne podejście, nazwijmy je pozytywnym, lub ofensywnym: polega ono na tym, aby starać się dojrzeć ewentualne korzyści płynące ze zmian, którym i tak nie możemy zapobiec, a dostrzeższy takie korzyści, próbować za wszelką cenę je wykorzystywać. Tego rodzaju podejście umożliwiłoby nieraz dostrzeżenie takich szans, których przy defensywnym modelu myślenia w ogóle się nie zauważa.

Powtarzam: są to uwagi raczej teoretyczne, dotyczące bardziej metodologii, niż konkretnego działania, na które publicyści mają wpływ niewielki, albo nie mają żadnego. Uwagi te wywodzą się z niepokoju, że nasze myślenie w tej doniosłej sprawie jest zbyt obciążone balastem, który tak nas wiąże z przeszłością, że uniemożliwia jasną i logiczną analizę dającej się wyobrazić przyszłości. Dotyczy to sposobu myślenia rozpowszechnionego w całym społeczeństwie. Dwałam, że to jest wielkie niebezpieczeństwo. Obawiam się, że polskie myślenie o sprawie niemieckiej zbyt często tkwi wewnątrz zaklętego, błędnego koła, w którym jesteśmy unieruchomieni.

W okresie powojennym było kilka prób przełamania tego zaklętego koła. Kilka ważnych prób. Mam na myśli list biskupów polskich, a także inicjatywę Władysława Gomułki w latach 1969-70, która doprowadziła do podpisania układu z RFN, ale była poprzedzona długim okresem myślenia defensywnego. Mam także na myśli plan Rapackiego i nieudaną niestety próbę rozluźnienia barier między Polską a NRD.

To wszystko należy jednak do przeszłości. Obecnie nie widać takich prób i inicjatyw. Lecz myślą się ci, którzy sądzą, że zachowując bierność w jednej z dwóch najważniejszych polskich spraw - można dobrze służyć polskiemu interesom: Dobrze im służyć można tylko za cenę nieustającego trudu, aktywności i wielkiej cierpliwości opartej na długofalowym myśleniu. Bierność w życiu prywatnym skazuje człowieka na rolę korka mianego przez fale. Bierność w polityce zagranicznej nie gwarantuje nawet tego, po prostu nie jest w stanie zapewnić żywalności.

## List za Odry

Od pewnego czasu obserwuję rozwój wydarzeń w Polsce, a w szczególności działalność i koncepcje niezależnego ruchu politycznego i związkowego. Jako Niemiec mogę o sobie powiedzieć, że identyfikuje się z umiarkowanymi postulatami polskiej opozycji demokratycznej dotyczącymi głównie pluralizmu związkowego, poszanowania wolności indywidualnej i zdemokratyzowania systemu. Sądzę, że jednym z koniecznych warunków do osiągnięcia tych celów, a w przyszłości do realizowania rozsądnej polityki przez Polskę, jest dogłębne poznanie sytuacji w krajach ościennych, zarówno politycznej

Autorem tego listu jest mieszkaniec Drezna czasowo przebywający w Poznaniu. List był adresowany do bliżej nieokreślonych przedstawicieli podziemia politycznego. Publikujemy go za zgodą autora, pod pseudonimem.

ekonomicznej i społecznej, jak i etniczno-demograficznej. Obserwacja tego, co się dzieje w najbliższym sąsiedztwie i umiejętność - na jej podstawie - przewidywania przyszłości jest absolutnie niezbędna dla prowadzenia jakiegokolwiek polityki przez opozycję. Jak na razie pełną inicjatywę w tym zakresie posiada strona rządowa - tak to wygląda z perspektywy mieszkańca Berlina czy Drezna.

Chciałbym Wam przekazać moje doświadczenia i wiedzę na temat sytuacji Niemiec i moje przewidywania co do realnej przyszłości stosunków polsko-niemieckich. Chcę być obiektywny - zarówno jako obywatel NRD, jak i gorący sympatyk polskich ruchów niezależnych. Więcej tego typu opinii powinno Wam pomóc w kształtowaniu realistycznych koncepcji ułożenia stosunków z Waszym zachodnim sąsiadem.

Odnoszę wrażenie, że najpowszechniejsza postawa w polskiej opozycji wobec problemu niemieckiego sprowadza się do dwóch zasadniczych założeń: Polacy mają prawo i obowiązek do obrony aktualnej swej granicy zachodniej /postawa ta jest moralnie uzasadniona, gdyż przesunięcie Polski na zachód /połączone z utratą ziem wschodnich dokonało się nie z inicjatywy i bez aprobaty bezsilnej względem ZSRR Polski/; Polacy powinni uznać prawo narodu niemieckiego do zjednoczenia, czyli do powstania jednego państwa niemieckiego. Co do pierwszego założenia, nie ma żadnej wątpliwości, natomiast drugie jest moim zdaniem przykładem myślenia kategoriami etycznymi a nie politycznymi, które w dodatku nie wynikają z aktualnej rzeczywistości.

Czy zjednoczenie Niemiec leży w interesie Polski? Samo pytanie wydaje się już śmieszne. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że zjednoczone Niemcy zawsze stanowiły dla Polski olbrzymie niebezpieczeństwo, co historia udowodniła wystarczająco. Długie okresy pokoju na polsko-niemieckiej granicy miały miejsce wtedy, gdy Niemcy były rozbite i nie miały żadnego silnego organizmu państwowego, skupiającego chociaż część narodu /jak to było w wypadku Prus/, a Polska była w miarę silna. Dziś, a także w przyszłości, zjednoczone Niemcy posiadałyby nad Polską miążdżącą przewagę pod każdym względem: politycznym, militarnym, ekonomicznym i demograficznym. Jestem skłonny przypuszczać, że siły polityczne zainteresowane w zjednoczeniu - przez sam charakter uprawianej polityki i ideologii - zechciałyby zjednoczenia wszystkich ziem niemieckich i spornych, włącznie z Wrocławiem, Szczecinem, czy nawet Pomorzem Gdańskim. Nietrudno wyobrazić sobie taką sytuację międzynarodową w tej części Europy, która sprzyjałaby takiemu rozwiązaniu. Polacy powinni patrzeć na kwestię zjednoczenia Niemiec przez pryzmat interesu własnego państwa, a nie moralnego prawa narodu niemieckiego. Jest to pierwsza przyczyna, dla której opozycyjni politycy polscy nie powinni wypowiadać się i działać na rzecz zjednoczenia.

Drugi powód jest, że się tak wyrażę, natury obiektywnej. Otóż, trzeba postawić pytanie o to, kto w samych Niemczech jest za zjednoczeniem i w jaki sposób stara się realizować swój zamysł? Nie mogę kompetentnie wyrażać opinii na temat stanu świadomości mieszkańców RFN. Jednak na podstawie własnych kontaktów i obserwacji, a także zasłyszanych informacji i ocen odnoszę wrażenie, że zachodni Niemcy w swej masie są apolityczni i nie wykazują większego zainteresowania kwestią ewentualnego połączenia obu państw niemieckich. Wysoka stopa życiowa, demokratyczne stosunki wewnętrzne, przesunięcie ciężaru polityki światowej z Europy, a ściślej z obszaru atlantyckiego na rejon Pacyfiku i Oceanu Indyjskiego, w jakiej mierze żywe jeszcze poczucie winy za II wojnę światową - wszystko to powoduje, że przeciętnemu obywatelowi zachodniemieckiemu obce są namietności - przypisywane mu przez Polaków - związane z ideą zjednoczenia. Wydaje się, że większość Niemców bońskich jest za zachowaniem status quo w Europie. Istotne jest również to, że proporcjonalnie rzecz biorąc przesiedleńcy i ich potomkowie z dawnych wschodnich terenów Rzeczy stanowią znikomą część narodu RFN, zaś względem NRD i jej mieszkańców zachodni Niemcy bynajmniej nie żywią gorącego uczucia charakterystycznego dla członków tej samej wspólnoty narodowej.

Nie ulega wątpliwości, że w RFN funkcjonują elity polityczne zainteresowane zjednoczeniem, jednak idea ta na pewno nie jest członem oficjalnej polityki państwowej; trudno też dostrzec poważniejsze przedsięwzięcia praktyczne, zarówno dyplomatyczne, jak i propagandowe, które miałyby realizować ten kierunek. Jedno jest pewne; RFN jako takie nie stanowi zagrożenia



dla Polski, natomiast zjednoczone Niemcy rządzone przez tych ludzi, którzy dziś w RFN najgłośniej mówią o prawie Niemców do jednej państwowości takimi zagrożeniami byłyby z całą pewnością.

W wypadku NRD w ogóle nie można mówić o jakiegokolwiek koncepcji zjednoczeniowej czy działaniu na jej rzecz. Tyczy to w równym stopniu społeczeństwa i elity władzy. Masy są obojętne, a w każdym razie zupełnie bierne politycznie. Zdecydowała o tym wieloletnia akcja propagandowa partii komunistycznej oraz pełne odpolityczenie społeczeństwa NRD, wynikające z charakteru systemu u nas panującego. Pojęcie ponownego zjednoczenia zostało skreślone ze słownictwa partyjnego, jedyne polityczne słownictwo w moim kraju. Dla obywateli NRD istnieją wyłącznie takie sformułowania jak "NRD", "RFN", ale już nie "Republika Federalna Niemiec", nie "narod niemiecki", nie "Niemiec". Jeśli już mowa o jakiegokolwiek wspólnocie, to o "wspólnocie państw socjalistycznych", a jednym z najbardziej typowych haseł jest: "Wszystko nas łączy z socjalistycznym Związkiem Radzieckim, nic z kapitalistyczną RFN".

Niezależny ruch polityczny, łączący z pokojowym, jest tak marginalny i niewidoczny, że dla mieszkańców NRD nie ma nawet znaczenia symbolicznego. O jakimkolwiek nielegalnym ruchu na rzecz zjednoczenia nie ma w ogóle mowy. Na tę argumentację moi polscy przyjaciele odpowiadają z reguły: u nas też tak było, strach przed reżimem kiedyś zaczął maleć, przyjdą kiedyś poty ekonomiczne, w duchu myślicie o zjednoczeniu itp. A ja twierdzę z całym przekonaniem, że w zgodzie z niemiecką tradycją i mentalnością Niemiec z NRD jest lojalny wobec swej komunistycznej władzy do szpiku kości. Mimo ciągłego dostępu informacji i propagandy zachodniej telewizji RFN nie odbiera tylko część okręgu drezdeńskiego, który w Polsce spowodowałby z pewnością niejedną rewolucję, są coraz bardziej poszukani i wierni, nie odczuwając swej sytuacji jako szczególnie przykrej. Najgorszy poniekąd gospodarzy /zresztą bez widoków na gwałtowne zakazanie, na co liczy część Polaków/ stwarza sytuację, w której młodzi Niemcy zainteresowani są głównie mnożeniem dóbr materialnych, a nie polityką czy walką potężnych zjednoczonych Niemiec. Jeśli chodzi o elity partyjne, nie byłoby jednego, wyznaczonego dowodzącego ich zainteresowania zjednoczeniem. Wreć przeciwnie, przy każdej właściwej okazji wypowiedzi szefów polityków i przedstawicieli armii NRD świadczą o zdecydowanej wrogości naszych władz do tego typu pomysłów. Charakterystyczne są ostatnie wypowiedzi Erica Honeckera i Horsta Sindermanna - przewodniczącego Izby Ludowej, którzy stwierdzili, że "socjalistycznej NRD nie da się połączyć z kapitalistyczną RFN, tak jak ognia nie da się połączyć z wodą". Coraz powszechniejsza jest też kampania propagandowa, mająca udowodnić powstanie dwóch odrębnych narodów, a nawet dwóch języków: enerdownskiego i erefenowskiego.

Rekapitulując: jakiegokolwiek oświadczenia czy działania polskiej opozycji propagujące czy sprzyjające idei zjednoczenia Niemiec uważa się błędne i szkodliwe dla Polski, zaś zbędne i niepotrzebne dla Niemców. Nie należy dla mnie wątpliwości, że podział Niemiec leży w interesie Polaków; z drugiej strony twierdzę, że tylko nieliczni Niemcy - z bardzo różnych powodów - przedstawiłem, powodów - pragnęliby zjednoczenia NRD i RFN. Absurdalną byłaby więc sytuacja, w której głównym rzecznikiem zjednoczenia Niemiec miałaby być polska opozycja demokratyczna.

Życząc sukcesów w Waszej walce podtrawiam Was

Hans Schmidt

Andrzej Drawicz

## Dusze okaleczone

Georgij Władimow, "Wierny Ruszan",  
tłum. A. Drawicz, wyd. Feniks, Warszawa-  
ua 1984.

Przed parunastu laty w Moskwie pojawiła się opowieść, podawana jako fakt autentyczny: o psach-wilczurach, zwolnionych, w czasach postalinowskich, ze służby w obozie koncentracyjnym na dalekiej północy. Psy poszły do ludzi w pobliskiej osadzie i pracowały tak samo uczciwie, jak przedtem służyły, aż nadeszło jakieś majowe czy listopadowe święto i przez osadę ruszył pochód. Wtedy zbiegły się zewsząd, otoczyły manifestantów i przeprowadziły ich, sztywnych ze strachu, przed zmartwiałą trybuną honorową, według starej, łagrowej zasady: "krok w prawo, krok w lewo - konwój strzela bez uprzedzenia!" Nie wiadomo czy tak rzeczywiście było i czym się to skończyło, ale każdy przyzna, że opowieść jest pojęmna w głęboki sens i należy do tych licznych, rosyjskich zabytków słowa mówionego - anegdot, dowcipów, porzekadeł, piosenek itp - które razą przejmującymi skrótami tamtego życia, są jego konceptem, metaforą, czy syntezą.

Georgij Władimow musiał się zapewne wmyśleć w tę historię (jeśli sam nie wprowadził jej w obieg) i wyciągnąć z niej wnioski. W rezultacie powstał *Wierny Ruszan*, a podtytułem *Historia psa obosowego*. W prywatnej klasyfikacji piszącego jest to jedna z głównych książek współczesnej literatury rosyjskiej. W analizie - środkami literackimi - mechanizm totalitarnego zniewolenia dorównuje jej chyba tylko *Wykop* Płatonowa. Tam jednak obłąd i nieludzkość systemu ukazane są przez obłądność stworzonej sytuacji: zbiorowe kopanie tytułowej jamy-giganta to wir szaleństwa, który wciąga wszystko i wszystkich. Władimow natomiast jest chłodnym analitykiem, nie poddającym się żadnemu zawirowaniu i rozwichrzeniu, wykładającym materiał z precyzją i ścisłością naukowego studium. Ręka ani mu zdradzi, kiedy tnie najzłośliwszy ze współczesnych nowotworów, odsłaniając jego mikrostrukturę. Z tym zastrzeżeniem, że nie ma tu śladu dydaktyki, retoryki czy publicystyki, żadnego alegorycznego natręctwa; wszystko jest literaturą wielkiej klasy. Utrzymana, jak to przy pierwszym spojrzeniu widać, w tradycji solidnego, rosyjskiego realizmu, z jego uczciwym i uważnym otwarcieniem świata widzialnego w duży czy w mały. Władimow jest fachowcem dobrej, starej szkoły, wrażliwym na zapach, barwę, brzmienie słowa. Umie to wszystko. Nie dziw, skoro ma za sobą najpierw pracę krytyka (m.in. w miesięczniku *Nowyj Mir* w latach 1956-1958), a potem doskonały prozatorski debiut. Nie dość u nas uważana *Katastrofa* myliła się widać czytelnikom z powieściami produkcyjnymi. W rzeczywistości niszczyła je od wewnątrz, pokazując krach człowieka-twórcy, zdersonego z warunkami minimalizmu i oportunistyzmu, stanowiących treść dnia powszedniego. Człowiek padał ofiarą systemu, choć pozornie ginał w wypadku przy pracy; rzekoma normalność świata była pułapka bez wyjścia szubna dla wszystkiego, co nie do końca skonformizowane - i tedy biegła już droga ku książce następnej i jak dotąd głównej, ku *Ruszanowi* właśnie.

Suż w *Katastrofie* realizm obyczajowy, prawda szczegółu, sugestywność portretu służy znaczeniom głębszym, są jednocześnie wartościami samoistnymi, ale i pozwalającymi się przełożyć na uogólnienie, zmiernają ku paraboli.

*Ruszan* osiąga tu zadziwiająco równowagę

Najpierw widzimy historię psa. Natychmiast jesteście w domu. Zamierzają go od stuleci legiony rozmaitych zwierząt z wszystkich literatur świata.

Jedne po prostu udają ludzi. Inne są bardziej sobą, po to, żebyśmy wy poczuli się zwierzęce. Jeszcze inne służą jako odczytniki ludzkich zachowań. Na tle zwierzęcej naturalności ludzka przewrotność i zepsucie wyjawiają się tym silniej. Różne są poziomy tych zestawień, różne głębie smutnych refleksji. Od bezpretensjonalnych historyjek dla najmłodszych, przez figlarne przypowieści, grębokie studia i psychologiczne etudy - do rozbudowanych alegorii typu orwellowskiego *Kolwarka zwierzęcego*.\*

*Ruslan* daje się najpierw czytać jako jedna z takich opowieści, w których pies jest psem i nie udaje nikogo więcej. To pies zwolniony ze służby w zlikwidowanym łagrze, zaszczepiony specjalną tresurą, bezdomny z wyboru, drastycznie zderzony z niełagrowym otoczeniem, którego regułom nie chce się podporządkować. Ale p i e s w każdym calu, sportretowany z kynologiczną precyzją i myśląc - na ile pozwala się to pisarskiej intuicji odgadnąć - po psiemu. Pomniki Lenina i Stalina to dla rusłana ... *dwóch niezwykłych ludzi, którzy weszli dla czegoś na kłomby. Jeden z nich, bez czapki, wyciągnął rękę przed siebie, jakby właśnie rzucał kij i samierzał zawołać "aport!"; drugi w szapce, stał z ręką założoną za białą mundur, dając całym swym wyglądem do zrozumienia, że sportować należy właśnie jemu*. Tak właśnie cała widzialność zostaje przetransponowana na kategorię dostępną zwierzęcemu pojmowaniu.

A jednocześnie, jak idealnie dwustronna tkanina, wszystko pozwala się odwracać głębszą warstwą zanczeniową. Rozumiemy, że pies jest mieszkańcem świata zamkniętego, będącego, według znanego określenia Dawida Rousseta, uniwersum koncentracyjnym. Idealna rzeczywistość ma dla Rusłana cechy wielkiego obozu, w którym szczerze i żarliwie pręgałby umieścić całą ludzkość. Wychowany dla służby konwojenckiej i nie znający nic innego prócz niej (choć w momentach półśniennych majaczań nachodzą go atawistyczne wizje innych, lepszych psich przeznaczeń) traktuje życie pozaobozowe jako projekcję systemu nakazów i zakazów, wpojonych przez okrutną i bezwzględna tresurę. Jego świat koncentracyjny jest również koncentryczny. Mieszkają tu ludzie, będący albo byłymi więźniami albo kandydatami na więźniów. Tu kobieta potrafi powiedzieć swemu kochankowi, że gdyby przybył do niej jako uciekinier, to na pewno wydalaby go w ręce NKWD. I tu także ów kochanek woli pozostać na zawsze, bojąc się zbyt ciężkiej próby powrotu do dawnego życia. Zresztą także i hen, daleko, w wielkich miastach europejskiej Rosji, jest to również życie koncentracyjne; choćby dlatego, że jego mieszkańcy będą się bali powrotu byłego więźnia, któremu były strażnik tłumaczy z naciskiem, że winien się uważać za "czasowo zwolnionego".\*\*W takim świecie porusza się obozowy pies, którego pamięć ustawicznie wokół obozu, jako modelu i ideału, przywołując strzępy wspomnień z najlepszych chwil swojego życia. On sam, Rusłan, dla uzasadnienia poobozowej egzystencji, wybiera sobie indywidualnego więźnia, którego postanawia pilnować. Jest to właśnie człowiek "czasowo zwolniony" lekający się powrotu do tych, którzy będą lekali się jego widoku, o wymownym pseudonimie Wycieruch.

*Wieszany więzień pod konwojem, Wycieruch* pisał w swoim studium o *Nierzym* *Rusłanie* Andrzej Siniawski - i *Wieczny konwojent Rusłan* łączy się w jednym - w niemożności rozstania się z widmem obozu, który pozornie zaniknął, ale zapadł głęboko w duszę, utwierdzając się w biografii, a życiem. I obaj oni - byli przeciwnicy, przeciwnie biegnący, mogące spayatować jedynie w tym wynaturzonym sojuszu ofiary i kata, konwojowanego i konwojenta, sojuszu, który stał się już ich naturą - obaj żyją się resztkami tej biografii.

\* Przed paru laty mówiono w Moskwie, że jako alegorię należy traktować dość bezpretensjonalną opowieść Gawriła Trojepolskiego "Białe Bim, Czarne Ucho" i że ta wzruszająca psia historia dotyczy w gruncie rzeczy... Aleksandra Twardowskiego. Relata refero.

\*\* Charakterystyczny szczegół: w rosyjskiej gwarze łagrowej, obok potoczniejszego określenia "zona", tj. obóz /dosłownie "strefa"/ istnieje również pojęcie "bolsza zona", wielki obóz, oznaczające po prostu ZSRR. Por. także słowa jednej postaci "Życia i losu" Grossmana, byłego funkcjonariusza NKWD, aresztowanego i osadzonego w łagrze: "Jeśli śmiało i konsekwentnie rozwijać system łagrowy, uwalniając go od przeszkód i hamulców, to rozwój ów doprowadzi do zatarcia granic i łagry stopią się kiedyś z życiem pozadrotowym. W tym stopieniu i w likwidacji sprzeczności między łagrem i życiem pozadrotowym przejawia się dojrzałość i triumf wielkich złożeń".

Tak właśnie jest to zrobione, z idealną przemiennością tego co dosłowne na wielką metaforę. Z wyczeniem się ze wszystkich szczegółów opisu, które, odwrócone, okazują się misternie wyprowadzonymi przesłankami przewodu myślowego. Nic się tu nie gubi, nie przepada żadna cząstka energii; tak się przynajmniej wydaje tłumaczowi.

W swoich dwóch pozostałych książkach, *Katastrofie* i *Trzech minutach ciszy* (wydanych oficjalnie po polsku)\* Władimow wiedział - tak samo jak w *Rusłanie* - że mieszka w świecie koncentracji. Ale jeszcze próbował zwać jego granic. Nie traktował go jako u n i w e r s u m. Kazał swym bohaterom balansować nad nim. Pierwszy był wciągnięty w mechanizm zagłady ludzkiej godności - i ginął. Drugi słyszał zgrzyt tego mechanizmu, oglądał ludzi wcześniej kaleczonych i tych, którzy kaleczyli - i ocalał, przynajmniej na jakiś czas.

W *Rusłanie* przestaje się chodzić po obrzeżu otchłani. Wkracza się w jej środek. Do epicentrum totalitaryzmu. By pokazać go w jego z u p a 2 1 n o ś c i właśnie. By dać świadectwo, że widzenie psa nie kłamie; że istotnie niczego w tym systemie nie stworzono. że to wszystko i że to jest wszystkim.

Pole rażenia zła okazuje się niezmierne i ustawicznie powiększane. Świadkami są istoty sturtorowane. Na drastyczność obozu nakłada Władimow mądry tytuł. Okrucieństwo fizyczne dawane jest w scenach skąpo odmierzanych. Wspomina się o nim półgębkiem, fragmentarycznie. Tyle, że te naponknięcia umieszczone są dokładnie tam, gdzie trzeba; są jak nakłucie czytelniczej wrażliwości, dokonywane tak, aby cały ból obozowej egzystencji pozwolił się odczuć. W chwili masowego zabójstwa nie leje się wcale krew ludzka, tylko psia; i to wystarczy. Tym silniejsza jest demonstracja procesu totalnego wychowania ku nienawiści i zmieniającego krzywdzonych w krzywdzicieli. Wszyscy mogą być jedyni i drugimi zarazem; pole rażenia jest również polem zarażenia. *Wierzy Rusłan* jest opowieścią o duszach okaleczonych.

Nie wiadomo Władimow zna Rousseau i Hannę Arendt, być może czytał Borowskiego czy Naikowską. W każdym razie świadectwo tej książki będzie się chyba poważnie liczyć we wszystkich rozważaniach o świecie koncentracyjnym. Właśnie: świadectwo, bo Władimow nie wydaje się interesować refleksją nad pochodzeniem zła, nad jego związkami z kryzysem współczesnych formacji społeczno-kulturowych, nad mechanizmem działań człowieka-zabójcy. Daje materiał dowodowy i to wszystko. Czy - prawie wszystko. Refleksja autora skupia się bowiem na pewnym skromnym, chociaż istotnym polu. Wyznacza go umownie trzedykcyjne pojęcie "zwierzeczenia". Hannah Arendt pisze w *The Origins of Totalitarianism* (prytaczam fragment w tłumaczeniu Andrzeja Werbera): "W rzeczywistości doświadczenie obozów koncentracyjnych wskazuje, że ludzka istota może być przemieniona w gatunek ludzkiego zwierzęcia i natura człowieka jest ludzka jedynie o tyle, że odrzuciła możliwość stania się czymś w najwyższym stopniu niaturalnym, to znaczy człowiekiem. Władimow upomina się o zwierzęcość będącą u niego nie czymś mniej, ale czymś w i e c e j od nieludzkiego pseudoczwierzęcstwa totalitarnych funkcjonariuszy. A więc - zdaje się sugerować autor *Rusłana* - nie tędy drogą interpretacyjną, nie w stronę starego naturalistycznego stereotypu "człowiek-zwierzę", który nic nie wyjaśnia. W kulminacyjnym momencie bezkrawej kaźni pada charakterystyczne zdanie bardzo oszczędnie dozowanego autorskiego komentarza: *Ale ścisłe zwierzę nie może patrzeć na coś takiego. I obozowy hunt wzniesają właśnie zwierzęta. Toteż Władimow mógłby powtórzyć zdanie Naikowskiej o ludziach, którzy zgwałcili ludziom koncentracyjny los ze świadomością nieco innego, niż zazwyczaj przypisywany tej refleksji, sensu. Mogłby też nadać zgola inne, szczerze odwrócone znaczenie znanemu wyznaniu Guillaumeta, który w *Wierzy, planecie ludzi Saint-Exupery'ego* stwierdza, że tego co uczynił nie dokonałoby żadne zwierzę...*

Wiele lat temu Michał Bułhakow, wówczas jeszcze początkujący pisarz, zarabiaczy na życie dziennikarka, trafił na proces dorozkarcza-zabójcy, który likwidował swoje ofiary sumiennie i po gospodaraku, zarabiając rabunkiem na minimum powszedniej egzystencji. Bułhakow przypatrywał się temu zwiastunowi ludobójczej gospodarki planowej z zaskoczeniem dziecka epoki przedbarajewowskiej kłedy, by zacytować *Doktora Żiwago: Śmierć człowieka z ręki innego człowieka była czymś rzadkim, sjałaskiem naruszającym naturalny porządek*

\*"Katastrofa" /tytuł oryginalny "Bołszaja ruda"/ tł. J.Brzeczowski, PIW1962; "Trzy minuty ciszy", J.Litwiniuk, Czytelnik 1973.

rzeczy. Ale i z lekarską dociekliwością, pragnąc zebrać nieznaną dotąd schorzenie i postawić prawidłową diagnozę. Reporterzy, felietoniści i filistrzy - napisał potem - przez dwa tygodnie obrabiali na językach określenie "ciółmek-zwierzę". Brani to ponuro i beztrosko i z pozą tym niczego nie wyjaśnia. W zabójstwach było tyle rzednikowej gospodarności, że od razu likwidowała ona w sąrodku całą ruską "swierseccę". Znaczenie na własny użytek inną formułę: "nie zwierzę, ale w żadnym wypadku i nie ciółmek". W żadnym sposób nie można nazwać komarowa ciółmiekien. Tak samo nie jest segerkim koperta, z której wyjęto wark.

Tyle trzeba rzec na obronę alzaczkich owczarków, które prowadzą swoją kolumnę nie dając nikomu zrobić kroku w bok: że nie wiedzą co czynią. I że pewnych rzeczy na pewno nie u c z y n i ą. O ludziach już się tego powiedzić nie da. Do ich ciemnych wnętrz trzeba więc dobrać inne klucze. Jakis? To już nie jest sprawa Wiadimowa. Te Wiadimow otwiera - i chyba zamyka - mottem wziętym z *Barberisjewa* Gorkiego: *Co wydele zrobili, powie!*

\* \* \*

Wiadimow wie, że obóz jest wszędzie - także dlatego, że sam w nim mieszkał. Przez wiele lat prowadził uparty, izolowany żywot pisarza-nonkonformisty. W roku 1967 napisał do Zjazdu Pisarzy ostry list w obronie Sołżenicyna. Był tam między innymi często później cytowane zdanie: *Chcę spytać pełnomocny Zjazd czy jesteście nacja łajdaków, agentów i donosicieli czy też wielkim narodem, który podarował światu plejadę geniuszy?* W odpowiedzi Władza starannie odizolowała pisarza od czytelników. Przez kilka lat było o nim głuch, a *Ruslan*, według Władimowowskiego określenia... nie analizujący miejsca w druku został wyeliminowany przez samizdat. Wprawdzie *Nowyj Mir* wydrukował w roku 1969 *Trzy minuty ciszy*, ale wydanie książkowe nie nastąpiło. W roku 1976 wykonano ostatnią próbę wpisania Władimowa w establishment; doświadczony łowca dusz i wyrafinowany konformista Feliks Kuzniecow (wówczas krytycznoliteracki kibic młodej literatury, później bonza Związku Pisarzy) przeprowadził z autorem *Ruslana* rozmowę na łamach tygodnika *Literaturnaja Gazeta*. Zapewne była w tym jakaś chytra kalkulacja. Ale się nie spełniła. Władimow wystąpił ze Związku Pisarzy i podjął czynną egzystencję dysydencką. Przez kilka lat był przewodniczącym moskiewskiej grupy *Amnesty International*. Jego rówieśnicy (jest z rocznika 1931) i współtowarzysze w próbie odnowy literatury w czasie chruszczowskiej odwilży: Kuzniecow, Maksimow, Aksionow, Wojnowicz - przenieśli się mniej lub bardziej dobrowolnie zagranicę. On sam był widocznie zdecydowany trwać póki się da. Nie miał łatwego życia, ale wytrzymał do stycznia 1983, kiedy jego żonie zagrożono więzieniem. Napisał wówczas list do Jurija Andropowa, streszczając historie doznawanych policyjnych szykan i konkludując: *Godu jaestm vyjechad z Rosji. Byc do tego zmuszonam to spynajcie bolelna i krysudnaja. Prisykaniata do ożczyzny dowiedziatny chodyb cierpilivostoj w znozenatu wesetylich represij, prosjadowad i ponizid... Nie porzozitiam dobrozolitie swego kraja w trudnych dion latach i mac szdziejie w miare si i adinodoi poitnijie na zagranicu - do szacek, kiedy bedatemy mojit powrocid.*

W cztery miesiące później Władimowowie znaleźli się na Zachodzie. Jednocześnie ukazał się tam artystyczny zalicznik do sprawy pisarzy: opowiadania *Maestro*, prozę nie zaliczając *Wozgi* (jest to cytata ze znanej piosenki Bułata Okudźnaw). Podobne zaliczniki, relacjonujące stosunki w władzą i jej policja dał wcześniej Włodzimierz Wojnowicz w *Wzorkadzie* i *Wypadku w Metropoli*. Kiedyś odwzorzy się z tych świadectw substancja dziwnej i twardej egzystencji dysydenckiej w latach odpięty i spachu aktywności i podczas wielkiego zmiaruchorzenia oraz postępującego obeszwiadczenia społecznego, kiedy ogryny system całym stupodowym represyjnym ciętarem przygniatały pod kółka szubrowane jednostki, eliminując je. O tym właśnie jest opowiadanie, gortastowe i przygnębiające zarazem; coś z *Mrolika*, coś z *Ionesco*, w największej z rosyjskiego realizmu policyjnego pewnego mieszkanca wracającego funkcjonariusze. zajmują pokój i zaczynają śledzić przedwiecły dom, gdzie pracuje pisarz-dysydent. Nieustannosc wysiłku twórcy rymuje się przewrotnie z nieustannoscia obserwacji; czuwa śledzony, czuwa niedrzemiące oko KGB, a właściciele mieszkania przewyższają się do straty jednego pokoju... Śpieszenie i strasznie:

choć to tylko drobiazg w porównaniu z Rustanem. Ale i stąd wieje martwym chłodem koncentracyjnego absolutu, zwłaszcza przy końcu, gdy szpicel, zapytany nieśmiało: *I długo samieracie go tak oblegać?* - odpowiada z uśmiechem:

- *Czyż życie.*

Tak to właśnie w Rosji jest i dlatego decyzje sprzeciwu tam podejmowane licza się według innych niż nasze miar. Podobnie jak decyzje wyjazdu.

Georgij Władimow, zwany przez przyjaciół Żora, spędził dużą część życia w świecie koncentracyjnym, ale z kolumny eskortowanej przez wiernych Rusiánów wyszedł już dawno. Teraz objął redaktorstwo kwartalnika emigracyjnego *Grant*. Należy czekać z ufnością na to co zrobi i napisze, ponieważ i życie i literaturę traktuje serio.

## Rola

Pierwszy napotkany bagażowy na malutkim, pustym Okęciu informuje mnie jakim tramwajem dojechać.

I tak w niecałą godzinę, prosto z tamtego komfortowego wnętrza pełnego obcojęzycznych pasażerów w drogich wełnach i kożuchach, od żadnych dziewczyn schylających się nad nami ze służbowym zatroskaniem, czego to chcemy się napić, prosto z tamtego skomputeryzowanego świata obfitości przedmiotów - w nieskończoną kolejkę ludzi posuwających się milcząco wzdłuż czterech boków ogrodzenia kościelnego, wzdłuż sztachet ubranych setkami wiązanek zwazonych już przymrozkiem, wzdłuż drogi płonących zniczy i świec. W żałobną kolejkę na grób. Potrwa godzinę, zanim tam dojdziemy, na jedną chwilę tylko, prawie bez przystanków, tyle żeby podać wiązanek, żeby się przetestować - bo już proszą żeby dalej, tylu ludzi za nami i tylu jeszcze przyjdzie.

Kiedy tak posuwamy się krok za krokiem, jest czas żeby czytać. Napisy na transparentach, napisy na flagach, na wielkich arkuszach, na kartkach i wprost na murze. Podpisy - wszelakich zhiorowców i wspólnot. Inwokacje do Pasterza, którego im odebrano. Wyznania wspólnej wiary. I teksty poetów wypowiadających ich lepiej niż potrafiliby sami. Mickiewicz, Słowacki, Wyspiański, Miłosz, Psalmista. Bardzo wielu czekających odpisuje te strofy i cytaty. Krząta z notesami i ołówkami ludzie bardzo młodzi. Jak gdyby dalej trwała ta Jego i ich Msza święta comiesięczna, podczas której wielkich poetów czytali dla wiernych aktorzy warszawscy.

Krząta także kamery dokumentalistów, na które nikt nie zwraca uwagi. Ludzie są jakby odrętwiali. Filnujący porządku dykurni z pielgrzymkowymi znaczkami przepasanymi żółtą, o twarzach ściągniętych determinacją, wyławiają wzrokiem z ludzkiego niekończącego się węża tych najsłabszych, najstarszych, niesprawnych. Dla nich jest osobne wejście i dostęp przed wszystkimi innymi.

Grób to nie zwykły wzgórek, tylko wielka przestrzeń kwiatów i świateł. Zdjęcie, napis, krzyż. Jeszcze stoi katafalk z cierniową koroną, kielichem i białoczerwoną flagą. A naprzeciw grobu na ścianie kościoła olbrzymi fotogram - to jeszcze On, nad innym grobem, też pokrytym kwiatami, obejmujący opiekun - tą ręką matkę zakatowanego jedynaka. Tak właśnie stawał zawsze przy ludziach, którym działa się krzywda. Teraz oni stoją przy jego grobie. Tysiącami, dzieśiątkami i setkami tysięcy.

Niedługo ich wychowywał, ale tak jak trzeba. Nigdy nie wychodzili z Jego nauk burząc się, z podniesionymi pięściami. I wychowywał ich tak, jak trzeba - teraz też, nad Jego zmasakrowanym ciałem nie podniosła się żadna groźba i

żadne ziorzeczenie. Tylko nie przestają przychodzić - żeby dalej uczyć się od Niego: meżnego chrześcijaństwa i meżnej miłości ojczyzny.

Co zostaje z wielkich słów, kiedy stoi się nad grobem niewinnie zabitego? Albo opadają jak pusta łupina, albo wkorzeniają się bardzo głęboko, pod powierzchnię przeżyć i wzruszeń ściskających gardło.

Napisał o Nim intelektualista francuski: był świadkiem słyszalnym. I to było źródło nienawiści, która Go ugodziła.

Największą krzywdę wyrządzili Mu ci, którzy zgodzali się w Jego wierności widzieć politykę. A to było chrześcijaństwo bez kalkulacji, trwanie przy ludziach, odważna obecność.

Stoi się nad Jego grobem tak, jakby się stało nad uprawioną rolią. Bez łez, bo nie o to chodzi. Bez zdenerwowania, bo wzrostu zasiewu nie można przyspieszyć, jego czas jest wyznaczony. Tylko z troską by nikt nie zdeptał. I mimo wszystko z nadzieją, pochodzącą z zupełnie innego wymiaru niż kalkulacje i przewidywania.

Powiedziano przecież: "Jeśli ziarno wpadnie w ziemię, nie obumrze, samo zostaje ..."

Po powrocie do Krakowa porządkowanie poczty po dłuższej nieobecności. Wśród innych list, od nieznanego czytelniczki, zawierający dwa teksty: jeden adresowany do Rodziców Księdza Jerzego, drugi - do rodziców Jego morderców. Oba smutne, oba - na różny sposób - współczujące. Oba głęboko chrześcijańskie. To już też kiejkowanie.

Józefa Hennełowa

Przepraszamy redakcję kwartalnika "Aneks" za przedruk w 3 numerze "Przeglądu Politycznego" artykuły F.M. Draussa *Raymond Aron* bez podania źródła.

\* \* \*

W artykule Jana Wolnego *Krajobraz niewyraźny* opublikowanym w 2 numerze "Przeglądu Politycznego" redakcja dokonała zmian bez porozumienia z Autorem, za co Czytelników i Autora przepraszamy.

\* \* \*

Potwierdzamy wpłaty na fundusz "Przeglądu Politycznego":  
Francuzka - 50; KOW - 3000; P.L. - 1000; Kowal - 200;  
Kazikowi dziękujemy za książki.

Redakcja



Cena 350 zł

---

W numerze 2 m.in.: JAN WOLNY, Krajobraz niewyraźny; Pytania z przeszłości - rozmowa z JACKIEM MERKELEM.

W numerze 3 m.in.: „Istnieją granice siły...” - rozmowa z GÜNTEREM GRASSEM; LESZEK KOŁAKOWSKI, Ogólna teoria socjalizmu; ANNA BARYCZ, Refleksje nad liberalizmem; Sylwetka RAYMONDA ARONA; MARCIN MOSKIT, Szturm na bramy; ANDRZEJ GWIAZDA, Z więzienia.

W numerze 4 m.in.: PAWEŁ ADAMSKI, Wspomnienie o LECHU BĄDKOWSKIM; JADWIGA STANISZKIS, Własność, racjonalność, dynamika, struktura; RAYMOND ARON, Testament; ALAIN BESANÇON, Śmierć trupa; ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI, Tragiczne dylematy sowieckiego imperium; Sylwetka ASTOLFA DE CUSTINE; Trzy wystąpienia GRUPY PUBLICYSTÓW POLITYCZNYCH.

---

Copyright by **PRZEGLĄD POLITYCZNY**  
Redaguje kolegium